This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

81567

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE

81567

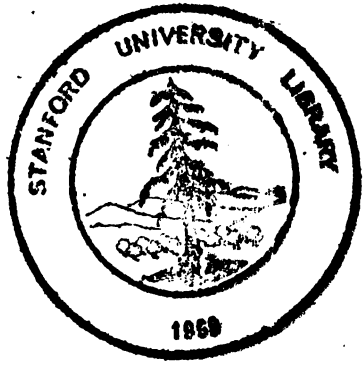

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE.

Szkice historyczne

LUDWIK GLATMAN

SZKICE HISTORYCZNE

L. 201.

Czytelnia Włościańska w BIERZANOWIE.

SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA W KRAKOWIE
1906

H

D K415
G63

Z drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem A. Świerzyńskiego.

GABOR BATORY

pretendent do korony polskiej.

Wiek XVI i początek XVII obfitują w ludzi niezwykłej miary, którzy kierując wypadkami dziejowymi, wpływają na losy pojedynczych państw i narodów. Wielkie cnoty obywatelskie spotykamy tu — obok największych zbrodni, które grozą wstrętu i oburzenia przejmują dusze nasze.

W ludzi tej fidyaszowej miary bogaty w tych czasach siedmiogrodzki ród Batorych, choć nie polski, lecz z przeszłością naszą przez lat kilkadziesiąt w najbliższej zostający styczności; zajmuje więc umysły historyków i szerszego ogółu.

W studyum niniejszem przedstawię zabiegi najmniej z rodu Batorych w historyi naszej znanego Gabryela, który przez lat kilka za czasów Zygmunta III daremnie się kusił o pozyskanie korony polskiej.

Zobaczymy poniżej, że ten młody »Neron północy«, nienasycony rozpustnik, żądny krwi i mordów, miał jaśniejsze w życiu chwile i abitne zamiary polityczne, dążące do utworzenia z połączonych państw: Polski, Siedmiogrodu, Mołdawii i Wołoszczyzny olbrzymiego mocarstwa, któreby zdolne było stawić opór potędze tureckiej.

Czy dorósł do tak wielkiego zadania, czy zbyt nie przeceniał swych zdolności — czytelnik osądzi.

Wszystko, co opowiem, jest małym wyjątkiem z kilkuletnich studyów, potrzebnych do zbadania i odtworzenia epoki

Zygmunta III; szczegóły czerpałem po większej części ze współczesnych rękopisów bibliotek książąt Czartoryskich i Jagiellońskiej tudzież z dzieł pisarzy siedmiogrodzkich onej epoki [1]).

I.

W północno-wschodnim zakątku Węgier, na wielkich błotnistych, nadcisańskich równinach, na południe od górnej Cisy, nad rzeczką Krasną, stoją po dziś dzień olbrzymie zwaliska i gruzy wspaniałego niegdyś zamku Ecsedu, który był dziedziczną rezydencyą wielkiego rodu węgierskiego Batorych.

Ród ten pisał się »de Somlio« i miał trzy wilcze zęby w herbie, a członkowie jego na setki lat przed naszym dzielnym Stefanem zajmowali najwybitniejsze senatorskie krzesła w Węgrzech, a więc po większej części byli palatynami, wojewodami i hetmanami wojsk.

Stefan, powołany jako wojewoda siedmiogrodzki w roku 1576 na tron polski, pierwszy uprawnia następnych członków swej rozgałęzionej rodziny do pretensyi o najwyższe w Polsce godności, tak, że synowcowie jego i wnuki, jak: Andrzej, Zygmunt, Baltazar, Gabor, niepowołani przez naród, w uzurpatorski sposób kilkakroć sięgać usiłują po polską koronę.

Zanim przejdziemy do tych politycznych usiłowań bohatera naszego, przypatrzmy się choćby w krótkości genealogii tego rodu od wieku XVI.

Król Stefan miał dwóch braci: Krzysztofa, wybranego po Stefanie wojewodą siedmiogrodzkim i Andrzeja, rotmistrza na dworze królowej Izabeli Zapolyi. Stefan z małżeństwa z Anną Jagiellonką nie zostawił żadnego potomstwa, z braci zaś Krzysztof miał córkę Gryzeldę, wydaną, jak wiemy, za kanclerza Jana Zamoyskiego i dwóch synów: Mikołaja i Zy-

[1]) Wolfganga Bethlena (»Trąnssilvaniae... historia«), Józefa Benka, Jana Bethlena, Fr. Miko (»Historia manuscripta«, od roku 1594—1612, w dalszym ciągu dorobiona do r. 1613 przez Samuela Birod i innych).

gmunta, z których ten ostatni został po ojcu wojewodą siedmiogrodzkim.

Bardzo ciekawe szczegóły o Zygmuncie podaje współczesny historyk siedmiogrodzki Wolfgang Bethlen w swojej *Historia Transilvaniae*. Jako syn Krzysztofa i Elżbiety Bocskaj, obejmuje on tron w chłopięcym wieku po ojcu. Regencyę sprawuje Jan Getzi jego nauczyciel od roku 1585—1589. Po śmierci Getziego 17-letni Zygmunt usiłuje zrzucić protektorat Turcyi i szuka opieki cesarza. Przeciw temu występuje wielu ze szlachty, a młodzian, przelękniony obawą buntu, postanawia opuścić tron i buduje nowy zamek w Kövar na Węgrzech, dokąd uchodzi, uprowadzając wszystkie swoje skarby, zastępcą zaś swoim mianuje brata stryjecznego Baltazara Batorego.

Ale dziadek jego Stefan Bocskaj starosta waradyński, z innymi ze szlachty namawiają go, aby wrócił i napowrót tron objął. Zygmunt wraca i odbywa uroczysty wjazd do Klausenburga (1594. roku, dnia 28. sierpnia).

Pomijam późniejsze znane szczegóły sojuszu Zygmunta z cesarzem Rudolfem (1595) i małżeństwa wojewody siedmiogrodzkiego z arcyksiężniczką Maryą Krystyną, córką arcyksięcia Karola styryjskiego, a przejdę do spraw mniej znanych, a z naszemi dziejami ściśle związanych.

Oto czytamy tam (str. 36, tom III), że Zygmunt Batory, nakłoniony przez niektórych senatorów polskich, a głównie przez sławnego Mikołaja Buccellę, doktora medycyny [1]), który mieszkał w Krakowie i miał wielkie u szlachty znaczenie, gdy Zygmunt III w roku 1593. wyjechał do Szwecyi, korzystając z jego nieobecności, czynił zabiegi o tron polski.

Chwyciwszy się tej myśli upornie *(ambabus, ut aiunt, manibus arripiens)* pod pozorem żądania od owdowiałego Jana Zamoyskiego po siostrze Gryzeldzie 30.000 florenów posagu, wysłał tam Eustachego Gyulaia i usilnie się przez niego,

[1]) W swoim czasie był on nadwornym lekarzem króla Stefena Batorego do ostatnich chwil jego życia.

przy pomocy Andrzeja Batorego, kardynała, a brata swego stryjecznego starał, aby, jeżeli Zygmunt III następnego roku do Polski nie wróci, tron Jagiellonów dla niego pozyskał.

Młody i ambitny książę starania swoje posunął jeszcze dalej, bo oto w maju 1593 roku, zostawiwszy rządy Siedmiogrodu opiece senatorów, z bratem stryjecznym Baltazarem, Stefanem Bodonim i Franciszkiem, nadwornym lekarzem, przybrawszy kilku innych towarzyszy, w przebraniu *incognito* przybył do Krakowa, gdzie pałac królewski i składy zboża (?) (zdaje się, że tu mowa o Sukiennicach) zwiedziwszy, niedługo tam bawiąc, 13. maja do Siedmiogrodu wrócił.

Drugi brat króla Stefana, Andrzej, miał trzech synów, z których najstarszy Andrzej był Kardynałem i po Zygmuncie krótki czas wojewodą siedmiogrodzkim, drugi z nich Stefan nie odegrał żadnej wybitniejszej roli w historyi i jako starosta waradyński przemieszkiwał stale w prastarej rezydencyi na Ecsedzie, trzeci wyżej wspomniany Baltazar, z początku wielki przyjaciel Zygmunta, później, gdy się pokazało, że chce mu wydrzeć koronę, zostaje na rozkaz tegoż uwięziony i uduszony w więzieniu w roku 1595.

Najwięcej interesuje nas obecnie ów spokojny starosta waradyński Stefan z Ecsedu, a to z dwóch powodów, naprzód, że był ojcem Gabryela, a powtóre, że ożenił się po śmierci pierwszej żony (Zuzanny Bebek, która była matką Gabora) z Polką, Zofią Katarzyną Kostczanką, córką Krzysztofa, wojewody pomorskiego.

W ten sposób Gabor Batory był blizko spokrewniony z wieloma polskiemi rodzinami szlacheckiemi, zamieszkałemi w tym czasie w okolicach Jarosławia. Dość wspomnieć, że pani Opalińska, znana starościna leżajska, za pierwszego (?) męża, miała rodzonego brata tejże Zofii [1]), starostę kościerzyńskiego

[1]) Jan Pilecki, rotmistrz, starosta horodelski z Herburtówny zostawił Annę, dziedziczkę Tyczyna, Sokołowa, Zalesia. Ta 1° voto żyła z Janem Kostką, starostą lipińskim; 2° voto z Krzysztofem Kostką, ka-

Krzysztofa, a księżna Anna Ostrogska, zamieszkała w tym czasie w Wysocku pod Jarosławiem (poźniej rezydencya Sobieskich), była także Kostczanką z domu. Również Katarzyna Sieniawska, podczaszyna koronna z Brzeżan, była rodzoną siostrą księżnej Ostrogskiej, a więc także bardzo blizką krewną macochy Gabora Batorego.

O ile mi się udało wyśledzić, to owa Zofia Katarzyna z Kostków Batorowa w dwa lata po śmierci męża, 1608 r., osiadła stale przy siostrze (zdaje się stryjecznej) w Wysocku i chowała syna jedynaka Andrzeja, który w czasie zabiegów Gabora o koronę polską miał lat 12, z powinnymi swymi książęty Ostrogskimi w kollegium Jezuitów w Jarosławiu.

Ale idźmy dalej, a zobaczymy, że ród Batorych zakończył się u nas w Polsce, a nie w Węgrzech. Wyżej wymieniony Andrzej, syn Kostczanki z domu, wychowany po polsku, żeni się około 1630 roku z Zakrzewską de Felden, z której ma córkę Zofię, ostatnią z Batorzanek, fundatorkę jezuickiego kollegium w Patakinie i jezuickiego kościoła w Koszycach na Węgrzech. Mężem tej Zofii był Jerzy Rakoczy, książę siedmiogrodzki, a synem jego Franciszek Rakoczy. Na Zofii familia Batorych za czasów Sobieskiego (1682 roku) zeszła ze świata w linii żeńskiej. Dzisiejsi Batorowie na Węgrzech nie mają nic wspólnego ze sławną rodziną »de Somlio«.

---

sztelanem bieckim, starostą kościerzyńskim (umarł 1602 roku z potłuczenia w podróży); 3° voto z Łukaszem Opalińskim, starostą leżajskim. Była ona ostatnia z Pileckich »Leliwczyków dziedziczka«. Wiadomość tę zaczerpnąłem z »Rodowodu Kostków« w Bibliotece Jagiellońskiej. Ciekawa rzecz jednak, że Łukasz Opaliński w obronie swojej (Muzeum Czartoryskich, rękopis nr 351, str. 76) po tragicznej śmierci Dyabła Stadnickiego rzecz rozpoczyna od krzywd wyrządzonych przez Stadnickiego pierwszemu mężowi swej małżonki, staroście kościerzyńskiemu, który według powyższego rodowodu, byłby drugim mężem. Czyżby Opaliński był tak obojętnym dla starszej wiekiem żony, że nawet nie wie, którym był z rzędu mężem swej żony, czy też »Rodowód Kostków« jest mylny? Prędzej przypuścić należy to ostatnie.

(Przypisek autora).

Z żeńskiego rodu Batorych wspomniałem już wyżej o Gryzeldzie, siostrzenicy króla Stefana a żonię Jana Zamoyskiego, kanclerza koronnego; pominąć tu również nie mogę innej Batorówny, współczesnej Gabryelowi, jego siostry stryjecznej, Elżbiety, żony węgierskiego magnata hr. Nadasdy, która wsławiła się niesłychanem okrucieństwem. Oto zwabiała ona do swego zamku Czej w komitacie nitrzańskim (w północnych Węgrzech) młode dziewczęta i utaczała im krwi w celu upiększania swej płci. Dziewczyny po znacznym opuście krwi ginęły jedna za drugą. Wykrył te krwawe kąpiele palatyn Jerzy Turżo w roku 1610. Śledztwo wykazało, że 650 dziewcząt padło ofiarą okrutnej zalotności węgierskiej magnatki. Współwinnego z nią służącego, który tej dziewiczej krwi utaczać pomagał, ścięto, dwie służące hrabiny spalono, ją zaś samą skazano na dożywotnie więzienie w zamku Czej, gdzie 1614 roku umarła.

II.

Przypatrzmy się bliżej bohaterowi naszego opowiadania.

Gabor, wychowany bardzo wykwitnie przez ojca Stefana na zamku Ecsed, po śmierci jego, 1606 roku, zostaje dziedzicem bogatych dóbr. Gdy stary, zniedołężniały Zygmunt Rakoczy w roku 1608 zrezygnował dobrowolnie z godności księcia siedmiogrodzkiego, wówczas szlachta przez Bethlena Gabora nakłoniona wybiera księciem Gabora Batorego[1]), który objął uroczyście rządy w Klausenburgu 3. marca 1608 roku.

Ponieważ Siedmiogród zostawał pod protektoratem Turcyi, zaraz tedy po wyborze wysłał książę Gabora Bethlena jako posła do sułtana po dyplomy, pieczęć, klucze i inne książęce insygnia, które mu monarcha turecki w rzeczy samej nadesłał.

---

[1]) Rakoczy w zamian otrzymuje od stanów, jako odszkodowanie, dobra: Sáros i Szádvára.

Ale tak Bethlen jak i stany siedmiogrodzkie, jakże strasznie się przeraçhowali! Dwudziestoletni młodzieniec wprawdzie był obdarzony wielkiemi zaletami ciała i umysłu, ale zepsuty, rozpustny, zmysłowy, wnet puścił wodze niepohamowanym namiętnościom i rozwinął w całej pełni swój neroński charakter. Chucie jego i chęć użycia były mu prawem, przed którem wszystko musiało się uginać.

Chłopięciem będąc przeszedł w roku 1595 [1]) z katolicyzmu na kalwinizm. Otrzymał wychowanie bardzo wykwintne, ale wykształcenie a charakter, zalety umysły i serce, jakież to rzeczy różne! Mówił prócz węgierskiego języka bardzo biegle po łacinie, po włosku, po francusku, po niemiecku. Serce i umysł miał podniosłe, lecz źli ludzie w najbliższem otoczeniu schlebiali jego żądzom i kusili go do złego.

Cóż dopiero powiedzieć o płochych a ładnych niewiastach, którym bogaty, urodziwy książę bardzo się podobał, a które go wszelkimi sposobami pociągały na złą drogę zaspokojenia namiętności i użycia [2]).

Helena Imrefi ułowiła go zaraz na wstępie tak w swe sidła, że darował jej państwa Alvintz, Symlyo i Dioszeg; druga urocza kurtyzana Dengelegy otrzymała dobra Hunyad, Vingard i Czelna; prócz tych zaś oficyalnych kochanek, do których i Katarzyna Török należy, żadna piękna kobieta, ani urodziwa dziewoja Siedmiogrodu nie była bezpieczną przed jego gwałtami i miłosnymi podstępami.

Najzgubniejszy wpływ wywierały na niego dwie piękne, lecz przewrotne niewiasty, żona Farkasa Kamulego i kanclerza Jana Imrefiego, wspomiana wyżej Helena, których mężowie zostali wnet pierwszymi w księstwie dygnitarzami, lecz zarazem i najprzewrotniejszymi księcia doradcami.

---

[1]) Był wówczas gubernatorem komitatu karszneńskiego w Węgrzech (J. Benko).

[2]) Wielu szczegółów w tym kierunku doczytać się można w pięknej, choć licho tłumaczonej na nasz język powieści węgierskiej Mikołaja Josiki, uwieńczonej w swoim czasie przez Akademię nauk w Pe-

Rozwiązłe obyczaje i okrucieństwa młodego księcia były powodem, że ogólnie znienawidzony, ochrzczony został przydomkiem »Nerona północy«.

Przeceniając w dodatku swe zdolności, chciał po wstąpieniu na tron połączyć Mołdawię, Wołoszczyznę i Siedmiogród w jedno wielkie naddunajskie państwo, aby zaś dojść do takiej potęgi, postanowił sięgnąć po polską koronę i wszelkich sposobów używał, aby te śmiałe plany urzeczywistnić [1]).

Ażeby sprawę lepiej zrozumieć, rozpatrzmy się nieco we współczesnych dziejach państw naddunajskich, a mianowicie Mołdawii i Wołoszczyzny, które, przypierając do wschodnio-południowych granic Polski, pod jej protektoratem zostają.

W tych dwóch księstwach panowali wówczas osadzeni na tronie przez Zamoyskiego Mohiłowie: Jeremiasz w Mołdawii i Szymon na Wołoszczyznie. Około roku 1608 umarł wojewoda Jeremiasz. Córka jego Marya poślubiona była Stefanowi Potockiemu. Powinowactwo to wzmogło dom Potockich w dostatki i znaczenie, Jeremiasz bowiem hojnym był za życia dla tych, od których pomocy i wsparcia dla siebie i dla swoich się spodziewał. Potocki przeto forytuje teraz i na tronie mołdawskim osadzić usiłuje szwagra (brata żony) młodocianego Konstantego Mohiłę, syna Jeremiasza.

W tym mniej więcej czasie, może na kilka miesięcy przed Jeremiaszem umiera również brat jego Szymon, hospodar na Wołoszy. Teraz powstaje spór między pozostałemi wdowami: Elżbieta Amartanow, wdowa po Jeremiaszu [2]), wsparta pomocą

---

szcie p. t. »Ostatni Batory« (*Az utolsó Bátori*). Tło jej jest wiernie historyczne, o ile to w powieści jest możebne.

[1]) »Gabriel Bathory und Gabriel Bethlen in ihrem Verhältnisse zur Krone Polens«, *Wilhelm Schmidt*. »Ung. Revue«, April — Mai, rocznik VIII.

[2]) W Suczawicy koło Radowiec na Bukowinie jest w klasztorze grecko-ormiańskim lampa wisząca, w której spodzie znajduje się warkocz kobiecy z mołdawskiem pismem następującego brzmienia: »Elżbieta Amartanow, żona wojewody Jeremiasza Mohiły, przez pewnego

zięcia Stefana Potockiego, pragnie osadzić na tronie Wołoch i Mołdawii syna Konstantego, wdowa zaś po Szymonie, Margitta, popierając syna Michała, utrzymuje go za protekcyą Turków sześć miesięcy na hospodarstwie mołdawskiem i wołoskiem. Może być, że syn Margitty, wsparty pomocą Turcyi, byłby się i dłużej na obu tronach utrzymał, gdyby Potoccy nie byli temu przeszkodzili. Oto Jan Potocki, starosta kamieniecki, brat Stefana, wkracza z rycerstwem polskiem za Dniestr, rozpędza Turków i Tatarów protegujących Margittę i Michała, Konstantego wojewodą ogłasza i przez podarunki w Dywanie przy rządach spokojnych w Mołdawii utrzymuje.

Trwał ten stan rzeczy do roku 1612, w którym zbliżyła się fatalna dla Polski epoka, w tym bowiem czasie straciła ona blizko od trzech wieków hołdującą jej Mołdawię i Wołoszczyznę.

Z tego, co dotąd powiedziano, widzimy, że sprawami młodocianego Konstantego kierują Potoccy, jego opiekunowie. Wszelkie dochody oni pobierają, przyczem nie chcą płacić Turcyi należnej daniny. Wówczas to ta ostatnia, nie mogąc się doczekać haraczu, »subordynuje« Michała Tomżę, który, z pomocą Kantymira murży tatarskiego, opanował Mołdawię, a Konstantego Mohiłę zmusił do ucieczki i schronienia się w chocimskim zamku. Równocześnie Turcya osadza na tronie wołoskim Serbana Basarabę, przezwanego Jerzym Radułem.

Rada senatu Rzeczypospolitej polskiej sądziła za rzecz przyzwoitą wprzód przez negocyacye upominać się o prawa Konstantego i Rzeczypospolitej, a skoroby układy okazały się bezowocne, wziąć się do broni — ale Stefan Potocki, unie-

---

Turka, prowadzącego ją do Konstantynopola, zbezczeszczona, rozżalona wyrządzoną jej hańbą, na znak żałoby pozbawiła się tej najpiękniejszej ozdoby i nie mając najmniejszej nadziei, aby mogła spocząć w klasztorze, przez nią fundowanym, obok swego małżonka, chce na wieczną pamiątkę tu mieć ją umieszczoną, aby ją przynajmniej ta myśl pocieszała, że choć jedna cząstka ciała w tem świętem miejscu obok zwłok męża spoczywa!«

siony żądzą zemsty, ufny w przeszłe powodzenie Jana Pototockiego, innego był zdania. Wkroczył wbrew woli króla do Mołdawii na czele 6.000 husaryi w początkach sierpnia 1612 roku. Zbyteczne zaufanie w swe siły, brak szpiegów i niefortunny do ataku teren przyprawiły go o zgubę. Przeszedł z wojskiem Prut i stanął u ujścia Dziesny w Sasowym Rogu, w miejscu tak ciasnem, »iż zręczności żadnej nie miał do czynienia obrotów«.

Tatarzy wnet opanowali brzegi obu rzek i tak zamknęli Polaków, że ich do poddania się bez bitwy przymusili. Potocki, w ucieczce poznany i ujęty przez Tomżę, odesłany został jako jeniec do Konstantynopola. Konstanty Mohiła, niepoznany między niewolnikami tatarskimi, umarł od niewygód życia, brat jego zaś Aleksander, młodzieniec pięknej postawy, oddany do seraju u sułtana. W ten sposób skończył wierny zawsze Polsce dom Mohiłów na Wołoszczyźnie przez nieoględność i butę polskiego magnata.

Ta, nawiasem wspomniana tu historya Wołoszczyzny, była niezbędna, aby poznać bliżej dążenia Gabryela Batorego. Zrozumie przecież każdy, że dynastya Mohiłów przez Polskę wspierana i z polską magnateryą spokrewniona, była każdej chwili gotowa w niwecz obrócić ambitne zamiary Batorego, była mu więc solą w oku, tak, jak rany Polski, takie jak rokosz, były mu pomocą do osiągnienia jego planów.

Jak niezadowolonych z panowania Zygmunta III panów polskich, takich, jak Dyabeł Stadnicki, Herburt z Dobromila, Janusz Radziwiłł używał on przeciw królowi, tak przeciw polskim załogom w Mołdawii używał Tatarów. Szczególniej z pyszna się tam miał od nich Jan Potocki, naczelny wódz polskiej załogi w Mołdawii, którego Tatarzy ciągle z podszeptu Batorego niepokoili.

Zwróćmy się teraz do równoczesnych wypadków w Polsce, na których tle wojewoda siedmiogrodzki podstępną akcyę rozwija i śledźmy w dalszym ciągu jego tajemne knowania i konszachty.

W lutym 1609 roku skończył się właśnie sejm koronny w Warszawie, na którym Zygmunt przed smoleńską wyprawą pragnie ułagodzić buntownicze umysły szlachty.

Monarcha polski w ciągłej jest obawie, aby w czasie jego nieobecności nie zbudziło się na nowo widmo rokoszu, chwilowo i pozornie poskromionego niefortunnem guzowskiem zwycięstwem; w rzeczy samej bowiem kotłowało nadal w Rzeczypospolitej jak w kipiątku i lada iskra mogła zduszone zarzewie buntu po raz wtóry w jasny rozdmuchać płomień.

To też wszystkie konstytucye kończącego się sejmu zmierzały do ogólnego ułagodzenia umysłów i głosiły amnestyę, przebaczenie win i przypuszczenie do łaski królewskiej, taką zaś ważną rzecz, jak wyprawa na Smoleńsk, uchylono z pod obrad izby i dano do roztrzygnięcia radzie senatu, aby tylko nie budzić licha, nie jątrzyć niezabliźnionych ran Rzeczypospolitej.

Stronnicy króla wiedzieli dobrze, skąd Zygmuntowi największe grozi niebezpieczeństwo. Oto jeszcze 1607 roku uznano go na rokoszowym zjeździe po Jeziorną pozbawionym tronu i ogłoszono Gabryela Batorego jedynym kandydatem do korony polskiej.

Nasiona tej praktyki znalazły się pod Guzowem, gdy w ręce zwycięzców dostała się zgubiona w ucieczce z pola bitwy szkatułka Janusza Radziwiłła, w której były kompromitujące listy Gabora do Szczęsnego Herburta i do Dyabła Stadnickiego. W listach tych książę siedmiogrodzki bardzo dobitnie manifestować musiał swoje ochoty i pretensye do korony polskiej, kiedy król po przeczytaniu ich kazał obu wyżej wymienionych panów polskich uwięzić.

Od tego czasu pilne oko miano na tajemne działania Gabora, a hetman Żółkiewski, jako »wojenny stróż granic koronnych«, pisze do senatorów i rycerstwa odezwę[1]) (dnia 9.

[1]) Z rękopisu cesarskiej biblioteki w Petersburgu (według W. Schmidta).

kwietnia 1608 r.), zachęcając do pogotowia przeciw Batoremu. W wymownych słowach przedstawia niebezpieczeństwo, przestrzeżony pisaniem jednego zacnego człowieka, którego imienia »na razie dla wielu respektów nie publikuje«. Oto z listu owego nieznajomego dowiaduje się Żółkiewski, że Gabryel Batory »mając porozumienie z niektórymi rokoszany, sposabia się i chce najechać na tę zacną koronę«.

Praktyki Batorego z Tatarami, którymi drogi górskie na Wołoszczyźnie obsadził, wzmacniają tylko podejrzenia hetmańskie, jest to bowiem to miejsce »przeciwko Tatrusowi«, »którędy król Stefan na Królestwo, a Michał, wojewoda wołoski, z wojskiem na posiędzenie ziemi wołoskiej wyszedł«.

»Pocoby — pisze dalej hetman — Tatarowie koczować mieli w Romanowym Targu, kiedy nie dla praktyki i zamysłów Batorego!« W dalszym ciągu perswaduje, że »ludzi na ludzie potrzeba«, wojska kwarciane nie wystarczą, a że »idzie o króla, o prawa i swobody szlacheckie i pamiątki przodków, o zacną sławę narodu, słowem o Rzeczpospolitę, która *omnes charitates* w sobie zamyka«, prosi więc o dwie rzeczy: »Naprzód nie rozumiem, aby miało wiele być tych »wrzodków« w cnotliwym narodzie naszym, którzyby takowej niecnotliwej sprawy Batoremu pomagać chcieli«. A że jeszcze są niezadowolone umysły, prosi, aby darować wszelkie niezgody Rzeczpospolitej i radzi dopraszać się praw nie wiolencyami.

— »Dajmy dla miłosierdzia Bożego tym kłótniom, tym zwadom pokój, które więcej nas zamieszały, niźliby co dobrego mogły w Rzeczypospolitej sprawić«.

»Druga rzecz jest, żebyście wciowie do gotowości raczyli się sposabiać, gdyby Batory zechciał konać zamysły i przedsięwzięcia swe i abyście raczyli z chęci swych dla miłości ratunku, gdy się da znać, przybywać do wojska«.

Z odezwy hetmańskiej widać, że sprytny książę umiejętnie wziął się do rzeczy. Z jednej strony zawichrza Rzeczpospolitą wewnątrz i kopie przepaść niezgody między królem a przywódcami pozornie uspokojonego rokoszu, z drugiej —

toruje sobie drogę do tronu polskiego przez Mołdawię, gdzie Tatarów sprowadza przeciw polskim załogom licznie tam rozłożonym, na czele których stoi Jan Potocki, przez brata Stefana spokrewniony z hospodarami wołoskimi.

Książę siedmiogrodzki w swych śmiałych zamiarach posuwa się nawet dalej. Nie poprzestając na pomocy zapewnionego mu wówczas Siedmiogrodu, wchodzi w układy z Konstantynopolem i obiecuje sułtanowi dwakroć stotysięcy rocznego haraczu z samej Polski, byle mu nie przeszkadzał do objęcia korony Piastów i Jagiellonów.

Niebezpieczeństwo było tem groźniejsze, że Zygmunt właśnie zamierzał wyruszyć na oblężenie Smoleńska. To też co przedniejsi senatorowie radzili królowi szafunkiem dostojeństw i łask uspokoić umysły lub wojowniczego ducha narodu wojną zewnątrz kraju zaprzątnąć, a więc na zaciągi Lissowczyków i Samozwańca milcząco zezwalać, aby z granic państwa buntownicze żywioły usunąć. Niemniej radzono mu Stadnickiego i Janusza Radziwiłła do ucałowania ręki dopuścić, a uwięzionego za owe Batorowskie praktyki Herburta (Stadnicki już był wówczas wolny) wolnością obdarzyć.

Zygmunt, jako że był w wielkiej opresyi, zgodził się na zdanie doradców i 26. lutego 1609 roku wydał dekret [1]) którego mocą »za instancyą i prośbą niektórych pp. senatorów i posłów«, Szczęsnego z Fulsztyna Herbułta (*sic*), mościskiego i wiśnieńskiego starostę, uwięzionego w Krakowie przez hetmana, »z wrodzonej dobrotliwości przeciw poddanym« pozwala wolnym uczynić.

Warunki uwolnienia były bardzo ostre i one najlepiej świadczą, jak się król jego tajemnych praktyk obawiał. Uwolniono go pod kondycyą, że jeżeliby co *in posterum* pokazało się nań takowego, coby całość praw, swobód i wolności koronnych »zachodziło« i spokojne panowanie królewskie tur-

[1]) Muzeum książąt Czartoryskich, rękopis nr 351, str. 70.

bować miało, »na seym ma być pozwany, na którym ma być rozsądek o nim«.

Dalej zakazano mu z majętności swej Dobromila, »gdzie się *directe* z Krakowa obrócić ma«, nigdzie do lat dwu nad mil siedm nie wyjeżdżać, sługi żadnego zagranicę nie wysyłać, ani też od nikogo z zagranicy listów i pism nie przyjmować. Nadto surowo w akcie tym zabrania mu król gromadzenia i kupienia ludzi i podnoszenia chorągwi, wszystkie zaś te punkty i warunki każe mu u grobu św. Stanisława na Wawelu solennie poprzysiądz i zastrzega, że gdyby w czemkolwiek to zezwolenie sejmowe przestąpił, ma być za nieprzyjaciela ojczyzny uznany (*„ipso facto pro manifesto hoste patriae censebitur“*).

»A jeźliby co nagłego Rzplitą obchodziło y bezpieczeństwo nasze, wolno go będzie staroście pojmać, a jeźliby potęgą podołać nie mógł, tedy *viciniores* starostów przyzwać, czemu, jeżeliby ci wydołać nie mogli, hetmana naszego przywoławszy wolno go będzie pojmać, a do Sejmu przyszłego zatrzymać. Które to zezwolenie nasze y jego też własne, *autoritate conventus* tak jakoby *de verbo ad verbum* w konstytucyi wpisane było, aprobujemy y one ręką własną królewską y urzędników naszych koronnych, *totius Senatus* y marszałka poselskiego y pewnych deputowanych posłów *totius equestris ordinis* podpisaliśmy y pieczęć naszą koronną przyczynić kazaliśmy. Dan w Warszawie, na Sejmie koronnym dnia, 26. mies. lutego r. P. 1609.

Sigismudus rex.

Christoph Wiesiołowski, Marszałek poselski.
Paulus Garwilly *(sic)* star. wyszogradz. poseł mazowiecki.
Laurentius Gembicki, Eppus Culmen. R. P. Cancel.
Felix Kriski in Drobnin V. C. Regni.
Christoph Oromeński, Wojski Lwowski z bełzkiego.
Maciej Leśniewski Poseł Bełski«.

W miesiąc niespełna (20. marca) odbył się przed referendarzem koronnym uroczysty akt przysięgi [1]) przed grobem św. Stanisława. Pan Szczęsny uroczyście przyrzekał, że wszystkie kondycye w tym skrypcie opisane wiernie i statecznie strzyma, że spokojnie się »doma i na każdem miejscu« zachowywać będzie i że praktyk żadnych *tam cum externis quam cum internis* nie będzie wszczynał i tak się zachowa »jako mu w przyrzeczonych skrypciech opisano jest y jako się wiernemu poddanemu godzi«.

We dwa miesiące później Zygmunt spotyka się z wojskami ciągnącemi pod Smoleńsk w Lublinie. Pan Szczęsny czeka tam już na niego i uroczyście przypuszczony jest do ucałowania ręki królewskiej.

Z mowy jego rozpoczynającej się od słów: »Bym miał przystęp przed Majestat W. Król. Mości zaraz po owych czasach nieszczęsnych, które wspomnieć strach, a wymówić przykro«... — z mowy ciężkiej i zawiłej, wykrętnej i niejasnej, nie licującej wcale z dobrym umysłem jednego z najświatlejszych i najwykwintniej wychowanych senatorów — widać, że przeproszenie było nieszczere i że Herburt co innego miał w duszy, a co innego na ustach.

Gdy się w ten sposób załatwiono z panem Herburtem, przyszła kolej na niebezpieczniejszego niż poprzedni rokoszanina, starostę zygwulskiego, Stanisława Stadnickiego, powszechnie dla jego exorbitancyi »Dyabłem« zwanego.

W ten sam dzień, w którym podpisano dekret uwolnienia Herburta z krakowskiego więzienia, miano przypuścić pana Stadnickiego przed oblicze króla dla ucałowania ręki królewskiej, w celu przebaczenia win rokoszowych.

Przypatrzmy się tej scenie w Warszawie na Zamku królewskim:

Sala przyjęć przepełniona jest ministrami, senatorami i posłami, jest to bowiem dzień zamknięcia obrad sejmowych

[1]) Muzeum książąt Czastoryskich, rękopis nr 351, str. 71.

napuszystą oracyą marszałka sejmowego, Wiesiołowskiego, i zwyczajnym ceremoniałem ucałowania przez każdego z posłów ręki królewskiej, poczem ma się odbyć uroczysty akt przeproszenia Majestatu przez Stadnickiego.

Wszyscy z niecierpliwością i pewnem zaciekawieniem oczekują chwili, w której hardy i nieugięty rokoszanin ukorzy się przed królem. Zygmunt siedzi w uroczystym stroju na tronie, tuż obok zajął miejsce królewicz Władysław. Zapach ambry i lawandy rozchodzi się po komnacie, a promienie zachodzącego słońca, wciskając się przez kolorowe szyby gotyckich okien, zawisają tysiącem barw tęczowych na złoceniach ścian, kosztownych makatach i wspaniałych obrazach Dolabelli.

A jest w tej sali dygnitarzy dostojnych moc, którzy godnością i bogactwy przewyższają pana łańcuckiego. A więc tuż poniżej tronu siedzi w pontyfikalnym stroju poważny prymas ks. Wojciech Baranowski obok byłego kanclerza ks. Macieja Pstrokońskiego, któremu dla osłodzenia odprawy rok temu dano intratne biskupstwo kujawskie, po przeciwnej stronie tronu stoi nowo mianowany kanclerz ks. Wawrzyniec Gembicki, biskup chełmiński, a za nim podkanclerzy Szczęsny Kryski i podkomorzy Andrzej Bobola żywą zajęci rozmową.

Hetman Żółkiewski użala się u drzwi cichym szeptem z jakiejś krzywdy przed sędziwym ks. Skargą, co poznać łatwo i z miny frasobliwej i ze spojrzeń, pełnych wyrzutu, przesyłanych w stronę podkomorzego Boboli. Reszta sali zapełniona przez liczny zastęp posłów i senatorów.

Na dany przez marszałka znak wprowadzają do sali starostę zygwulskiego.

Był to mężczyzna okazałej budowy, o ruchach zamaszystych, z wyniosłego zaś czoła i zmrużonych jasno niebieskich oczu bije mu taka nieposkromiona wyniosłość i duma, iż rzekłbyś, że ten hardy niespokojnik nie przepraszać i przed majestatem się korzyć, ano rozkazować tu przychodzi.

Szedł z hardo podniesioną głową, wstrząsając jasną czupryną, wsparty prawą ręką o rękojeść bogatej w zielony ja-

szczur oprawnej karabeli, a gdy przechodził koło p. Łukasza Opalińskiego zawziętego swego wroga, przystanął na mrugnienie oka i rzucił mu tak urągliwe spojrzenie, jakoby go nie w komnacie królewskiej, przed obliczem pana, ale gdzie w karczmie na pierwszym lepszym łańcuckim popasie spotkał.

Przyszedłszy przed tron, skrzyżował dłonie na piersiach i skłonił się nizko, tak nizko, że mu się aż obsunęła z ramion na ziemię czerwona aksamitna delia, sobolami podbita, a bogatą, dyamentową agrafą pod szyją spięta.

Potem głosem nieco drżącym prawił wytworną oracyę, w której przywodząc na pamięć zasługi swego domu, prosił króla, aby urazy zapomniawszy, do łaski go i ręki swej przypuścić raczył.

Tak mówił ten hardy rokoszanin, który dwa lata temu na Słomianym Rynku w Lublinie wołał co gardła: »Ukażcie mi, co dobrego ten król za te kilkanaście lat uczynił, a ja wszystko połknę i nazad wyrzucę!« »My nie chcemy opressyi, ani niewoli, ale wolności!« — krzyczał on wówczas i gwałtem narzucał Gabryela Batorego na polski tron, obiecując sobie z tej zmiany tronu setne korzyści.

W zastępstwie króla odpowiedział podkanclerzy Kryski, oświadczając, że miłością, przebaczeniem i sprawiedliwością pragnie monarcha zjednać serca dla wspólnego dobra ojczyzny, poczem król podał staroście rękę do pocałowania.

— Przebaczam waszmości — dorzucił dobrotliwie — bo wiem, że nie tyle winien jesteś, ile ci, co cię ku mnie jątrzą, aby cię odemnie odrazić. Wierzę też, że wszystkie praktyki za dobrą wolą waszeci wprędce się skończą i już wymacałem, że więcej w tem wszystkiem jest suspicyi, niźli samej prawdy. Pamiętaj tylko, że sabaty węgierskie i najemne wojska rozpuścić masz, a spokojnie mi się na zamku łańcuckim zachować. Nie wątpię też, że mi słowa zdzierżysz i Opalińskiemu przy mnie rękę podasz i w świętej, sąsiedzkiej zgodzie żyjąc, poniechacie obaj wszelakich rozterków. Już moja głowa w tem, aby się ta zgoda jeszcze dziś gładko skończyła.

Rzekłszy to, wstał i prosząc za sobą senatorów, szlachtę i posłów, przeszedł z nimi do sąsiednich komnat, gdzie już przygotowane stały suto w napoje i wymyślne potrawy zastawione stoły.

Rozpoczęła się swobodna i głośna wymiana myśli, przednie bowiem wina wnet rozplątały języki. Król w wybornym był humorze i ciągle nalegał na Stadnickiego, aby się z panem Łukaszem w jego obliczu pojednał.

— Trzeba tego Rzeczypospolitej, abyście w zgodzie i pomiarkowaniu żyli.

Opaliński choć w szczerość przeprosin starosty zygwulskiego nie wierzył, dla miłej jednak zgody i dla uspokojenia króla, chętnie zezwalał na jednanie, pod kondycyą jednak, że p. starosta wszystkie warunki zezna jutro po trzeźwemu pod przysięgą, i że kto pierwszy zgodę zerwie, ten 100.000 czerwonych złotych zastawu zapłaci [1]).

Kiedy im już obu wyborną małmazyę dobrze przygrzano, podali sobie dłonie, a wówczas król pił do nich ze słowami: »Prze zdrowie obu waszmościów, którego wam uprzejmie życzymy!«

Zaczem zaczęła się dobra myśl i powszechnym okrzykom nie było końca. Uderzono w trąby i krzyczano: *Vivat rex!* — a król rozkazał wszystkim, aby za zdrowie Stadnickiego i Opalińskiego wychylono puhary.

Gdy się nieco uciszyło, ozwał się król:

— Trudno, abym dziś p. Stadnickiemu przysięgać kazał, jako że i nie pora po temu i ze łbów niektórym już się dobrze kurzy. Odkładam tedy święto przysięgi do jutra, a teraz pij waszmość do mnie — rzekł zwracając się do starosty zygwulskiego.

---

[1]) Muzeum książąt Czartoryskich, rękopis nr 360. Rozejm przez króla wówczas projektowany nie przyszedł do skutku z powodu ucieczki starosty zygwulskiego tej samej doby nad ranem, jak to widać z listów starosty leżajskiego do Stadnickiego. Właściwy rozejm i pozorna zgoda nastąpiły dopiero w rok później za »pilnem staraniem y

Pan Stadnicki, wziąwszy wielką szklanicę napełnioną przedniem winem, wymowną oracyą dziękował za zaszczyt, jaki go spotykał, poczem spełniwszy duszkiem roztruchanik, w nadmiarze spływającego na niego splendoru, padł panu do nóg i zawołał:

— Życie i zdrowie dam za waszą królewską mość!

Tak mówił o północy podchmielony trunkiem, upojony łaską pańską i nadzieją zaszczytów, jakich się spodziewał w przyszłości. Nad ranem jednak, gdy trochę oprzytomniał i otrzeźwiał, zawrzała w nim na nowo dawna nienawiść do Opalińskiego i danego królowi słowa nie zdzierżył, aby się zaś uwolnić od formalnej przysięgi, tej samej nocy nad ranem wyjechał, a raczej uciekł z Warszawy.

Dowody na to, że tak, nie zaś inaczej było, mamy w listach, jakie ci dwaj przeciwnicy pisali do siebie. I tak — Łukasz Opaliński pisze między innemi do Stadnickiego: »To największy dziś mój uraz do ciebie, żem rozumiał, ujrzawszy cię przed majestatem króla imci, żeś miał słowu swemu szlacheckiemu uczynić dość, przyjąwszy edykt, stawiwszy się pokornie, pozwoliwszy na kondycye przeproszenia. Przeprosiwszy mnie, nie uczyniłeś dosyć cnocie, bo zdawszy się pod rozsądek zacnych senatorów... *uciekłeś sromotnie*, bo acz ci nie nowina, ale już tu śmiałeś i panem swym i zacnymi ludźmi i pierwszym szlachcica polskiego klejnotem, uczciwem słowem poigrawać, i widzę, że próżno i trudno traktować z tobą, bo w próżnym kramie trudno dostać czego... Jednak zostaje ci co cnoty i wstydu, to staw mi się na dwór pana i króla na dzień 28. marca, niechaj między moją niewinnością, a twoją obłudą Bóg rozsądkiem będzie« i t. d.

---

pracą JWImciów ks. arcybiskupa gnieźnieńskiego, pana wojewody podlaskiego (Jan Zbigniew Ossoliński) i Imci pana Wojnickiego«. Tamto znajdujemy między innemi powyższy punkt ugody. Przypuścić jednak należy, że Opaliński znając zawziętość i upór Stadnickiego warunek zakładu 100.000 czerwonych złotych już przy królu obecnie postawił, w rok zaś później jeszcze raz w punktach ugody powtórzył.

Nie idzie tu o tę bardzo ciekawą sprawę między Opalińskim a Stadnickim, zajęłaby ona zbyt wiele czasu i miejsca — i zanadtobyśmy od właściwego przedmiotu odstąpili — idzie tu głównie o to, jakimi to ludźmi posługiwał się Gabor Batory, aby dopiąć swego celu.

Z tego krótkiego szkicu o Stadnickim, z tych przysiąg przyrzeczonych, ale niedotrzymanych, poznajemy pierwotny charakter dumnego pana, który dla egoistycznych względów i celów gotów wszystko poświęcić, najświętszą rzecz oplwać i podeptać...

A dzieje się to wszystko jeszcze w czasie, gdy król pod Smoleńsk nie wyjechał, cóż się dziać będzie, gdy na daleką Północ na lat dwa się oddali i Królestwo na pastwę takich Herburtów, Stadnickich, Batorych zostawi!?

Sprawy Batorego i jego przyjaciół musiały już w pół roku później bardzo być niebezpieczne, kiedy w styczniu 1610 roku senatorowie, którzy w nieobecności króla, załatwiali za jego wiedzą najważniejsze sprawy i strzegli wewnętrznego bezpieczeństwa Rzplitej, wysłali z Krakowa do panów Stadnickiego i Herburta, opata tynieckiego ks. Stanisława Sułowskiego z tem poleceniem, aby napomniał tak jednego, jak i drugiego, że wdają się w sprawy nie swoje.

W instrukcyi senatorów, datowanej 25. stycznia 1610[1]) r. opat miał polecone, aby p. Stadnickiemu oświadczyć, że *król otrzymał od monarchów, od Ojca św. i cesarza tureckiego przestrogi, »jakoby Gabor Batory, wojewoda siedmiogrodzki* od niektórych *osób* na Królestwo Polskie wokowany być miał«. »Niepłonne to są suspicye, ani omylne konjunktury. Wolność i pokój domowy zagrożone, pewna to bowiem, że Gabor Batory niemałe wojsko jezdnych i pieszych po leżach na zimę rozłożył i teraz go przybiera, pewna także, że posłannikowie (rozumie się Stadnickiego i Herburta) z Polski do Turek i Węgier przejeżdżali się często«.

---

[1]) Muzeum książąt Czartoryskich, rękopis nr 360.

Dalej proszą senatorowie opata, aby pohamował pana Stadnickiego w jego exorbitancyach, on bowiem sabatów węgierskich (hajduków) na żołdzie trzymając, leżajskie starostwo najechał i za jego sprawą »krew się przez przestanku leje«, a dziesięć kościołów spustoszonych w okolicy Leżajska »bydlętom mieszkaniem są, domów szlacheckich nad 70 przez swawolne ludzie wybranych i nikt ani w domu, ani w drodze nie jest bezpieczen«. Proszą go przeto i rozkazują senatorowie, aby sabatów i cudzoziemskich ludzi rozpuścił, w kościołach sprofanowanych, aby nabożeństwo zaprowadzono, za pobrane ochędostwa i aparaty, aby satysfakcyę czynił, i żeby Opalińskiemu żadnego impedimentu nie czynił. W zamian przyrzekają stawiennictwo do króla, »aby mu winy w niepamięć puścił i łaskę mu swoją pokazował«. Resztę co do p. Stadnickiego roztropności i doświadczeniu opata poruczono.

Herburtowi zaś ma opat ostro przypomnieć, mówiąc o Batorym, przysięgę niedawno u grobu św. Stanisława daną królowi, gdy go z więzienia puszczono i skrypt, że ojczyźnie praktykami więcej szkodzić nie miał, pod utraceniem czci i gardła, a przecież posłanniki swe ciągle do Turek i do Batorego wysyła i na wolności koronne godzi.

Już z tej instrukcyi widać, co się działo w Polsce pod nieobecność króla i jak Batory gwałtem dobijał się przez swych stronników polskiej korony.

Nawiasem dodać muszę, że i arcybiskup gnieźnieński ks. Baranowski, jako prymas i zastępca króla, zaraz po owej radzie senatorów w Krakowie, napisał list do Batorego, w którym go napomina, aby się nie dał uwodzić ludziom złej woli i nie godził na polskie prawa i wolność [1]).

Co więcej, sprawa już musiała groźne przybrać rozmiary, kiedy tenże prymas wydaje równocześnie uniwersał [2]) do ry-

[1]) List ten, w języku łacińskim pisany, znajduje się w Muzeum książąt Czartoryskich, rękopis nr 360, w odpisie.

[2]) Tamże.

cerstwa pod niebytność króla na pospolite ruszenie, z powodu niebezpieczeństwa, zagrażającego ze strony Gabryela Batorego, który »będąc od niektórych osób w Polsce zachęcony, aby na dostojeństwo y panowanie Króla Imci y na wolność stanów koronnych nastąpił, licencyi na to u cesarza tureckiego żądał i ludzie tak jezdne jako piesze zbiera y kupi, którymi gwałt Rzplitej uczynić zamyśla«. Arcybiskup ostrzega przeto przed czasem panów i braci, aby gotowymi byli do dania odporu gwałtowi. (Dan 1. stycznia 1610).

Gdy się to dzieje w Polsce, książę tymczasem, rezydując w Tehesvarze prowadzi życie hulaszcze w gronie licznego dworu i gości, a kobiety, jak kwiaty wiosenne zdobią promieniami swych oczu ten korowód świetny, pełen wesołości, śmiechu, wrzawy i blasku. Uczty i łowy na dzikiego zwierza w tehesvarskich lasach — oto najmilsze zabawy księcia.

Trzeba jednak pamiętać, że w tem gronie prócz rozpustnic takich jak Helena Imrefi, pani Dengelegy, Katarzyna Török lub Stefanowa Kendi, najpiękniejsza kobieta Siedmiogrodu, istny posąg Junony bez czucia, były i uczciwe kobiety niezwykłej urody, jak Baltazarowa Kornis, niewiasty wielkiego uroku, które szanując węzły małżeńskie, nie chciały być Batoremu po woli.

Ta ciągła gonitwa za nieuczciwem zdobywaniem serc niewieścich rozsierdziła do tego stopnia uczciwie myślących mężów Siedmiogrodu, że w roku 1610 wybuchł na życie Gabryela spisek, do którego należeli: Stefan Kendi, Baltazar Kornis, Pankracy Senyei, Jerzy Kereszturi, Jerzy Torma, Stefan Basa, Stefan Kovasoczi, Jan Pataki inaczej Borbeli zwany i Piotr Sivasi. Na czele spisku stanęli: kanclerz Stefan Kendi i Baltazar Kornis, których on żony zbezcześcił. Sprzysiężenie odkryto i spiskowcy na okrutną śmierć skazani zostali.

W grudniu 1610 roku zajął Batory podstępem Hermanstadt, którego niemieccy mieszkańcy Sasi, nie chcieli go dotąd uznać panującym księciem, mieszczan powypędzał, archiwum miejskie i wiele domów splondrował, a zagrabiwszy wszystkie

majątki prywatne, magistrat cały wtrącił do więzienia, nieprzyjaznych zaś mężów z miasta wyrzuciwszy, żony ich sobie na własność zatrzymał i dopuszczał się w mieście niesłychanych nadużyć, jak świadczą o tem Topeltinus, Frank, Miko, wyżej cytowany Wolfgang Bethlen i inni współcześni autorowie siedmiogrodzcy.

Gdy mu odważni duchowni robili z tego powodu wyrzuty, oświadczył, że to zemsta za krzywdy Andrzeja Batorego, którego w swoim czasie mieszkańcy Hermanstadtu nie chcieli wpuścić do miasta. Było to mianowicie po bitwie pod Schellenbergiem (27. października 1599 r.), gdzie w ośmiogodzinnej walce zginęło 9.000 żołnierzy, a kardynał pobity przez wołoskiego hospodara Michała Mańkuta, nie wpuszczony do miasta, musiał konno uciekać i między wioskami Szent-Damokos a Szent-Tamas został przez Błażeja Ördöga zamordowany.

Zostawiwszy w Hermanstadzie załogę, Gabor Batory przeszedł wąwozem törstwareńskim Karpaty i szczęśliwie zdobywa Wołoszczyznę, hospodara zaś Raduła z Tergowisty wypędziwszy, zmusza do ucieczki i równocześnie myśli o pozyskaniu Mołdawii, osadzonej przez Polaków, opiekunów młodocianego Konstantego Mohiły.

Wypędzony i tronu pozbawiony Raduł, zebrawszy wojska w Polsce i Wołoszy, postanawia się zemścić. Wchodzi w tym celu w tajemne układy z sędzią kronsztadzkim Michałem Weissem przeciw Gaborowi. Mieszczanie kronstadzcy pomni krzywd wyrządzonych Niemcom hermansztadzkim, przyłączają się do tego spisku.

Gabryel zbiera wojska i wyrusza w pole, w walnej bitwie zostaje pod Kronstadem pobity, traci Kronstad i Petrimont i zmuszony jest uchodzić do Hermanstadu, skąd co prędzej wysyła Bethlena Gabora do Turcyi z prośbą o pomoc.

Skoro cesarza Macieja II doszła wieść o klęsce pod Kronstadem, wysłał on przeciw Gaborowi z wojskiem Zygmunta Forgacza, komendanta załogi koszyckiej. Wojska Forgacza

wynosiły 15.000, Raduła 12.000. Obaj połączyli się pod Hermanstadt.

Tymczasem Gabor, dowiedziawszy się, że przez Żelazną Bramę zdąża dlań wyjednana pomoc turecka, zachęcony do wytrwania, wezwał do walki nowe zastępy Szeklerów i zmusił Forgacza jak i Raduła do cofnięcia się do Wołoszczyzny.

Forgacz z niemieckiem wojskiem cesarza musiał haniebnie uciekać przez Mołdawię i Polskę do Węgier, a zbiedzonych jego i wygłodzonych żołnierzy w tym odwrocie, wśród bardzo silnych mrozów, chłopi polscy i Tatarzy tłukli i zabijali, jak psów, skąd nawet powstało przysłowie: *Perge domum Forgats, terget tua tergora korbats*, (t. j.: Śpiesz do domu Forgacz, okrywa twoje plecy korbacz (bat).

Zwyciężywszy w ten sposób hospodara wołoskiego, postanowił przełamać opór mieszkańców Kronstadu. Sędzia Michał Weiss widząc jego przewagę, wysłał doń 32 młodzieńców z wojska z warunkami kapitulacyi. Gabor kazał 20 wbić na pal, 11 powiesić, a trzydziesty drugi po strasznych torturach, odesłany został do miasta.

Bunt Kronstadu skończył się w ten sposób, że wszyscy spiskowi, chcąc ocalić życie, zmuszeni byli uchodzić z Siedmiogrodu.

Jak z tej historyi Gabora widać, książę, w którym mieszkał duch dziki, nieposkromiony, nie bacząc na ofiary z krwi i znoju poddanych, prowadzi ciągłe boje, aby się tylko dobić sławy, rozgłosu i kosztem sąsiednich zaborów takiej potęgi, którąby mu pozwoliła osiągnąć ostateczny cel swych marzeń, t. j. polską koronę.

Po tylu okrucieństwach, aby zagłuszyć sumienie, ucztował i bawił się wesoło, ale widmo niewinnych ofiar nie dało mu spokoju. Tę młodą duszę kamieniem przygniatały: przekleństwo, nienawiść ludzka i wyrzuty sumienia. Ani orgie dzikie, ani piękne kobiety, ni szumiące puhary najlepszego tokaju nie dawały mu zapomnienia, na każdym kroku czuł, że łzy

ludzkie i przekleństwo mścić się na nim muszą i zdjęła go szalona chęć ucieczki, bodaj na skraj świata.

Tak chętnie rozpocząłby nowe życie, w innem otoczeniu, lecz nie za cenę berła i korony. Gdyby tak inne królestwo, inni poddani!!

Z takiemi to myślami musiał się nosić wówczas, gdy jeszcze na dwa lata przed opowiedzianymi tu siedmiogrodzkimi wypadkami usiłował przez sojuszników swoich wprost jawnym buntem dobijać się polskiej korony.

Pojechał wówczas tajemnie do Ecsedu, skąd tem pilniej porozumiewać się musiał z Herburtem i Stadnickim. I kto wie, jakby się skończyły te konszachty i listowne narady, gdyby najśmielszy sojusznik jego sprawy, nieustraszony Dyabeł Stadnicki nie był zginął w formalnej bitwie z Opalińskim w Tarnawie pod Chyrowem z końcem sierpnia 1610 roku [1]).

Stadnicki, przeczuwając walną rozprawę z Opalińskim i z licznemi wojskami księżny Ostrogskiej, prosił Batorego o większą, niż zwyczajnie pomoc i kto wie, coby się stało, gdyby ten sukurs o kilkadziesiąt godzin wcześniej przybył.

Że tak było, a nie inaczej, na to dowody mamy w liście zarządcy dóbr Skolego Jana Jakubowskiego, który 3. września 1610 roku pisze do pana swego, księcia Janusza Ostrogskiego, co następuje:

»Jaśnie Oświecony Miłościwy Książę,
Panie Mój Miłościwy!« [2])

O nieszczęsnym przypadku sam naszym W. X. Mci oznajmię, który nas potkał *od Węgrów, którzy się byli zebrali do Łancuckiego, przeszli* Bieszczad 29. Augusti i na Samborszczyznę udali ku Samborowi i Drohobyczy.

Było ich dziewięć chorągwi jezdnych i piechoty, pocześni między nimi. Wyłupiwszy wsi kilka koło Sambora i Drohobyczy, nocą skradli się nad Synowódzko wyżej mila od Sko-

[1]) »Dyabeł Stadnicki«. August Sokołowski. »Ateneum«, 1883.
[2]) Biblioteka Jagiellońska, rękopis nr 3729/2.

lego, tak, że o nich żywa dusza nie wiedziała. Na świtaniu uderzyli na Synowódzko, tam nabrawszy, wyłupiwszy *insperate,* przez wieści do Skolego wpadli i zaraz wszystką mocą na dwór się rzucili y wszytko od mała do wiela W. X. Mci jako y ubóstwo moje zabrali, t. j. sukien postawów 102, pieniędzy czynszowych y barwianych (?), którem już był wyprawował z p. Wodniańskim tego właśnie dnia, tylko mieli zaprządz, kiedy nas ci zdrajce najechali, półdwanasta sta złotych, a nie mogąc i nie mając z kim odporu im dać, z gardły ledwieśmy do lasu pouchodzili, w samych tylko koszulach, gdzie y Szolemberka nieboszczyka w pogoni zabili, czeladzi mojej niemało posiekali y pisarza p. Wodniańskiego obcięli, dwór tylko sam goły zostawili, piece, błony, stoły, ławy posiekli, prawie nieoszacowaną szkodę w samym dworze uczynili, bośmy się ich od Bieszczadu y granicy samborskiej strzegli, a stąd którędy przyszli y podobieństwa nie było, bo bardzo ciasnemi miejscy y górzystemi do Sinowódzka wpadli. Pewnej sprawy jeszcze W. X. Mci nie mogę dać, co za szkody w górach poczynili, bo się jeszcze poddani z lasów nie poschodzili... Wyłupiwszy dwór nocą Beszczad przeszli« i t. d.

Z daty przejścia Bieszczadu przez tak liczne siły węgierskie (29. sierpnia) widać, że te wojska posiłkowe, zbyt może rabunkiem w drodze zajęte, spóźniły się o jakie 24 godzin z daniem pomocy Stadnickiemu i dowiedziawszy się w drodze o klęsce i śmierci jego pod Chyrowem (28. sierpnia), ograniczyły się na złupieniu kilku wsi w okolicach Skolego i Sambora — i z drogi co prędzej do Węgier wróciły.

Po śmierci Stadnickiego Gabor Batory nie zaniechał myśli pozyskania tronu polskiego, ale już nie przez rokoszan, lecz przez podbicie Wołoszczyzny i Mołdawii.

Pierwszą już podbił i zdołał utrzymać się przy tytule hospodara wołoskiego. Teraz chodziło o zajęcie Mołdawii i o wypędzenie stamtąd Polaków, którzy na tronie mołdawskim usiłowali utrzymać młodego Mohiłę. Wszelkie jednak zabiegi Potockich rozwiały się, wezyr bowiem popierał niejakiego Tomżę,

który się mienił synem jednego z wojewodów mołdawskich, a w rzeczy samej był tylko prostym węgierskim żołnierzem.

Batory, jako przeciwnik Mohiły i Potockich, ujmuje się za sprawą Tomży, już bowiem przez samo wyparcie polskiego wojska z Mołdawii zyskiwał bardzo wiele.

Tymczasem Rzeczpospolita daremnie się domaga u Porty przez swych posłów Targońskiego i Kochanowskiego usunięcia Tomży od tronu, a Stefan Potocki daremnie usiłuje mocą polskiego oręża osadzić Konstantego Mohiłę na hospodarstwie.

Znamy epilog tej sprawy, wiemy, że te zabiegi Potockiego skończyły się klęską polskiej husaryi pod Sasowym Rogiem i upadkiem Mohiłów. Wówczas to Batory tem silniej popiera Tomżę, więcej myśląc o własnej korzyści, niż o nim.

I kto wie, dokądby Gabor doprowadził w swych planach, gdyby się nie przebrała miara jego nadużyć. Między innymi wystąpił on także przeciw Gabryelowi Bethlenowi i godził na życie tego, który go na tron siedmiogrodzki wprowadził. Nienawiść ich pochodziła stąd, że Bethlen, jako prawy i uczciwy człowiek, starał się nieraz w przyjacielski sposób sprowadzić księcia na dobrą drogę. I tak n. p. raz dał książę wspaniały bal w sali magistratu hermanstadzkiego. Na zabawę zaproszono tak z magnateryi, jak z mieszczaństwa najpiękniejsze kobiety Siedmiogrodu. Przyjaciele Batorego, tacy jak Imrefi i inni, polecone mieli, że na dany znak po północy, gdy zabawa będzie w pełnym toku, światła w komnacie królewskiej mają być zgaszone, przedtem zaś najpiękniejsze z niewiast mają być w podstępny sposób do komnat królewskich zwabione. Dowiedział się o tem Bethlen Gabor i postanowił nie dopuścić, aby żony i córki zacnych obywateli miały być zhańbione.

Gdy książę już miał dać znak do zgaszenia świateł, przystąpił do niego Bethlen i ostremi słowy skarciwszy jego zamiary, niecnej sprawie przeszkodził. Od tego czasu Batory czekał tylko sposobnej chwili, aby się na nim zemścić. Ale Bethlen, przestrzeżony na czas przez kochankę Batorego Katarzynę Török, że książę godzi na jego życie, uciekł do Turcyi,

a opowiedziawszy sułtanowi Achmetowi o wszystkich sprawkach młodego rozpustnika, wyjednał u Porty detronizacyę księcia.

Wówczas Batory udaje się do cesarza Macieja i traktuje z nim przez posłów, prosząc o przymierze i opiekę (1. maja 1613 roku). Nie może jednak utrzymać się przy Księstwie, stany bowiem Siedmiogrodu dla złych obyczajów, okrucieństw i niedbałego zarządu opuszczają go. Ucieka przeto do Waradyna na Węgrzech, oczekując tam pomocy od cesarza i gotując wojska przeciw Turkom i Bethlenowi. Tam, złapany podczas przejażdżki za mury twierdzy przez dwóch ze szlachty, którym żony niegdyś przemocą uwiódł (Jan Szilassy i Jerzy Nadanyi), został zamordowany.

Ciało przewieziono do dziedzicznej rezydencyi w Ecsedzie, gdzie je w tymczasowym grobie złożono.

W ten sposób zginął w 26. roku życia ostatni z Batorych w linii męskiej, a z nim do grobu poszły urojone plany, tajne knowania i pretensye do tronu polskiego.

Następcą jego na tronie siedmiogrodzkim, mianowany przez Turcyę Bethlen Gabor, i on to w piętnaście lat później (1628 r.) w uroczysty sposób pochował zwłoki swego poprzednika w Bator, we wspaniałym sarkofagu [1]).

Z życia i działalności tego burzliwego księcia widzimy, że był to srogi despota, lekceważący rany zadawane poddanym, a ta samowola jego utorowała mu drogę do upadku i wielkiem szczęściem nazwać musimy, że taki pretendent nie dostał się na tron polski.

---

[1]) Mowę pogrzebową miał Piotr Alvintzi *ecclesiastes Varadensis*, potem *Cassoviensis*. — (J. Benko).

Czytelnia Włościańska w Bierzanowie.

Pojedynek Tarły.

Szkic historyczno-obyczajowy z XVIII wieku.

Pojedynek Adama Tarły z Kazimierzem Poniatowskim zaprzątał umysły wielu autorów. Sprawa ta nie dała i mnie spokoju, póki na podstawie dokumentów trybunału lubelskiego z 1745 r. (Rkp. Muz. XX. Czart. n-ra 1954, 586 p. 213, 583 p. 223.) tudzież na podstawie współczesnych korespondencyi i tego, co dotąd o tem napisano [1]), nie zdołałem sobie wyrobić jasnego obrazu o tajemniczym wypadku, który zaważył na szali losów znakomitych u nas rodzin i żywo odzwierciedla historyę Rzplitej z pierwszej połowy XVIII stulecia.

Adam Tarło »pan wielkiego serca, piękny, hojny i popularysta wielki« — jak pisze Matuszewicz — syn Stanisława kuchmistrza kor. i Anny Tarłówny, starościanki goszczyńskiej (urodzony r. 1713) otrzymał bardzo wykwintne wychowanie. W młodym już wieku cieszył się między szlachtą tak wielką miłością i poważaniem, że nie było urzędu ani dygnitarstwa, któremby go zaufanie pp. braci nie obdarzyło.

[1]) Pamiętn. X. Kitowicza wyd. Raczyńskiego. Bartoszewicz Jul.: Znak. męż. pol. w XVIII w. tom III. Pojedynek A. Tarły z K. Poniat. (w 1744). Bibl. warsz. 1864 I. (To samo »Czas« z 3. kwietnia 1864). Pam. Marc. Matuszewicza t. I. — Pamięt. histor. L. Huberta tom II. — Listy X. St. Konarskiego do wojewody Sandomirskiego. (Przew. nauk. lit. z 1883 wedł. rkp. bibl. Jagiel.) wyd. Biegeleisen.

Ledwo szkoły ukończył — już go widzimy dyrektorem Koła rycerskiego w Radomiu, potem deputatem, dalej posłem na sejm, marszałkiem konfederacyi antielekcyjnej w województwie lubelskiem, a potem marszałkiem jeneralnej konfederacyi dzikowskiej, etc.

Na tle współczesnych wypadków dziejowych jako przywódca drobnej szlachty trzyma on na wodzy zapędy Familii i dumnych Potockich i odgrywa nader wybitną rolę polityczną.

Ze śmiercią Augusta II odetchnął naród polski na chwilę pełniejszą piersią, wielkie nadzieje pokładając w nowo wybranym królu Stanisławie Leszczyńskim (25. września 1733), który prócz niepospolitych zalet serca i umysłu, jako teść Ludwika XV, miał zapewnione poparcie mocarstw zagranicznych. Nadzieje te wnet zachwiane szybkiem działaniem partyi przeciwnej i wkroczeniem do Polski wojsk sąsiednich. Stanisław zagrożony musi uciekać z Warszawy do Gdańska, a August III pod osłoną bagnetów kilku tysięcy Sasów, wybrany królem koronuje się w Krakowie 17. stycznia 1734 r.

Liczna partya Leszczyńskiego (przeszło 100.000 szlachty przysięgało mu na wierność) nie daje jednak za wygraną i tworzy po prowincyi konfederacye w celu utrzymania Piasta na tronie.

Na czele jednej ze znaczniejszych konfederacyi zawiązanej w Nisku w sandomierskiem, 20-letni Tarło staje jako zastępca marszałka, obdarowany już wówczas mimo młodego wieku licznemi dygnitarstwami i intratnemi starostwami [1]). — Kieruje on w tym czasie wraz ze stryjem swoim Janem wojewodą sandomierskim poruszeniami wojennemi tejże konfederacyi i podczas gdy wojewoda sandomierski na czele 10-tysięcznej armii śpieszy pod Gdańsk na odsiecz oblężonemu Leszczyńskiemu, Adam zebrawszy w jasielskiem półtora ty-

[1]) Miał już wówczas starostwo jasielskie, drohobyckie, zwoleńskie, złotoryjskie i dolińskie.

siąca górali, usiłuje odebrać Sasom Kraków. Nie udaje mu się to mimo zwycięskiej bitwy pod Gulczą (niedaleko Miechowa) — podobnie jak i usiłowania jego stryja nie odnoszą należytego skutku z powodu zwlekania floty francuskiej, której przybycia pod Gdańskiem daremnie oczekiwano.

Przyrzeczona pomoc francuska była tylko łudzeniem panów polskich, pókiby sprawy Leszczyńskiego nie załatwiono na drodze układów honorowych. To też król Stanisław zmuszony z końcem czerwca uciekać z Gdańska do Królewca, a sprawę jego paraliżuje brak przewodnika i jedności w działaniu. (Pamięt. hist. L. Huberta T. II).

Daremnie połączona szlachta litewska i koronna dla obrony praw Leszczyńskiego zlewa się w jedno pod nazwą generalnej konfederacyi dzikowskiej (5. listopada 1734) obwołując marszałkiem Adama Tarłę. — August III mimo przeszkód przybywa do Warszawy, a wielu sprzymierzeńców Leszczyńskiego zwątpiwszy o pomyślnym wyniku sprawy łączy się z Sasem.

Wówczas to Tarłowie, jak i wielu innych panów, między tymi wojewoda mazowiecki Stanisław Poniatowski, zwątpiwszy o pomocy Francyi, przystępują do ugody projektowanej przez biskupa krakowskiego z dworem warszawskim i z stronników Leszczyńskiego zostają szczerymi przyjaciółmi Augusta.

Odtąd sprawy Sasa wartkim toczą się biegiem, a nadzieje Leszczyńskiego spełzają na niczem z jego abdykacyą w styczniu 1736 r.

»Konfederaci w układach z Augustem III zastrzegają sobie, aby ich marszałek Adam Tarło zyskał nietylko łaskę królewską, ale aby z powodu klęsk i strat poniesionych, otrzymał pierwszy korzystny awans, jaki się otworzy« [1]).

To też p. Adam przybywszy do Warszawy zyskuje nietylko przebaczenie, ale i łaskę królewską.

---

[1]) Pam. hist, L. Huberta.

August III wiedząc o jego wpływie na całe tłumy drobnej szlachty i nie życząc sobie może zbytniej przewagi Czartoryskich, a przytem miarkując, »że *multa fecit iuvenis primoque in flore...*« (wiele dokonał młodzieniec w pierwszym rozkwicie życia)[1]), posunął na opróżnione przez śmierć Jerzego Lubomirskiego (1736) województwo sandomirskie Jana Tarłę, wojewodą zaś lubelskim w miejsce tego ostatniego mianował p. Adama[2]).

Ale te zaszczyty wnet stały się przyczyną zawiści jego nieprzyjaciół, »on zaś do takiego przyszedł kredytu i u wojska (jako regimentarz) i u Rzplitej, że inni i całe życie nań pracują, a zarobić go sobie nie potrafią«.

Źródłami, z których dalsze szczegóły do życia i sprawy Tarły w tem studyum czerpałem, są dokumenta sądowe trybunału lubelskiego z r. 1745 i zeznania świadków w procesie, gdy po tragicznej śmierci A. Tarły rodzina jego (kasztelan Lubaczowski pozostały brat i »boleściwa« matka kuchmistrzowa kor. wdowa) wytoczyli sprawę Czartoryskim i Poniatowskim — o zabójstwo.

Nim jednak do właściwej sprawy przystąpimy, przypatrzmy się bliżej stosunkom dworskim i stronnictwom, które wybitną rolę w tych czasach odgrywają.

August III, nieprzystępny dla nikogo, chyba dla zaufańców — spędza czas na paleniu fajki i popijaniu piwa lub na strzelaniu po całych dniach do psów z okna. Sybaryta, smakosz — żyje wzorowo z żoną (Maryą Józefą) — lubuje się w przepychu królewskim, formach i obrzędach dworskich. Po polsku nie mówi ani słowa i stąd w częstej jest kolizyi przy załatwianiu spraw państwowych. Nie wiele go to zresztą obchodzi, wszystkie bowiem sprawy załatwia Brühl, jego wszechwładny minister saski. Polaków król nienawidzi, w Polsce też mało przebywa i zjeżdża tu jedynie na sejmy lub na rady senatu do Wschowy, poczem wraca do ulubionej Saksonii.

---

[1]) Rkp. Muz. Czart. nr 1954. [2]) Sigillaty ks. 25, fol. 30.

Powtarza się to przez cały szereg dwudziestu trzech lat, dopiero podczas siedmioletniej wojny, gdy mu Fryderyk II zajął Saksonię, mieszka August przymusowo nieprzerwanie w Polsce.

Pierwszy saski minister Brühl »ma po sobie ucho królewskie« i rządzi samowładnie tak w Saksonii, jak w Polsce.

Ponieważ król, ani jego minister nie mają wyobrażenia o sprawach i ustawach polskich, utworzono w samem Dreznie przy boku króla radę przyboczną, złożoną z Polaków, która wskazuje, co robić wypada. Do rady tej pchają się spekulanci, goniący za tytułami i intratnemi starostwami. Wielu, nie mogąc się u Brühla docisnąć do owej rady, przechodzi do najzaciętszej opozycyi.

Ogólna przedajność, demoralizacya, zbytki, rozpusty, biesiady i wyuzdane hulanki — oto obraz rozpasanej stołecznej szlachty z tych nieszczęsnych czasów.

Wśród takich okoliczności Rzplta narażona jest na liczne upokorzenia ze strony sąsiadów. Tatarzy wpadają na Ukrainę i Podole, król pruski werbuje rekrutów, jak w kraju własnym.

Wpływ wybitny na rządy Rzplitej wywierają dwa stronnictwa; jedno republikańskie [1]), pragnące utrzymać Rzplitę z jej urządzeniami, — drugie Familii (ks. Czartoryscy z Poniatowskimi) zamierzające znieść bezrząd przez utworzenie silnej władzy na podstawie konstytucyjnej monarchii dziedzicznej.

Czartoryscy (August wojewoda ruski jenerał Gwardyi kor. i brat jego Fryderyk Michał podkanclerzy litewski, tudzież Stan. Poniatowski ożeniony z ich siostrą Konstancyą) czyli t. zw. Familia są duszą tego ostatniego stronnictwa, a złączywszy się z dworem wspierają najusilniej króla i Brühla, mając zaś możność szafowania łaskami królewskiemi, a więc królewszczyznami i starostwami, grupują wkoło siebie liczną klientelę szlachecką i paraliżują kroki partyi przeciwnej.

[1]) Nie można go nazwać „dworskiem«, gdyż z początku złączone z Dworem, obecnie do silnej przeszło opozycyi.

Tą ostatnią kieruje przedewszystkiem Adam Tarło, który ciesząc się ogromną popularnością między szlachtą, trzyma na wodzy zapędy dumnych magnatów, a przedewszystkiem Familii.

Ogólną niechęć do Sasów wyzyskują Potoccy, najwięcej Józef, wojewoda kijowski.

Ten możny pan zawiedziony w ambitnych rachubach, gdy go król zbył buławą, a wszechrządy oddał Brühlowi, rzucił się do opozycyi i utworzył silne stronnictwo, nie wahające się z pomocą generalnej konfederacyi utorować na nowo drogę do tronu Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Tarło, gorliwy zawsze stronnik Leszczyńskiego, odgrywa na tle tych stosunków wybitną rolę. On to zniósłszy się z Potockimi, paraliżuje na każdym kroku przeważający wpływ Familii, czy to w trybunale radomskim, czy na reasumpcyi trybunału piotrkowskiego, na sejmach i na sejmikach, a nawet nie waha się dyskredytować Czartoryskich i Brühla przed królem, oskarżając ich listownie, że Polaków nieprzychylnych Familii podają niesprawiedliwie w nienawiść. Brühl, przez którego ręce poczta do Drezna przechodzi, zapytuje Poniatowskiego wojewody mazowieckiego, czy ten list ma oddać królowi. Poniatowski radzi, aby oddał, gorzejby się bowiem król zgniewał, gdyby się dowiedział o przejęciu i zatajeniu listu [1]).

Mimo tej różnicy przekonań i politycznych niechęci stosunki towarzyskie między Familią a p. Adamem, przynajmniej pozornie, są jak najlepsze, w swoim czasie nawet bardzo zażyłe i poufałe. Pamiętać należy, że Tarło jest blizko z Czartoryskimi skoligacony i w domu wojewodziny mazowieckiej jak i kasztelanowej wileńskiej (podkanclerzyny) gościem codziennym. — Tam wszystkie swoje komunikował konsylia, tam zbierał rady, a często także *sub specie boni* (pod pretekstem życzliwości) dawane akceptował« [2]).

---

[1]) Pamięt. M. Matuszewicza tom I.

[2]) Rkp. Muz. Czart. n. 1954.

Wiedzieli dobrze Czartoryscy, jak niebezpiecznym dla nich wśród burzliwej szlachty prowincyonalnej jest cieszący się popularnością i ogólną sympatyą wojewoda lubelski i starali się wszelkimi sposobami usunąć go z widowni życia publicznego.

Wciągnęli go przeto w wir zabaw w stolicy, a dzielnie im w tem dopomagać miały białogłowy: przemądra wojewodzina mazowiecka Konstancya Poniatowska i urodziwa księżna Fryderykowa Czartoryska, z domu Walstein. Przez wpływy swoje u dworu wyjednały mu te panie »rezydencyę w Warszawie i 6.000 talarów pensyi, a wszystko tylko po to, aby go dyskredytować u braci i w wojsku« [1]).

Po kilku latach obozowych niewczasów i wrzasków hałaśliwej szlachty na trybunałach i konfederacyjnych sejmikach, znalazł się nagle młody p. Adam w wesołem środowisku salonów warszawskich.

Nowe życie pełne wrzawy, uciech i towarzyskich rozrywek, balów, »kompanii«, »ensemblów« — w otoczeniu pięknych kobiet, w wykwintnej atmosferze francuszczyzny, peruk i aksamitnych fraków odkryło przed nim świat dotąd nieznany.

Miał on dla niego urok tem większy, że młody wojewoda nie zaznał wcale szczęścia w rodzinnem pożyciu.

Pamiętajmy, że po otrzymaniu województwa lubelskiego, zdobył się na krok nieszczęsny, który zaważył na szali losów jego życia. Oto wnet po sejmie pacyfikacyjnym wojewoda sandomierski Jan Tarło, widząc, że p. Adam w konfederacyi dzikowskiej dobrze nadszarpał fortuny, ożenił go ze swą siostrą stryjeczną Dorotą Tarłówną, podeszłą już wdową po hetmanie pol. Stanisławie Chomentowskim.

Kobieta blizko dwa razy starsza od niego, posiadała bogate po nieboszczyku starostwa i ogromne kapitały, dochodami więc jej mógł wojewoda lubelski dobra swoje oczyścić, ale nieodpowiedni związek nie zaspokoił namiętnych pragnień

[1]) Tamże.

24-letniego młodzieńca i stał się przyczyną przyszłych nieszczęść a w końcu zguby [1]).

To też nie dziw, że p. Adam szuka ukojenia zbolałej duszy w wesołem życiu i w częstych podróżach za granicę.

Spotykamy go w tym czasie dwa razy na dworach królewskich w Lunevillu i w Wersalu, dokąd jeździ, aby się upomnieć u króla Stanisława i Ludwika XV o zwrot fortun i strat pieniężnych szlachty w czasie konfederacyi poniesionych. Uczynił to »uwiedziony perswazyami Czartoryskich« i wbrew woli wojewody sandomierskiego i Leszczyńskiego, który mu radził listownie, aby tę podróż odłożył na później, przyczem odsyłał go ciągle z pretensyami do dworu paryskiego i karmił nadzieją lepszych czasów, wiedząc, jak trudno na razie u zadłużonego Ludwika XV wyjednać jakikolwiek zasiłek.

Pierwszą taką podróż do Paryża odbył równocześnie lub nawet razem z wojewodą mazowieckim, w mowie bowiem wstępnej oskarżyciela poprzedzającej zeznania świadków stron obu przed trybunałem czytamy [2]): »Jak był dystyngwowany (Tarło) u dworu, najlepiej wie o tem p. wojewoda mazowiecki, na ten czas *in legatione* od dworu naszego u dworu francuskiego będący, a jeżeli Najjaś. królowa Jejmość francuska mówiła p. wojewodzie mazowieckiemu, aby go zalecił naszemu dworowi, nie dlatego to czyniła, aby był *pensionarius* (jak już wiemy pensyę tę w rok później otrzymał), bo mu i u dworu swego mogła wyrobić pensyę, ale żeby większy ku niemu jako do siebie należącemu pokazała afekt«.

»A jako *parvae occasiones* (błahe okazye) nieraz są powodami ważnych rzeczy — tak i to wiemy, że stamtąd (zagranicą) pierwsze wszczęły się nienawiści między wojewodą lubelskim a wojewodą mazowieckim«.

Tu w dalszym ciągu czytamy, że królowa Stanisławowa odstąpiła wojewodzie lubelskiemu dobra Czarnokowszczyznę,

---

[1]) Rkp. Muz. Czart. nr 1954. [2]) Tamże.

które do niej prawem dziedzictwa należały. Dobra te jednak »nie wiemy *per quas revolutiones*« dostały się wojewodzie mazowieckiemu.

I oto jeden z powodów do cichych nieporozumień między Poniatowskim a wojewodą lubelskim.

Powróciwszy do Warszawy urządza p. Adam swoje interesa majątkowe. Zaspakaja ks. Augusta Czartoryskiego z sum rewersowych, od p. J. Potkańskiego łowczego sandomierskiego odbiera klucz Baranowski skwitowawszy go z wszelkich pretensyj. Zdaje się, że były to długi w czasie konfederacyi dzikowskiej zaciągnięte i po niefortunnej wyprawie na dwór wersalski spłacone z fortuny żony.

Póki wojewoda siedział w Warszawie i za granicą, nie wiedział, co się dzieje na prowincyi. Wtem powołano go jako delegata na trybunał skarbowy do Radomia. Tam wybrany marszałkiem, »gdy zaczął żyć ze szlachtą, zdziwił się bardzo, że wojsko mu zarzucało, jakoby Polaków i wojska nie lubił, jakoby obyczajami polskimi gardził i był więcej przywiązany Dworowi, niżeli interesom publicznym etc.«

Zdziwiony pyta szlachty, »skąd się to na niego wzięło i dochodzi, że to od książąt i wojewody mazowieckiego pochodziło«.

»Ale to wszystko byłoby go nie oderwało od ostatecznego przywiązania ku Czartoryskim, gdyby nie był u dworu dyskredytowany« i oskarżony, jakoby myślał o nowej konfederacyi.

Ponieważ nikt nie był w tak blizkiej styczności z dworem, jak wojewoda mazowiecki, domyślił się tedy Tarło, że nie kto inny jest sprawcą tych oskarżeń, tylko Poniatowscy i odtąd »począł się wystrzegać podufalszej w tej prześwietnej familii kompanii« [1]).

»Jurysdykcya lubelska« — według mowy oskarżyciela — »dała także powód do większych dyffidencyi między Stanisła-

[1]) Rkp. Muz. Czart. nr 1954.

wem Poniatowskim jako starostą lubelskim, a p. Adamem jako wojewodą lubelskim. Oto starosta uzurpował sobie jurysdykcyę nad żydami i kahałem, mimo iż ten ostatni zależny był od wojewody. Stąd często przychodziło do sporów między burgrabią, a »Imci podwojewodzim«, zamiast jednak dania jakiejkolwiek satysfakcyi — »wojewoda mazowiecki zawsze był *renitens* i owszem wybudowanym na Podwalu [1]) żydom nie kazał kahałowych słuchać dyspozycyj«.

Ustąpił wprawdzie wojewoda mazowiecki starostwa lubelskiego synowi, podkomorzemu kor. Kazimierzowi, ale tylko po to, aby przez niego działał nieprzyjaźnie i miejsce dalszym zostawił kłótniom.

Do dalszych nieporozumień dały powód następujące okoliczności:

Tarło, jak wspomniano, wybrany został marszałkiem trybunału radomskiego. Na tym trybunale rozpatrywano i sądzono sprawę miasta Warszawy, które ks. Aug. Czartoryskiego wojewodę ruskiego, jako komendanta gwardyi koronnej oskarżało, że zmuszone było przez niego do zmieniania co 5 dni 70 czerw. złotych, na czem kupcy tamtejsi ponosili znaczne szkody.

Prócz tego skarżyło się miasto o inne jeszcze przykrości jak, że tenże regiment krzywdzi rzemieślników płacąc bardzo mało za mundury, że browar w koszarach dla własnej intraty trzyma, a komendant zmusza żołnierzy do kupowania w nim napojów. Wszystko to było przeciwne prawom księstwa mazowieckiego, dekretom sejmowym, assesorskim i trybunalskim.

Trybunał uwzględniając prawo »skasował browar i żyda« (Rapa, któremu kazano nawet wieżę odsiedzieć pół roku), co do zmiany zaś pieniędzy gwardya 700 grzywien miastu odliczyć musiała, »ponieważ zaś znalazł się układ pana Grzegorzewskiego, dawniejszego komendanta tegoż regimentu

[1]) Przedmieście Lublina.

z miastem, że po 30 czerw. złotych zmieniać obowiązuje się tęż samą liczbę trybunał konserwuje, wymuszonej zaś kwoty zakazuje« [1]).

Mimo, iż dekretu tego nie wyrobił sam Tarło, »bo tylko jednę dał jako i inni komisarze kreskę podczas głosowania« — ks. A. Czartoryski srodze był urażony, że pod laską wojewody lubelskiego dekret taki wypadł i nietylko, że tego dekretu nie słuchał, ale jeszcze większe niż dawniej kazał czynić eksekucye.

Sprawa, jak wiemy, z trybunału radomskiego przeszła do sądów asesorskich, które wydały taki dekret, jak i w Radomiu.

Tarło czując się w godności swej pokrzywdzony przez Familię, rozpisuje listy na sejmiki żaląc się »*de postpositione legum et convulsione decretum*«. — »Idzie tu — pisze on — o utrzymanie mocy i powagi dekretów trybunalskich. Ja zaś jako partykularnie zasiadający w tym trybunale, jako szlachcic i senator na sejmikach, trybunałach, radach i sejmach z wielu innymi o sąd i przykładną karę prosić będę« [2]). Przyczem braterskiemu oddawa się sercu z należną każdemu pisząc się rewerencyą — »krew i życie na usługi ich konsekrując«.

W ciągu tych nieporozumień z Familią, w interesie swych pretensyj był po raz drugi w Lunevillu. Król Stanisław przyjął go bardzo gościnnie i łaskawie, ale z pretensyami odesłał do Paryża. Tu rozpoczyna pan Adam nowe życie na dworze Luwru i Wersalu. Młody, przystojny, otoczony urokiem sławy, pełen pańskich manier i elegancyi, wojewoda lubelski bardzo się podobał [3]). Królowa Katarzyna (Leszczyń-

---

[1]) List A. Tarły do województw, ziem i powiatów na sejmiki gospodar. 9. września 1743, rkp. Muz. Czart. nr 590, str. 93.

[2]) Tamże.

[3]) Bardzo ciekawy i może jedyny jego portret naturalnej wielkości widziałem w Bursztynie w pałacu ks. St. Jabłonowskiego. Jest to spuścizna zdaje się po Potockich. Portret przedstawia bruneta o postawie rycerskiej; twarz o rysach energicznych, ostro i wyraźnie zakrojonych.

ska) ciągle z nim koresponduje, nazywając go w listach »*mon cher neveu*«.

Mimo ponęt wielkiej stolicy nie zapomniał wojewoda o zaufaniu i popularności między szlachtą, i śmiało a zręcznie zabiega u dworu i kardynała Fleury'ego o pieniądze. Równocześnie stara się dla siebie o order. Ale odmówiono i wstęgi i pieniędzy. Orderu *(cordon bleu)* dać nie mogą, bo za młody, książęta krwi mogą tylko mieć prawo do tego zaszczytu w tak młodym wieku, a co się tyczy kilkakrocstotysięcy szkód i wydatków na elekcyę, to Fleury odpowiedział Maryi Leszczyńskiej, że nie może nic uczynić. Radzi mu więc królowa matka, aby odłożył ukończenie interesu na później i prosił o audyencyę pożegnalną u Ludwika XV. (List z 18. czerwca 1738 r.).

Adam usłuchał rady królowej i wrócił do Polski. Tu w następnych latach zrywa i tak już oziębłe stosunki z domami Czartoryskich i Poniatowskich i zawiera ścisłą, zażyłą przyjaźń z domem ks. Teodora Lubomirskiego, wojewody krakowskiego.

Ks. Lubomirski, właściciel wspaniałego pałacu w Ujazdowie tuż pod Warszawą (dawna rezydencya Wazów), prowadził życie wystawne i okazałe. Najwięksi dygnitarze chętnie bywali u poważnego senatora, ale na ucho dziwne historye opowiadano sobie o stosunkach familijnych dostojnego wojewody.

Oto jeszcze przed dwudziestu laty w czasie pobytu w Krakowie zawarł książę tajemny stosunek miłosny z żoną tamtejszego kupca, Elżbietą de Cuming Krystową. Owocem tego

---

Czoło wysokie, poprzecznym marsem schmurzone, oczy czarne pełne siły i wyrazu, nos orli, wąs mały, czarny, starannie podstrzygany. Wierzch głowy nieco łysy (w 30. roku życia!) włos czarny, gęsty, na wierzch wypukłej łysiny zaczesywany. Fizyonomia cała robi wrażenie człowieka rzutkiego, bystrego, o temperamencie sangwinicznym. Ubrany jest w polerowany pancerz, z ramion spada mu biała delia sobolami podbita i takoż bramowana.

związku była córka Anna (ur. 22. sierpnia 1722). W dwa lata później p. Krystowa rozwiodła się z mężem i została ślubną żoną wojewody krakowskiego, mimo jednak, iż pochodziła »z sławnego rodu w Szkocyi« — w magnackich domach Czartoryskich, Potockich, Poniatowskich — »estymowano« ją tylko pozornie i inaczej jej nie nazywano, jak mieszczanką.

Mniejszą jeszcze estymą cieszyła się Anusia Lubomirska, jako przedślubna córka książęcego rodu, którą z przekąsem »panną Cuming« mianowano.

Nieprawe pochodzenie możeby jej jeszcze wybaczono; zresztą — jak zwykle bywa — przy tak ogromnej fortunie jak Lubomirskich — powoli się z tem oswojono, — ale jednego zapomnieć jej nie mogły wszystkie mamy i córy magnackich domów Warszawy.

Oto Anusia była tak urodziwą dziewoją, że pięknością swoją zaćmiewała wszystkie panny stolicy.

Nienawiść i obmowy zwiększyły się, gdy się wieść rozeszła, że wojewoda krakowski nosi się z myślą adoptowania panny Cuming. Adoptacya ta w rzeczy samej przyszła do skutku po sławnej awanturze na balu u Poniatowskich (o czem niżej) i to głównie z namowy wojewody lubelskiego, któremu śliczne dziewczę »wpadło haniebnie w serce«, i której »czyniąc w każdej kompanii pierwsze honory, zawczasu sobie u niej rękę i serce do przyszłego ślubu wysługiwał«. (Kitowicz).

Aktem adoptacyi, zapisanym w starostwie warszawskiem 28. stycznia 1743 r. poleca ją ojciec opiece wybranego syna Gaspara i 300 tysięcy flor. posagu naznacza oprócz ruchomości i wyprawy wartości 100 tysięcy florenów, w dobrach zaś daje jej cały klucz w okolicy Rzeszowa, a mianowicie: Boguchwałę, Zwiączynę, Lutorycz, Niechubrz, Racławówkę, Zabierzów, Kilanówkę, Nossówkę, Zgłobie i Blendowę« [1]).

W interrogatoriach (w pytaniach) i w responsoriach (odpowiedziach) świadków stronę Czartoryskich trzymających,

[1]) Rkp. Muz. Czart. 1745.

znajdujemy, jako jeden z najgłówniejszych powodów nieporozumienia zbytnią »estymacyę« i czołobitność Anusi przez pana Adama oddawaną.

»Wojewoda lubelski po tylu dowodach i zadatkach dobrej przyjaźni zabrawszy znajomość i konfidencyę z córką ks. Lubomirskiej« — zeznają z oburzeniem świadkowie Czartoryskich — »dla jej honoru i respektu starał się, ażeby w Familii i w inszych godnych i publicznych kompaniach miała swoją akceptacyę, i równą z innymi domami dystynkcyę, a gdy tego z wielu słusznych konsyderacyi nie mógł zjednać, ponieważ i ode Dworu się upomniano, aby na publicznych dworskich kompaniach nie bywała, tenże wojewoda urażony o to niesłusznie, szukał różnych sposobów i okazyi do niechęci i zwady, tak z wojewodami mazowieckimi, jak i z całą familią ks. Czartoryskich (odpowiedź na pytanie 4).

Uradzono tedy między sobą, aby go nietylko przez siebie »afrontować«, ale i przez białogłowy swej familii.

Zauważyć wypada, że z całej rodziny Czartoryskich w sporze tym spotkać można wszystkie kobiety, prócz księżnej Augustowej Czartoryskiej, Zofii, Sieniawskiej z domu, tak zawsze sympatycznej dla nas, ostatniej z Brzeżan, wdowy po hetmanie Denhofie, która 2-do voto wyszła za wojewodę ruskiego. Widać, że była to kobieta obdarzona umysłem wyższym i dama wychowana wykwintniej, stojąca o całe niebo nad błędami swojego wieku.

Szukano tylko do nieporozumień okazyi, która wnet się nadarzyła. Oto w rocznicę koronacyi króla (17. stycznia 1743) marszałek w. koronny Bieliński dawał w swoim pałacu w Warszawie wielki bal, na który zaproszono elitę towarzystwa warszawskiego.

Po wspaniałej uczcie i mnogich toastach wojewoda lubelski rozpoczął taniec »ceremonialny« naprzód z panią marszałkową, jako gospodynią domu, potem z księżną wojewodziną krakowską. Taniec ten »kontynuował z wojewodziną ruską (Poniatowską), a następnie »przed księżną podkancle-

rzyną« (Fryderykową Czartoryską z domu Walstein) i innemi »godnemi damami«, wziął w taniec pannę Annę, natenczas Krystę-Cuming [1]), (która dopiero w 11 dni później została przez adoptacyę Lubomirską), po tym zaś tańcu prosił ks. starościnę bolimowską (ks. Lubomirską), która gdy się wymówiła, przyszedł do księżnej podkanclerzyny litewskiej, prosząc ją z sobą w taniec«.

Podkanclerzyna, szukając umyślnie zaczepki, »z ostrością wymówiła się wojewodzie, sfomentowana przez męża i panią wojewodzinę mazowiecką«.

— Podobno z nikim nie tańcujesz W. ks. Mość, więc mogę ją prosić? — zapytał urażony do żywego wojewoda.

— Tańcuję i będę tańcowała, ale nie z waszmość panem! — wybuchnęła lekceważąco podkanclerzyna.

— Chyba z niskim (z nikim!) — wtrącił wojewoda.

— Jeszcze sama nie wiem, aż się namyślę! — dorzuciła podkanclerzyna z udaną obojętnością, zwracając się w rozmowie do tuż obok siedzącej wojewodziny mazowieckiej.

— Byłoby to z moim afrontem, gdybyś waszmość pani miała z kim innym tańcować, mnie odmówiwszy — rzekł, hamując się Tarło i zapytał o przyczynę rekuzy.

— Waszmość pan nie obserwujesz rangi — odpowiedziała »po długich tergiwersyach« podkanclerzyna — i jeszcze raz powtarzam, że po pannie Kryście z waszmość panem tańcować nie będę.

Wówczas to wojewoda lubelski, »wielką cholerą i pasyą zdjęty«, obróciwszy się do kompanii, zawołał:

— Za niepoczciwego mieć będę, kto z księżną podkanclerzyną tańcować będzie i po łbie odemnie weźmie.

Wojewodzina mazowiecka, którą dla jej krewkiego temperamentu powszechnie »gradową chmurą« nazywano, siedząc tuż przy podkanclerzynie, różne w czasie tej sceny gry-

[1]) Kitowicz a za nim Bartoszewicz, Hubert i inni piszą, że scena ta miała miejsce między wojewodzianką mazowiecką a Tarłą.

masy czyniła, »szalonym i wściekłym« nazywając wojewodę. W te pędy po syna Kazimierza, podkomorzego kor. posłała, który gdy przyszedł, przedstawiła mu rzecz całą i rozkazała, aby podkanclerzynę natychmiast w taniec brał, co też podkomorzy *stante pede* chciał uczynić. Wojewoda lubelski, przyskoczywszy, wziął go za rękę i donośnym głosem zawołał:

— Waszmość pan tańcować z księżną nie będziesz!

Podkomorzy na to:

— Jako gospodarz uproszony od p. marszałka wuja mego, winnym będąc dopomagać mu ochoty, tańcować chcę i będę![1])

I tak się te sprawy zamieszały, że po tych słowach porwał Tarło podkomorzego za rękę i pociągnął za sobą, mówiąc po francusku, że się wprzód z nim wybić potrzeba.

Wówczas przytomni goście, jako to jenerał artyleryi kor. (Aug. Czartoryski) i inni »skoczyli do wojewody, hamując go i perswadując, żeby podczas tej ochoty nie zaczynał kłótni, co długo trwało, a podkomorzy, który był wyszedł za wojewodą, wrócił się i tańcował z księżną podkanclerzyną«.

Wzburzony Tarło nie dał się uspokoić. Powrócił do sali i energicznym ruchem pokazał drzwi podkomorzemu na znak, że chce z nim mówić na osobności, poczem wyszedł, a nie mogąc doczekać się przybycia Poniatowskiego, przysłał do niego młodego Lubomirskiego, wojewodzica krakowskiego (Kaspra czyli jak go powszechnie zwano Gaspra, brata Anusi), żeby wychodził za bramę, że go tam czeka. Podkomorzy na to wyzwanie odpowiedział, »że się wszędzie p. wojewodzie jutro stawi, a dzisiaj chce i będzie tańcował, jakoż i tak czynił«.

Nazajutrz[2]) odbył się znany pierwszy z rzędu pojedynek pod Marymontem »po kawalersku« (?). Po pierwszem za-

[1]) Scena cała, jak i dalsze zajścia, przedstawione według zeznania naocznych świadków. (Rkp. Muz. Czart. nr 1954).

[2]) Kitowicz pisze, że w trzy dni później odbył się ów pojedynek pod Piasecznem, a nie pod Marymontem i opisuje go z wielką ujmą dla tchórzliwego podkomorzego.

raz »wystrzeleniu i po pojedynku na szpady przepraszali się, ale p. wojewoda publicznie deklarował nieprzyjaźń swoją całej familii, i ściskając się z podkomorzym powiedział: »Wpana za przyjaciela i kawalera mieć zawsze będę, ale Familii przez całe życie będę nieprzyjacielem — i o to się powtórnie strzelali«.

Zeznania świadków ze strony kuchmistrzowej koronnej, »boleściwej« matki p. Adama i brata jego kasztelana lubaczowskiego są podobne do poprzednich z tą różnicą, że słowa Tarły podane są eufemicznie i w przesadnie wykwintnej formie tudzież z tą uwagą, że »kiedy się ta rzecz u p. marszałka, a wuja Poniatowskiego działa, łatwo było w domu wuja i gościowi wybaczyć i to sobie wyperswadować, że ponieważ matka z córką (wojewodzina krakowska z Anusią) zaproszone były i w tak godnej kompanii znajdowały się, toć i je obserwować potrzeba było«.

Inaczej rzecz się ma z pojedynkiem. Kitowicz, Bartoszewicz i Hubert przedstawiają rzecz w ten sposób, że podkomorzy drżał na koniu, a Tarło, chcąc go nauczyć rozumu, ubił pod nim rumaka. Podkomorzy, padając na ziemię, miał zawołać: — Kocham pana wojewodę! — z czego ogólny śmiech wśród tłumów, sprzyjających wojewodzie lubelskiemu. O powtórnem strzelaniu i pojedynku na szpady niema tam wcale mowy.

Świadkowie Tarłów pomijają dyskretnie szczegóły walki, mówią tylko, że p. Adam »obmowiskami, afrontami i zaczepkami pociągniony, musiał resentyment podkomorzemu pokazać i na wyzywania być gotowym, sam jednak Poniatowskiego nie wyzywał«.

Mniejsza, kto kogo wyzwał, dość, że ten pojedynek nie odbył się z honorem dla Poniatowskiego, co widać już z słów wstępnych oskarżyciela, który nie szczędząc szyderczych uwag podkomorzemu mówi: »Jak i z czyim awantażem odprawił się nazajutrz pojedynek, wie cały świat, a najlepiej p. podkomorzy koronny«!

Od tego czasu obie strony wrą zawziętą nienawiścią i rozpoczynają bój na śmierć i życie szukając różnych okazyi do kłótni, zwad i dyffamacyi.

Walka ta nie obchodziłaby nas wiele, gdyby nie przeszła na pole działalności publicznej i nie była starciem nie pojedynczych rodzin, ale dwóch stronnictw wywierających wybitny wpływ na losy Rzplitej.

Na owe to czasy przypadają naprzód spory Tarły z wojewodą mazowieckim jako starostą lubelskim o jurysdykcyę nad żydami lubelskimi, tudzież nieporozumienia z ks. wojewodą ruskim w sprawie regimentu gwardyi, o których wyżej wspomniano.

Oburzenie familii nie miało granic, gdy już w dziesięć dni po owej sławnej scenie na balu Tarło perswazyami nakłonił wojewodę krakowskiego, że Anusię przez adoptacyę w grodzie warszawskim uczynioną do swego imienia i tytułów przyjął i za księżniczkę Lubomirską jako córkę deklarował.

Z zeznań świadków dowiadujemy się nawet, że wojewoda lubelski tak się gorliwie tą sprawą zajął, iż nietylko »był radą, namową i pomocą do tej adoptacyi, ale adoptowanej pannie Annie do grodu warszawskiego asystował«.

Aby paniom Czartoryskim i Poniatowskim tem więcej dokuczyć, wydał wojewoda »na fest św. Anny solenny bal«, na którym Anusię publicznie księżniczką ogłaszał, i »żeby od wszystkich tak nazywana i respektowana była, różnymi sposobami namawiał i obligował«. Przy tej okazyi na wzgardę i na złość całej familii oświadczał, iż »honor tej damy i tę adoptacyę wszelkimi sposobami: fortuną, krwią i życiem utrzymywać będzie i ze wszystkimi z Familii strzelać się będzie o nią do zabicia«.

Tarło skorzystał również z przeważnego wpływu, jaki miał u szlachty, a zjechawszy na reasumpcyę trybunału piotrkowskiego (5. października) wszelkich użył środków, aby nie dopuścić do przysięgi żadnego z deputatów familii, która po-

stanowiła złożyć ten trybunał po swej myśli. W ten sposób »ufundował« on z Potockimi trybunał i oto jeden z najważniejszych powodów nienawiści strony przeciwnej. Prezydent trybunału kustosz kapituły gnieźnieńskiej X. Fran. Wysocki zaprotestował wprawdzie przeciw postępowaniu Tarły z powodu »tumultów naprzód w kościele, a potem w sądowej izbie na ratuszu czynionych«. tudzież z powodu »agrawacyi honoru swego i dobrej sławy całej familii«, ale Tarło oświadczył publicznie, że dla usprawiedliwienia swego postępowania będzie się domagał na sejmie sądu na siebie i na tych, co gwałcą wyroki trybunałów.

Te wszystkie objawy żalu, gniewu i nienawiści wzajemnej byłyby się bezsprzecznie ukoiły i z czasem przebrzmiały, gdyby się w sprawę energicznie nie wmięszały wpływowe, do żywego podrażnione kobiety.

Za ich to podszeptem, a głównie za inspiracyą wojewodziny mazowieckiej, ukazała się książka wydana za granicą p. t. *L'espion civil et politique ou les lettres d'un voyageur sur toutes sortes de Matièrs*«, etc. (»Szpieg cywilny i polityczny... etc.«), gdzie — jak mówi oskarżyciel — »honor wojewody lubelskiego tak został zdeptany, że chybaby życia i serca nie miał, ktoby na to nie sarknął«. Miał ją wydać niejaki Ober (zdaje się Auber), który przedtem w domu wojewody mazowieckiego zostawał.

Książka ta znalazła się naprzód w domu Poniatowskich. Tam ją czytano i urągano się z wojewody i stąd rozchodziła się po wszystkich znaczniejszych domach stolicy i Rzplitej skwapliwie z ręki do ręki podawana.

Wojewoda lubelski dowiedziawszy się o tym paszkwilu, pisze list do wojewody mazowieckiego z datą 2. listopada 1743 roku następującego brzmienia: »La lettre de Monsieur aussi fausse, que plate, que detrouve la neuviem dans le livre intitulé: *l'Espion Civil et Politique ou les lettres d'un voyageur sur toutes sortes de Matièrs, etc.* fait naître ce billet cy: Je vous crois son compilateur directe désabuse le Public

qui est apparement prevenu de ses faussetés et impertinence. Il faut que je montre que non seulement moy, mais personne au monde ne peut avoir peur ni de vous, ni de votre nom.

L'affaire que j'eu il y a huit mois ecoulés avec votre fils, y est décrite aussi sottement à mon désavantage, qu'elle est remplies des fades et fausses louanges pour luy, dont l'ayent et par consequent votre Père n'etoit jamais apportée de se mesurer avec un homme de ma volée. Sur quoi, je vous fais mon compliment à tous les deux, mais ayant eu sur l'autre tout l'avantage possible, le tour vient à vous. Je vous presente donc ces armes: l'epée, lance, pique, esponton, pistolet, fusil, arquebuse, canon jusqu'aux barils à poudre, optez, je vous y repondrai à tout. Je suis Monsieur votre très humble et très obéissant serviteur *de Tarło*«.

Od tego czasu następuje wymiana listów bardzo drażliwych, w których wojewoda lubelski ustawicznie zaznacza, że ani ojciec, ani dziad wojewody mazowieckiego nie był mu w randze równy, bo nie był ani senatorem ani jenerałem. (Tarło jak wiadomo był jenerałem w armii francuskiej).

Wojewoda mazowiecki zostawiwszy dalszą korespondencyę i pole do »windykowania« honoru synowi (podkomorzemu) wyjeżdża sam do Saksonii.

Podkomorzy zaraz na wstępie napisał z Góry do p. Adama kartkę, »pełną dysgustów i dyshonorów«, w której nazwał wojewodę Don Kiszotem, »który szaleństwami swemi« — jak z oburzeniem zaznacza oskarżyciel — »szesnaście tomów napełnił i prawie był sowizrzał hiszpański!« W dodatku kazał mu się uczyć tańców »Rodygona«, a na ostatek uczynił go niegodnym, aby się bratem jego pisał.

Tego już wojewodzie lubelskiemu, »choćby i podlejszego stanu i kondycyi był« — znieść nie można było. Musiał szukać zadośćuczynienia. Wysłał tedy p. Tokarzewskiego do Puław, gdzie bawił właśnie podkomorzy — wyzywając go na pojedynek — sam zaś pojechał do poblizkiego Celejowa, gdzie

u stryja swojego, wojewody sandomierskiego oczekiwał odpowiedzi.

Tam zastał już wysłanego przez Poniatowskich ks. kanclerza kor. (Jędrzeja Załuskiego, biskupa chełmińskiego) i innych przyjaciół Familii, »odwodzących i dyswadujących ten pojedynek«.

Miejsce spotkania naznaczono pod Markuszowem, dokąd obydwie strony z sekundantami i licznymi przyjaciołmi zjechały.

Przybył tam również biskup Załuski, kanclerz koronny, wojewoda sandomierski i wielu deputatów trybunału dla zatamowania i założenia aresztu na pojedynek, aresztu naprzód już wyrobionego u króla przez Poniatowskich. Po wielu perswazyach i przedstawieniach obydwie strony przyjęły ten areszt z tem zastrzeżeniem, »aby się przeciwnicy do przybycia królewskiego (z Saksonii) w wszelkiej modestyi zachowali i żeby jedna strona drugiej ani pismami, ani uszczypliwymi dyskursami nie urażała«.

Gwarantem tranzakcyi wybrano wojewodę sandomierskiego, który podkomorzemu przyrzekł, że wojewoda lubelski dotrzyma punktów umowy.

Jednak Tarło, oburzony tchórzostwem strony przeciwnej, nie dotrzymuje solennej umowy, przyjaciele jego bowiem spisują dyaryusz markuszowskiej tranzakcyi i różne paszkwile na obelgę podkomorzego i Familii i te na różne miejsca Rzplitej rozsyłają. (Zeznania strony przeciwnej zaprzeczają stanowczo, jakoby wojewoda lubelski jakie paszkwile pisał lub o wydanych wiedział).

Tymczasem podkomorzy, jak się spodziewać należało umowy we wszystkiem ściśle dotrzymując, gdy się o tych pismach i paszkwilach dowiedział, upomniał się o interwencyę u wojewody sandomierskiego, jako pośrednika wyżej wspomnianej gwarancyi.

Wojewoda sandomierski napisał do pana Adama list z wyrzutami, strofując go o niedotrzymanie warunków umowy mar-

kuszowskiej, przed Familią tłumaczył zaś synowca, składając całą winę i odpowiedzialność za te rozrzucone po kraju pisma na księdza Rostkowskiego, »jako konsyliarza i superinduktora«.

Tarło jednak, zamiast się ekskuzować z pomienionych paszkwilów, napisał list otwarty, który po całej Rzplitej rozrzucić kazał, gdzie najwyraźniej oświadcza, że autorem pism, uwłaczających podkomorzemu i Familii nie jest ksiądz Rostkowski, ale on sam.

Daremnie biskup poznański, ks. Teodor Czartoryski, widząc tak wielką zawziętość wojewody, wyprawił do niego księdza Śliwickiego »z różnemi duchownemi remonstracyami«. Tarło nietylko napomnień nie przyjął, jeszcze całą Familię wobec księdza lżył, oświadczając wprost, że gdziekolwiek i kiedykolwiek, »czy na ulicy, czy gdzieindziej spotka którego Czartoryskiego lub Poniatowskiego, strzeli mu w łeb jak psu«.

Ksiądz Śliwicki udał się o instancyę do przyjaciół wojewody — książąt Lubomirskich. Ale w Ujazdowie powtórzył z naciskiem Tarło, co już raz księdzu oświadczył i dodał, »że i księciu podkanclerzemu litewskiemu (Fryderykowi Michałowi Czartoryskiemu), który wyzwany na pojedynek, nie wyszedł, nic więcej nie dostaje, tylko, żeby mu kazać kijmi dać, jako człowiekowi bez honoru, i że przez założenie aresztu na pojedynek Poniatowscy pokazali, że nie mają serca i są tchórzami«.

Po tylu prowokacyjnych obelgach podkomorzy uprosił dwóch oficerów, pp. Rehbnica (zapewne Reybnica), podpułkownika i Malforta, kapitana, aby się udali do Tarły i przedstawiwszy mu jego krzywdę, obligowali go, aby »zaprzestał tych lezyi i p. podkomorzego miał za poczciwego i godnego satysfakcyi kawalera«.

— Co to za podkomorzy? — pytał z drwinami Tarło, przyjmując wysłanych oficerów — nie znam takiego dygnitarza, bo jeżeli to Poniatowski, to do takiego tytułu żadnego

prawa niema [1]). Wiem tylko, że to kanalia, człowiek nieuczciwy i niehonorowy!

Mediatorzy oświadczyli, że mają podkomorzego za poczciwego i że to obelga niesłuszna.

— Kiedy go waćpanowie sądzicie za poczciwego, jutro się z nim bić będę i kartki jego w gardło mu wbiję.

»Pytali tedy o miejsce, a wojewoda naznaczył pod Marymontem o godz. 9 rano i dołożył przy innych zelżywych słowach, że z podkomorzego i ze wszystkich Czartoryskich i Poniatowskich drwi«.

Bardzo ujemne światło na postępowanie obu stron rzuca ciągła gonitwa za faworami szerokich tłumów. Obecnie znów się nie obeszło bez paszkwilu, rozrzuconego po całej Warszawie, w którym Tarło opublikował czas i miejsce pojedynku i wszystkie obelgi, wypowiedziane na podkomorzego.

Nazajutrz 16. marca 1743 r. młody Poniatowski, w towarzystwie jenerała Fleminga i kapitana gwardyi Korfa, przyjechał o godz. 9 rano w karecie na miejsce spotkania.

Wnet zjawił się wojewoda na koniu, który z początku nie dał się dosiąść, a potem, jakby przeczuwając katastrofę, rzucał się, nozdrzami prychał i kopał w miejscu kopytem.

Tarło, stanąwszy na górze, między laskiem a pałacykiem Maryi Kazimiery, wysłał do Poniatowskiego majora Szawłoskiego (z pułku Szybilskiego) z innym oficerem, »wyzywając go na szpady i deklarując jeszcze raz; że kartki jego w gardło mu wbije«.

Podkomorzy odpowiedział, że na szpady bić się nie będzie, ale na pistolety.

— »Wszak wojewoda, skoro wyzywał na armaty, szpontony, barety prochu, to pistoletu bać się nie powinien« —

[1]) Wiadomo, że Kazimierz Poniatowski, mianowany podkomorzym kor. 1742 r. — dopiero w dwa lata później z powodu nieobecności króla w Polsce mógł być w tym urzędzie zaprzysiężony. Stąd asumpt do zarzutu, że Poniatowski nieprawnie się tytułuje.

rzekł p. Poniatowski i wysłał do niego z tem oświadczeniem p. Fleminga, obligując, aby go tak nieuczciwie nie traktował i zaniechał tej zwady i brawury.

Fleming przyszedłszy, »kapelusz według maniery przyzwoitej uchylił i rzekł, że podkomorzy *wyzwany* stawił się i obrał sobie pistotety...« (Świadkowie strony przeciwnej uparcie utrzymywali, że Tarło nie wyzwał, ale Poniatowski, »nie zważając na areszt królewski, wyzwał Tarłę«).

Wojewoda nietylko żadnych perswazyi od Fleminga nie przyjął, ale w obecności jego »wyjąwszy kartki z kieszeni, które doń pisał podkomorzy i szpady dobywszy, te kartki przebił i wdział na szpadę, powtarzając jeszcze raz, że je podkomorzemu w gardło wbije!«

Po chwili nadszedł Poniatowski z Flemingiem i Korfem. Wojewoda w te pędy szpadę do przeciwnika złożywszy, kapelusz na głowę przytulił i zawołał:

— Kanalio! dalej na szpady!

To mówiąc, chciał skoczyć i pchnąć podkomorzego, ale widząc w jego ręku pistolety, cofnął się i począł go lżyć nieprzystojnemi słowy.

Panowie Fleming i Korf, zabiegając dalszym zwadom usiłowali pojednać strony. Wszelkie perswazye odrzucał wojewoda, w końcu, zwracając się do podkomorzego, zawołał:

— Kiedy cię matka nie nauczyła szpadą fechtować i nie chcesz się nią bić, to ją taki a taki odrzuć i z placu schodź kanalio!

Po takich dyskursach wojewoda kazał sobie w końcu podać pistolety. Zapytany przez sekundantów, czy się mają o dziesięć kroków strzelać, obróciwszy się do podkomorzego, rzekł z wielką wzgardą:

— O pięć, kanalio! o pięć!

Wojewoda złożył pistolet z kurkiem nieodwiedzionym, co spostrzegłszy Poniatowski, zwrócił na to jego uwagę. Wówczas Tarło, odwiódłszy kurek, strzelił pierwszy do podkomorzego, na którego gdy przyszła kolej, nie spaliło mu na panewce.

Porwali się do drugich pistoletów i obaj razem wystrzelili.

Strzały były chybione.

Teraz wojewoda w jednej chwili chwycił za szpadę, »mając ją już dobytą i gołą w pendencie«.

»Pchnął naprzód podkomorzego i zranił go z słowami:

— Otóż masz, kanalio!

Ale w tejże chwili, chcąc drugi raz pchnąć i zabić przeciwnika, upadł na jego szpadę trójgraniastą, i śmiertelną ranę zadawszy sobie powyżej piersi w gardło, upadł na ziemię i na placu został«.

Strona przeciwna zeznaje mniej więcej tak długo zgodnie, dopóki niema mowy o walce na szpady.

Tu zeznania są mgliste, niewyraźne, zdaje się, że ani jedna, ani druga strona, nie mogąc dobrze w dymie po strzałach dojrzeć walczących, nie wie dokładnie, w jaki sposób wojewoda lubelski został śmiertelnie raniony.

Świadkowie Tarłów zaznaczają naprzód, iż wojewoda, umyślnie nie biorąc życia podkomorzemu, oba razy wystrzelił »górą«.

Po użyciu broni palnej »wszyscy okrzyknęli Poniatowskiego, aby się raptem do szpady porwał« — mówią dalej świadkowie — »którą już miał gotową i jako powiadają jadem napuszczoną. Niżeli tedy przyszło do szpady, wojewoda lubelski atakowany zewsząd, a osobliwie od Korfa, w dymie od prochu śmiertelnie pchnięty, zabity został«. »Wszyscy zaś ludzie w tym punkcie okrzyknęli, że Korf wojewodę lubelskiego zabił«.

»Łatwo żyjącym umarłego oskarżać« — kończą słuszną uwagą responsoria Tarłów — od umarłego zaś trudna justifikacya. Przyjaciele wojewody odstraszeni, papiery Czartoryscy wszystkie poniszczyli, a świadkowie niektórzy wyprawieni za granicę, jako p. Braxal i p. Kintar (zapewne dworzanie Tarły), wielu zaś z bojaźni zemsty domu Czartoryskich na świadków stanąć się obawiali i nie zjechali«.

Podkomorzy, otrzymawszy lekką ranę w bok, porwany przez swoich, złożony w karecie, zawieziony został do koszar gwardyi kor. »nad Zdrojami« (zapewne z obawy przed zemstą tłumów miejskich i szlachty), skąd po trzech tygodniach przewieziony na saniach do pałacu Poniatowskich.

W zakończeniu świadkowie familii, zapytani o udział innych osób w tej sprawie, obwiniają księdza Rostkowskiego, że jako »mający u wojewody kredyt i admisyę, przywodził różne sposoby do lezyi i szkodzenia całej Familii«. On to był autorem wielu pism paszkwilujących, które różnym osobom rozdawał. W te rady i pisma wchodził również p. Tokarzewski, domowy przyjaciel wojewody i towarzysz jego znaku, który podkanclerzego lit. w Warszawie nachodził »z deklaracyą słów przykrych i z wyzywaniem na pojedynek«.

Do tej sprawy zażywani również byli pp. Szamoccy, pisarz i skarbnik warszawscy. Tego ostatniego nazywa Matuszewicz najsławniejszym patronem w trybunale piotrkowskim. Pisarzowi warszawskiemu zarzucono między innemi, że manifestu od ks. podkanclerzego przeciw Tarle w grodzie warszawskim przyjąć do ksiąg zakazał i kopii manifestu oddać nie chciał [1]).

Świadkowie Tarłów nakoniec obwiniali jenerała litew-Fleminga i kapitana gwardyi Korfa, jako współwinnych, czyniąc im poważny zarzut, że jako sekundanci podkomorzego podczas pojedynku przeciw wojewodzie lubelskiemu broni mieli użyć.

Familia tymczasem używa w ciągu procesu wszelkiej forsy, aby wyrok trybunału padł na jej stronę — lub żeby

[1]) Tych Szamockich, wielkich przyjaciół Tarłów, mszcząc się na nich, oskarżył w rok później podkanclerzy lit. przez Dylewskiego, dworzanina królewskiego, a gdy ten się wymówił, przez Krajewskiego, plenipotenta trybunalskiego, który wystąpił jako świadek i delator o zbrodnię obrazy majestatu przed sądem marszałkowskim. Sądził marszałek koronny Fr. Bieliński, brat cioteczny Czartoryskich, znany ze srogości i w wydawaniu surowych wyroków.

sprawę załatwić przed wydaniem wyroku sądem polubownym.

Miesza się nawet do tego za instancyą Czartoryskich i Brühla sam król, który obawiając się, »aby te rozruchy nie tamowały progresu spraw publicznych« — pisze z Drezna do wojewody sandomierskiego, projektując mu sąd polubowny, przyczem donosi, że podkanclerzy kor. (Jan Małachowski) »dalsze circumstancye obszerniej wyrazi«.

Jakoż w kilka dni później (23. czerwca) podkanclerzy posyła wojewodzie list króla i prosi, »aby skracając termina prawne, zgodził się na wybór superarbitra, któryby obu stronom nie był stronniczym i projektuje na takiego księcia kardynała (Jana Lipskiego, biskupa krak.), który *pacificatoris nomen* (imię pojednawcy) może brać na siebie, ponieważ ma gust godzić, nie wadzić — i nigdy w tem nie żałuje pracy ani trudu...«

Wojewoda sandomierski w odpowiedzi z 11. lipca 1745 r. donosi królowi, że już w przeszłym trybunale (1744) »i syna i matkę i ich przyjaciół sprocesowano«. Przyrzeka, że wszelkich użyje sposobów, aby nakłonić matkę i kasztelana lubaczowskiego do sądu polubownego, »ale dopiero po wypowiedzianych z dekretu trybunalskiego inkwizycyach, bo bez tych i kompromis sądzić nie może...«

Z dalszej korespondencyi [1]) w tej sprawie wnosić można, że do sądu polubownego nie przyszło wcale. Wrogowie Familii ukuli ze sprawy Tarły broń, którą pokonać usiłowali swych przeciwników politycznych i wszelkich używali sposobów, aby się te nieporozumienia w ugodowy sposób nie skończyły. W liście bowiem do wojewody sandomierskiego z 27. czerwca kardynał, jako wybrany superarbiter wyraża niezwykłe zdziwienie, że pan krakowski i pan wojewoda poznański, tudzież hetman w. kor. (Józef Poniatowski) tyloma listami od niego i od innych zapraszani, aby się zbliżyli ku Lublinowi

[1]) Rkp. Muz. Czart. nr 1954.

»do wynalezienia temperamentów zgodnych w celu zakończenia diferencyi, exkuzowali się od tej podróży...«

Sprawę w trybunale szybko ukończono. Już bowiem 12. października 1745 r. wojewoda sandomierski pisze do prymasa Szembeka list, w którym się żali na dekret trybunalski *nie sprawiedliwy*. »Nie dość na tem — pisze wojewoda — że respektem zabicia dobrze zasłużonej i dystyngowanej w Polsce osoby wojewody lubelskiego... tylko za listy i paszkwile kazano siedzieć podkomorzemu 6 niedziel [1]), p. Flemingowi 2 niedziele, tyleż panu Korfowi, obwinionemu o zabójstwo, ale też i p. kasztelana lubaczowskiego, windykującego *poenam publicam* o zabitą głowę brata w niczem niewinnego na dwie niedziele wieży skazano. Podobnąż karę dostali i inni, a mianowicie Szamocki, skarbnik warszawski dwie niedziele, Tokarzewski tydzień, ludzie w niczem nie obwinieni. Zaś Imci księdza Rostkowskiego naprzód do trybunału pozywano, nareszcie do nuncyatury odesłano, jakobyśmy nie mieli *legatum natum pro poenis* (legata urodzonego dla karania). Tym wszystkim wieżę grodów lubelskiego i warszawskiego naznaczono, podkomorzemu zaś, Flemingowi i Korfowi wieżę zamku warszawskiego niesłychanym zwyczajem, jakby nie podpadali *aequalitati iuris et poenae*, do siedzenia naznaczono. Książąt zaś Czartoryskich i Familią wcale nie skarano...« Skarży się przeto na niesprawiedliwość i prosi o pomoc i o zagojenie tych ran, »które nowe coraz mogłyby *renovare cicatrices* (odnawiać blizny).

Laskę marszałkowską trzymał podówczas Potocki, wojewoda bełski, do wygrania zaś sprawy przez Familię przysłużył się wielce Mostowski, starosta piotrkowski, któremu potem sowicie promocyami wynagrodzono tę przysługę, między innemi województwem pomorskiem [2]).

---

[1]) Myli się przeto Kitowicz, a za nim inni pisząc, że Poniatowski skazany był na pół roku.

[2]) Pamięt. histor. L. Huberta.

Oburzony i rozżalony do żywego wojewoda sandomierski musiał napisać wiele takich listów jak powyższy, kiedy się dwa z nich do najwyższych dygnitarzy duchownych dostały. W drugim bowiem liście, datowanym nazajutrz z Opola (13. października) pisze do księcia kardynała (Jana Lipskiego), podobnie się skarżąc na niesprawiedliwy dekret i na to, że Familię, która była początkiem złego *(origo mali)* nietylko »nie skarano, ale i ewazyi nie nakazano«. Kara dana kasztelanowi lubaczowskiemu i koaktorom więcej jeszcze oburza ludzi »kochających uczciwość i sprawiedliwość, niż sama śmierć wojewody lubelskiego«. W końcu dodaje: »Każdy uważać powinien, co ta prepotencya w Polsce może i co za konsekwencye za tem idą!...«

Zaraz po śmierci wojewody dwór jego rozbiegł się; »słudzy i lokaje nieboszczyka bez sposobu życia przekleństwami napełniają Warszawę, też i dłużnicy, rzemieślnicy i kupcy«[1]), pisze ksiądz Konarski do wojewody sandomierskiego i radzi: »Godziłoby się, żeby przynajmniej dla zapłacenia dworu zesłać kogo i niektóre rzeczy sprzedać, bo te dla kredytorów wielkie sumy mających — chować, jest to muchą za wołu...«

Ciało Tarły wywieziono tajemnie i, o ile mi się wybadać udało, pochowano w dobrach rodzinnych Luszowicach pod Dąbrową w tarnowskiem, gdzie do dziś skromny nagrobek jego w tamtejszym kościele parafialnym oglądać można[2]).

W sześć lat później umarł wojewoda sandomierski Jan Tarło, który mimo wielkiego miru i znaczenia u szlachty daremnie upominał się o wznowienie procesu i zmianę dekretu. Usiłowania bezradnej matki i małego znaczenia między panami kasztelana lubaczowskiego, brata nieboszczyka, przebrzmiały również bez echa.

---

[1]) List księdza Konarskiego do wojewody sandomierskiego nr. 41.

[2]) Wiadomość tę zawdzięczam koledze prof. H. Trzpisowi, który z tamtych stron pochodząc nagrobek ten widział.

Nowe postaci polityczne i nowe wypadki dziejowe zajęły umysły wszystkich i zwróciły je w inną stronę. Sprawa Tarły zacierała się powoli w pamięci współczesnych, aż utonęła i zamilkła w wirze wypadków ważniejszych, niż spór dwóch potężnych rodów Rzeczypospolitej.

Anusia Lubomirska, dla której honoru Tarło dał życie, wnet po jego śmierci pocieszyła się zamążpójściem za magnata węgierskiego Esterhazego, — ojciec jej zaś nie doczekał wyroku lubelskiego, umarł bowiem 6. lutego 1745 r. w Ujazdowie (pochowany w Czerniakowie pod Warszawą).

Kazimierz Poniatowski długo dźwigał na sobie brzemię niepopularności z powodu tej nieszczęsnej sprawy. To też gdy w r. 1749 zamierzał kandydować o marszałkostwo trybunału, Potoccy postanowili zniweczyć zamierzony wybór, nie dopuszczając z sejmików żadnego deputata, stronnika Familii.

— Krew za krew! Za Tarła powinien zginąć jeden Poniatowski! — wołała butnie rozjuszona szlachta, zjechawszy na reasumpcyę trybunału do Piotrkowa. Przyszło wówczas do tak gwałtownych rozruchów w farze piotrkowskiej, że gdyby nie śpieszna ucieczka podkomorzego, byłby życiem okupił swe marszałkowskie ochoty.

Ale te wszystkie niepowodzenia sowicie los nagrodził Poniatowskim, gdy nieprzewidzianym zbiegiem wypadków młodszy z pięciu braci Stanisław dostał się na tron polski. Wówczas rodzina ich podniesiona została do tytułu książęcego, a podkomorzy został udzielnym władcą Spiżu, który otrzymał po królowej Maryi Józefie i po Brühlach, dziedzicząc zaś już wówczas liczne starostwa po ojcu, stał się najbogatszym panem w całej Polsce.

Tak skończyła się ta sprawa, rzucająca ujemne światło na stosunki polityczne, społeczne i towarzyskie XVIII stulecia.

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE.

Z dziejów Zamościa.

(Przyczynek do ordynacyi Zamoyskiej z czasów saskich).

I.

Pisać o rodzinach polskich XVIII stulecia, to zadanie przykre i niewdzięczne, autorowi bowiem badającemu te czasy przedstawia się obraz takiego zepsucia i moralnego ubóstwa zcudzoziemczałej Polski, że gorąco pragnie pominąć niejedno milczeniem i w morzu niepamięci pogrążyć obraz wieku i ludzi. A jednak epoka to tak ciekawa, że warto się jej bliżej przypatrzeć, choćby dlatego, aby zrozumieć, gdzie leżą pierwsze zawiązki naszego upadku.

Ze śmiercią Sobieskiego ginie w oddali posuwisty korowód rycerzy o podgolonych czuprynach, sumiastych wąsach, o rysach pełnych serdecznej szczerości, z których widnieje niepospolity rozum i wielkie serce, a z rozpustnym Augustem Mocnym wchodzi na widownię dziejową w menuetowych piruetach czereda sfrancuziałych furfantów, przybranych w aksamitne fraki i peruki, którzy nadskakując skapryszonym niewiastom, szerzą pod osłoną słodkich słów, dwuznacznych szeptów i przesadnej galanteryi hulaszczą zmysłowość i wyuzdanie. Zdarzy się wśród tej rozpustnej tłuszczy spotkać poważnego kontuszowca, to z ruchów i postawy poznać, że się czuje w tem środowisku obcy. Z czoła schmurzonego uleciała mu dziarskość, a z oczu zamglonych wieje jakaś tę-

skna zaduma, jakby złowrogie przeczucie przyszłych klęsk i nieszczęść.

Te same przeciwieństwa między kobietami tych czasów. Z jednej strony poważne matrony, pełne staropolskich cnót, przestrzegające czystości obyczajów, przybrane w złotogłowe czepce i futrami bramowane kontusze, — z drugiej zalotne kokoty z muszkami na malowanem obliczu, z wysoką pudrowaną fryzurą na głowie, z figlarnym uśmiechem na lubieżnych ustach...

Przypatrzmy się dwom takim wybitnym postaciom niewieścim na tle dziejów ordynacyi zamoyskiej, która założona w r. 1589 przez sławnej pamięci kanclerza Jana dla jedynego syna Tomasza z czwartej żony Barbary Tarnowskiej i aprobowana przez sejm z r. 1590, utrzymała się z małemi zmianami do dzisiejszych czasów. Dziedzictwo w prostej linii od kanclerza trwało, jak wiadomo, bardzo krótko. Już drugi ordynat, Tomasz, z Katarzyny ks. Ostrogskiej zostawił jedynaka Jana, nieszczęsnego małżonka Maryi Kazimiery d'Arquien (późniejszej królowej Marysieńki), który w r. 1665 zszedł bezpotomnie. Wówczas to ogromną fortunę zagarnęli szwagrowie zmarłego: Wiśniowiecki i Koniecpolski tytułem spadku po swych żonach, Zamoyskich z domu.

Młodsza linia Zamoyskich z Marcinem podskarbim koronnym na czele, stanęła jednak w obronie swych praw i przez lat jedenaście toczył się zacięty proces o dziedzictwo dóbr ordynackich. Sejm z r. 1674 rozstrzygnął sprawę na korzyść podskarbiego; lecz wyrok ten sporu nie skończył, Stanisław Koniecpolski bowiem nie chciał uledz uchwale sejmowej i trzeba było dopiero zbrojnego wystąpienia całej szlachty lubelskiej, wielce do rodziny Zamoyskich przywiązanej, aby uzurpatorzy ustąpili dziedzictwa prawym właścicielom.

Z Marcinem więc, ordynacya przechodzi na młodszą gałąź rodziny Zamoyskich.

Genealogia potomstwa Marcina według współczesnego ręk. (muz. ks. Czartor. nr 604, p. 51) przedstawia się, jak następuje:

Marcin Zamoyski z Anną Gnińską spłodził:

- Tomasza, ordyn. Zamoyskiego, który z dwoma żonami: Teresą Potocką i drugą Antoniną Zachorowską — zszedł bezpotomnie.
- Michała Zdzisława, ordynata, który z pierwszą żoną Działyńską spłodził:
  - Teresę, Czapskiego żonę,
  - Ludwikę, Wielhorskiego żonę.
  - Helenę, Potockiego wojewody kijow. żonę,
  - Tomasza, ordynata, wojewodę lubelskiego.
  - Jana, starostę lubelskiego.
  - Jędrzeja, starostę rostowskiego.
- Tenże Michał z drugą żoną księżną Wiśniowiecką spłodził: Katarzynę, Mniszcha podkomorzego małżonkę.
- Maryannę, Jerzego Dzieduszyckiego, koniuszego koronnego małżonkę.

Mimo wielkiego zepsucia, panującego w sferze możnych w XVIII stuleciu, rodzina ta z wyjątkiem kilku członków, których w tej pracy bliżej poznamy, najmniej przejmuje się błędami wieku i wydaje do ostatnich czasów niezależnej ojczyzny ludzi zawsze znakomitych, wyższych wykształceniem i obywatelskiemi cnotami od ogółu spółczesnej Polski, podzielonej na dwa skrajne obozy, z których jeden rubaszny i wsteczny odrzuca wszelki postęp, wiedzę i polor, drugi gładki, wykwintny, zmanierowany na modłę zagraniczną, upojony rozpasaną orgią zepsucia, bije pokłony wszystkiemu, co obce i sfrancuziałe.

Do podniesienia poziomu wiedzy i moralności rodziny Zamoyskich przyczyniały się w wysokim stopniu ordynackie prawa, które wyraźnie chciały, aby żaden ordynat przed 30 rokiem życia nie poprzysięgał praw ordynackich, a tem samem do objęcia dóbr dziedzicznych przed tym czasem nie był dopuszczony. W zastępstwie administrowali wielkiemi dobrami opiekunowie, młody zaś ordynat pobierał do 20 roku życia na edukacyę po 10.000, a od 20 po 40.000 złp. aż do dojścia trzydziestu lat, poczem odbierał jednorazowo od opieku-

nów wszystkie prowenta w skupionych dobrach lub w gotowiźnie, podczas gdy młodsi bracia tylko do 24 roku życia brali po 10.000 złp. rocznie, dorósłszy zaś lat, »z daleka na ordynacyę patrzeć musieli«.

Zasadniczą myślą fundatora był pożytek nie pojedynczych osobników rodu, lecz całego domu. Jan Zamoyski subtelnie przewidział wszystkie dodatnie i ujemne strony ordynacyi; zrozumiał, że najstarszy syn biorąc w spuściźnie wielki majątek, czynić to będzie z ujmą młodszego rodzeństwa, aby więc choć w części zrekompensować tę krzywdę, polecił, żeby w razie śmierci ordynata każdorazowym opiekunem dziedzica, nim ten dojdzie trzydziestego roku, był młodszy brat ojca wraz ze współczesnym infułatem i burgrabią zamojskim, przyczem wyraźnie zastrzegł, aby opiekunowie wszystkie intraty obracali na skupowanie dóbr dziedzicznych, przeznaczonych dla reszty rodziny i aby w ten sposób, »ukrzywdzone prawo natury drugich braci, było bodaj w części nagrodzone prowentami«.

Drugim powodem, dla którego do tak późnego wieku kanclerz odraczał objęcie dziedzictwa, było, że chciał, aby ordynat wyróżniał się wiedzą i wykształceniem od reszty rodziny. To też z tych 30 lat, siedm było darowanych dzieciństwu, ośmnaście nakazywały prawa poświęcić nauce, a pięć na służbę wojskową, przydawać zaś wieku niewolno było nikomu, nawet samemu królowi.

Lecz mimo tak wyraźnych zastrzeżeń założyciela, krzywda działa się nierzadko młodszej braci, a większa jeszcze córkom tego rodu, choć i o nich rozważny fundator w akcie ordynacyi niezapomniał. Pierwotnie naznaczył on córkom tyle posagu, »ile wynosi czwarta część intraty przez lat 15 skomputowana«. Ale prawo to w r. 1593 przed trybunałem lubelskim zmodyfikował, naznaczając tak wiele posagu dla córek, jak wielkąby była czwarta część intraty dóbr ordynowanych przez lat 8, poczem już w tej materyi nic więcej ani przydawał, ani ujmował.

Bogaci ordynatowie niechętnie wypłacali prawem ordynackiem naznaczone wiana i stąd przychodziło często do sporów w rodzinie, które rozstrzygały trybunały lub sądy zjazdowe. Już po bezpotomnej śmierci Jana Zamoyskiego, męża Maryi Kazimiery, spotykamy się z takim zatargiem, kiedy to jak wspomniałem, Koniecpolscy i Wiśniowieccy, szwagrowie zmarłego, tytułem posagu po żonach wiodą zacięty spór o dobra ordynackie i przemocą je zajeżdżają. Podobny proces o niewypłacony posag wytacza w drugiej ćwierci XVIII wieku Tomaszowi Zamoyskiemu, piątemu z rzędu ordynatowi, syn pani Ludwiki Wielhorskiej, której ojciec, poprzedni ordynat Michał Zamoyski, naznaczył wianem 180.000 złp., do czasu zaś całkowitej spłaty, wypuścił jej do ordynacyi należące dobra tomaszowskie. Po śmierci Wielhorskiej, ordynat Tomasz Zamoyski wymienione dobra odebrał, lecz starosta sielecki, syn ś. p. Ludwiki, pozwał go o niewypłacony matce posag i trybunał lubelski wydał w r. 1741 dekret, aby p. Tomasz zapłacił pokrzywdzonemu siostrzeńcowi 180.000 złp. zatrzymanego posagu i 54.000 złp. prowizyi od czasu odebrania Tomaszowa. Ordynat w rzeczy samej z sumy tej uiścił się staroście sieleckiemu, mimo, iż uparcie się bronił, że posag ten był »długoletnią posesyą dóbr tomaszowskich wytrzymany«.

Ciekawszym jeszcze jest proces tegoż p. Tomasza z siostrą Maryanną z Zamoyskich, córką podskarbiego kor., a wdową po koniuszym w. koronnym Jerzym Stanisławie Dzieduszyckim, który to spór jest przedmiotem niniejszego opowiadania.

Na tle familijnych zatargów uwydatniają się tu wybitnie charaktery pojedynczych członków rodu z lat sześćdziesięciu (t. j. od r. 1689 do 1750), a sprawa budzi tem więcej interesu, że wszystkie podręczniki heraldyczne i genealogiczne rodzinę Zamoyskich z czasów saskich zbywają upartem milczeniem lub krótką tylko wzmianką.

Aby rzecz lepiej zrozumieć, cofnijmy się nieco wstecz do czasów Sobieskiego.

Marcin Zamoyski, znany nam już podskarbi w. kor. odumierając małoletnią córkę Maryę, późniejszą Dzieduszycką, nie zastosował się do wyżej wzmiankowanej ośmioletniej intraty dóbr ordynackich i naznaczył jej testamentem w r. 1689, dwieście tysięcy złp. posagu, co i pozostała żona jego Anna z Gnińskich zapisem swym z r. 1704 stwierdziła. W kilka miesięcy po śmierci matki wydał młodziutką sierotę p. Tomasz Zamoyski, brat jej rodzony, a współczesny ordynat, za Jerzego Dzieduszyckiego koniuszego koronnego i w intercyzie ślubnej na podstawie wymienionych testamentów naznaczył jej 360.000 złp. t. j. w gotowiźnie 200.000 a 160.000 w ruchomościach.

P. Dzieduszycki znając to do siebie, że robi dobrą partyę i niechcąc przed ślubem robić przeszkód, przyjął milcząco ten zapis, po weselu jednak zjechawszy do swych dóbr w Cucyłowcach (koło Żydaczowa) »manifestował się« w grodzie żydaczowskim i »zadał«, że ta intercyza bez niego i tylko na blankiecie spisana, a posag »naznaczony w niej nie według prawa ordynackiego«.

Wobec potęgi możnego magnata protest pozostał na razie bez skutku, co wcale nie przeszkadzało p. Jerzemu, że rok rocznie takiż manifest w grodzie żydaczowskim powtarzał i głośno się o swoją krzywdę przed całą Rzplitą upominał.

Krzyki te i hałasy sprawiły, że p. Tomasz chcąc skłonić szwagra do akceptacyi intercyzy, odesłał mu z Zamościa do Cucyłowiec klejnoty i kosztowne ruchomości, jako to: meble, bronzy, obrazy, szpalery, szkła i porcelanę w wartości 160.000 zł. i poszedłszy do grodu, zapisał dla siostry 200.000 według wyżej wspomnianej intercyzy. Dzieduszycki nie chcąc się tą kwotą kontentować, skwitował wprawdzie Zamoyskiego z odebranych klejnotów, lecz równocześnie ponowił manifest. Tak tedy zanosząc ciągłe manifesty do grodu żydaczowskiego, wymógł nakoniec, że mu wypuszczono do dalszej decyzyi z dóbr ordynackich klucz Tarnogrodzki i niedokończywszy procesu umarł w r. 1726. Niebawem zszedł też z tego

świata i p. Tomasz, po którym ordynacyę wziął brat jego młodszy Michał Zamoyski wojewoda smoleński.

Pani Dzieduszycka, popierając proces zaczęty przez ś. p. męża, wydała nowo mianowanemu ordynatowi pozew do trybunału o skasowanie intercyzy i zapisu tudzież o zapłacenie posagu według praw ordynackich, które — jak już wiemy — nakazują wyliczyć taką sumę, »jak wiele się pokaże z czwartej części ośmioletnich prowentów« wszystkich dóbr ordynackich.

Przeciw tym pretensyom bronił się p. Michał dwoma wyż wymienionymi testamentami ojca i matki tudzież intercyzą i zapisem poprzedniego ordynata, zeznanymi tylko na 200.000 złp. Sprawiedliwszym jednak był trybunał koronny z r. 1731, który stosownie do praw ordynackich warowanych konstytucyami koronnemi, skasował punkta obydwóch testamentów, usunął zapis i intercyzę jako prawom ordynackim przeciwne, a przywróciwszy p. Dzieduszycką do »wigoru« prawa ordynackiego, naznaczył kondescensyę do Zamościa dla wylikwidowania dochodów z tychże dóbr, celem dokładnego obliczenia posagu należnego koniuszynie koronnej.

Przezorny p. Michał widział, że oporem narobi tylko hałasu i zgorszenia, nietylko więc »nie szedł przeciw temu dekretowi«, ale sam osobiście »attentował« kondescensyi, a suto i gościnnie przyjmując w pałacu swoim w Zamościu wydelegowanych sędziów, inwentarze dóbr »komportował« i dla ułatwienia zeznań przy szacowaniu dochodów, stawił przed nimi swych ekonomów, podstarościch i gumiennych ze wszystkich wsi ordynackich. Ta uprzedzająca grzeczność ordynata nie była bezskuteczną, z współczesnego bowiem rękopisu [1]) dowiadujemy się, że sędziowie »z wielkim faworem przez

[1]) Ręk. Muzeum ks. Czartoryskich nr 604, p. 51, którego cały tytuł brzmi: »Opisanie sprawy Jana lubelskiego i Jędrzeja rostockiego starostów Zamoyskich z JW. Tomaszem ordynatem Zamoyskim, woj. lubelskim, o sumę 600.000 złp., dekretami trybunalskim i kondenscen-

połowę prawie intratę rachując«, po spisaniu inwentarzów i uczynionych indagacyach, znaleźli rocznych dochodów z wszystkich dóbr tylko 420.000 złp., z czego po odtrąceniu 60.000 na reparacyą fortecy i inne potrzeby, przeznaczyli do redukcyi na posag 360.000 rocznej intraty. Z tej sumy czwartą część t. j. 90.000 sędziowie 8 razy pomnożyli i obliczyli w ten sposób należny p. Dzieduszyckiej posag na 720.000 złp., z czego po strąceniu odebranych już klejnotów, oszacowanych na 120.000 »choć one do ordynacyi nie należały« — jak się uszczypliwie rękopis wyraża — zredukowano ostatecznie cały posag na 600.000 złp.

Uwzględniono też okoliczność, że koniuszyna dobra tarnogrodzkie miała w tymczasowem posiadaniu i obrachowawszy roczną intratę z tych dóbr na 30.000, zostawiono ją i nadal w posesyi tegoż klucza aż do czasu spłacenia połowy należnego posagu, drugą zaś połowę »winien p. Michał zapłacić w następnym roku 1732, nazajutrz po św. Janie«; w razie niezapłacenia zaś tej kwoty upoważniają sędziowie p. Dzieduszycką do odebrania przez najbliższy urząd grodzki pomienionych dóbr na własność.

Nadszedł termin zapłaty i Dzieduszycka nie otrzymawszy drugiej połowy naznaczonego posagu, nie omieszkała zgłosić się do grodu żydaczowskiego i odebrała na własność dobra Tarnogród [1]) i Piskorowice [2]) tytułem długu jej przyznanego.

Ordynat poczytał sobie to urzędowe odebranie dóbr za »wiolencyę« i pozwał koniuszynę o »reindukcyę«. Ale dekret

---

soryalnymi na fundamencie prawa ordynacyi Zamoyskiej nastąpionymi, niegdy Maryannie z Zamoyskich Dzieduszyckiej, koniuszynej koronnej, w posagu z dóbr ordynackich przysądzone«.

[1]) Miasteczko położone 3 mile na północ od Sieniawy, założone za staraniem starosty krzeszowskiego Stan. Tarnowskiego w 1567 r, przez Zygmunta Augusta. W r. 1588 miasto ze starostwem krzeszowskiem weszło w skład dóbr zamoyskich.

[2]) Wieś na prawym brzegu Sanu przy gościńcu z Sieniawy do. Leżajska.

z r. 1732 nie uznał reindukcyi i nakazał tylko koniuszynej, aby zwróciła p. Michałowi rzeczy i inwentarz ruchomy, zagrabione w czasie zajęcia.

Wtem nastąpiła śmierć p. Michała w r. 1735, a prawa ordynacyi poprzysiągł syn jego najstarszy Tomasz, siódmy z rzędu ordynat, który po nieszczęśliwej śmierci Adama Tarły [1]) objął później (1744) województwo lubelskie.

Nowy ordynat obejmował dziedzictwo w bardzo opłakanym stanie. Gospodarstwo było zaniedbane i obciążone tak wielkimi długami, że dla ich spłacenia trzeba było przez lat kilkanaście zrezygnować z wszelkich dochodów. Ale p. Tomasz rąk nie łamał, a jako nieodrodny syn wieku, wnet znalazł sposoby zaradzenia złemu. Oto uchylając się od ciężaru długów, przewyższających dziedziczną fortunę, uczynił od niej »recess« — to znaczy zrzekł się wszelkich dóbr dziedzicznych, lubo na podstawie przepisów ordynackich nie miał żadnego do nich prawa, wszelkie zaś prawa jako ordynat posiadał tylko do dóbr ordynackich.

Tu dla wyjaśnienia przypomnieć należy, że dobra Zamoyskich były dwojakiego rodzaju: jedne bardzo rozległe ordynackie, i te były w posiadaniu tylko najstarszego syna t. j. ordynata, drugie zaś były t. zw. dziedziczne i te należały do młodszych, wykluczonych od ordynacyi braci.

Dwaj młodsi bracia p. Tomasza: Jan i Jędrzej, starostowie lubelski i rostowski nie byli jeszcze w tym czasie pełnoletnymi i do spraw publicznych wcale się nie mięszali. Były to zapewne lata, gdzie obaj staraniem i kosztem ciotki, pani Dzieduszyckiej, kształcili się w toruńskiem kolegium Jezuitów, a może już i na uniwersytecie w Getyndze, gdzie Jędrzej poświęcił się całą duszą nauce prawa, aby w przyszłości zabłysnąć jako jeden z najgenialniejszych statystów i prawodawców polskich. To też i gwałt, jaki tym recessem uczynił

[1]) Adam Tarło, jak wiadomo, zginął w pojedynku z Kazimierzem Poniatowskim, późn. podkomorz. koron. (Patrz poprzedni szkic histor.).

p. Tomasz młodszym braciom, był tem łatwiejszy, że go dokonano w czasie ich nieobecności i niepełnoletności.

Przekupieni złotem i sutemi libacyami sędziowie lubelscy, zgodzili się na ów bezprawny czyn i stała się rzecz niesłychana w prawnictwie polskiem, świadcząca o wielkiem zepsuciu współczesnego trybunału. Osobnym dekretem z r. 1735 przyznano ordynatowi odstępstwo od dóbr dziedzicznych, w dodatku zaś nakazano kondescensyę w Zamościu, która wśród hulaszczych pijatyk oddzieliła wszystkie długi zaciągnione na pożytek ordynacyi od długów zaciągnionych na rzecz dóbr dziedzicznych i zwoławszy wszystkich wierzycieli, zwaliła całkowity ciężar długów wyłącznie na dobra dziedziczne, ordynacyę zaś od wszelkich zobowiązań dłużnych uwolniła [1]).

Tak, podstępnym fortelem wyszedłszy z swą ordynacyą na czysto, przebiegły p. Tomasz, gdy się Dzieduszycka o swój posag upomniała, tłumaczył jej sprawę w sposób, z którego poznać, że sprytniejszego, lecz razem przewrotniejszego człowieka w tym rodzie nie było i chyba czasy saskiej demoralizacyi mogły wychować tego rodzaju przebiegłą niesumienność.

Oto wyłuszczał on starej ciotce jak na dłoni, że jej posag jest jeden z długów odziedziczonych jeszcze po podskarbim koronnym p. Marcinie, że zaś wszystkie długi i zobowiązania przeniesiono obecnie dekretem kondescensyi z dóbr ordynackich na dziedziczne, więc tem samem nie ma żadnego zobowiązania co do jej posagu, lecz mają je właściciele dóbr dziedzicznych t. j. jego młodsi bracia pp. Jan i Jędrzej Zamoyscy. Do nich przeto koniuszyna niech się zgłosi ze swojemi pretensyami.

Rozumie się, że jak przedsłane tego rozumowania, tak i konkluzya polegała na fałszach i przekręcaniu sprawy, ale ugruntowane na podstawie poważnego wyroku trybunału lubelskiego, błyszczały pozorami niejakiej słuszności i p. Tomasz

[1]) Tenże rękopis Muz. Czart. nr 604.

już się miał czem zasłaniać, a tem samem, choć działał wbrew przekonaniom i sumieniu, nie potrzebował głowy łamać nad skrupułami, jakie niegdyś miał jego poprzednik ś. p. Michał, który, jak słyszeliśmy, przyciśniony do muru, zmuszony był przyznać siostrze należny jej posag.

Daremnie się koniuszyna broniła, że gdyby w czasie onego recessu ordynat uznał był jej posag za dług należący do dóbr dziedzicznych, jak obecnie utrzymuje, toć byłby jej niechybnie nie zezwolił na dzierżenie Tarnogrodu i Piskorowic, jak to uczynił był z wszystkimi innymi wierzycielami, których odesłał po należytość do dóbr dziedzicznych, odebrawszy im wprzódy zastawione dobra ordynackie. A przecież on tego nie uczynił, przecież w czasie recessu nie odsyłał jej wcale do dóbr dziedzicznych, »sądząc sprawiedliwie, że ten dług (t. j. posag) z dochodów ordynackich spłacić powinien«.

Odwoływała się następnie do dekretu kondescensoryalnego z czasów ordynacyi p. Michałowej, o którym powyżej była mowa, ale p. Tomasz oświadczył, że dekret ten jest nieważny.

Tu już przewrotność ordynata przebrała wszelką miarę, rok bowiem temu wydając siostrę Katarzynę za Mniszcha podkomorzego litewskiego, wypłacił jej 180.000 złp. posagu, a do obliczenia tej sumy posługiwał się normą wyżej wyrażonej kondescensyi i jej dekretem, który jednak obecnie wobec koniuszynej uznawał za nieważny.

— Więc jakoż to, mój siostrzanie — rzekła ironicznie p. Dzieduszycka — co wczoraj było ważne, dlatego, że potrzebne, dziś kasujesz, bo ci jest ciężarem?

— Ależ moja ciotko, stawiajmy kwestyę jasno. Wszak prawo ordynackie powiada, że posag powinien być z czwartej części ośmioletnich prowentów zbierany i płacony; jeśli tedy pan Marcin, Tomasz i Michał więcej niżeli 8 lat ordynacyę trzymali, czemuż oni nie zapłacili?

Tu koniuszyna jęła tłumaczyć bratankowi, że p. Marcin odumarł ją małoletnią, więc jej posagu zapłacić nie mógł. Na-

stępca jego p. Tomasz w nadziei, że wygra aprobatę testamentów i intercyzy, zapłacił tylko 200.000 i nie skończywszy sprawy umarł, w dodatku zaś tę krzywdę, że spełnienie posagu zostawił sukcesorom, sowicie nagrodził bezpotomnością swoją, dla której ordynacya dostała się na jego brata, Michała, a w końcu na teraźniejszego ordynata.

— Zresztą — kończyła koniuszyna — zacny twój ś. p. ojciec tylko pięć lat był ordynatem, więc przez ten czas ośmioletnich prowentów uzbierać nie mógł. Wszyscy trzej przeto mogą być wytłómaczeni, waszmość zaś żadnej podobnej racyi na ekskuzę nie znajdziesz.

P. Tomasz jednak perswazye i tłumaczenia ciotki zbijał upornie twierdzeniem, że za winę poprzedników powinny odpowiadać ich dobra dziedziczne. Tu tłómaczył jej, dlaczego ten posag na te dobra obecnie przeniesiony został.

— Waszmość jesteś w błędzie — odparła p. Dzieduszycka już dobrze zirytowana. — Wszak prawo ordynackie nakazuje płacić posagi tylko z dóbr ordynackich, a już i sam rozum mówi, że kto wstępuje w dobra, wstępuje i w ciężary.

— Aa, to na ten sposób — przerwał jej p. Tomasz — cała ordynacya poszłaby w cudzą posesyę!... Zresztą przepis każe płacić posagi tylko córkom, żeby zaś płacić i ciotkom, tego w żadnem prawie niemasz.

Koniuszynę złość szalona porwała. Z wielkiego żalu i gniewu słowa jej uwięzgły w gardle. Po chwili dopiero dodała z udanym spokojem:

— Są to czcze słowa, ale nie rzecz sama. Przecież ta ciotka naprzód była córką p. Marcina, a potem siostrą Tomasza i Michała, na ostatek zaś jest twoją ciotką...

— ...Która — kończył wojewoda lubelski — lat blizko 20 trzymając klucz Tarnogrodzki i Piskorowicki, wybrała już swój posag z prowentów i jeszcze 400.000 nabyła substancyi.

— Dobra te przyznane mi były dekretem trybunału aż do czasu odebrania kapitału — zawyrokowała koniuszyna. — Trzymam je przeto tytułem prowizyi, co się zaś tknie owych

400.000, tom się ich dorobiła nie na Piskorowicach ani Tarnogrodzie, jedno na dobrach, które jako dożywocie trzymam po nieboszczyku mężu. Więcej z waćpanem w tej materyi traktować nie myślę, zdam to na sprawiedliwe ludzkie i Boskie wyroki!

Po tych słowach nie pożegnawszy ordynata, wyszła z komnaty.

Sprawa z poswarku prywatnego miała pójść ponownie przed trybunały, koniuszyna zaś postanowiła siedzieć nadal w posesyi dóbr tarnogrodzkich i piskorowickich, opierając to posiadanie na słusznem prawie ordynackiem, na dekrecie trybunału i na uznaniu poprzedniego ordynata.

Rozżalona i zbolała wyjechała tegoż samego dnia z Zamościa do dziedzicznych Cucyłowiec, po drodze zaś wstąpiła na pierwszy popas do Łabuń, gdzie mieszkał młodszy brat ordynata, p. Jan Zamoyski, wyżej wzmiankowany starosta lubelski.

P. Jan, mąż wielkich zdolności i prawego charakteru, nie lubił ordynata i chętnie słuchał skarg starej ciotki. Starosta lubelski był człowiekiem wyjątkowych zalet na owe czasy. Nie gonił za mamoną, a nad wszystko sobie cenił wielkość przodków, skarby serca i rozumu. Mimo niewielkiej fortuny, — prócz bowiem Łabuń, odległych trzy mile od Zamościa, gdzie piękny pałac do dziś stojący zbudował, — nic więcej nie odziedziczył, — był jednak w każdym calu wielkim panem i nieodrodnym wnukiem sławnego kanclerza. Kilka lat temu ożenił się z Ludwiką Poniatowską, najmłodszą córką wojewody mazowieckiego, a więc z siostrą przyszłego króla, Stanisława Augusta. Pokrewieństwo to nie krępowało jego niezłomnych przekonań republikańskich, to też starosta zawsze zdala trzymał się od wszelkich walk dwóch panujących stronnictw, a nawet czuł do Poniatowskich i do familii (Czartoryskich) pewną niechęć, choć tego nie taił, że mu na łaskach wszechwładnego Brühla bardzo zależało. Następstwem tych niechęci było nieharmonijne jego pożycie z żoną, która

większą część czasu spędzała w domu swych rodziców lub u ordynatów w Zamościu i tylko jakby w gościnę do Łabuń zjeżdżała. Separacya ta dobrowolna miała miejsce w późniejszych zwłaszcza latach. Teraz starościna bawiła jeszcze w Łabuniach.

Starosta nie zazdrościł wcale najstarszemu bratu majątku, lecz go bolała srodze przewrotność p. Tomasza i krzywda, jaką wyrządzał ciotce. Jeżeli nadto weźmiemy na uwagę różnice przekonań braci, wynikłe z odmiennego sposobu wychowania, to zrozumiemy tem lepiej antagonizm dzielący członków tej samej rodziny. Ordynat otoczony gronem francuskich guwernerów, chował się od najmłodszych lat aż do objęcia dziedzictwa w Paryżu i w Dreźnie, gdzie na królewskich pokojach wypolerowano go na zcudzoziemczałego wykwintnisia, p. Jan zaś wychowany w kraju, żywił gorące przywiązanie do rodzinnej mowy i strzegł pilnie ojczystych praw, przywilejów i obyczajów.

Osiadłszy stale w Łabuniach, rzadko zaglądał do Zamościa i jeżeli się w odwiedziny do brata wybrał, to chyba zmuszony jaką wyjątkową okolicznością lub przynaglony przez żonę, którą ścisłe związki przyjaźni łączyły z ordynatową.

P. Jan dowiedziawszy się o całem zajściu koniuszyny z ordynatem, wąsa zawiesistego szarpnął i zawołał z oburzeniem:

— A, niech ich tam sęk świśnie, tych francuskich furfantów. Niech sobie zjedzą swoje tysiące! Nie zapłaci Tomasz, to ja zapłacę, choćby i ostatnią fortuną. Nie byłbym Zamoyskim, gdybym na taki dyshonor w rodzinie zezwolił.

— Ale, bo widzisz kochasiu... — bąkała rozczulona staruszka — ja... ja... dzieci nie mam, a dostatku aż nadto na stare lata, więc... chciałabym posag ten rozdzielić na dwoje i oddać go tobie i Jędrusiowi po połowie, jako że potrzebni jesteście i zbytku fortuny nie posiadacie wcale.

P. Jan w milczeniu ucałował dłoń koniuszyny. Chciał coś mówić, ale mu matrona do słowa przyjść nie dała, pro-

siła tylko, aby żonie słowa o tem nie wspominał, poczem szybko do drogi gotować się poczęła, a jakby w przeczuciu, że to ostatnie jej pożegnanie, pobłogosławiła bratanka znakiem krzyża św. i odjechała z Łabuń do swych Cucyłowiec.

Przybywszy do domu, wyczekiwała jeszcze czas jakiś wykupienia należnego jej długu, a gdy się wypłaty doczekać nie mogła, stósownie do przyrzeczenia ustąpiła całą sumę posagową tudzież posesyę dóbr Tarnogrodu i Piskorowic biednym bratankom Janowi i Jędrzejowi. Stało się to na ośm miesięcy przed jej śmiercią. W transakcyi po polsku napisanej, a w grodzie żydaczowskim roborowanej zaznaczyła przyczyny, dla których tym tylko dwom »braci« praw swych do posagu ustępuje, a mianowicie, »że ich dwóch tylko potrzebnych, trzeciego zaś t. j. p. Tomasza, przy tak wielkich prowentach ordynackich niepotrzebnego być widziała«.

Tu dopiero spór zaostrzył się na dobre, jak bowiem zaraz zobaczymy, do pretensyi posagowej wystąpią obecnie rodzeni bracia ordynata pp. Jan i Jędrzej Zamoyscy.

II.

Pewnego wieczoru jesiennego 1750 r. na ulicach Zamościa ruch był niezwykły. To pułk dragonii ordynackiej, który tydzień temu opuścił miasto, wracał wśród odgłosu trąb i bębnów do fortecy, witany głośnymi okrzykami przez ormiańskich kupców, szlachtę, żydów, rzemieślników i gawiedź uliczną. Na czele jechał na białym koniu przystojny mężczyzna w pięknym mundurze barwy Zamoyskich. Był to kapitan Bernhard, ulubieniec ordynatowej i jej powiernik w najdelikatniejszych misyach. O tych misyach i tajemnym stosunku ordynatowej z kapitanem wiele sobie miejskie kumoszki ciekawych rzeczy na ucho szeptały.

Kalwakata ciągnęła traktem od Łabuniek, gdzie z gęstych obłoków kurzu wyłaniały się prócz szeregów piechoty i dragonii, całe rzędy powozów i karabonów naładowanych

sepetami i różnego rodzaju sprzętami, za którymi pędzono całe stada koni i bydła. Patrząc na ten tłumny pochód, sądziłbyś, że to zwycięski powrót z jakiej wojennej wyprawy, na której się dobrze łupami obłowiono, — tymczasem był to powrót z pogrzebu pani Dzieduszyckiej, którą kilka dni temu pochowano z wielką pompą w Cucyłowcach pod Żydaczowem.

Na obchód żałobny zjechali oboje ordynatostwo z licznem gronem gości, między którymi nie brakło starostów lubelskiego i rostowskiego. Równocześnie jednak, gdy oddawano ostatnią posługę ś. p. Koniuszynie i w licznych mszach żałobnych błagano niebo o spokój jej duszy, wojska ordynackie z rozkazu p. Tomasza uczyniły zajazd na dobra Piskorowice i Tarnogród i zrabowawszy cały remanent gospodarski, sutym łupem objuczone połączyły się w drodze z swym panem i tryumfalnie wracały do jego rezydencyi. Zboże odesłał pan Tomasz jeszcze z drogi Wisłą do Gdańska, stada bydła zaś i wszystkie kosztowne ruchomości zabrał do Zamościa.

Zahuczały belkowania zwodzonego mostu na tomaszowskiej bramie i przodem całego szeregu wozów wjechała do miasta wspaniała poszóstna kareta ciągniona przez dzielne myszate cugi. Był to prawdziwie królewski korab Zamoyskich, wewnątrz białym atłasem wyścielony, górą czworokątny ze srebrnemi gałkami po rogach, dołem okrągły i zawieszony na szerokich pasach wyprężających się za pomocą kół zębatych i korby. Przez zwierciadlane szyby rysowały się wyraźnie sylwety trojga wewnątrz osób. Na przodzie siedział prałat w czarnym ubiorze z fioletowemi wypustkami, w małym bareciku na głowie, z pod którego spadały mu na ramiona zwoje pudrowanych, w loki skręconych włosów. Rysy miał ostre, wyraziste, a oczy czarne rzucały błyskawiczne spojrzenia na piękną tuż obok siedzącą kobietę, której strój żałobny głęboko wycięty wybitnie zaznaczał jej prześliczną szyję, pełny tors piersi i czarownym uśmiechem okraszoną twarzyczkę.

Prałatem był podkanclerzy koronny ksiądz Michał Wodzicki, a rozkoszną niewiastą pani Teresa z Michowskich

Zamoyska, druga żona ordynata Tomasza, który obojętny na rozmowę i śmiechy, siedział tuż z przeciwka w smutnej zadumie i apatyi pogrążony. Z bladego, pomarszczonego oblicza i z oczu w dół zapadłych widać było, że był to człowiek znękany wielkim nadmiarem użycia i chorobą, to też niewiele go obchodziły krotochwile żony, która na widok schorzałego starca-męża roiła może najświetniejsze plany na wypadek wdowieństwa w 26 roku życia po raz trzeci i bawiła się z X. kanclerzem wyśmienicie. Tak jest, po raz trzeci, przed pięciu bowiem laty ponowiła śluby małżeńskie, jako młoda wdowa po dwóch starych mężach. Była ona córką Piotra Rawicza Michowskiego skarbnika bracławskiego i Maryanny Bębnowskiej herbu Odrowąż. Owdowiawszy po raz pierwszy niemal w 17 roku życia po Suchodolskim, w trzy lata zaś później po Jerzym Aleksandrze Lubomirskim wojewodzie sandomirskim, umiała się z pomocą Poniatowskich tak gracko zawinąć koło owdowiałego równocześnie po Łubieńskiej p. Tomasza, że ją w 1745 r. w dożywotnie pojął małżeństwo.

Po śmierci drugiego męża setki młodzieży ubiegało się o jej względy i rękę, ale p. Teresa pouczona wczesnem doświadczeniem, postanowiła bardzo oględny wybór zrobić. Ordynat z pierwszego małżeństwa nie miał dzieci, to też po śmierci pierwszej żony, mimo późnego wieku, oglądać się począł za nową towarzyszką życia, jedynem bowiem jego marzeniem było potomstwo, utrapienie zaś i troskę niemałą wzbudzała myśl, że wielka fortuna dostać się może w ręce niemiłego mu brata, starosty lubelskiego, na którego z kolei przeszłaby ordynacya.

Wówczas to Czartoryscy i wojewodzina mazowiecka Poniatowska ożenili go z młodą p. Teresą, której urok i władza wzrosły do niebywałych granic, gdy w r. 1747 obdarzyła ordynata synem. Nowonarodzonemu dano imię Klemens, a na cześć jego układano szumne wiersze i budowano pałace, jak n. p. ów sławny z przepychu Klemensów pod Zamościem Radość p. Tomasza nie miała granic. Nie było rzeczy, któ-

rejby czuły mąż ukochanej małżonce odmówił. Młoda pani trzęsła formalnie całym Zamościem, krocie wydawała na stroje i wyjazdy za granicę. W dodatku żyła w wielkiej przyjaźni z wojewodziną mazowiecką i z Brühlami, to też pociągała do siebie całą współczesną Polskę nietylko wielką fortuną i wdzięczną urodą, ale i potężnymi wpływami, jakie miała u dworu i u pierwszego ministra wszechwładnie rządzącego Rzplitą.

Mimo jednak tylu przyrodzonych i losem nabytych zalet, była to nieznośna baba, tem nieznośniejsza, że młoda i zepsuta pochlebstwami dworaków ubiegających się, jako to poniżej zobaczymy, nie bez skutku o jej względy.

Po przybyciu do Zamościa, chory i strudzony niewczasami p. Tomasz położył się natychmiast do łóżka i kazał wezwać do siebie nadwornego medyka Elblicha, ordynatowa zaś zamknąwszy się w osobnym gabinecie z ks. Wodzickim, długo radziła z nim na osobności.

Jakie to były narady, niewiadomo; dość, że w miesiąc później (7. października 1750 r.) August III nadesłał do Zamościa osobną sztafetą po polsku napisany dokument, mocą którego »panią Teresę z Michowskich Zamoyską wobec starości i niebezpiecznej choroby ordynata«, mianował jedyną opiekunką nieletniego jej syna Klemensa i powierzał jej administracyę wszystkich dóbr, chcąc zaś temu małoletniemu sukcesorowi zapewnić całość spuścizny ordynackiej, jako pierwszy i najwyższy tejże ordynacyi protektor, przydał jej do pomocy księdza Michała Wodzickiego, podkanclerzego koronnego.

Tu dopiero wylazło szydło z worka.

Ksiądz Wodzicki i pani Teresa wiedząc dobrze, że według praw ordynackich opiekę nad nieletnim dziedzicem objąć powinien najstarszy po ordynacie brat, a więc Jan Zamoyski wraz z każdorazowym infułatem i burgrabią zamoyskim, wyrobili sobie jeszcze za życia ordynata ów reskrypt królewski, który im wbrew prawom ordynackim zapewniał bezwzględną opiekę nad całym majątkiem i młodym ordynatem. W ten sposób usunięto od opieki starostę lubelskiego, o którym wie-

dziano dobrze, że rządny ten pan ująłby w karby administracyę i ukrócił swawolę młodej wdowy, niedozwalając trwonić majątku.

August III nie miał pojęcia o prawach ordynackich, a nie umiejąc jednego słowa po polsku, na prośbę ks. Wodzickiego podpisał reskrypt nie pytając nawet, co zawiera. Wszystko działo się w największej tajemnicy przed p. Tomaszem, który złożony ciężką chorobą, o jednem tylko w swej zawziętości pamiętał t. j. o toku interesów na szkodę starosty lubelskiego.

Słyszeliśmy już jak po śmierci Dzieduszyckiej zajechał pozostałe po niej dobra i krescencyę z nich sobie przywłaszczył. Teraz gdy starostowie lubelski i rostowski poczęli się upominać o tę krzywdę, zapozwał ich przed trybunał i żądał skasowania dyspozycyi koniuszynej. Nie dość tego. Zawezwawszy najbieglejszych palestrantów do łoża, dyktował im racye i »racyonacye«, na podstawie których mają się dopominać skasowania dotychczasowych dekretów trybunalskich, zapadłych w sprawie owego nieszczęsnego posagu.

Racye te znamy już poniekąd z rozmowy jego z koniuszyną. Tu wyłuszczał je jeszcze dokładniej. Nietylko, że w podstępny sposób udowadniał, że ordynacya każe płacić posagi córkom, a nie ciotkom, lecz głównie uderzał w to, że Tomasz i Michał bracia a jego poprzednicy, »co mieli obrócić prowenta z dóbr ordynackich na zbieranie posagu na siostry, też same prowenta stracili na skupywanie dóbr dziedzicznych, te zaś dobra dostały się starostom lubelskiemu i rostowskiemu, ci więc mają zupełną za ten posag rekompensę«.

Był to punkt obrony obecnie najważniejszy, chodziło tu bowiem już nie o Dzieduszycką, lecz o Jana i Jędrzeja Zamoyskich, którym koniuszyna za życia, jakeśmy słyszeli, praw swych do posagu odstąpiła.

W trakcie tych pieniackich zatargów, wytaczanych w zastępstwie i z polecenia chorego przez lubelskich mecenasów, zdrowie p. Tomasza tak się pogorszyło, że nie doczekawszy wyroku, umarł 3. października 1751 r.

Zwłoki jeszcze nie zastygły, gdy sprytna p. Teresa wzięła się energicznie do dzieła. Rozesłała sztafety po wszystkich wioskach i miasteczkach do dóbr należących i sprowadziwszy tłumy poddanych i oficyalistów, odebrała od nich przysięgę wierności. Podobnież uczyniła z załogą zamojską, na czele której stał komendant major von Kaun. W gwardyi zamojskiej służyli bardzo poważni oficerowie, ludzie uczciwi i prawi: po większej części niemieckiego pochodzenia, jakimi byli n. p. majorowie Rave i Königsfels, którzy srodze sarkali na te babskie rządy w Zamościu, czego ślady przechowały się w listach tego ostatniego [1]). Zacny ten żołnierz sprzyja słusznej sprawie starosty lubelskiego i nie tai, że głównym doradcą i złym duchem ordynatowej jest, prócz księdza kanclerza, ksiądz A. Trembiński dziekan i infułat zamojski.

Przypatrzmy się tej typowej postaci księdza z saskich czasów. Był to człowiek fałszywy i chciwy, a zawsze tej stronie sprzyjający, po której spodziewał się zyskownego obłowu. Przewąchawszy reskrypt królewski, mimo iż nieraz przedtem wrogo występował przeciw p. Teresie, zwłaszcza ile razy chodziło o Francuza guwernera Mr. St. Paula, którego od dawna już pragnął usunąć, zazdroszcząc mu przeważnych wpływów na wychowanka i ordynatową, — teraz począł wszechwładnej pani nadskakiwać i sprzyjać jej kapryśnym zachciankom. Nakłonił ją nawet, aby twierdzę zaopatrzyła w dobre armaty i obfitość prochów, tudzież aby wydała surowe ordynanse co do strzeżenia bram i czujnych wart na wałach, można się było bowiem spodziewać, że starosta lubelski nie da sobie bezkarnie wydrzeć prawej opieki i formalnym zajazdem zechce zdobywać fortecę.

Obawy te nie były płonnemi. Już w kilka dni infułat przez szpiegów dowiedział się, że w Łabuniach nie na żart zbrojono się na wojenną wyprawę. P. Jan porozsyłał listy do wszystkich przyjaciół, a przedewszystkiem wtajemniczył w całą

[1]) Rkp. Muz. XX. Czart. nr. 790, str. 61.

sprawę Mikołaja Potockiego, starostę Kaniowskiego, znanego w całej Rzplitej z zawadyackich zajazdów i awanturniczych czynów. Mikołaj Potocki nie zwlekając, przysłał mu 500 dobrze uzbrojonych hajduków i pułk dragonii z osławionym majorem Węgierskim na czele.

Ksiądz Trembiński widząc, że sprawa przybiera groźniejsze niż się spodziewano rozmiary, już się namyślać i wahać poczynał, czyby nie lepiej było, przejść na stronę p. Jana, zwłaszcza, że przy staroście lubelskim miał jako infułat według praw ordynackich zapewnione współopiekuństwo, a to przecie także nie lada interes, a może jeszcze lepszy niż z uzurpatorką p. Teresą, która każdej chwili mogła być z opiekuństwa zrzuconą. Wnet jednak prysły skrupuły chciwego księdza na myśl, że ordynatowa działa pod skrzydłem opieki królewskiej i że zajazd na Zamość układany przez star. lubelskiego, będzie tylko dowodem gwałtu, za który można pozwać pana Jana przed trybunał. To też postanowił już ręka w rękę iść z ordynatową i wyzyskując jej chwilową łaskę, wyrobił sobie całkowite kierownictwo w urządzeniu pogrzebu, do którego z wielkim nakładem czyniono przygotowania. Myśl naładowania kieszeni nie zawiodła go wcale. Za same Msze św. wystósował wygórowaną jak na owe czasy pretensyę na 500 tymfów, a pogrzeb cały urządził za 36.000 złp. jak się ze współczesnego rachunku dowiadujemy.

Starosta lubelski, chociaż nie sprzyjał partyi dworskiej, na łasce króla jednak wiele mu zależało, z czem się często w jego listach spotykamy, mimo więc zbrojnych przygotowań, działał z wielką ostrożnością i taktem. Wojska na zajazd Zamościa gotował, a równocześnie starał się wszelkiemi siłami wyjednać w Dreźnie »kasacyę« mylnie nadanych reskryptów.

W tym celu w osobnem piśmie przedstawił Augustowi III w głównych zarysach całość prawa ordynackiego, przyczem zwrócił uwagę króla, że Jan Zamoyski kanclerz wyraźnie zażądał, aby każdorazowy ordynat do lat trzydziestu był w opiece. Nie przepomniał i o tem, że nie ciężki to był warunek

tak długo czekać na ordynackie prawa i brać co roku po 40.000 zł., a potem wszystkie prowenta odebrać razem od opiekunów w gotowiźnie lub w skupionych dobrach.

Następnie wyłuszczył w pięciu punktach powody, dla których opieka należy się jemu, a nie wojewodzinie.

Punkta te były następujące:

1) Statuta i konstytucye koronne i prawo cywilne, nawet statut litewski na opiekuna dopiero wówczas zezwalają, kiedy ojciec dzieciom ani zapisanych, ani naturalnych opiekunów nie zostawi, lub jeźli ci ostatni nie są *capaces* opieki.

2) Jan Zamoyski pierwszy ordynat wszystkim potomkom swoim małoletnim naznaczył w ordynacyi swej opiekunów *agnatos* t. j. stryjów, proboszczów i burgrabiów zamojskich. Naznaczenie to stwierdzone zostało za życia jego dwoma konstytucyami sejmowemi.

3) Konstytucye koronne nie wspominają nigdzie, żeby naznaczenie opiekunów małoletnim należało do króla, lecz do sądu grodzkiego, ziemskiego lub do trybunału. A choć król miał moc, aby kuratele rozdawał, dołożono w konstytucyi (z r. 1638) zaraz tę klauzulę: *Salvo iure proximiorum.*

4) Zabroniło prawo damom mieć *iura communicativa* na starostwach pogranicznych z racyi fortec pogranicznych, że fortece w ręku dam być nie powinny. W dodatku fortecę zamojską przez Marcina Zamoyskiego dla Korony polskiej sejmową konstytucyą konserwować asekurowano (1674 r.). Wielka więc krzywda dzieje się Rzplitej, że tak ważny posterunek powierzono w ręce kobiety, nie mającej pojęcia o sztuce wojennej.

5) Toż prawo wzbrania niewiastom trzymać starostwa grodowe. A przecież w grodzie Szczebrzeskim, inkorporowanym przez konstytucyę do ordynacyi, sądzi się szlachta tego powiatu, nadto uformowany jest trybunał zamojski, z którego idzie apelacya do samego ordynata... »I to wszystko oddano damie!!« — kończy dokument.

Prawo tedy ludzkie i boskie zgwałcone — dodaje starosta lubelski — a przedewszystkiem prawo ordynackie. A przecież król przysięga na to, że prawa i przywileje zachowa i t. d...

Nim odpowiedź na to pismo nadeszła, starosta lubelski podstąpił z wojskiem pod bramy Zamościa i zażądał od wojewodziny natychmiastowego zdania miasta, dóbr i opieki. Ale pani Zamoyska nie dała sobie wspomnieć o jakichkolwiek układach.

— »Gwałt waszmość czynisz — kazała odpowiedzieć staroście — nietylko bezbronnej wdowie wobec zwłok brata, lecz razem i królewskim dyspozycyom, a to ci bezkarnie nie ujdzie«.

— Prawa wysłużone przez przodków dla domu mojego więcej mi znaczą niż rozkaz królewski — odparł starosta i zakazawszy ludziom swym pod karą śmierci jakichkolwiek nadużyć i strzelań, opasał wojskiem miasto i zagroził oblężeniem.

Daremnie sobie infułat układał, że p. Jan armatnimi strzałami zechce straszyć wojewodzinę, za coby go można przed sąd pozwać. Starosta bez jednego strzału tak odciął Zamość od reszty świata, że mysz się przez bramy przedostać nie mogła. Zagrożona niewiasta bojąc się przeniewierstwa komendanta załogi majora Kauna, który z tem się nie taił, że sprzyja staroście lubelskiemu, powierzyła generalną komendę infułatowi ks. Trembińskiemu. Tchórzostwo i bezradność księdza w sprawach wojennych, a jak się zdaje i nieposłuszeństwo załogi, jak niemniej i brak żywności w mieście odciętem od wszelkiej komunikacyi z okolicą, wnet zmieniły postanowienia wojewodziny. »Sama błąd swój uznawszy« — mówi współczesny rękopis — »fortecę otworzyć kazała i choć czas niemały trwała w jednostajnym umyśle, przecież zreflektowana konsekwencyami sobie przeciwnemi, swojej odstąpiła imprezy«.

Ks. infułat mimo generalnej komendy, nie pokazał się wcale, u bram bowiem na czele dragonii widzimy znowu da-

wnego komendanta v. Kauna, któremu starosta kazał sobie klucze miasta oddać. Major rozkaz ten »ogłosił przez bęben na wale i nietylko bramę otworzył, ale i szpadę sam oddał«. Wówczas starosta uszykowawszy przeciw bramy swe infanterye i dragonie, wydał rozporządzenie, aby wszyscy ludzie fortecznej załogi »distinctim każdy oficyer z swoimi ludźmi wymaszerował«, którzy gdy wyszli, »luboby gemeini za tę rebelię surowo i przykładnie powinni być karani«, »jednak miarkując, że to z przymuszenia czynili, zważając oraz zupełne onych z objęcia rządów starosty ukontentowanie«, nietylko im ten występek darował, ale z wrodzonej swej wspaniałości, po kilkadziesiąt czerw. złotych na każdą chorągiew rozdał. Następnie »leśnych« i polową dragonię do domów rozpuścił, a zwoławszy wszystkich oficerów zamojskiej załogi, oświadczył im, że dotychczasową służbę tracą, aby ich jednak nie krzywdzić, przyrzekł, że ich przeniesie z temi samemi rangami w inną prywatną lub królewską służbę. Potem nad garnizonem złożonym ze swych ludzi, oddał komendę majorowi Węgierskiemu, który natychmiast wszedł do fortecy i wartami ją mocnemi ubezpieczył.

Po tej wstępnej, energicznej akcyi, p. Jan z podkomorzym koronnym Kazimierzem Poniatowskim tudzież z księciem podstolim koronnym w licznej kalwakacie przyjaciół i wojska (towarzyszyło mu stu dragonów za karetą), wjechał do miasta a wstąpiwszy do fary na *Te Deum*, stamtąd udał się do wojewodziny.

Tu postąpił prawdziwie po rycersku. Powitawszy ją grzecznie, oświadczył, »że lubo z niektórych przyczyn sprawiedliwe ma urazy, jednak onych pamiętać niechce, owszem pragnie pokazania dowodu szczerej przychylności«. Wdzięcznem na pozór sercem przyjęła te zapewnienia wojewodzina i upewniła starostę, że »wolej rządu i dyspozycyi jego we wszystkiem słuchać chce i będzie«.

Nie obeszło się też bez komplementów ze strony podkomorzego koronnego, który przepraszał, jeżeli w zachodzą-

cych okolicznościach jako brat (żony starosty) interesując się, mógł ordynatową sobie narazić, upewniając oraz, »że JW. Imci P. Starosta wraz i z nim będą się umieli zasługiwać na przyjazne onej serce«.

Po tych ceremonialnych, pełnych uprzejmości powitaniach, starosta wraz z gośćmi poszedł na salę, gdzie ciało wojewody lubelskiego na katafalku »stało«, i tam »uczyniwszy *piam commemorationem* jego duszy, wrócili się wszyscy nazad do wojewodziny i powtórzywszy *ab utriusque* oświadczenia, pożegnali się i do Łabuń odjechali«.

Lecz była to tylko pozorna zgoda. Wojewodzina chwilowo się poddała, aby uwolnić Zamość od oblężenia a idąc za radą infułata i strażnika koronnego Antoniego Lubomirskiego, zaraz nazajutrz po oddaniu Zamościa, wniosła do grodu krasnostawskiego manifest, w którym srodze się użala »na wiolencyę p. starosty lubelskiego«.

Król dowiedziawszy się o tem wszystkiem i zmiarkowawszy, że tego rodzaju burza powstała z jego winy wskutek nieznajomości praw ordynackich i języka może pociągnąć groźne na przyszłość następstwa, osobnym aktem wydanym w Dreźnie 17. listopada 1751 roku odwołał i unieważnił dwa poprzednie swoje listy, nadające opiekę matce i księdzu Wodzickiemu, a tem samem przyznał zupełną słuszność prawym opiekunom t. j. Janowi Zamoyskiemu stryjowi, ks. infułatowi Trembińskiemu i burgrabiemu Fr. Dzierżanowskiemu łowczemu liwskiemu. Kasacya ta była odpowiedzią na list starosty lubelskiego, o którym dokumencie wyżej wspomniałem.

Wobec tak poważnego aktu królewskiego, jakikolwiek opór pani Teresy nie miał znaczenia. Musiała się chcąc niechcąc poddać prawom i uznać opiekunem p. Jana, poprzysięgła mu jednak zemstę i postanowiła go gnębić i nękać do żywego dopóty, ażby się dobrowolnie na jej rzecz zrzekł uprzykrzonej opieki.

Cała Polska w tych czasach podzielona jest na partye, których wzajemna nienawiść tamuje całą maszynę i wszelki

rząd Rzplitej. Po jednej stronie stoją Czartoryscy z Poniatowskimi czyli t. zw. familia, związani z królem i z Brühlem. Tworzą oni partyę dworską i dążą do opanowania wszelkich wpływów i zaprowadzenia rządnej monarchii dziedzicznej. Z drugiej strony stoją Potoccy, Tarłowie i inni magnaci, którzy z pomocą drobnej szlachty starają się staropolskie zasady republikanizmu zachować. Familia w tym czasie stoi u szczytu potęgi i znaczenia; ma kredyt i przewagę u dworu, swojemi promocyami rozdziela honory, urzędy i *panem bene maerentium*. Od dyktatury i absolutnej woli Czartoryskich zależy kilkadziesiąt tysięcy szlachty, których oni »promowują« na sejmach, sejmikach i w trybunale do funkcyi poselskich, deputackich, komisarskich a nawet marszałkowskich. Ta przewaga familii powoduje zacięty opór strony przeciwnej, która zrywa sejmy i trybunały.

Tę walkę i wzajemną nienawiść przeciwnych obozów postanowiła wyzyskać pani Teresa. Starosta jako prawy republikanin, choć szanował majestat królewski, nie sprzyjał jednak wcale Czartoryskim, mimo blizkiego z nimi pokrewieństwa. Były to te same powody niechęci, jakie później p. Jan okazywał koronowanemu szwagrowi swojemu Stanisławowi Augustowi [1]). Ordynatowa używała przeto wszelkich wpływów i sposobów, aby przez Czartoryskich trafić do Brühla i w oszczerczych listach uskarżała się srodze na wrzekome krzywdy czynione jej przez starostę lubelskiego. Miał z tego powodu p. Jan kłopotu nie mało — musiał się bowiem ciągle bronić i usprawiedliwiać za pośrednictwem podkomorzego koronnego, z którym wyłącznie z całej rodziny Poniatowskich w ciągłej zostaje korespondencyi i w więcej zażyłych stosunkach niż z innymi szwagrami.

Był to więc początek długiego sporu, w którym strony poważnione walczyły piórem. Pani Teresa robiła ciągłe doniesienia do przyjaciół a przez nich do króla, p. Jan zaś bro-

[1]) Patrz: Pamięt. Kaj. Koźmiana, tom I. str. 73.

nił się i usprawiedliwiał w listach do Poniatowskich, bolały go bowiem srodze oszczerstwa ordynatowej.

Jak już słyszeliśmy p. Teresa miała wszelkie wady lekkomyślnej i rozrzutnej zalotnicy. Rozpustni jej wielbiciele: a przedewszystkiem strażnik koronny Antoni Lubomirski, nieodstępny kapitan Bernhard i rozwiązły Francuz, guwerner młodego Klemensa, br. St. Paul, współubiegali się o łaski młodej pani w ten sposób, że narzucali jej rady i projekty mające na celu uzyskanie jak największej dotacyi rocznej u opiekunów, im więcej bowiem wojewodzina miała dochodów, tem lepiej dogadzać mogła swoim adoratorom. Ale tuż w bliskości Łabuń, pod argusowem okiem rządnego p. Jana broić bezkarnie, było niepodobieństwem. To też już z początkiem grudnia, a więc w dwa miesiące po śmierci ordynata, wyrobiła sobie u opiekunów pozwolenie na wyjazd z Zamościa. Wyjechała naprzód do Opola, gdzie rezydował strażnik koronny, skąd po kilkomiesięcznym pobycie udała się do Drezna, podając za powód wyjazdu, że pragnie, aby jej syn chował się przy królewskim dworze.

P. Jan przez wzgląd na ujemne wychowanie młodego ordynata, był przeciwny temu wyjazdowi, dla świętej jednak zgody dał zezwolenie (6. grudnia 1751 r.) nie żądając nawet zwrotu pożyczonych 1.343 czerw. złotych czyli 24.174 złp., którą to kwotę, darował jej na wyjezdnem »niby *iure belli*« za poddanie ordynacyi pod opiekuńskie rządy.

Pani Teresa nim jeszcze znalazła się w Dreznie u boku króla, rozpoczęła już w Opolu swą oszczerczą kampanię na wielką skalę. Wymownemi słowy zdołała zmiękczyć Brühla i przekonać króla o wyrządzonej krzywdzie, a echa tych skarg doszły wnet do Polski na dwór wojewody mazowieckiego i Czartoryskich, którzy odegrali rolę mediatorów w całej sprawie[1]). Między innemi zarzucała p. Janowi, że postąpił sobie

[1]) Jako mediatorzy i komisarze w tej sprawie naznaczeni zostali 28. listopada 1751 r. przez króla, prócz Aug. Czartoryskiego, wojewody

z nią szorstko i niegrzecznie, nie zaopatrzywszy jej należycie na tak daleką podróż, że zmuszona była wyjechać z Zamościa bez sprzętów i odzieży, niemal »bez koszuli«, że jej wydzielono na wychowanie syna za małą pensyę i t. d.

Że te zarzuty były kłamliwe, widzimy z listów Königsfelsa (pisanych po niemiecku zapewne do któregoś z mediatorów), który bawiąc podówczas w Zamościu, znał dokładnie całą sprawę, a jako należący do dymisyonowanych oficerów, nie miał powodu oszczędzać starosty lubelskiego; możemy przeto z całem zaufaniem wierzyć jego relacyom. Pisze on, że zarzuty jakoby starosta podczas wyjazdu z Zamościa z wojewodziną i ordynatem postąpił surowo, są nieprawdziwe, bo naprzód mimo niedyspozycyi zdrowia towarzyszył jej w podróży do Drezna podkomorzy koronny (Kaź. Poniatowski) uproszony przez starostę. Powtóre: wstawiała się pani Teresa za kapitanem Bernhardem, aby go podkomorzy w swej kompanii z tąż szarżą zatrzymał, z jaką wyszedł z Zamościa, na co p. Kazimierz się zgodził, z tym nawet dodatkiem, »że go każdej chwili ordynatowej odstąpić może«. Po trzecie: wojewodzina korzystając z poprzedniego przyrzeczenia, wyprosiła sobie, aby jej w podróży do Drezna tenże kapitan ulubieniec towarzyszył, czemu starosta lubelski nie sprzeciwił się, puściwszy go na oficerskie słowo pod warunkiem, że wkrótce wróci do kraju, przyczem mu jeszcze w dodatku (po czwarte) gażę wypłacił, jako kapitanowi dragonów zamojskich. Piąte: starosta pozwolił jej zatrzymać całkowitą służbę i przyrzekł, że wszystkim służącym zaległe od kilku lat zasługi wypłaci.

Co do skarg — pisze Königsfels — jakoby wyjechała »bez koszuli«, to jest to futrowane kłamstwo. Wypakowała ona sobie trzy wozy wielkim ciężarem, niesposobnym do tak dalekiej drogi. Najlepszym dowodem, że na tych wozach niczego

---

ruskiego, następujący dygnitarze: Adam Komorowski prymas, Michał Wodzicki podkanclerzy, Wacław Rzewuski wojewoda podolski, Józef Wolski kasztelan lubelski.

nie brakowało, była okoliczność, że po pogrzebie chciano oficerów zamojskich pamiątkami obdarować, nie znaleziono jednak w całym skarbcu ani pieniędzy, ani zegarka, ani tabakierki, lub jakiegokolwiek cacka. Infułat tylko dał im dwie tabakierki i kilka pistoletów i tem się odprawieni oficerowie musieli kontentować.

Żali się w listach wojewodzina, że jej kucharza aresztowano i okuto w kajdany. To prawda, ale ten kucharz jako poddany ordynacyi buntował resztę służby przeciwko staroście. Okuto go postępując wedle regulaminu starosty kaniowskiego, pamiętać bowiem należy, że komendanta zastępował wówczas p. Węgierski z pułku tegoż starosty.

Z listów tych niemniej dowiadujemy się o fałszywem i dwulicowem postępowaniu infułata, który obecnie gdy został wraz ze starostą współopiekunem, w oczy mu schlebiał i potakiwał, tajemnie zaś wojewodzinę przeciw niemu podburzał. Nie dość tego. Począł ks. Trembiński robić zabiegi i propozycye, aby wszelkie pieniądze z ordynacyi u niego składano, jako to czynsze z dzierżaw, od żydów i t. d., lecz starosta się temu sprzeciwił. Wówczas infułat żądał, aby mianowano osobnego komisarza, któryby wszystkie dochody pobierał i co kwartał przed opiekunami rachunki składał, tudzież żądał od p. starosty, »aby się mu opisał, że nic nie uczyni« bez ks. infułata i burgrabiego Dzierżanowskiego. Nieufność ta wzniecona z podszeptu wojewodziny, oburzyła do żywego p. Jana, który w osobnem piśmie broni się, że jest »*agnatus* (przyrodzony) opiekun, a jako pierwszy ma troiste do opieki prawa: jedno *sanguinis* (krwi), drugie *nominis* (nazwiska), trzecie *ordinantis legis* (prawa ordynackiego) i jeszcze prócz ordynackiego ma za sobą prawo uniwersalne i prawo króla, drudzy zaś dwaj mają tylko *legem ordinantem* za sobą, toć mają trzy razy mniej niżeli *agnatus*«.

Widzimy więc, że infułat sprzeciwia się staroście na każdym kroku. Cóż dopiero powiedzieć o narzekaniach i skargach, gdy wojewodzinie według praw ordynackich naznaczono

tylko 10.000 złp. rocznie na wychowanie syna. Niebo i ziemię poruszyła ona wówczas, aby tylko zmusić starostę do powiększenia tej dotacyi. Ale starosta trzymał się ściśle praw ordynackich, które tylko rezolucyą sejmową mogły być zmienione. To też mimo wstawiania się z Drezna osób wpływowych interesujących się tą sprawą, mimo próśb i żądań, aby zwiększono pensyę, przesłano srebra, garderobę i konie, opiekunowie na drugim kongresie z 31. grudnia 1752 r. uchwalili między innemi, co następuje: Pensyę naznaczono według praw fundatora, i tego nikt zmienić nie może, chyba rezolucye sejmowe.

...»Z drugiej strony miarkując tak wielką kredytorów liczbę, a z nią do miliona przychodzące długi, a najbardziej Imciów dworzan i różnej rangi dworskich ludzi tudzież kupców i rzemieślników, ani czeladzi czem płacić, ani czemby życie własne sustentować mogli, mających nieustanne o zapłatę rekwizycye, z trzeciej strony znając dobrze skarb Ordynacyi Zamoyskiej, nietylko próżny pozostały po śmierci JWP. Wdy, ale nadto dla powybieranych aż do przyszłego św. Jana przed czasem intrat, na exekwie, na podróż JWP. Wojewodzinie y inne nalegające potrzeby zadłużony, przeto z tych wszystkich oczywistych przyczyn nie więcej jako 10.000 złp. na rok od przeszłego Nowego Roku zaczęty do dwudziestego roku JWP. Wojewodzica naznaczamy. Że zaś JWPani Wojewodzina Lubelska do sumy 1.143 czer. złotych przed odebraniem rządu naszego opiekuńskiego pożyczonych, dobrawszy u JWP. Starosty Lub. czerwonych złotych 200, razem czer. zł. 1.343, na złote redukując sumę 24.174 złp. na expens dla JWP. Wdzica Lubelskiego wzięła, zaczem naznaczona pensya 10.000 złp. nieprędzej jak na przyszłe święto św. Jana Chrzciciela w roku teraźniejszym 1752 wypłacona będzie.

Żeby zaś ani sam JWP. Wdzic Lubelski, ani ktokolwiek imieniem jego długów na ordynacyę mimo prawa ordynackie y co do długów y co do opiekunów postanowionych, nieważył się zaciągać, manifest ostrzegający pilność w tej mierze

naszą, Imci Panu Kochanowskiemu regentowi Krasnostawskiemu uczynić zleciliśmy.

Co do srebra stołowego dla wygody P. Wojewodzica Lubelskiego zleciliśmy wydać z skarbu Imci P. Podskarbiemu na osób sześć t. j.: wazon jeden, salatyerek »przez« przykrywek cztery, półmisków pięć, tacę jednę, stućców par sześć, łyżkę od wazona jednę, łyżek płaskich dwie, które srebro przez znajdującego się tu w Zamościu p. Tepera spólnika do Warszawy, a stamtąd do Drezna transportowane będzie.

Co do garderoby y koni, ponieważ Pani Wdzina Lubelska pięć cugów wybrakowawszy w podróż do Drezna wzięła, część zaś garderoby z sobą wyjeżdżając z Zamościa wziąwszy, po resztę Jurgę kamerdynera pana Wojewodzica Lubelskiego podczas pierwszego kongresu naszego od d. 5. grudnia w roku przeszłym agitującego się z Opola do Zamościa przysłała, który kamerdyner opowiedziawszy się nam wszystkim podczas kongresu opiekunom, tęż garderobę w oczach Imci Pana Kąckiego y Imci Xdza Poziomkiewicza, Akademika zamojskiego, do wydania pomienionej garderoby delegowanych, zabrał, a jeżeliby nad zabrane znajdowały się tu jakowe rzeczy WImci P. Wojewodzica dla pozamykanych z woli JWImci Pani Wdziny Lubelskiej w osobnem złożeniu sepetów jej pieczątką przypieczętowanych informować się nie możemy, — przeto odesłanie reszty garderoby, jeżeli jaka się znajdzie, do powrotu JWImci Pani Wojewodziny odkładamy«.

Jan Zamoyski, jako stryj y opiekun.

X. A. Trembiński, Infułat zamoyski jako opiekun m. p.

Fr. Dzierżanowski Łowczy Liwski, jako opiekun m. p.

Jak z przytoczonego dokumentu widzimy, p. Jan wziął się ostro do rzeczy, aby w zarodzie stłumić lekkomyślne zachcianki niebacznej o przyszłość wdowy. W odpowiedzi jednak na te opiekuńcze uchwały, p. Teresa założyła protest głośny na całą Polskę, że się dzieje rzecz niesłychana w świecie, bo »oto ordynatowa Zamoyska z głodu ginie!«

Rozumie się, że wobec tych babskich wrzasków, starosta już w kilka miesięcy później zmuszony był zmienić front i zmoderować swoje uchwały, »byleby wojewodzina odmieniła tak przeciwny swój dla niego umysł«.

W liście pisanym z Łabuń 4. marca zapewne do wojewody ruskiego Aug. Czartoryskiego lub do marszałka koronnego Mniszcha skarży się starosta »w przydłuższej remonstracyi« na kłótliwą wojewodzinę, mieniąc ją »autorką wszelkich dotychczasowych wiolencyi«. Jej narzekania niemają racyi, p. Jan bowiem, jak donosi, zrobił z nią ponowną »rekoncylyacyą«, »w której się stara potrzebom synowca dogodzić, matkę zobligować, a przecież praw ordynackich nie naruszyć«. Oto, gdy się przekonał, że paragraf ordynacyi co do sustentacyi synów napisany, żadnym sposobem nie może być zmieniony, wziął do inszego sposobu pretekst z tegoż ordynackiego prawa z »addytamentu«, gdzie fundator opiekunom (wówczas Floryanowi Zamoyskiemu stryjowi i żonie jego Katarzynie Oborskiej) zaleca, aby po jego śmierci, »potrzebom jako najhojniej i jako najuczciwiej prowidowowali«. »Poparcie tego pretekstu« — pisze starosta — miałem z przykładu, że zmarła stryjenka moja, Tomasza ordynata starosty Grodeckiego żona (druga Antonina Zachorowska), klucz Krzeszowski trzymała w ordynacyi aż do śmierci. Ten tedy mając pretekst, widząc zarazem wielki wojewodziny dla syna afekt, (?) postanowiłem matce wydzielić 20.000 intraty, a wzięte przez nią na drogę przeszło 23.000 *(sic)* złp. gotowych pieniędzy, niby *iure belli*, przed poddaniem ordynacyi pod opiekuńskie rządy, pokryć amnestyą, żeby niepowiedziano, że przekraczamy prawo. Matka ma prócz tego intraty ze starostw po mężu najmniej 50.000, z wsi Kahołub i Garka 12.000 złp. Siedząc tedy w dobrach i nieekspensując nic, prócz na wino, korzenie i utrzymanie odpowiedniego dworu, czyż nie mogłaby się uczciwie sustentować, zwłaszcza kiedy to czyniła po śmierci pierwszego męża, niemając Płoskirowskiego i Tarnawadzkiego starostwa? Syn miałby te 23.000, co gotowe wzięto, miałby 20.000 na-

znaczone pod protekstem dla matki, miałby, 10.000 naznaczone przez prawo, toć 53.000, miałby więc na rok dość«.

W ten to sposób p. Jan i potrzebie dogadza i prawo ordynackie nie naruszone dla syna utrzymuje. To powinnoby mu matkę zobligować, a zarazem »prezerwować od wszelkiego narażenia się« Brühlowi, na którego łasce, jak pisze, bardzo mu zależy.

Tymczasem pani Lubelska, zamiast w Zamościu, siedzi w Opolu i wybiera się do Drezna, wydając znaczne sumy na utrzymanie ludzi i koni — skarży się starosta — na ustawiczne sztafety z wymyślonemi na niego kalumniami. W ten sposób wydała pani bratowa już więcej niż 500 dukatów i czerni starostę przed dworem zmyślonemi skargami, a wyekspensowawszy pieniądze, wymusza podwyższenie pensyi. Żali się przeto srodze, że te »szkodliwe intencye wojewodziny« dyskredytują go wobec króla i »Naj. Ministra«, z którym p. Jan zawsze ogromnie się liczy. — Z zakończenia tego pisma rzucającego wiele światła na całą sprawę widnieje charakter prawy, nieugięty nieodrodnego prawnuka wielkiego kanclerza, który sobie nad wszystko ceni klejnoty i przywileje domu Zamoyskich.

— ...»Piszesz mi WMPan — donosi starosta — że choćby opiekunowie najwyższą naznaczyli pensyę, mogą być bezpieczni, bo zawsze mogą się złożyć rozkazem W. król. Mci. Ale tu chodzi o całość prawa, które złamane za rozkazem, czy bez rozkazu pańskiego, zawszeby szwankowało. A wszak u nas jeden zły przykład więcej za sobą ciągnie konsekwencyi niż dziesięć dobrych, a gdyby w jednym punkcie pod pretekstem rozkazu pańskiego złamać krwią i życiem wysłużone dla Domu mojego prawo, za cóżby go w drugim i trzecim punkcie a nareszcie i całego nie można złamać! Przecież ani wszystkie punkta nie mają więcej waloru nad każdy jeden, ani każdy jeden ma mniej nad wszystkie; dla której konsekwencyi, gdyby miał być w teraźniejszej okoliczności (czego mi suponować się nie godzi) rozkaz Pański, abym mimo prawo w naznacze-

niu pensyi sobie postąpił, gorąco i pokorniebym suplikował z całą familią moją, aby mi był odpuszczony, ponieważ prowenta ordynackie są zawsze z nas tylko jednego, prawo zaś i fortuna całego Domu«. W końcu prosi mediatora tej sprawy, aby wojewodzina przysłała kwit z naznaczonej sobie pensyi na ręce swego marszałka i przyrzeka, że choćby miał na siebie dług zaciągnąć, 20.000 pośle synowcowi. »Wszak nie było przykładu — kończy — aby ordynatowa z głodu zginęła, byleby odmieniła tak przeciwny swój dla mnie umysł«.

Zdaje się, że na projekty podane w tym liście zgodziła się wojewodzina, i że na tem ustępstwie p. starosty zakończono spór o dotacyę.

Dla lepszego unaocznienia sprawy tudzież, aby zrozumieć, jakie starosta dla świętej zgody i dla uchronienia się od przykrych następstw uszczypliwego języczka p. Teresy robił ustępstwa, przypatrzmy się współczesnemu zestawieniu dochodów i rozchodów a raczej długów z ordynacyi zamojskiej.

Zestawienie to bardzo ciekawe i charakterystyczne, świadczące o wielkim bezrządzie i niezaradności najbogatszych panów polskich znajduje się w liście ks. Infułata do marszałka nadwornego (Muz. XX. Czartor. ręk. nr 790, p. 75) pod tytułem: Enukleacya intraty rocznej w ordynacyi Zamoyskiej za czas od 1. stycznia 1752 do 1. stycznia 1753 r.« W spisie dóbr poniżej przytoczonych znajdują się i dobra zastawne obciążone sumą 180.000 przeznaczoną na wypłacenie posagu (p. Jan po śmierci ordynata przekazany posag koniuszyny kor. sam sobie z dóbr strącił), włączono też tu dobra *modo gratuito* puszczone t. j. dożywotnie darowizny, »z których żadnej niemasz importancyi do skarbu«.

Z posiadłości ziemskich przynoszących dochody, w pierwszym rzędzie szły:

a) »Dobra w dzierżawach arendownych«, które przynosiły następujące intraty:

Zamek *cum attinenciis*	17.500 zł.
Łukowa	6.000 »
Rożaniec	6.000 »
Potok z Gożdem	5.000 »
Biszcza	12.300 »
Sól *cum attinenciis*	13.533 »
Hucisko Krzeszowskie przynosiło 2.200 do wytrzymania przez 2 roki	
Janów *cum attinenciis*	19.000 »
Kocudza	4.824 »
Goray *cum attinenciis*	13.000 »
Botorz *cum attinenciis*	7.000 »
Turobin *cum attinenciis*	18.000 »
Stary Zamość	6.000 »
Sulmcie *cum attinenciis*	2.922 »
Wiszenki	989 »
Józefowski partykularz z Izbicami	2.000 »
Horyszów	5.000 »
Huciska z Hulowem	1.500 »
Kawęczynek	700 »
Razem . .	146.268 »

b) Dobra stołowe w posesyi Skarbowej:

Zamoyska arenda z Sitańcem, Zdanowem etc. i wioskami przyległemi i czynszami, z nich	50.000 »
Tomaszów miasto *cum attinenciis* z arendami i czynszami	22.000 »
Józefów miasto z arendami i czynszami . . .	11.000 »
Zwierzyniec *cum attinenciis* z arendami i czynszami	10.000 »
Klucz Szczerbrzeski z arendami i czynszami .	21.666 »
Gorajec *cum attinenciis* z arendami i czynszami	6.433 »
Radecznica, partykularz a osobliwie arenda przy klasztorze OO. Bernardynów	3.200 »

Klucz Kraśniki z Wilkołazem	17.521 zł.
Klucz Krzeszowski *cum attinenciis* z arendami i czynszami	18.470 »
Klucz Tarnogrodzki *cum attinenciis* z arendami i czynszami	34.000 »
Z tych samych dóbr może być po defluitacyi *plus minus*	40.000 »
Stawy na rok importować mogą	15.000 »
Suma Percepty . .	249.390 »
Suma z Arend . .	146.268 »
Summa sumarum Intraty . .	395.658 zł.

c) Dobra zastawione *vigore* Konstytucyi:

Wyzianka,
Żabuś z Guzówką,
Mokre Lipie,
Latyczyn,
Iworyczów,
Nawóz z Kulikowem,
Bród Wołoski,
Werbkowce,
Bortatycze,
Chomęciska,
Jarosławiec,
Pniowek,
Lipsko,
Naklik *c. attin.*,
Lipiny *c. attin.*,
Jasiennik,
Część w Kamionce.

d) Dobra i Partykularze oficyalistom i Ziemianom *modo gratuito* puszczone:

Wieś Złociec,
» Obrocza,
» Zarudzie,
Wójt. Sitawieckie,
» Grodziszowskie,
» w Goraju,
Part. Stopinki,
» w Kraśniku,
Partykularze dwa w Deszkowicach,
Part. w Wieluńczy,
» w Złoćcu,
» Roguźno,
» w Mokrem,
» w Kamionce,
» w Kalinowicach,
» w Huszcze,
» w Czermiencinie,
Partykularze dwa w Tarnawie.

Sumy do wypłacenia:

Od Imciów pp. Dzierżawców *in vim* dalszej dóbr tenuty, a od drugich pożyczonym sposobem wybrał skarb dawniejszy przed czasem	84.000 zł.
Na garnizon Zamoyski: dragonią, husaryę nadworną z oficerami	60.000 »
Dla różnych oficyalistów jako to: ekonomów, rządców, pisarzów prowent., archiwistów, plenipotentów, leśniczych, podleśniczych, stajennych, czeladzi folwarcznej i fabrycznej .	35 000 »
Zasług dworskim i różnym oficyalistom i administratorom już poprzysiężonym, od lat kilku zatrzymanych	60.000 »
Długu osobliwego na Ordynacyę zaciągnionego na wypłacenie posagu JW. P. Podkomorzynej Litewskiej	180.000 »
Kupcom warszawskim, wrocławskim, lipskim, gdańskim y różnym rzemieślnikom według ich kart y asekuracyi *debetur*	200.000 »
Samej Kapitule i Akademii Zam. przez lat kilkanaście prowizyi zatrzymanej	96.000 »
Kontynuacya fabryki Zamku Zamoyskiego będzie kosztowała *ad minimum*	60.000 »
JW. Pani Wdzinie Lubelskiej *vigore* obligacyi co rok	20.000 »
Expensa pro suffragiis animae, kondukt, msze, wigilie, dzwony etc.	36.000 »
Summa generalis do wypłacenia . . .	831.000 zł.

Z zestawienia przeto intraty z sumami do wypłacenia (831.000 — 395.658), stan majątku Ordynacyi Zamoyskiej po śmierci ordynata okazuje deficytu 435.342 złp.

Na końcu zestawienia znajduje się jeszcze następujący dopisek: »Na drogę do Drezna JW. Ordynatowi, na sprawy po grodach i Trybunałach *non includitur*. Więcej dłużników y pretensyi przyszły pokaże kongres«.

Z bilansu tego nie trudno wywnioskować, że przy tak smutnym stanie majątkowym ordynacyi p. Jan jako rzetelny opiekun musiał się rachować z wydatkami i chcąc jaką taką schedę synowcowi zapewnić, nie mógł wojewodzinie zezwalać na trwonienie pieniędzy za granicą.

Jeszcze jednak ta burza o roczną pensyę nie przebrzmiała, a już się rozpoczęły nowe zatargi i kłótnie o guwernera młodego ordynata, br. St. Paula. Tu infułat Trembiński szedł zgodnie za zdaniem starosty i obaj uparli się, aby młodemu Klemensowi dać lepszego nauczyciela, Francuz bowiem St. Paul wywierał na dziecko najszkodliwszy wpływ. Oto cały szereg zarzutów czynionych mu przez opiekunów: 1) Rozwiązły p. Paul prowadził z uczniem nieobyczajne dyskursy »nie bez zgorszenia dworzan« [1]), a cóż dopiero młodziutkiego ordynata. 2) Francuz ten w wielkich był faworach u nieboszczyka ordynata, z namowy przeto wojewodziny, »podawał mu za życia tego ostatniego niesumienne asygnacye do podpisu na większe zadłużenie«. 3) Do dworu najwięcej zawsze promował i protegował lutrów i kalwinów i dla nich wyrabiał pensye. 4) Przez czas »gubernii« swej, raz go tylko widziano, jak się komunikował i właściwie niewiadomo, jakiej jest wiary. 5) Nabożeństwa zaniedbywał. 6) Baroństwo samo dlań u cesarza wyrobione, sprowadzenie żony z Paryża i odwiezienie jej z powrotem kosztowało na sto tysięcy. 7) Nakłonił

[1]) Dwór pani Lubelskiej był liczny i okazały, a wyobrażenie o nim będziemy mieli tem lepsze, jeżeli przeczytamy cały szereg jej służby, przytoczony poniżej ze współczesnego rękopisu. Dwór ten składały następujące osoby: »Panna Wolska, dama pani Lubelskiej, Zofia pokojowa, ks. Chojnacki Pijar teolog, ks. Maciej Bernardyn teolog, Imci p. Bereyter, p. Borzęcki marszałek dworu, Żerzyński dworzanin, Radziminski dworzanin, Kempiński dworzanin, Kaznowski podkoniuszy, Bujnowski pisarz, Johan kamerdyner, Jurga kamerdyner starosty Płoskirowskiego (czteroletni Klemens miał ten tytuł), Elblich felczer nadworny, Stefan lokaj, Krystyan strzelec, Sakiewicz kucharz, Jakób kucharz, Józef kredencarz, pachołków dwóch, Wojciech mastalerz, stangretów 5, forysiów 5, furman 1, leśnych 2 w drogę, stróż nadworny: Sebastyan«.

ś. p. ordynata do opresyi ludzi i do łamania praw, po cudzoziemsku wmawiając w niego, »że po Bogu wolno mu co chcieć uczynić«. 8) Obrażał starostę lubelskiego niezważając, iż jest stryjem rodzonym i najpierwszym opiekunem, a tem samem 9) psuł serce i powinną konfidencyę młodego ordynata do stryja, którego już *inhabitavit ad perpetuum odium* ku imieniowi i krwi własnej Zamoyskich. 10) Z Drezna listami animował wojewodzinę, aby się do ostatniego broniła, fortecy nie otwierała i opiece starosty się nie poddawała. 11) i 12) Przywiązanie nadzwyczajne ordynata do niego stąd pochodzi, że mu na wszystko pozwala, przez co go psuje i prerogatywom opiekunów ubliża. Sumpt wydawany na tego nauczyciela jest niesłychany, wynosi bowiem do 400 czerwonych złotych rocznie, w dodatku trzyma on wieś znaczną dożywociem, bez wszelkiej do skarbu importancyi, »a przecież za mniejszą sumę może być inny lepszy guwerner«.

I mimo wielkiego oporu wojewodziny, opiekunowie projektują na to miejsce ks. kanonika Kochanowskiego »godnego profesora« Akademii Zamoyskiej, »któremu i kasę na expens konfidować można, który nauczyć może łacińskiego języka i statystycznych sensów« oraz po francusku umie mówić, a w przykładności życia jest wypróbowany. Ma on dziś tem więcej do tego prawa, że i przez nieboszczyka był do tejże funkcyi przeznaczony, »ale dla absolutnego rządu natenczas mr. St. Paula tej subjekcyi podjąć się nie chciał«.

Trudno z papierów pozostałych wywnioskować, jak się ta kłótnia skończyła, domyślać się jednak należy, że mra St. Paula wobec tak poważnych zarzutów z posady usunięto, przyczem dano mu zapewne krociowe odczepne i wieś, o której była mowa, w dożywocie.

Dalsze losy ósmego ordynata Klemensa znane są skądinąd [1]). Wiadomo jak zgubne za sobą skutki pociągnęło tak

[1]) Złota księga Szlachty polskiej: Zamoyscy.

spaczone wychowanie. Uczyniło go fizycznym i moralnym niedorostkiem. W 19 roku życia ożeniła go matka dla poprawy interesów z jedną z najbogatszych i najpiękniejszych panien w Koronie, z Konstancyą księżniczką na Korcu Czartoryską, lecz to wczesne małżeństwo zabiło wydelikaconego panicza. W rok po ślubie umarł bezpotomnie, a ordynacya przeszła na stryja z rzędu najstarszego, znanego nam p. Jana Jakóba Zamoyskiego, który później (w r. 1780) zrezygnował z ordynacyi na rzecz brata Jędrzeja, sławnego ex-kanclerza koronnego.

Na zakończenie, jeszcze jedna mała uwaga. Rzecz dziwna i godna zastanowienia, że w czasie, gdy sprawa ordynacyi ostrogskiej zaprzątała umysły wszystkich, niemniej ciekawe spory ordynacyi tak ważnej u nas jak zamoyska, przebrzmiewają bez echa i nie ma o nich żadnej wzmianki ani w historycznych podręcznikach, ani w genealogii domu Zamoyskich. Powodem tego jest zapewne okoliczność, że w sporach ordynacyi ostrogskiej brały udział dwa wrogie sobie stronnictwa, kierujące nawą Rzplitej, podczas gdy nieporozumienia w XVIII w. o zamoyską ordynacyę toczyły się w łonie samej rodziny, która tych familijnych kłótni o posagi i opiekuństwo niepoczytywała sobie za zaszczyt i umyślnie milczeniem je pominęła. Dziś inaczej pojmujemy badanie przeszłości. To też odsłaniając ten rąbek historyi zasłużonego skądinąd rodu, uzupełniamy tylko obraz wieku i ludzi, w niczem sympatycznemu i nieskalanemu nazwisku Zamoyskich nieubliżając.

Czytelnia Włościańska w BIERZANOWIE

Jak żydzi zrywali Sejmy

Szkic historyczny z XVIII wieku.

Ruch antyżydowski w przeszłości historycznej objawiał się w niektórych państwach Europy bardzo jaskrawo. Dość przytoczyć dla przykładu czasy inkwizycyi hiszpańskiej i okrucieństwa tej czysto świeckiej instytucyi, wywołanej dążeniami do obsolutnej monarchii i reakcyą przeciw nadużyciom żydowskich macherów w Hiszpanii. Wiadomo bowiem, że Ferdynand aragoński, aby swe plany absolutnej monarchii urzeczywistnić, tudzież aby poskromić żydów, którzy szkalowali religię chrześcijańską i wspierali zamachy rewolucyjne pozostałej garstki Maurów, użył religijnej i narodowej nienawiści semickiej do wyjednania u Sykstusa IV w r. 1478 brewe, którem papież upoważnił króla hiszpańskiego do utworzenia inkwizycyi.

Z początku z brewe tego nie robiono użytku. Wtem jakiś żyd napisał broszurę pełną jadowitych uwag o wierze katolickiej. Ferdynand skorzystał z tego wypadku i zamianował dwóch Dominikanów, kreatury sprzyjające jego dążnościom, inkwizytorami królewskimi. Rozpoczęły się prześladowania i konfiskata dóbr, a papieże okrutnem postępowaniem inkwizycyi oburzeni daremnie potem usiłowali przygasić rozdmuchany płomień. Królowie hiszpańscy uparcie utrzymywali, że bronią wiary i pod osłoną religii urzeczywistniali hasła monarchizmu.

Okrucieństwa te wywołane głównie przez opór i rewolucyjne dążenia żydów nie miały nic wspólnego z Kościołem, jak to nieraz daje się słyszeć, ale było to pod maską obrony religii narzędzie władzy świeckiej, ukute dla przeprowadzenia unifikacyi państwa tak pod względem religijnym jak i politycznym [1]).

Straszne sądy, których opisy dreszczem oburzenia przejmują, trwały aż do początków naszego stulecia, a ile szkody zrządziły, o tem świadczy całkowity niemal upadek Hiszpanii. Nadużycia żydowskie w pustynię zamieniły jedno z najbogatszych państw europejskich.

Kiedy mowa o zniszczeniu kraju przez żydów, mimowoli przychodzi na myśl Polska, gdzie od najdawniejszych czasów znajdował ród semicki najodpowiedniejsze środowisko do wyzyskiwania ciemnych mas włościaństwa, niezaradnej szlachty i wygodnego duchowieństwa.

Polonia paradisus iudaeorum — oto sposób mówienia od niepamiętnych czasów u nas przyjęty, a nikt nie zaprzeczy, że przysłowia, ów wykwit mądrości i doświadczenia całych pokoleń, to jeden z najpoważniejszych dokumentów do wyjaśnienia przeszłości narodu.

Żydzi polscy uważani zawsze za naród niewolniczy w dawnych wiekach nie mogli się w niczem mięszać do spraw Rzplitej, w miarę jednak polepszenia ich materyalnego bytu już z końcem XVII wieku są oni tak wielką potęgą finansową, że jak dawniej Wierzynkowie lub Bonerowie, tak obecnie żydowscy faktorzy są nadwornymi bankierami, a choć nie mają głosu w radach municypalnych ani w sejmach, niejednokrotnie przekupstwem, udzielaniem kredytu i pożyczek na lichwę wpływają potajemnie na rozstrzyganie losów całej Polski.

Wzmożenie się żydów dochodzi do niebywałych u nas granic za obu Sasów (Augusta Mocnego i III), kiedy z krzy-

[1]) Adam Morawski: Ze skarbnicy wiedzy i prawdy str. 218.

wdą miast i miasteczek pochwycili oni w ręce wszystek handel z naruszeniem praw i przywilejów nadanych przez dawnych królów chrześcijańskim kupcom i mieszczaństwu.

Wobec krętactwa, lichwy i bezczelnego oszustwa, podobnie jak dziś, nie było mowy o utrzymaniu z nimi konkurencyi. Prócz wielkiego i małego handlu, trudnili się przemysłem, rzemiosłami, trzymali wielkie dobra w dzierżawie, arendowali karczmy, a na Rusi i Ukrainie dzierżawili nawet cerkwie dysunickie i wszelkie śluby, chrzty, pogrzeby odprawione być mogły w takich miejscowościach dopiero za opłatą kwitu u żyda, który po otrzymaniu zdzierczego haraczu, wydawał klucze do świątyni pańskiej. Wzmianki o tego rodzaju nadużyciach nie są czczymi wymysłami, lecz smutną, rzeczywistą prawdą, której wina spada niestety w znacznej części na naszą szlachtę. Wśród gwałtów, jakie w pierwszej połowie XVIII stulecia po różnych miejscach ponosili dysunici, czytamy między innemi taką notatkę: »Kapłani grecko-ruscy mieli wolność bez kwitów śluby dawać, chrzty y pogrzeby odprawować, a teraz gdy Imci panowie Possesorowie puścili żydom w arendy dobra y fortuny swoje, muszą bez wszelkiej dystynkcyi ciż grecko-ruscy kapłani y inni do tej konfesyi znający się żydom, arendarzom kwitowe płacić y inne ponosić zdzierstwa«...

Skargi zanoszone przez dysunitów do Augusta III i do Sejmu przygłuszali uniccy władycy i szlachta, którzy nieraz chętnie zezwalali na ucisk i krzywdy dysunitów, a nawet sami w swej fanatycznej zapamiętałości nie przebierali w środkach krzewienia unii z wielką szkodą dla tej ostatniej. Że przymus chybił celu, o tem świadczą dzieje. Ale powróćmy do żydów.

Aby zrozumieć ich niesłychany wzrost i pokątne oddziaływanie na sprawy polityczne współczesnej Polski, trzeba mieć na oczach, że były to czasy ogólnego zamętu, który jak zwykle ludek Izraela wyzyskiwał dla własnych celów. Przez cały ciąg trzydziestoletniego panowania Augusta III, ani jeden Sejm z wyjątkiem t. zw. pacyfikacyjnego (1737) nie przyszedł

do skutku, następstwem zaś tego ciągłego zrywania obrad sejmowych był rozstrój w państwie tak wielki, iż już wówczas łatwo przewidzieć można było, że dni Rzplitej są policzone.

Na rozbicie Sejmów wpływały głównie: przedajność posłów, przekupstwo żydów i chęć wyniesienia pojedynczych magnackich rodów.

Z początku Czartoryscy dążyli do tronu wsparci potęgą zaślepionego na ich dążenia Brühla i ospałego Augusta, to znowu Józef Potocki w. hetman i wojewoda kijowski, jak drugi Zebrzydowski, z pomocą konfederacyi jeneralnej marzy o koronie, a podobne intencye kultywują Radziwiłłowie, Braniccy, Poniatowscy a nawet Tarłowie, w pośród zaś całego zastępu pretendentów niedoszły Stanisław Leszczyński wsparty protekcyą swego teścia Ludwika XV po raz trzeci ma niechybną nadzieję, że się ustali na ojczystym tronie.

Z tych możnowładczych zabiegów, z ogólnego zamętu i demoralizacyi magnatów i szlachty korzystają w pierwszym rzędzie żydzi, którzy za pomocą przekupstwa dyktują lub kreślą prawa Rzeczypospolitej, zrywają Sejmy, zagarniają na wyłączną własność handel i przemysł polski, szerzą lichwę, jednem słowem zgraja pół miliona pasożytów łowi ryby w mętnej wodzie, znalazłszy dla siebie wymarzone i od wieków upragnione środowisko do wszelkiego rodzaju nieuczciwych wyzysków.

O tej nieuczciwości żydowskich macherów XVIII wieku w Polsce znajdujemy dotąd tylko ogólnikowe wzmianki w dziejowych podręcznikach, nasi historycy bowiem uwzięli się, aby dyskretnie zakrywać i osłaniać brudy, za które odpowiedzialni są praojcowie narodu. I tak w jedynej większej »Historyi XVIII wieku« H. Schmitta, prócz kilku ogólnych frazesów, jak np., że w 1738 r. Sejm zmarniał na sporach, »a zaraz po rozejściu się jego mówiono głośno i wszędzie o tem, że żydzi, na których według projektu pomnożenia wojska miano większe nałożyć podatki, poprzekupywali niektórych posłów a nawet senatorów« (str. 125) — bliższego wyjaśnienia tego nad wy-

raz smutnego objawu upadku cnót obywatelskich w Polsce nie znajdujemy.

A jednak choćby dla wyświecenia prawdy, dla ukrócenia dzisiejszych nadużyć i żydowskiej demoralizacyi warto zaglądnąć do zbutwiałych rękopisów i pamiętników ukrytych po archiwach przed okiem szerszego koła czytelników, aby odsłonić tę jadowitą ranę, która od wieków toczy organizm naszego społeczeństwa. Z dokumentami w ręku przypatrzmy się bliżej tym czasom, aby tem lepiej zrozumieć objawy współczesnej reakcyi antysemityzmu XVIII wieku, przeciw nadużyciom żydowskim.

Nie da się zaprzeczyć, że prócz żydów poselstwa zagraniczne niemało się przyczyniały do rozbicia sejmów, sąsiadom bowiem naszym zależało bardzo na tem, aby przez aukcyę wojska, nie wzmogły się siły dogorywającego narodu. Bądź co bądź, trzej najwięksi wrogowie Polski: żydzi, Moskwa i regnant pruski, ojczyznę naszą pozbawioną wszelkiej obrony usypiają judaszową zapłatą »w słodkim pokoju, niedotkniętym żadną imprezą«.

Znajdują się wprawdzie wśród ogólnego zepsucia i odrętwienia narodowego ludzie żądni naprawy skołatanej nawy ojczystej, ale nawoływania ich są głosem wołającego na puszczy. Reformatorzy ci napominają w bardzo wymownych słowach do poprawy obyczajów i jedynie w pomnożeniu sił wojennych widzą odwrócenie grożącego niebezpieczeństwa. Narzekają, że »Sejmy duchem postronnych sąsiadów i żydów natchnione, ich pieniądzmi paradują, wielu pobiera pensye roczne z ochydą imienia polskiego«. Żądają koniecznie aukcyi wojska z pomocą podniesienia opłat i podatków, a mianowicie: czopowego i szelążnego, a głównie podwyższenia t. zw. pogłównego od żydów, redukcyi kwarty według sprawiedliwego otaksowania królewszczyzn, domagają się opłat z monopolu papierowego, tytoniowego, tabacznego, młynowego etc. Rachują, że w Polsce jest 225.000 wsi, miasteczek i miast, w których przeciętnie idzie na tydzień po jednej beczce piwa

i po spuście wódki; a że od piwa płaci się po 10 gr., a od spustu wódki po 20 gr., liczą tedy, że roczne opłaty z samych szynków (czopowe) dałyby 11,250.000 złotych.

Teraz dopiero zrozumiemy opór i przekupstwa ze strony żydów. Niemal wszystkie z tych podatków z wyjątkiem kwarty, którą opłacała szlachta, odnosiły się do nich, oni bowiem dzierżą w tym czasie cały handel, a wszystkie szynki i karczmy a nawet znaczną część realności ziemskiej trzymają w arendzie. Arendarz wprawdzie nie płaci podatku, którego opłata należy do właściciela, lecz z podniesieniem opłat podatkowych podnoszą się i czynsze płacone właścicielom przez żydów.

Ze wszystkich tych opłat największy jednak opór stawiali oni bezpośredniemu podatkowi wymierzonemu na żydów, czyli tak zwanemu »pogłównemu«.

Z zapisków roku 1739 (Muzeum Czartoryskich ręk. nr 590) widać, że żydzi koronni wnosili do skarbu z pogłównego tylko 220,000 złp. rocznie, mogli zaś wnieść bez najmniejszego przeciążenia z litewskimi żydami 4 miliony złotych polskich. W Koronie i w Litwie jest w tym czasie żydów gospodarzów t. j. zagospodarowanych, żonatych 550,000, »licząc tedy gospodarza na gospodarza, aby dał złp. 8, wyniesie 4½ miliona«.

Łopacki, kasztelan zakroczymski, w liście przedsejmowym do króla radzi nawet podnieść tę sumę: »Żydów — pisze on — w tym kraju jest srodze wiele, gdyby każdy żonę mający dał na rok czerwony złoty (dukata), niemałąby wyniosło sumę pięćkroć sto tysięcy czer. złotych, jeżeli nie więcej«.

Tymczasem cóż robią żydzi, aby uchwaleniu pogłównego zapobiedz? Oto zbierają między sobą składki i przed każdym Sejmem przeznaczają 150.000 złp. na przekupienie posłów. (Patrz niżej list biskupa kijowskiego Ożgi z r. 1745).

Jeden, a już dla pewności dwóch przekupionych posłów czy senatorów starczyło, aby założeniem *liberum veto* a raczej *liberum rumpo*, jak w owych czasach humorystycznie

się wyrażano, zerwać obrady, a tem samem zbliżyć naród cały nad przepaść upadku. Ale im większy chaos w Rzeczypplitej, tem lepszy interes dla żydów.

Tymczasem z pośród senatorów każdy w inny sposób ratuje Ojczyznę, a interes publiczny z prywatą równając, wolność identyfikują możni z swawolą czyli z wolnością robienia, co się tylko podoba, jeżeli... się ma siły po temu.

I tak Józef Potocki promowuje, jak wyżej wspomniano, konfederacyę, a nie brak dowodów, że St. Leszczyński od r. 1739 zostaje z nim w stosunkach i z jego pomocą na nowo dobija się tronu.

Hasło konfederacyi jeneralnej wywołuje okrzyk zgrozy i oburzenia w szeregach partyi przeciwnej t. j. dworskiej i Czartoryskich. Zwolennicy króla wraz z ministrami unoszą się nad Augustem, który »swobody i wolności w słodko zasypiającej po trudach Ojczyźnie utrzymuje« (dodajmy paląc fajkę, popijając piwo i strzelając psy z okna) a »dla ukontentowania narodu wiernego, słodkiem widzeniem najjaśniejszej swej twarzy zjeżdża corocznie do Wschowy« na rady Senatu kończące się na bombastycznych gadaniach i na pogrążeniu w apatyi czołobitnej a żądnej wakansów *et panem bene maerentium* magnatów.

Pod hasłem: »mówić, co rozumiesz, rozumieć, co chcesz« opierają się zwolennicy króla stanowczo konfederacyi, a dzielnie im sekunduje Nestor senatorów polskich, rozjemca w najtrudniejszych sprawach, kardynał Lipski, biskup krakowski.

Potoccy przytaczają dla przykładu konfederacyę tyszowiecką, która zbawiła Ojczyznę. Przeciwnicy krzyczą: To co innego, bo za tyszowieckiej niebezpieczeństwo ze wszystkich stron było wielkie i naówczas ziściło się na Polakach przysłowie: że »Szwedzi zdarli z nich kontusze, Moskwa żupany, Brandenburczyk czapki, Rakocy buty, Kozacy spodnie, na ostatek tyszowiecka konfederacya mocno oparła się przy koszuli i tym opornym zamachem ocaliła bezpieczeństwo w Ojczyźnie, oczyściwszy się z wszystkich nieprzyjaciół«.

Podobnie i sandomierska (za Augusta II) musiała być na urządzenie rozerwanego przez Szwedów porządku; ale teraz co za przyczyna podobnych konfederacyi!?

Wprawdzie konfederacya jest to zjednoczenie serc, zdania i umysłów ścisłym spojone obowiązkiem przy chwale boskiej, majestacie pańskim, przy utrzymaniu praw, swobód i wolności!

»Ale obecna to nie zjednoczenie, lecz rozjątrzenie między familiami! Kto ją radzi, zamięszania pragnie na podstawie szwedzkich zobowiązań i chce pole otworzyć sąsiedzkim wojskom w ojczyźnie do wojny, a przez to nie miłośnikiem, ale zgubicielem ojczyzny się nazywa!«

...»Niech tedy miłośnik ojczyzny mózgu rozumnych Polaków nie zamydla, bo jest on przywódcą do własnych zysków i pragnie zaprzedać wszystko dobro ojczyzny!«

...»I czemuż tedy ojczyzna — kończy przeciwnik Potockich — nie ma zasypiać błogim snem, kiedy wszystkie państwa wokoło wojną zaprzątnione, a ona tak pięknem bezpieczeństwem opatrzona?! A jeżeli wojsko za szczupłe na wielkie granice, to czyż nie mamy pospolitego ruszenia! alboż nie bywa corocznie lustracya jego po województwach, alboż przy tych popisach nie jest każdy senator zawsze gotowy do batalii, a ziemianin dostatecznym do trybu wojennego opatrzony porządkiem!«

Oto nawoływania zaślepionych reformatorów, którzy mimo swej stronniczości nie przeoczają wcale w odezwach, że powodem zerwania przeszłego sejmu są »pensye od monarchów, nieoddawanie kwart z królewszczyzn lub uszczuplanie tychże, manutencya żydów niewiernych, prywatne niezgody i łakomstwo posłów!«

Umyślnie przytoczyłem w wyjątkach jednę z licznych współczesnych odezw wrzaskliwego stronnika partyi dworskiej, aby tem lepiej uwidocznić chaos i zamięszanie w kraju, owo mętne środowisko, w którem polski żyd poruszał się swobodnie, jak ryba w wodzie. Ziemianin czy senator w chwili po-

litycznego zacietrzewienia, ciągłych sporów i gardłowania nie miał czasu doma gospodarować, puszczał przeto żydowi w dzierżawę oborę, młyn, karczmę, orną ziemię, a nawet cerkiew, oddawał mu często rząd domu, powierzał komisarski urząd, sam zaś wysiadywał na dworze Potockiego, Brühla, Radziwiłła lub w Dreznie przy boku króla, lub pędził życie na sejmikowych wrzaskach, libacyach i przyjacielskim chlebie.

Zbliżał się czas następnego Sejmu w październiku 1740 r. Wszyscy spodziewali się ratunku i poprawy zagrożonych swobód ojczystych. Król w czerwcu zwołał radę senatu do Wschowy, rozpisał uniwersały i listy okólne, na które senatorowie przedkładali monarsze swe plany i piekące sprawy do załatwienia na Sejmie. Z listów tych widnieje rozpaczliwy stan ówczesnej Polski, a odpowiedzialność spada znowu między innemi i na żydów.

Oto, co poważny senator, 70-letni biskup kijowski, Samuel z Ossy Ożga pisze do króla z Chołojowa 23. maja 1740 r.:

»Najjaśniejszy Miłościwy Królu, Panie Nasz Miłościwy! Nietylko wierni poddani W. K. Mci, ale cały świat *superabundanter* widzi *tantam curam et sollicitudinem* dla całości państwa swego, a Ojczyzny naszey, y tak wielkie starania *circa bonum publicum*. Złożyłeś W. K. Mość Sejm sześcioniedzielny *in tempore* prawami opisany, wydałeś do nas *circulares*, daj Boże *felicissimo eventu* dla ukontentowania łaskawego serca pańskiego, za co z najgłębszą pokorą podziękowawszy W. K. Mci *vilem sensum meum* na rozkaz pański *aperio*.

Jakoby miała utrzymać się *securitas externa*, nie widzę inszego środka, bo lubo W. K. Mość y Rzplita tak dobrą harmonią utrzymujesz z wielką krzywdą swoją y państwa swego z potencjami sąsiedzkiemi, że nas jednak widzą *inermes* żadnych sił niemających do rezystencyi, ranią tak często dobrotliwe serce pańskie, życzyłbym przeto aukcyę wojska porządnej i licznej infanteryi i dragonii *sine quo nihil* Najj.

Panie. Gdybyśmy najświętsze znajdowali racye utrzymania bezpieczeństwa na zewnątrz, zapatrując się na licencyę dawną i świeżo wypraktykowanych eksorbitancyi sąsiedzkich potencyi w państwie W. K. Mci, żadnym sposobem temu *mederi* trudno, póki sił *ad resistendum defensive* mieć nie będziemy. Choćbyś W. K. Mość chciał wziąć aliansę z jaką potencyą sąsiedzką, mało to apprehendować będą bez sił i należytego wojska; mogłaby być *medicina peior morbo*.

Utrzymanie *securitatis internae* przy najpożądańszem zdrowiu te Sejmy stanowią, które że *irrito* rozchodzą się *eventu*, potrafi temu zaradzić powaga W. K. Mości. Tać jest nieszczęśliwość, że sąsiedzkie potencye nie chcąc nas widzieć w dobrym porządku *securitatis internae*, siła na to łożą, aby prace przy hazardach zdrowia tak potrzebnego W. K. Mci y usilne usiłowania na Sejmach, nie przychodziły do pożądanego skutku. Nie tak się dziwuję postronnym potencyom, że nas zawsze chcą widzieć bez porządku, boć z tego siła profitują, ale jako *publica fama volat*, że żydzi polscy siła przeszkodzili przeszłemu Sejmowi, żeby nie doszedł; masz W. K. Mość Pan Mój Miłościwy moc i władzę panowania swego zażyć nad tym chytrym narodem, zabieżeć tym inkonweniencyom.

Ruina miast w państwie W. K. Mci inaczej się reperować nie może, póki żydzi handle wszyskie mieć będą, które wszystkie odebrali katolikom, przy protekcyach tak mało *contribuendo ad aerarium publicum*, wszystkie niemal miasta W. K. Mości poosiadali z złamaniem praw i przywilejów nadanych Chrześcijanom od królów, panów i antecessorów W. K. Mości...«

Na Sejmie obecnym już sesye prowincyonalne zgodziły się między innemi na podatek konsumcyjny, na zwiększenie pogłównego żydowskiego, na cło jeneralne, na wydobywanie rzetelnej kwarty etc. i zdawało się, że obrady skończą się najpomyślniej. Niestety, Sejm ten, jak i poprzedni rozbił się o żydowskie pogłówne w czasie bardzo niebezpiecznym, bo

w czasie zagrażającej wojny w sąsiednich państwach. W roku tym umarł cesarz niemiecki Karol VI, zostawiwszy po sobie wojnę do sukcesyi państw, »regnant« zaś pruski [1]) Fryderyk II nie troszcząc się o sankcyę pragmatyczną wtargnął na Śląsk i najdorodniejszych żołnierzy werbował przez żydów w pogranicznych polskich powiatach. W czasie więc, gdy przedajni posłowie za lada pozorem zrywają uchwały sejmowe, na korzyść swych żydowskich klientów, a tem samem ogałacają Polskę z bezpieczeństwa publicznego, żydowscy faktorzy kupieni przez Fryderyka, pozbawiają kraj najzdrowszych rąk do broni i nakształt tatarskich najazdów uprowadzają w pruski jassyr tysiące najdorodniejszej włościańskiej młodzieży.

Jeden tylko zubożały w tym czasie Kraków bardzo łaskawie obszedł się z pogłównem żydowskiem, w instrukcyach bowiem danych nowo obranym posłom, którym przodował cześnik koronny pan na Żywcu i Pieskowej Skale, Jan Wielopolski marszałek przeszłej laski, sejmik proszowicki uwzględnia, że cała rzesza w Polsce będących żydów, »nic inszego nie jest tylko splendida miseria, ponieważ cokolwiek u nich się świeci, nie jest ich, ale duchowne y świeckie«. Radzą tedy wyborcy, aby ich oszczędzano i aby »jeden wedle drugiego od pierwszego starszego aż do najostateczniejszego małego ośmioletniego żydziaka po złotych dwa tylko od głowy wypłacali wedle konstytucyi z r. 1662 a nie ryczałtem«.

Za to w instrukcyach tych nie oszczędzają krakowscy posłowie bogatych żydowskich dzierżawców: »Żydzi — czytamy tam — dobra tak królewskie jako y ziemskie trzymający nieporównaną rodowitey szlachcie w tem czynią szkodę, że się nigdzie prawie dla nich docisnąć nie mogą, zaczem jeżeliby *in post* ten *summe abominabilis abusus* miał się praktykować, *cavebunt* Imci Panowie Posłowie, ażeby *ad instan-*

[1]) Tak go zawsze współczesne rękopisy mianują, nie chcąc mu przyznać tytułu królewskiego.

tiam któregokolwiek ziemianina y possesyonata *poenam confiscationis luant*«. (Muz. Czart. nr 583, str. 189).

Przed tymże Sejmem ukazał się w druku list »pewnego ziemianina do pewnego przyjaciela«, gdzie również pełno utyskiwań i narzekań na wiolencye czynione ze strony żydów, którzy zagarnęli handel po miastach »*cum depopulatione* dawnych chrześcijańskich kupców«.

»Jasno każdemu — skarży się szlachcic — jak ten naród rozmnożony po całem Królestwie, szczęśliwszy jest niż nasi mieszczanie y nasi poddani, jak wszędzie znajdują protekcyę, jak przez swoje sztuki, szalbierstwa, zabiegania wszystkie handle y sposoby do życia chrześcijanom odjęli, a jak mało płacą Rzeczyplitej«. Żąda tedy aby tylko tymi kupczyli towarami, które im są dozwolone i żeby się do podatków publicznych przykładali. Wszak »pogłówne żydowskie generalne było dawniej praktykowane, jako to widzieć można w konstytucyi z r. 1564, czemużby tedy ten sposób nie miał być ponowiony?!«

Rozpanoszenie semitów a zarazem reakcya przeciwżydowska doszły u nas za Sasów do takich granic, że Benedykt XIV słysząc od biskupów polskich coraz to częstsze skargi na żydów, napisał w 1751 r. długi list pasterski, który przetłomaczony na język polski czytano przez pół następnego roku co niedziela ze wszystkich ambon, wydrukowane zaś egzemplarze z objaśnieniami dyecezyalnych biskupów rozrzucano dla tem skuteczniejszego poskromienia nadużyć po wszystkich ratuszach, wójtostwach i władzach municypalnych.

Papież ubolewa srodze na wzrost żydów w Królestwie ze szkodą chrześcijańskiej ludności, że handle i szynki ciż żydzi trzymają, że do publicznych intrat i prowentów są dopuszczeni a dzierżawę karczem, wsi, folwarków trzymając, dla chłopów tak są srogimi, »że ich do ciężkich robót zmuszają y ciężarami podwody ich w daleką podróż naładowawszy y ich samych y dobytek obciążają, a nadto y kary na nich stanowią i częstokroć plagami nad ciałem ich się pastwią«.

»I stąd pochodzi, że owi nieszczęśliwi ludzie chrześcijańscy rozumieją być panem y dziedzicem swoim żyda, od którego skinienia, woli y rozkazu owi poddani mienią się być dependującymi«.

Prócz tego, jak wspomniano, wsi, folwarki i grunta z poddanymi chrześcijańskimi arendują, przez co wielkie bezprawia i szkoda dzieje się katolikom, zwłaszcza gdy żydzi »w dworach niektórych panów rządy domu i dyspozycye prowadzą tudzież komisarskie urzędy sprawują«.

...»Nadto gdy z handlów, szynków, kupiectwa y różnych zysków nazbierają pieniędzy, tedy je Chrześcijanom pożyczają z żądaniem lichwy, przez co dobra i fortunki chrześcijańskie wycieńczają i wyniszczają«.

Przytoczywszy wyjątki z buli Innocentego III, i IV, Mikołaja IV, Grzegorza XIII i Klemensa VIII, radzi Polakom trzymać się swych konstytucyi i ponowić prawa ustanowione przez przodków, które niedozwalają dóbr ani praw żydom arendować, ani pieniędzy od nich na lichwę pożyczać.

Biskup chełmski Józef Szembek, z którego dyecezyalnej kurendy wiadomość tę zaczerpnąłem, popiera list ten swojemi radami, utrzymując, że da się żydostwu odpór należyty, gdy się ich nie będzie protegować, a tem samem »oswobodzeni z wszelkich protekcyj żydzi w niegodziwościach swoich wcale uśmierzeni zostaną«. Na miłość Boga i zbawienie duszy zaklina swych dyecezyan, aby im arend nie puszczać, »a tem bardziej, aby razem w jednem z żydami pomieszkaniu lub pod jednem przykryciem czyli dachem nie mieszkali, albowiem przez takową z żydostwem społeczność obelgi y zelżywości dzieją się imieniu chrześcijańskiemu a częstokroć y sromotne naprzeciw Bogu stają się obrazy«.

Zakazuje tedy surowo: »służenia żydom, dzieci żydowskich piastowania, za mamki żydostwu służenia, targów w dni święte« a wszelakie zwierzchności napomina, aby niewiernym żydom handlów, sprzedaży win w miastach i miasteczkach, wsiach i karczmach pod surowemi karami wzbroniono, aby

chrześcijanie żadnych sum od żydów na lichwę nie pożyczali, pospólstwu zaś zakazuje, aby się do robót, podwód, za furmanów zaciągać żydom, za stróżów, winników nie ważyli, białogłowom wreszcie surowo zabrania, aby się za dziewki, praczki, mamki, szynkarki nie najmowały. Nakazuje żydostwu w dyecezyi, aby dni świętych »przez kurzenie gorzałek y robienie piwa lub innych napojów nie gwałcili«, plebanom zaś i dziekanom poleca, aby za wszelkie gwałcenia dni świętych upominali się u władz świeckich czyli dworskich, a jeżeliby dwór nie uczynił sprawiedliwości, tedy księża mają obowiązek donosić o tem władzy pasterskiej biskupa.

»Są y będą daley obowiązanymi pomienieni księża plebani przestrzegać pilnie tego, aby się chrześcijanie nie ważyli podczas dnia u żydów sądnego do ucierania nosów, podczas pamiątki tey, którą ci żydzi Hamana odprawują, służyć onymże żydom, nie ważyli się, y aby się na okopiskach żydowskich podczas pogrzebów ich zaciągać lub tam mieszkać nie zezwalali. Daley, aby w post wielki y adwent wesel z muzykami ciż żydzi odprawiać nie ważyli się... pilno przestrzegać należy«.

Przekraczającym plebani prócz kary publicznej, naznaczać powinni kary duchowne publiczne jako to: krzyżem w kościołach leżenie i wsadzanie do kuny. Za przestępstwa te prawowierni katolicy podpadać będą grzechowi śmiertelnemu, »który Nam samym y władzy po nas następującey do rozgrzeszenia rezerwujemy«. Grzechu tego żaden kapłan ani świecki ani zakonny (prócz artykułu śmierci) rozgrzeszyć nie miał mocy, tylko sam biskup.

Do faktów przytoczonych na podstawie współczesnych źródeł zbyteczne wszelkie komentarze. Powszechnie wiadomo, że o brak bezpieczeństwa, któremu oparli się i żydzi dla należnych skarbowi kilku marnych milionów złotych pol., rozbiła się w najbliższej przyszłości sprawa egzystencyi Polski. Naród upadł dzięki nietylko *liberum rumpo* lecz dzięki i żydom!

Lawina nadużyć i bezprawi semickich jak podkopywała w XVIII w. tak i dziś minuje i podkopuje ciągle podstawy bytu narodowego i jest najniebezpieczniejszym naszym wrogiem. Pokolenie dzisiejsze o tyle może się mienić szczęśliwszem, że nie pogrążone w apatyi wzięło się do odgrzebywania żydowskiej lawiny, do czynów puryfikacyi i reakcyi przeciw molochowi, któremu pochłonąć nie pozwoli najdroższych skarbów społecznych, narodowych i religijnych.

To samozachowawcze dążenie dzisiejszych czasów świadczące o żywotności i dojrzałości etycznej i politycznej, jest miłym zwiastunem powrotu wielkich cnót obywatelskich, które są pierwszemi podwalinami dobrobytu i szczęścia każdego z narodów.

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE

Spór dwóch kościołów.

Szkic historyczny z XVII wieku.

Na rynku krakowskim stanęły tuż obok dwie świątynie: wspaniały gotyk N. P. Maryi śmiałemi wieżycami strzelił ku niebiosom, do niego zaś przytulił się skromny, lecz bardzo charakterystycznej budowy kościółek św. Barbary. O pierwszym wiadomo, że go fundował świątobliwy biskup krakowski, Iwo Odrowąż (1226 roku) po oddaniu parafialnego kościoła św. Trójcy Dominikanom, o fundacyi drugiego nie było dotąd pewnych wiadomości. Legenda opowiada, że w chwilach wolnych od pracy wystawili go mularze, zajęci budową kościoła P. Maryi, monografiści zaś dotychczasowi przypisywali pierwotną jego fundacyę królowej Jadwidze. Żadnej z tych wersyi nie można było stwierdzić dokumentami, od dawna bowiem zaginął akt erekcyi kościoła św. Barbary. Dopiero na podstawie aktów, odszukanych przez autora niniejszej pracy w archiwum kościoła P. Maryi, można mieć pewniejsze nieco wiadomości o pierwszych założycielach kościoła. Oto dowiadujemy się z nich, że w r. 1394 ksiądz Paweł, rektor parafialnego kościoła N. P. Maryi, darował rajcom i niemieckim kupcom krakowskim grunt tuż koło cmentarza maryackiego pod budowę kościoła św. Barbary z tem wyraźnem zastrzeżeniem, aby nowy kościół nie szkodził nigdy w niczem macierzystemu kościołowi. Fundatorami więc kościoła św. Barbary są kupcy niemieckiej narodowości wraz z współczesnym

proboszczem kościoła P. Maryi, księdzem Pawłem, a wyposażyła go zapewne hojnie świątobliwa i dbała o splendor świątyń pańskich królowa Jadwiga i stąd jej dotąd wyłącznie fundacyę tę przypisywano.

W tych czasach handel, rzemiosła i sztuki spoczywały w rękach Niemców, którzy do Krakowa z zachodu tłumnie napływali, kościół więc św. Barbary, przez niemieckich kupców zbudowany, był ich parafialnym kościołem, tak, iż nawet spowiedź, kazania, śluby i t. d. odprawiano tu w niemieckim języku. Następcy księdza Pawła pobierali zapewne mocą wymienionego zastrzeżenia od niemieckiego proboszcza św. Barbary pewne dochody i ofiary, uważając ten kościółek niejako za filialny macierzystego kościoła P. Maryi, mimo iż kościół św. Barbary był osobną parafią, niezależną wcale od beneficiów i obowiązków archipresbiteryalnego kościoła.

Proboszczowie niemieccy z fundacyi i ofiar najbogatszej ludności miasta mieli znaczne dochody, z nastaniem jednak reformacyi, gdy całe zastępy Niemców krakowskich przeszły na protestantyzm, zmniejszyły się one do tego stopnia, że współczesny biskup (1581 r.) ksiądz Piotr Myszkowski, widząc, że niemieckie probostwo niema w Krakowie racyi bytu, darował kościół św. Barbary Jezuitom, niedawno do Polski sprowadzonym, na co otrzymał najwyższe zatwierdzenie tej darowizny od papieża Grzegorza XIII w r. 1583. Rzecz załatwiono za wolą króla Stefana i senatorów, a oprócz tego za wyraźną zgodą kapituły, która z powodu częstych nieporozumień i niesnasek między tak blisko sąsiadującemi probostwami zdawna już sobie życzyła, aby te dwie parafie w jedno się połączyły. Połączenie to polegało na tem, że papież w listach aprobujących darowiznę zniósł wszystkie ciężary i zobowiązania tego kościoła i usunął od niego całkowicie i na zawsze duszpasterstwo, parafian zaś tu należących i pieczę nad nimi, jakoteż wszelkie beneficya, ciężary i obowiązki przeniósł do kościoła N. P. Maryi. Obie strony przyjęły pięć warunków, zawartych w akcie darowizny, a mianowicie:

1. Aby patronat wszystkich beneficyów, istniejących w kościele św. Barbary, należący tak do rajców krakowskich, jak i innych kolatorów, pozostał przy tychże kolatorach w całości i nienaruszony;

2. Aby prowenta i dochody, prawnie z fundacyi i erekcyj tychże beneficyów pochodzące, pozostały całkowite i nienaruszone przy swych prawych właścicielach i dobrodziejach;

3. Obowiązki, jakie ci właściciele i dobrodzieje czy to przez siebie, czy przez swoich zastępców w kościele św. Barbary wzięli na siebie, za przyzwoleniem biskupa przeniesione być mają do kościoła N. P. Maryi;

4. Kaznodzieja niemiecki ma być i nadal utrzymywanym i swe dochody będzie nienaruszone pobierał, nabożeństwa jednak, jakie niegdyś w kościele św. Barbary odprawiano, aby odtąd miewał w niedziele i święta, rano w kościele św. Wojciecha, popołudniu zaś w kościele P. Maryi;

5. Aby bractwo literatów *(confraternitas literatorum)*, jakie przy kościele św. Barbary z dawien dawna istniało (»skoro i ono na darowiznę tego kościoła chętnie ze swej strony zezwoliło«), zostało przeniesione do wyżej wspomnianego kościoła św. Wojciecha z całym swym złotym i srebrnym aparatem i ozdobami kościelnemi, nawet wraz z własnymi organami.

To wszystko zastrzegłszy sobie i umówiwszy, zgodzono się, aby Jezuici kościół św. Barbary z przyległościami i prawami objęli w wieczyste i aktualne posiadanie, przyczem Grzegorz XIII i tego życzenia w listach swych dodać nie omieszkał, żeby »Ojcom Towarzystwa Jezusowego z pominięciem wyżej wymienionych warunków nigdy w niczem krzywdy, ani żadnej ujmy nie czyniono« *(ne Patres Societatis super praemissis omnibus et singulis, vel eorum occasione quomodolibet molestari, inquietari, perturbari vel impediri ullatenus unquam possint)*.

Między warunkami darowizny tak jasno określonymi nie było żadnej wzmianki, ani zastrzeżenia co do pogrzebów w ko-

ściele św. Barbary. To też Jezuici, opierając się na prawie wszystkich zakonów żebrzących i na własnej regule, zaraz z objęciem kościoła w posiadanie, jak i potem, zezwalali od czasu do czasu na pogrzeby szlachty i obywateli, którzy podług ostatniej woli tego sobie życzyli i przez lat przeszło 30 żaden im tego ani biskup, ani archipresbiter nie zakazywał, ani się temu nie sprzeciwiał.

W ten sposób za archipresbiteryatu księży: Górskiego, Hieronima Powodowskiego i Krzysztofa Trzcińskiego pochowano w tym kościele wiele osób, których nazwiska skrzętnie zapisywano w osobnej książce pogrzebowej, przechowywanej w zakrystyi św. Barbary. O książce tej dowiadujemy się z papierów, odnoszących się do procesu, który jest przedmiotem niniejszej pracy, że archipresbiter, ksiądz Słowikowski, wyłudził ją w podstępny sposób od Jezuitów w celu pozbawienia ich argumentalnych środków obrony i ważny ten dokument zniszczył. Przeciw takiemu gwałtowi zaprotestowali publicznie Jezuici i z protestu tego dowiedzieć się można, że w r. 1588 pochowano tu Małgorzatę Kozłowską, w r. 1590 Zofię Mnichowską, w 1597 Katarzynę Paczoszczynę, w 1598 Annę Januszowską, w 1601 Jadwigę Przerębską i Dorotę Leżeńską, w 1606 Jadwigę Mleczkowską i Krystynę Złotniczankę, w 1607 Barbarę Firlejową, wojewodzinę krakowską, i wiele innych osób aż do r. 1640.

Od tego czasu miewają Jezuici przy grzebaniu ciał coraz większe trudności. Ksiądz Trzciński wprawdzie jeszcze na grzebanie ciał u św. Barbary zezwala, ale pilnie się upomina o funeralia i spoliały po zmarłych. I tak n. p. gdy umarła bogata rajczyni krakowska, Pipanowa, która za życia wyraziła życzenie, aby ją w kościele św. Barbary pochowano[1]),

[1]) Odnośny dokument, potwierdzony przez męża zmarłej, Jerzego Pipana, doktora prawa i medycyny, w dobrach jego Karniowcach i przez jej córkę, Magdalenę Kortynię, w obecności ich kapelana, ks. Jana Górskiego i Jakóba Łotnickiego, znajduje się w archiwum kościoła P. Maryi w Krakowie.

wówczas ks. Trzciński w porozumieniu z współczesnym przełożonym Jezuitów, ks. Stefanem Wągrowskim, powziąwszy wolę nieboszczki od jej córek Bełżyny i Kortynii, zezwala wprawdzie na pogrzeb u św. Barbary, ale z zastrzeżeniem, że exekwie odprawią się w parafialnym kościele P. Maryi, tudzież że spoliały (t. j. przybory pogrzebowe, jak świece aksamity, sukna i t. d.) zostaną u niego złożone.

Następca księdza Trzcińskiego, ks. Justyn Słowikowski, wsparty łaską Władysława IV, u którego jako zaufany sekretarz w wielkich był faworach, postępował o wiele samowładniej i niesprawiedliwie. Nienawidził on Jezuitów, równie jak i współczesny król polski, i wydał surowy rozkaz, aby zakonnicy pogrzebów w swych kościołach, podległych innym parafiom, nie odprawiali. Rozporządzenie skierowano głównie przeciw Jezuitom u św. Barbary, który to kościół ksiądz Słowikowski uważał za podległy i filialny, wszelkie zaś w nim pogrzeby usiłował znieść lub żądał, aby je zostawiano jego wyłącznemu wyrokowi i rozporządzeniu. Mimo jednak surowego zakazu, Jezuici, świadomi swych praw zakonnych, pochowali w roku 1641 po odprawieniu wigilii Katarzynę Bruzikową, wdowę po ławniku prawa magdeburskiego, a w kilka miesięcy później ciało innej wdowy, Anny Krasuckiej, w nocy przy świetle pochodni z ulicy Żydowskiej sprowadzili do kościoła i nazajutrz (rzecz się działa około św. Michała 1641 r.) na cmentarzu kościoła św. Barbary pogrzebali. Fakt ten był powodem długoletniego procesu, ksiądz Słowikowski bowiem wniósł natychmiast skargę na Jezuitów przed stolicę biskupią.

Katedra krakowska wakowała wówczas po biskupie Żadziku; stawił się przeto archipresbiter na audyencyi przed administratorem wakującej stolicy, ks. Tomaszem Oborskim, biskupem laodaceńskim, i oskarżał Jezuitów nietylko o przekroczenie rozporządzeń archipresbiteryalnych, lecz robił im w swej zapamiętałości śmiały zarzut, jakoby ciało Anny Krasuckiej potajemnie, w nocy, z domu wykradli i tejże nocy bez wszelkiej pompy i nabożeństwa na cmentarzu »P. Maryi« pochowali.

Z przesłuchania świadków pokazało się, że o funeralia i spoliały bywały nieraz spory przy umarłych jeszcze za archipresbiteryatu ks. Powodowskiego, jak to między innymi zeznaje 90-letni staruszek, ks. Marcin Lubczyc, przełożony szpitala św. Sebastyana. Po zaprzysiężeniu mówi on: »Byłem zakrystyanem N. P. Maryi lat dziesięć. Już temu jest 30 lat, jakem opuścił to miejsce. Tedy nieboszczyk ks. Powodowski, archipresbiter natenczas P. Maryi kościoła, bierał pogrzebowe obwencye po umarłych parochianach w kościele św. Barbary pogrzebionych y pamiętam, iż dwa pogrzeby były w kościele św. Barbary. Jeden paniey wojewodziney Barżyney, a drugi paniey Mnichowskiey, kędy (przy ciele woj. Barżyney) czeladź IMci ks. Powodowskiego aksamit, którym było ciało wojewodziney w trumnie leżące w kościele św. Barbary nakryte, wzięła, świece zaś od bractw pobrane mnie jako zakrystyanowi odniesiono«. Dalej dowiadujemy się, że odbiór spoliałów przy ciele wymienionej wojewodziny miał się odbyć w sposób nie zbyt polityczny, bo, jak się wyraża eufemicznie ks. Lubczyc: »słudzy księdza Powodowskiego trzymali aksamit za jeden koniec, a ojcowie Jezuici ciągnęli za drugi, jako mi dzwonnicy powiedali...« Wnet jednak zmiarkowali pierwsi Jezuici, że rzeczy za daleko doszły i powstrzymawszy się od dalszych sporów w miejscu świętem, oddali »spoliał« dobrowolnie ze słowami: »Nie potrzeba było tych kłopotów, odnieślibyśmy to byli sami ks. Archipresbiterowi i z ofiarą...«

Zeznanie księdza Lubczyca kompromitowało wielce obie strony i świadczyło, że o funeralia były z dawna kłopoty i poswarki i że się o nie nieraz gwałtem upominać musiano. Inni świadkowie, jak: Tomasz Dudka, grabarz przy kościele Panny Maryi, Wawrzyniec Bednarz, służący ś. p. Krasuckiej, Stanisław Wadowski, w którego domu na widermachu Anna Krasucka skonała, zeznali, że według wyrażonego życzenia zmarłej, ciało jej bez żadnej wprawdzie ceremonii zaniesiono w nocy do kościoła św. Barbary, gdzie je złożono »na majestaciku nagotowanym«, ale pogrzeb odbył się nie w nocy, jak to

z oburzeniem twierdził w akcie oskarżenia ks. Słowikowski, lecz nazajutrz w dzień, z zachowaniem należnego nabożeństwa i pogrzebowych ceremonii.

Dodać tu muszę nawiasem, że świadkowie zeznali przytem charakterystyczne szczegóły z życia współczesnej młodzieży. Oto, gdy ciało Krasuckiej w nocy przez rynek niesiono, wracający z nocnej hulanki studenci krakowscy mało co grabarzy kijmi nie poturbowali, sądząc, że to tajemny pogrzeb protestancki. Dopiero po wyjaśnieniu sprawy pozwolili ciało spokojnie przenieść.

Przesłuchiwania świadków odbywały się kilka razy w ciągu procesu w obecności ks. Wojciecha Lipnickiego, jeneralnego krakowskiego oficyała i kanonika, tudzież w obecności księży: Mateusza Tomaszewskiego, Mikołaja Lipskiego i Szymonowicza, członków Towarzystwa Jezusowego, przed deputatami: ks. Stanisławem Pudłowskim, profesorem uniwersytetu, przełożonym św. Mikołaja, i ks. Andrzejem Staszkowskim.

Biskup Oborski osądził sprawę na korzyść Jezuitów, przysądzając im nietylko prawo grzebania ciał, lecz także uwalniając ich całkowicie od kwarty pogrzebowej. Archipresbiter jednak nie dał za wygraną i ufny w protekcyę królewską zaapelował do nuncyusza apostolskiego, Marcelego Philonarda. Sprawa więc przeniosła się z Krakowa do Warszawy, gdzie legat papieski miał rezydencyę.

Było to z początkiem 1643 r. Przed nuncyuszem stanęli OO. Maciej Tomaszewski i Maciej Litomyski, pełnomocnicy przełożonego Jezuitów, Andrzeja Guttetera-Dobrodziejskiego, i prokurator ks. Słowikowskiego p. Andrzej Starczynowski. Jezuici dzielnie się bronili, dowodząc, że kościół św. Barbary przez oddzielenie go od kościoła Panny Maryi i oddanie na własność Jezuitom stał się zakonnym, a to za wolą biskupa Myszkowskiego i za zezwoleniem papieża Grzegorza XIII.

Zakaz ks. Słowikowskiego — twierdzili oni — jest bezpodstawny. Jakkolwiek bowiem utarł się zarzut, jakoby świą-

tynia św. Barbary nigdy nie była odrębnym kościołem o własnych prawach, lecz tylko kaplicą, czyli *oratorium*, a kaplice i *oratoria*, tudzież kościoły, nie mające parafian, nie mają tem samem prawa grzebania, to zdanie to mylne powtarzać mogą tylko ci, co nie znają dawnych praw kościoła św. Barbary, lub ci, co chytrze i z umysłu dyssymulują, jakoby ich nie znali. A przecież z aktów darowizny, jak i z listów konfirmacyjnych papieża wiadomo, że kościół św. Barbary zawsze był odrębnym, parafialnym, o własnych prawach kościołem, że miał własnego proboszcza i parafian z płatnem duszpasterstwem. Komuż zaś niewiadomo, że każdy kościół parafialny ma prawo grzebania ciał, tak, jak ma prawo udzielania św. Sakramentów. Zaprzeczyć przeto nie można, że kościół św. Barbary, nim go Jezuitom podarowano, miał własne prawo grzebania ciał, z tego zaś wynika, że i nadal nie można zabronić Jezuitom, aby z pominięciem własnych praw nie mieli zezwalać na pogrzeby wiernych u siebie.

Ale choćby kto przypuścił, że kościół ten nigdy nie był parafialnym i że nie posiadał osobnego prawa grzebania niezależnie od kościoła archipresbiteryalnego, to od czasu darowania go i przeniesienia praw i władzy na zakon żebrzący, może on tem samem już posługiwać się własnem prawem grzebania ciał. Ponieważ zaś po uczynieniu darowizny wszystkie dawne prawa i ciężary kościoła św. Barbary za zgodą i wolą biskupa i papieża zostały zniesione i moc swą straciły, więc cały kościół przeniesiony został pod władzę tych, których kościoły posiadają własne prawa, nie ma przeto powodu, dlaczegoby ten kościół, mając nowych właścicieli, nie miał używać nowych praw, prawa zaś kościołów zakonnych zezwalają na pogrzeby.

Lecz powie kto — argumentowali w dalszym ciągu obrony Jezuici — że już z samego położenia miejsca, na którem zbudowano kościół św. Barbary, wynika, że był on zawsze zależny od kościoła archipresbiteryalnego, stoi bowiem na cmentarzu tegoż kościoła, t. j. na jego gruncie.

Na to jest odpowiedź: naprzód już przez samą darowiznę zmieniły się prawa, a potem jakkolwiek kościół św. Barbary leży tuż przy kościele N. P. Maryi, z tego jednak nie wynika wcale, jakoby kościół św. Barbary miał być zbudowany na gruncie kościoła N. P. Maryi. — Tłumaczenie to zaś silnie popiera i ta okoliczność między innemi, że owa brama, która prowadzi tuż obok kościoła św. Barbary na cmentarz wraz z domem nad nią, leży poza gruntem kościoła większego (nigdy bowiem ani brama, ani dom nie zostawały pod prawem, ani zarządem kościoła większego), a przecież brama ta jest za kościołem św. Barbary zwrócona ku kościołowi większemu, czyli leży bliżej cmentarza, niż kościół św. Barbary. Jeżeli przeto brama ta nie jest na gruncie kościoła większego, to tem mniej kościół św. Barbary nie stoi na gruncie kościoła większego.

Zresztą jeszcze raz z naciskiem zaznaczyli Jezuici, że kościół ten stał się zakonnym, a zakon, który go posiadł, do dawania funeraliów archipresbiterowi wcale nie jest obowiązany, wszystkie bowiem zakony żebrzące uchwałą soboru trydenckiego nietylko od całych funeraliów, lecz i od kwarty pogrzebowej są całkowicie uwolnione.

Między licznemi odwoływaniami się na przywileje, nadane przez wielu papieży różnym zakonom, jak n. p. Karmelitom, Kamedułom, Karmelitom bosym, jeden z najgłówniejszych argumentów, jaki przytaczali, był ten, że już poprzednik obecnego archipresbitera, ks. Krzysztof Trzciński, w ten sam sposób wystąpił był przeciw krakowskim Franciszkanom, a jednak współczesny nuncyusz papieski, Jan Lancellotus (1624 r.), rozstrzygnął spór na korzyść tych ostatnich. Że zaś na mocy bulli Piusa V zakon Jezuitów wraz z poprzednio wymienionymi zakonami ma równe prawa i przywileje, więc tem samem Jezuici nie są obowiązani płacić funeralia proboszczowi N. P. Maryi.

Co się tyczy zeznań świadka, ks. Lubczyca, że funeralia te niegdyś były płacone, to naprzód świadek ten, jako zakry-

styan i altarysta kościoła P. Maryi, jest świadkiem domowym, a powtóre świadectwo swe osłabia następującemi słowy: »Układały się strony obydwie — zeznał on między innemi — żeby szarpaniem szkandalu nie czynić w kościele«, — z czego widać, że służba archipresbitera uciekała się w kościele św. Barbary do siły, aby zmusić zakonników do daniny; wynika więc z tego, że archipresbiterowie nie byli prawymi właścicielami; bo własność uczciwa i prawa przypuszcza dobrą wiarę i wzajemne zaufanie, »jakich niedostaje łupiezcom«.

Nuncyusz-audytor, wysłuchawszy tych wszystkich wyżej tu wymienionych zarzutów i obrony, zwolnił Jezuitów od pretensyi archipresbitera, koszta zaś sporu obie strony miały zapłacić.

Sprawa się jednak na tem nie zakończyła. Ksiądz Słowikowski bowiem od dekretu legata Philonarda zaapelował 21. marca 1643 r. do Stolicy Apostolskiej.

Rozpoczął się przeto proces na nowo w trzeciej instancyi. Ks. Jerzy Grochowski, dziekan przemyski, kanonik krakowski, sekretarz króla, był sędzią tym razem, wydelegowanym przez papieża do przesłuchania świadków pod przysięgą i groźbą exkomuniki i do wydania sądu w tej sprawie (6. maja 1644 r.). Daremnie się Jezuici opierali tej komisyi, żądając, aby sprawa w samym Rzymie była rozpatrywaną.

Archipresbiter powtórzył pierwotne oskarżenie, a mianowicie, że zakonnikom nie wolno grzebać ludzi podległych proboszczowi, kanony bowiem nakazują, aby gdzie kto przyjmuje Sakramenta, tam także był pochowany, mimo tego jednak Jezuici pochowali w swym kościele Katarzynę Bruzikową i dochody pogrzebowe, należne parochowi, pobrali, później zaś Annę Krasucką bez pozwolenia i wiadomości parocha potajemnie, w nocy, »bez obrzędów tak chwalebnie w domu Bożym obserwowanych«, odważyli się w swym kościele pogrzebać.

Po wysłuchaniu świadków (ks. Jana Mierzwica psałterzysty, ks. Piotra Radkowicza wikaryusza, ks. Jana Słowaciu-

sa psałterzysty, wszystkich przy kościele Panny Maryi, Stanisława Wadowskiego mieszczanina, Wawrzyńca Bednarza, Tomasza Gróbarza, Jana Bąckowicza), rozpatrzył ks. Grochowski akta darowizny gruntu, na którym stoi kościół św. Barbary.

Z papierów tych dowiedziano się, że grunt ten darował rajcom krakowskim ks. Paweł, rektor parafialny kościoła P. Maryi w roku 1394 z tem zastrzeżeniem, aby darowizna w niczem nie szkodziła kościołowi parafialnemu.

Podobnież rozpatrzono i odczytano akta następnej donacyi kościoła presbiterom Tow. Jezusowego przez biskupa Myszkowskiego (1. lutego 1583 r.) pod tym warunkiem uczynionej, aby prezbiterowie Tow. Jezusowego nie mięszali się nigdy do kościoła sąsiedniego N. P. Maryi, ani do jego rozkazów i obowiązków; niemniej odczytano potwierdzenie tejże darowizny przez Stolicę Apostolską. Po przejrzeniu w końcu księgi rejestrowej, w której dochody parafialne kościoła Panny Maryi od r. 1527 były zapisane, wydał ks. Grochowski następujące orzeczenie i wyrok:

...»Miejsce, na którem kościół św. Barbary wybudowano, było gruntem darowanym w pobliżu cmentarza i kościoła P. Maryi i tenże plac próżny pod budowę kościoła ks. Paweł rajcom krakowskim odstąpił z zastrzeżeniem, aby kościół św. Barbary nie szkodził nigdy w niczem kościołowi P. Maryi. Po wybudowaniu przeto tego kościoła na ustąpionem przez rektora miejscu, następni archipresbiterowie i rektorowie mocą wyżej wymienionego zastrzeżenia przyszli w posiadanie pewnych dochodów i ofiar z tegoż kościoła, jakie tu chrześcijanie w święta zwykli byli czynić. Skoro zaś kościół ten Jezuitom biskup Myszkowski darował, co Grzegorz XIII potwierdził i wszelkie duszpasterstwo do kościoła N. Panny Maryi przeniósł, a tem samem dochody z pogrzebów parafialnych, jakie się odbywały w kościele św. Barbary poprzednicy powoda (ks. Słowikowskiego) pobierali, ciało zaś Krasuckiej wbrew zwyczajowi bez woli i wiedzy archipresbitera Jezuici

w nocy do kościoła swego sprowadzili i tamże pochowali, tudzież dochody z pogrzebu zagarnęli, a tego im uczynić wcale nie wolno było, ani obecnie nie wolno, więc sąd drugiej instancyi z powodu niegruntownego uwzględnienia praw strony powodowej nie może iść w rachubę. A co za tem idzie, nie wolno przełożonym Tow. Jezusowego w kościele św. Barbary, jako zależnym od kościoła macierzystego, odprawiać pogrzebów, ani pobierać dochodów z nich i dochody te należeć mają do archipresbitera, przy czem skazuje się OO. Jezuitów na ponoszenie kosztów tego sporu... *Ita pronuntiavi ego Georgius Grochowski, iudex Delegatus*«.

Tym razem Jezuici apelowali do Rzymu. Nim jednak w Rzymie rozpoczęto proces, wyjednała strona powodowa, aby spór był sądzony nie przez św. rotę, lecz przez płatną komisyę, t. j. przez kilku kardynałów i prałatów, wydelegowanych do rozsądzenia sprawy. Jezuici mimo niekorzystnych warunków zgodzili się na to, lecz komisya kardynałów, zważywszy zawiłość sprawy, odesłała strony do roty, gdzie obrońca archipresbitera, przewidując przegraną, uznał za stosowne wcale się nie stawić na terminie, rota zaś, wysłuchawszy informacyi jednej strony, dała wyrok przychylny Jezuitom.

Dekret wywołał ogólne rozdrażnienie umysłów w Polsce, które tem lepiej zrozumiemy, gdy się bliżej przypatrzymy historycznym wypadkom tych czasów.

Oto w lecie 1643 r. Jan Kazimierz wyjechał do Włoch i tam wbrew woli brata wstąpił w Lorecie do nowicyatu Jezuitów. Król rozgniewał się do tego stopnia, że Jezuitów, już przedtem nielubianych, oddalił całkiem od dworu, a całe duchowieństwo świeckie stanęło po stronie królewskiej. Przyjęcie Jana Kazimierza do nowicyatu odbyło się za zezwoleniem a nawet za namową papieża (Urbana VIII), stąd zerwanie wszelkich stosunków z Rzymem do tego stopnia, że nawet legat papieski, Philonard, został z Polski odwołany, a innego nuncyusza na jego miejsce papież do Warszawy nie posłał. Te nieprzyjaźne stosunki z Rzymem wyjaśniają również po-

przedni wyrok ks. Jerzego Grochowskiego, tak bezwzględnie surowy dla Jezuitów.

Wracając do procesu w obecnej instancyi, łatwo wywnioskować jego przebieg z kilku zachowanych listów jenerała zakonu, Caraffy, do króla i O. Grzegorza Ciślaka z Rzymu do O. Schoenhoffa w Warszawie. Pokazuje się z nich, że kardynałowie nie wiedzieli właściwie, jak tę sprawę osądzić, w rocie zaś co do kwestyi funeraliów zdania były podzielone. Wprawdzie nie miano żadnych wątpliwości co do jasnego prawa, że wolno każdemu z wiernych wybierać sobie miejsce wiecznego spoczynku, zakonnikom zaś chować w swym kościele, kogoby chcieli. To też o tem prawie nie dysputował tym razem wcale przebiegły ksiądz Słowikowski, lecz robił zarzuty innej natury, które sąd w wysokim stopniu utrudniały.

Oto archipresbiter opierał swe prawa głównie na tem, że przed darowaniem kościół ten do kościoła P. Maryi, jakby do macierzystego, należał, tudzież że w fundacyi kościoła św. Barbary było zastrzeżone, aby w tym kościele nie czyniono nic, coby ze szkodą macierzystego kościoła P. Maryi lub polskiej parafii było połączone, i wreszcie, że w akcie darowizny św. Barbary Towarzystwu Jezusowemu zastrzeżono między innemi, aby Jezuici do praw i obowiązków sąsiedniego kościoła nigdy się nie mieszali.

Punkta te, utrudniające wydanie wyroku, Jezuici odpierali w ten sposób, że starali się zbić dowód, jakoby kościół św. Barbary po darowaniu był i nadal filialnym, jeżeli bowiem świątynię tę Jezuitom prawnie darowano, to wszystkie prawa zostały przy zakonie, co też potwierdzają słowa biskupa Myszkowskiego: *itaque eam ipsam S. Barbarae ecclesiam Societas Jesu habebit, tenebit, perpetuisque temporibus possidebit.* Zresztą kościół nawet świecki, gdy zostanie własnością zakonu, jest zakonnym, zakonnicy zaś mają prawo pobierania dochodów pogrzebowych w swych klasztorach, a więc tem samem ma je i Towarzystwo Jezusowe.

Drugi punkt — dowodzili Jezuici — tem mniej miał słuszności. Strona powodowa z zakończenia aktu darowizny, a mianowicie ze słów: *ne unquam in ecclesiam vicinam B. Mariae V. eiusque iura et officia se ingerant* (żeby się nigdy do kościoła sąsiedniego N. M. P. i do jego praw i obowiązków nie mięszali) — starała się wywnioskować milczącą umowę *(conventionem tacitam)*. Takiej umowy nie było wcale i gdyby archipresbiterowie zaraz po oddaniu kościoła sprzeciwiali się byli pogrzebom, a Jezuici im opór stawili, wówczas byłaby racya a może nawet prawo po stronie archipresbiterów; tymczasem przez 30 lat (od r. 1583—1613) w kościele św. Barbary wielu wiernych pochowano, a archipresbiterowie milczeli, dopiero pierwszy ksiądz Powodowski, Jezuitom nieprzychylny, w r. 1613 funeralia »na pogrzebie pani Barżyney wydrzeć nowym i skandalicznym przykładem usiłował«. (Świadectwo księdza Marcina Lubczyca, preposyta św. Sebastyana i Rocha). Zresztą wiadomo, że prawa parafialne są podwójne: jedne *iuris strictissimi*, których innym księżom lub zakonnikom bez zgody i wyraźnego pozwolenia proboszcza wykonywać nie wolno, a takiemi są: udzielanie chrztu, ślubów, ostatniego namaszczenia i t. d., drugie zaś takie, których wykonanie jest każdemu z kapłanów dozwolone, jak: prawo głoszenia słowa Bożego lub wolne prawo grzebania ciał wiernych według ich ostatniej woli, tudzież prawo pobierania wynagrodzenia za pogrzeby. W klauzuli tedy wyżej wymienionej słowo *iura* odnosi się tylko do ścisłych praw *(strictissimis iuribus)* parochów. Z tego więc wynika, że pogrzeby i funeralia kościoła św. Barbary nie należą wcale do kościoła P. Maryi, lecz pod wyłączny zarząd właścicieli kościoła św. Barbary.

W dalszym ciągu tłumaczą Jezuici owo zastrzeżenie w akcie darowizny w ten sposób: Aby zrozumieć ten dopisek (*ne unquam in ecclesiam vicinam.... se ingerant*), trzeba znać panujące w Polsce stosunki i pamiętać, że uczyniono go z obawy świeżego przykładu w Wilnie, gdzie prze-

łożonemu Jezuitów dano tytuł »rektora«, godność nadawaną dotąd tylko naczelnemu archipresbiterowi.

Niemniej ważnym przyczynkiem do historyi zakonu Towarzystwa Jezusowego w Polsce jest dalszy ciąg obrony, z której wynika, że u nas w tych czasach panowała ogólna niechęć a nawet nienawiść duchowieństwa świeckiego do Jezuitów. Czytamy tu n. p. między innymi następujące argumenta: »Do zakonu Jezuitów, świeżo do Polski sprowadzonego, duchowieństwo świeckie miało uprzedzenie, że oni chcą zagarnąć najlepsze beneficia *(curata beneficia)*, podobnemi tedy klauzulami (jak powyższa: *ne unquam in ecclesiam vicinam... se ingererant*) chciano powstrzymać wszelkie ujmy, jakieby może Jezuici mieli zamiar czynić świeckiemu duchowieństwu i stąd w współczesnym akcie darowizny porobiono tego rodzaju przesadne zastrzeżenia«.

Należytą też odprawę dał zakon świadectwu ks. Lubczyca. Udowodniono, że staruszek niedołężny sam sobie się sprzeciwia i zeznaje rzeczy niezgodne z prawdą; mówi bowiem, że z dwóch pogrzebów, gdy on był zakrystyanem przez lat 10, ks. Powodowski otrzymał funerali; tymczasem między owymi dwoma pogrzebami upłynęło nie 10, ale 23 lat, albowiem Mnichowską pochowano w roku 1590, Barżynę zaś w roku 1613.

W późniejszych obronach (jak się zdaje, dla informacyi króla pisanych) dowodzili nawet Jezuici, że ksiądz Powodowski umarł na trzy dni przed pogrzebem Barżyny, ale tego gołosłownego argumentu nie poparli żadnym przekonywującym dowodem.

Sędziowie św. roty, wysłuchawszy obrony, wydali (25. maja 1646 r.) na podstawie przywilejów Piusa V wyrok, uwalniający Jezuitów od płacenia archipresbiterowi kwarty pogrzebowej, o której wyłącznie była mowa w rocie.

O. Wincenty Caraffa, jenerał Towarzystwa Jezusowego, zasiadający w zgromadzeniu św. roty, mimo prawomocnego i wyłącznie obowiązującego wyroku, powierzył z wielką ule-

głością w liście z dnia 1. grudnia 1646 r. całą sprawę i jej ostateczne załatwienie opiece, łasce i sądowi króla. Jenerał miał zapewne nadzieję, że takie oddanie się protekcyi królewskiej wpłynie na wspaniałomyślność monarchy i zjedna jego przychylność dla sprawy.

Nieoględność ta była bardzo na rękę księdzu Słowikowskiemu. Przybył w tym czasie do Warszawy biskup krakowski z wielką pompą na mający się odbyć sejm, w jego zaś asystencyi zjechał także ksiądz Słowikowski, który wnet wyjednał u króla zajęcie się tą sprawą. Władysław IV dla rozpatrzenia i dokładnej informacyi wydelegował nuncyusza papieskiego, ks. Jana de Torres, arcybiskupa adryanopolskiego, i ks. Andrzeja Szołdrskiego, biskupa poznańskiego.

Wybór to był dla Jezuitów najfatalniejszy, archipresbiter sam nie mógłby lepszych i gorliwszych rzeczników swej sprawy wybrać. Przed delegowanymi stawił się O. Kuhn.(późniejszy rektor gdański) z Ojcem Schoenhoffem w pierwszą niedzielę Wielkiejnocy w zakrystyi katedry św. Jana w Warszawie podczas kazania.

Ksiądz Słowikowski po bardzo poufnych naradach z arbitrami obszernie za sobą przemawiał, opierając się na argumentach, przytoczonych przed kilku laty wobec sądu księdza Grochowskiego, i o ile archipresbitera przychylnie słuchano, o tyle wywody obrońcy przeciwnej strony, księdza Kuhna, po kilku już słowach zbijali z góry arbitrowie lub obecni prałaci.

Ta stronniczość sędziów najlepiej widnieje z listu ks. Kuhna, który, zostawszy w tym czasie rektorem w Gdańsku, pisze między innemi do ks. Sylwestra Drążewskiego w Warszawie: »Najwięcej zbijano zastrzeżenie w akcie donacyjnym biskupim, które opiewa, abyśmy się nie mieszali w prawa sąsiedniego kościoła N. P. Maryi. Poczem ja i słowami i dokumentami klausulę tę zbijałem, lecz oni nic z tego, co za nami przemawiało, słuchać nie chcieli. Król w tym czasie chorzał na kamień i z tego powodu O. Schoenhoff nie mógł

mieć doń przystępu dla dania mu informacyi. Bez naszej tedy wiedzy napisał ks. Słowikowski jakąś informacyę, którą biskup krakowski, podpisaną przez nuncyusza i biskupa poznańskiego, wręczył królowi. Następnie reskrypt napisał i królowi do podpisania dał, kanclerzowi zaś do wyciśnięcia pieczęci. Nawet kopii tego dokumentu nie mogliśmy dostać. Tyle tylko pewnie wiemy, że całkowite funeralia z kościoła św. Barbary, jako z filialnego, mają być oddawane kościołowi macierzystemu i w ten sposób trzeba będzie płacić archipresbiterowi nie kwartę, lecz całkowite »spolium« pogrzebowe, »y od mieisca w naszym kościele y od dzwonów on brać ma, co tem niesprawiedliwsza«.

Ów reskrypt napisany w porozumieniu z delegatami przez samego ks. Słowikowskiego i dany królowi do podpisania, w tłumaczeniu polskiem brzmi, jak następuje: »Mimo, że wolno każdemu wiernemu w Chrystusie w jakimkolwiek kościele, czy to świeckim, czy zakonnym, wybierać sobie pogrzeb, niemniej jednak, ponieważ w erekcyi kaplicy św. Barbary z r. 1394, jak i w akcie donacyi, potwierdzonym przez papieża około r. 1583, zastrzeżono, aby żadnej szkody, ani ujmy kościołowi archipresbiteryalnemu nie czyniono i ponieważ wszystkie dochody, ofiary, spolia i pożytki pogrzebowe do praw parafialnych nienaruszone powracają, a takowe przerzeczeni ojcowie, odprawiając od czasu do czasu pogrzeby zabierali, przeto oświadczamy i postanawiamy, aby pomienionemu archipresbiterowi i jego następcom dochody te bez żadnego przeciwienia i przeszkody były oddawane. Władysław IV król. Dan w Warszawie 23. maja 1647 r.«

Po przeciwnej stronie dokumentu zapewne który z współczesnych Jezuitów dopisał: *Decretum iniqui Vladislai IV contra S. Barbaram pro dandis Archipresbitero funeralibus.*

Pośrednictwo króla, jak widzimy, wypadło na korzyść księdza Słowikowskiego, tem więcej, że archipresbiter starał się przekonać Władysława, jakoby prawo pogrzebów było

połączone nietylko z krzywdą proboszcza kościoła N. P. Maryi, ale co ważniejsza z ujmą królewskiego patronatu w tymże kościele. Dokumenta, podpisane przez króla, uważał ks. Słowikowski za ostateczny dekret i żądał potwierdzenia go przez senat i kuryę rzymską.

Papież odesłał sprawę do kongregacyi, aby osądziła, czy dokument ten należy potwierdzić, ponieważ zaś szło o prawa kościoła Jezuitów, uważał za słuszne wysłuchać zdania jenerała zakonu. O. Caraffa oświadczył, że konfirmacyi pismu temu dawać nie należy, delegowana bowiem przez króla komisya nie brała pod rozwagę kwestyi, w której się jenerał zakonu odwoływał do króla, ale inną, w której się wcale nie odwoływał. Mianowicie dekret królewski naznacza archipresbiterowi i jego sukcesorom wszystkie dochody, ofiary i spolia pogrzebowe, należne ojcom tego kościoła, jenerał zaś zakonu odwoływał się do króla wyłącznie tylko w sprawie kwarty pogrzebowej, do której się ojcowie nie poczuwali, opierając swe prawa na przywilejach zakonów żebrzących, które to przywileje im przez rzymską rotę przysądzono.

Na podstawie takiego orzeczenia papież nie zatwierdził dekretu królewskiego, — Jezuici zaś widząc, że słuszność ich sprawy wywoła opór strony przeciwnej i mimo poparcia Stolicy Apostolskiej nie obroni ich przed machinacyami i zaciekłością archipresbitera, pisali publiczne odezwy i słali pokorne listy do króla, starając się w ten sposób pozyskać łaskę Władysława i zjednać dla siebie przychylność opinii publicznej. Kilka takich listów i odezw znajduje się między wymienionymi dokumentami.

Daremnie starano się w nich przekonać Władysława, że oddanie sprawy do rozpatrzenia deputatom (legatowi i biskupowi poznańskiemu) było niesłuszne i że wyrok, napisany przez samego księdza Słowikowskiego w zakrystyi kollegiaty warszawskiej, nie posiadał essencyonalnych własności prawomocnego sądu. Daremnie jenerał zakonu tłumaczył królowi, że nie można rozsądzać czego innego, jak tylko to, co św.

rota sądziła, a mianowicie wyłącznie kwartę pogrzebową, a nie wszystkie dochody i spolia, jak to królewska komisya uczyniła; daremnie w końcu już przyrzekał, że Jezuici płacić będą kwartę, jak długo królowi podobać się będzie. Ani perswazye, ani pokorne błagania i pochlebstwa, ani przesyłane w listach błogosławieństwa i modlitwy do Wszechmocnego, by wszelkie dobra i łaski zlewał na głowę króla i jego potomstwo, nie zdołały nakłonić ucha i serca dla zakonu, ani zniweczyć uprzedzenia podsycanego właśnie dzielną ich obroną i opieką, jakiej doznawali ze strony Stolicy Apostolskiej.

Zdesperowani Jezuici, z początku pokorni, poczynają występować coraz to śmielej, utrzymując, że nie ma sądu bez kompetentnego sędziego. Któż tu bowiem był sędzią? Król, czy deputowani: nuncyusz i biskup poznański? Król nie mógł być sędzią, bo monarcha w sprawach kościelnych sędzią być nie może i nie ma na to jurysdykcyi. Nuncyusz zaś i biskup poznański! Jakąż oni jurysdykcyę wykonywali? zwyczajną, czy delegowaną, czy umówioną? — Zwyczajną — nie, bo ani biskup poznański nie był ordynaryuszem stron poważnionych, ani sprawa ta w owym czasie nie należała do trybunału nuncyusza, albowiem już przez sąd przeszłego legata (M. Philonarda) odesłaną została do Stolicy Apostolskiej po apelacyi, uczynionej przez samego archipresbitera.

Te śmiałe argumentacye zamiast przekonać, drażniły tylko duchowieństwo i partyę króla. Bezowocną walką znużeni Ojcowie czekają w końcu przychylniejszych czasów według projektu przezornego O. Kuhna, który list swój kończy radą, aby na razie dekret królewski przyjąć, prosić jednak prowincyała, aby jeśli kto zechce być pochowanym w kościele św. Barbary, to niech złoży za życia pewną jałmużnę pogrzebową u św. Piotra. W ten sposób ominie się wyrok, po śmierci zaś króla »możemy archipresbitera zawezwać przed sąd z zarzutem, że edykt królewski jest nieprawomocny i prawom kościelnym przeciwny«. (List z Gdańska do ks. Sylwestra Drążewskiego w Warszawie).

Podobnie też radzi O. Grzegorz Ciślak w liście, pisanym z Rzymu do ks. Schoenhoffa T. J. w Warszawie, utrzymując, że zamiast ostrej polemiki wystarczy postarać się, aby król dalej nie brał w opiekę ks. Słowikowskiego, czego dopiąć można przez Maryę Ludwikę, zwłaszcza, że można ją było zjednać nietylko słowami, lecz i podarkami, jak świadczą następujące słowa tego pisma: »*Quod sciam Reverendus habere apud Serenissimam Reginam gratias; ad magis sibi devinciendas mitto Rndo* za wykupne św. Grzegorza, którego za trzy dni, *ornatam auream* (sprzęcik złoty) *ponderis 2. ungaricorum, originali cruci private nostro P. Provinciali illius provinciae applicatam, de quo miserat mihi testimonium. Reperies ipsam inter scipturas. Miror, quod Huttini notarius decretorum potuerat, tam sinistre in hac nostra causa informare Regiam Majestatem, unus homicida et alienigena!*« — a wkońcu polski dopisek krótki, lecz bardzo charakterystyczny, który jest niejako rozkazem i wskazówką z góry: »wytrącić go ode dworu!«

Ale wszelka zaciekłość wrogich obozów ustąpić musiała wobec nieszczęścia, jakie nieba zesłały na polskiego monarchę. Oto jedyna pociecha w licznych troskach i kłopotach, sześcioletni syn Władysława umarł na dysenteryę 9. sierpnia 1647 r. i to właśnie w chwili, gdy król po bliższem rozpatrzeniu sprawy i po wymianie listów z jenerałem zakonu poznał, jak wielką krzywdę wyrządził Jezuitom. Żal jego nie miał granic. W bezmiernej rozpaczy biedny ojciec uważał śmierć jedynaka, jako karę za niesprawiedliwy wyrok. Świeżo nadesłane listy Caraffy, oddane mu zaraz po pogrzebie księcia, utwierdzały go w tem przekonaniu i wywarły tak potężny wpływ, że postanowił, skoro tylko z Prus do Warszawy powróci (jeździł bowiem wówczas do Torunia w celu pojednania szlachty pruskiej z mieszczanami), Ojcom krakowskim uczynić satysfakcyę.

»Przyjechał król do Warszawy« — czytamy dalej w aktach procesu — »już bardzo chory i chorował do końca sty-

cznia (1648). Z początkiem lutego ledwo co przyszedłszy do sił, odjechał do Litwy. W Litwie zajęty ustawicznymi frasunkami dworu i Rzpltej, nie mógł się jąć i załatwić tej sprawy. Nakoniec około Wielkiejnocy, wysłuchawszy kilkakrotnych skarg Ojców i wniknąwszy w ich słuszne pretensye, zawołał do siebie pewnego dnia ks. Schoenhoffa i wyznał, że Ojcom krakowskim, »niebożentom«, dzieje się krzywda, ale że ani czas, ani miejsce na to w Litwie, więc wszystko niech złożą w swem miejscu, a on za przyjazdem do Warszawy dołoży wszelkich starań, aby byli kontenci i zaspokojeni. Wszystko to doniósł O. Schoenhoff przełożonemu krakowskiemu z Wilna, poczem król z końcem kwietnia z Wilna wyjechał i śmiertelną chorobą złożony, (w Mereczu) 20. maja umarł«.

Ze śmiercią Władysława zmienia się sytuacya.

Archipresbiter wprawdzie jeszcze obstawa przy wyroku nieboszczyka króla, któremu śmierć nie dozwoliła sprawy załagodzić, ale czyni to z wielką oględnością i nieśmiałością wobec silnego protektoratu, jakiego zakon doznaje ze strony nowego elekta. Jan Kazimierz uznał wyłącznie za prawomocny dekret św. roty i doniósł o tem papieżowi. Archipresbiter jął się wówczas ostatecznego sposobu. Oto nie chciał przyjmować od Jezuitów żadnych listów, ani rozporządzeń papieskich, a ile razy kto od św. Barbary zjawił się, aby mu taki list wręczyć, wówczas go w domu nie było.

W r. 1652 na początku czerwca trzeba było znowu donieść o ostatecznem załatwieniu sprawy ks. Słowikowskiemu. Posłany kleryk Zawadowski nie zastał jak zwyczajnie archipresbitera w domu. W rzeczy samej tym razem nie był obecny. Powiedziano klerykowi, że jest u p. Bodzanty. Mieszkanie Bodzanty musiało być dość odległe, kiedy potrzeba było aż koni, aby się tam dostać. Pojechał tedy Zawadowski do Bodzanty, lecz mimo nalegań i kołatań nie wpuszczono go do mieszkania. Wówczas kleryk powrócił i kopie listów papieskich przybił na drzwiach kościoła P. Maryi, głośno je światu

odczytawszy, następnie udał się do kapelana archipresbitera, księdza Alberta Soleckiego, któremu oryginalne listy papieskie pokazał, a kopie tych listów do rąk mu wręczył.

Z chwilą wręczenia ostatecznego rozporządzenia papieskiego archipresbiterowi sprawa cała została zakończoną.

Aby bez uprzedzeń zrozumieć ten ciekawy spór, rozgrywający się na tle wrogich sobie obozów i w niejednem wyświetlający stosunki współczesnej Polski, pamiętać należy, że wybujały indywidualizm polskiego magnata, jego przeważny wpływ na sprawy Rzpltej, jego prawa i przywileje, wytworzyły u nas prócz możnowładztwa świeckich panów, potężniejsze jeszcze możnowładztwo wyższego kleru, które wobec swego *sic jubeo, sic volo* nie liczyło się często z królem, ani z Stolicą Apostolską, a cóż dopiero z Jezuitami.

Czytelnia Włościańska w BIERZANOWIE.

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE.

Doktorka medycyny i okulistka polska w XVIII wieku w Stambule[1].

(Szkic historyczny na podstawie nieznanego pamiętnika).

Przeglądając katalog biblioteki Czartoryskich, zauważyłem tytuł rękopisu (Nr. 1482 in 4°), który mię wielce zainteresował. Tytuł ten opiewa: *Echo na świat podane czyli procedura podróży y życia mego awantur, na cześć y chwałę P. Bogu w Trójcy św. Jedynemu y Najświętszey Matce Chrystusa Pana mego y wszystkim Świętym* — napisała »Salomeja Regina de Pilsztynowa, Medycyny Doktorka i Okulistka w r. 1760 w Stambule«.

Rękopis drobnym, starannym charakterem pisany, dedykowany jest p. Ludwice z Mniszchów Potockiej, drugiej żonie Józefa Potockiego, kasztelana krakowskiego i hetmana w. koronnego, w przedmowie zaś do czytelnika usprawiedli-

[1]) W r. 1900 ukazało się dzieło p. Dr Melanii Lipińskiej w francuskim języku p. t.: »*Histoire des femmes médecins*« (kobiety lekarki), za które autorka otrzymała nagrodę Wiktora Hugo w kwocie 1.000 franków i zyskała uwielbienie całego świata. Najwięcej zajmującą częścią całego dzieła są losy i niezwykłe przygody okulistki i doktorki Polki z XVIII w. p. Halpirowej, a krytyka nie mogła się dość wydziwić, skąd p. Lipińska wydobyła tak ciekawą postać. Tajemnicę tę mogę dziś odsłonić. Oto zajmujące przygody Halpirowej są żywcem przetłomaczone na język francuski z mojej powyż. pracy. — Czyżby p. Lipińska uwieńczona laurami zapomniała o prawach należnych autorowi? !

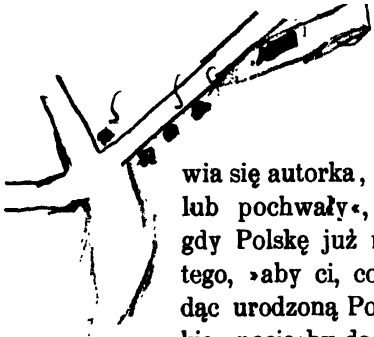

wia się autorka, że napisała tę książkę »nie dla jakiego profitu lub pochwały«, pisze ją bowiem na obcej ziemi w Turcyi, gdy Polskę już raz na zawsze pożegnała, pisze głównie dlatego, »aby ci, co ją znali w życiu«, nie obwiniali jej, że będąc urodzoną Polką, mając dzieci i męża w Polsce, te wszystkie »pociechy doczesne« opuścić musiała, nie znalazłszy w kraju ani pomocy, ani pociechy, a doznawszy tylko krzywdy i wzgardy od męża, dzieci i bliźnich.

Wobec dzisiejszych emancypacyjnych dążeń kobiet, nie bez interesu zapewne będzie proceder życia tej emancypantki polskiej z XVIII wieku, niewiasty, która z zaniedbaniem obowiązków matki i żony uganiała się w awanturniczy sposób za fortuną, sławą lekarską i szczęściem po całym świecie i w końcu po kilkudziesięciu latach takiej gonitwy do tej konkluzyi przyszła, że ani majątek, ani rozgłośna sława nie zastąpią miłości i ciepła rodzinnego, które jedynie i wyłącznie po wszystkie czasy kobietę uszczęśliwić mogą.

Autorka pochodziła z Litwy, z domu Makowskich, w województwie Nowogrodzkiem. O ile z dat podanych wywnioskować można, urodziła się w r. 1718 i w 13 roku życia, a więc niemal dzieckiem wyszła za mąż, za Niemca, doktora medycyny, Jakóba Halpira. Po ślubie wyjechali oboje do Stambułu, a że p. Jakób był zdolnym lekarzem, wnet znalazł wzięcie i przyszedł do fortuny. Nie mało mu w jego zajęciach pomaga młoda, ruchliwa i energiczna żona. Oto zaraz na początku pamiętnika czytamy opowiadanie o wypadkach, które świadczą, że swymi zabiegami i sprytem zdołała wyratować męża z wielkiego niebezpieczeństwa.

Rzecz miała się tak, że pewien czausz cesarski, wielki bogacz, ślepy na oczy i ułomny na nogi i ręce przez lat siedm, stargował się był z Halpirem za 500 lewów, »żeby go z tego defektu wyprowadził«. Halpir wziął go w swą kuracyę i szczęśliwie wyleczył. Gdy się o tem dowiedział sułtan Mehmet, został p. Jakób najsławniejszym lekarzem w Stambule, ów czausz zaś »jeszcze dekokta pił«, bo się kuracya całkowicie nie skoń-

czyła, gdy w tem nieszczęście chciało, że po wypiciu takiego jednego lekarstwa umarł. Wszczął się wielki gwałt i rozruch na dworze tureckiego dygnitarza, żona bowiem i dzieci zmarłego podali suplikę do w. wezyra Izmaiła, »który Turków i chrześcijan, jak kot myszy, dusił« i Halpira uwięziono, nazajutrz zaś miano go stracić.

Pani Salomea, zaniepokojona losem męża, kazała się w lektyce ponieść do więzienia i gdy go spytała o radę, co ma czynić, Halpir prosił ją, aby podała suplikę do wezyra. Żona natychmiast to uczyniła, ale gdy jej wezyr kazał przyjść do siebie późną wieczorną godziną, zmieszała się wielce, wiedziała bowiem dobrze, że cały świat »responsy« wezyrskie w dzień otrzymuje. Podejrzywując Izmaiła o nieczyste zamiary — a pamiętać nam trzeba, że miała lat 17 i była bardzo urodziwą — wróciła do więzienia męża i zwierzyła się mu z swych obaw. Halpir oświadczył jej, że woli raczej najokrutniejszą śmiercią zginąć, niżby jego żona miała »pochop brać do złego życia i skalać swoje czyste sumienie«.

Nazajutrz nie poszła już tedy do wezyra, ale udała się do dygnitarzy tureckich i przyjaciół, zabiegając, aby ją pogodzili z żoną i dziećmi zmarłego czausza. I udało się jej zagodzić tę sprawę pieniędzmi w ten sposób, że zapłaciła 5,000 lewów, t. j. 10 kies, i wziąwszy »kwitacyę« w sądzie tureckim, uwolniła z więzienia męża, który miał dla niej »wielką obligacyę za tak zabiegliwe starania i koszt«.

I byłoby jak dotąd wszystko bardzo dobrze, gdyby nie zbytnia ruchliwość i niepotrzebne wtrącanie się pani Halpirowej do spraw lekarskich. Mąż jej zajęty był ustawicznie pacyentami, ona zaś miała aż nadto czasu, aby mu wyrabiać jak najszerszą klientelę lub bawić się w czasie jego nieobecności w fuszerkę lekarską, tudzież tropić i prześladować wszystkich tych lekarzy w Stambule, którzy z zazdrości szkodzili jej mężowi.

W kilka miesięcy, gdy zaczęła badać, z czego umarł ów pacyent, który im tyle kłopotu i kosztów narobił, dowie-

działa się, że ostatnie lekarstwo, z którego czausz umarł, było robione w jednej aptece według recepty jej męża, przy sporządzaniu zaś tego medykamentu miał być obecnym żyd, doktór, na imię Fonseka, i on to z zazdrości miał dołożyć do moździerza, gdzie się lekarstwo preparowało, trucizny i w ten sposób umarł ów Turczyn. Halpir, namawiany przez żonę, aby aptekarzowi i Fonsece wytoczył proces, nie chciał tego uczynić, Bogu dziękując, że się tylko na więzieniu skończyła sprawa, którą można było życiem okupić. Ale pani Salomea, kobieta umysłu niespokojnego i awanturniczego, inaczej rzecz pojmowała.

W czasie nieobecności męża podała suplikę przed sąd wezyrski, w której opowiedziała cały wypadek o śmierci czausza i o owem podejrzeniu na żyda doktora Fonsekę i aptekarza Johana. Poprzedni wezyr okrutny, Izmaił, był już zrzucony z urzędu, obecnie zaś wezyrem był Ali-basza. Halpirowa na audyencyi prosiła, aby Fonsekę i aptekarza zawezwano przed sąd. Nie upłynęło i godziny, a oskarżeni stali na dywanie. Po wytoczeniu sprawy, Fonseka przestraszony przyrzekał publicznie, że jej wróci owe 10 kies, które zapłaciła rodzinie zmarłego czausza, żeby tylko odstąpiła od procesu. Obwinieni ułagodzili sąd kilkoma tysiącami tynfów, Halpirowej zaś wrócili wydane pieniądze i w ten sposób zgodzono sprawę, o której Halpir nic nie wiedział, pani Salomea bowiem wytoczyła ją w czasie, gdy mąż był u jakiegoś pacyenta, księcia greckiego, mieszkającego sześć godzin od Stambułu. Za powrotem dowiedziawszy się o wszyskiem, tak się Niemczysko przestraszył, iż »uciekł tejże godziny bez wieści aż do Brussy«, dopiero Halpirowa musiała za nim posyłać i jej gorące zapewnienia, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, zdołały go skłonić do powrotu. Z tej ucieczki Halpira widnieje już chęć opuszczenia na zawsze żony, która mu pod pretekstem pomocy w zawodzie jego przeszkadzała. Mięszała się nietylko w jego sprawy, ale i sama zajmowała się doktorstwem, które jej przynosiło znaczne dochody.

Miewała — jak pisze — manele złote na ręku, ze 100 czer. złotych na sznurkach na szyi, 300 czer. złotych na głowie, klejnoty, pierścienie dyamentowe, kolce z kamieńmi, suknie suto bogate, drogie tulbenty (białogłowskie zawoiki), a woziła się karetą szkarłatem obitą lub kazała się nosić do swych pacyentów w lektyce.

Takie powodzenie Polki w sztuce lekarskiej było powodem zawiści tamtejszych lekarzy, po większej części żydów, którzy wszelkich używali sposobów, aby ją wobec publiczności zdyskredytować. Zdołali oni nawet wyjednać u Hekima-baszy, fizyka w Konstantynopolu, że jej zakazał leczyć mężczyzn, uwzględniając zaś jej niepospolitą biegłość w okulistyce, której się nauczyła u swego męża i u jakiegoś sławnego okulisty z Babilonu, pozwolono jej leczyć białogłowy i to tylko na oczy.

Ale daremnymi były wszelkie zakazy Hekima, gdy bowiem potajemnie wyleczyła na kamień balsamem kopaiwowym pewnego Kaftan-Agasę, t. j. szatnego sułtańskiego, którego już wszyscy lekarze odstąpili, wówczas i Hekim-basza dał się przejednać, a że Turcy do żon swych i córek nie radzi mężczyzn doktorów przypuszczają, więc używaną była do wielkich pań i to nietylko mogła już leczyć oficyalnie oczne słabości, lecz także i wewnętrzne.

Halpirowa weszła w modę w Stambule; podwoje jej apartamentów się nie zamykały, leczył się u niej cały świat stambulski. Wówczas jeden z doktorów, żydowin Samson, użył na nią sposobu następującego. Oto — opowiada nam pani Halpirowa — ukradł jej jeden patynek haftowany, w którym codziennie chodziła, i tym patynkiem jakieś czary miał czynić, że jej »odjęło« ręce, nogi i rozum ludzki i zdawało się jej, że jest dziecięciem i że powinna w kołysce leżeć. Choroba była tego rodzaju, że gdy zoczyła rękę lub nogę swoją, to »gwałtu« wołała, żądając, aby jej odjęto te cudze ręce i nogi; męża zaś i sługi miała w nienawiści, bo się jej ciągle zdawało, że mają gołe pałasze i chcą ją rozsiekać;

w oknie widywała straszydła w postaci starego człeka, który miał brodę bardzo długą, a tak się bała tych widziadeł, że przez dziewięć miesięcy nic nie spała, tę tylko »folgę mając w cierpieniu, że niejaki Józef, chłopiec prostej kondycyi«, wydawał się jej najmężniejszym, najrozumniejszym i najwierniejszym ze wszystkich ludzi. Jego jednego znosić mogła, jemu tylko ufała, a kazawszy mu nabić dwie pary pistoletów, zleciła mu opiekę nad sobą.

Na jego też perswazye pani Halpirowa zdrzemnęła się nieco od czasu do czasu, on jednak musiał siedzieć za jej plecami i pilnować jej pieniędzy (600 cz. zł.), które miała pod poduszką.

Trwała ta choroba dziewięć miesięcy. W tym czasie nic nie jadła, tylko kawę i surowy bób, z długiego zaś leżenia poczęło się na niej ciało psuć. Był naówczas w Stambule kupiec z Mysuru (z Egiptu), który się znał na gwiazdach. Ów astrolog dowiedziawszy się o cierpieniach Halpirowej, którebyśmy dziś histeryą wyższego stopnia nazwali, przybył do niej w towarzystwie swych czuhadarów (sług) i oświadczył jej, że to »owi żydzi lekarze z zazdrości na jej zdrowie nastąpili« i do reszty chcą ją umorzyć.

— »Ja wiem, że tak jest — mówił kupiec. — Oto ukradziono ci patynek haftowany jeden, który zakopano w ziemię z gusłami, i póki ten patynek gnije, póty trwać będzie twoja choroba, a gdy ten patynek wcale już zgnije, to umrzesz«.

A dalej mi mówił — dodaje Halpirowa: — Nic od ciebie nie chcę, żadnej nagrody, tylko tę koszulę, co ją na sobie masz«.

Koszule jej — jak się dowiadujemy — były pół jedwabne i chętnie byłaby się zgodziła taką drobnostką okupić zdrowie, lecz wstyd jej wzbraniał to uczynić, była bowiem bardzo mizerna, w dodatku zaś obawiała się ujrzenia swych rąk i nóg. Wówczas ów Turczyn z służącym Józefem porwali ją pod ręce, »jak wilcy«, i postawili na nogach. Potem »dał mnie ten Turczyn — mówi Halpirowa — niejakieś ka-

dzenie i tak mi się zdało, że na mnie sto korcy grochu suchego wysypali z szumem i wrzaskiem po całem ciele. Jak ten szum ustał, położono mnie i koszulę zdjęto, a nakryto uczciwie; i w tejże chwili ustąpiła owa bojaźń rąk i nóg i obawa przed ludźmi«.

Zawołano męża, kupiec zaś wziąwszy z sobą ową zdjętą koszulę, zapewne mu potrzebną do czarów i uroków, wyszedł, a nazajutrz przyniósł jej zgubiony przed dziewięciu miesiącami patynek i jakąś glinianą miseczkę, na środku »inkaustem po turecku zapisaną« i powiedział: »Co tylko pić będziesz, to z tej miseczki pij, to codzień będziesz zdrowsza!«

Od owego dnia coraz było lepiej, a gdy się na miseczce wszystkie litery zmazały, wówczas doszła Halpirową wieść, że żyd, doktor Samson, który czarami ową chorobę sprowadził, umarł. »Cud — kończy doktorka polska — jak mnie Opatrzność Boska w pierwszem zaczęciu doktorstwa cudownie opatrzyła!«

Z tego szczerego jej opisu widzimy, że Halpirowa miała większą wiarę w gusła i zabobony niż w Boga i że była usposobienia nerwowego, a nawet jakiś czas cierpiała w wysokim stopniu na histeryę w połączeniu z manią prześladowczą i z paraliżem odnóży. Wszystko to składało się na organizacyę niewiasty delikatnej, odczuwającej wszelkie doznane wrażenia psychiczne i cielesne nierównie subtelniej niż zwykłe, zdrowe organizmy. Jeżeli dodamy jeszcze, że krew polska rycerska darzyła ją niezwykłą odwagą, wówczas zrozumiemy jej niepomierną ruchliwość ciała i umysłu, jej ustawiczną gonitwę za niebezpieczeństwami i awanturami przez całe życie, jednem słowem, jej ciągłą żądzę nowych wrażeń.

Wiadomo, że z takiemi kobietami po wieczne czasy była, jest i będzie wielka bieda i kłopot dla otoczenia. Są one zawsze niezadowolone z obecnego porządku rzeczy i zamiast sięgnąć po szczęście tuż blizko, szukają go albo po dalekich krańcach nieba i ziemi lub pragną je znaleźć w szerokim świecie nauki i tych spraw i zatrudnień, które dotąd były

dla nich niedostępnemi. Halpirowa, to prototyp wszystkich naszych dzisiejszych spaczonych emancypantek.

To też mąż wnet sobie sprzykrzył taką żonę. Gdy była zdrową, to się mięszała do jego pacyentów i posługując się z początku nie tyle wiedzą, ile intuicyą, bawiła się w fuszerkę lekarską, co narażało p. Jakóba na liczne nieprzyjemności tak ze strony władz sanitarnych w Stambule, jak i ze strony jego kolegów. Pamiętać również należy, że miała lat siedmnaście i była ładną, jak o tem liczne wzmianki w rękopisie świadczą, nosiła się zaś z wyjątkiem zawoiku na głowie po polsku i chodziła wszędzie z odkrytem obliczem w mieście, gdzie się publicznie kobiet nie spotyka, leczyła zaś nietylko kobiety, lecz i płeć brzydką, co wszystko razem wpłynąć mogło niemało na nieporozumienia i sceny małżeńskie, które ją coraz więcej od męża oddalały. Za ostateczny powód rozłąki podaje pani Halpirowa »himery« ostatniej choroby i wielki koszt kuracyi, a gdy w końcu nalegać na męża poczęła, że nie chce mieszkać w Stambule dla żydowskich czarów, wówczas samolubny Niemiec, protestant, tak się rozgniewał, że zabrał wszystko, co miał, a zostawiwszy żonę z dzieckiem na bruku i poleciwszy tylko przyjacielowi, aby jej dawał co tydzień jeden czerwony złoty, wyjechał z Stambułu do Bośnii, gdzie był lekarzem nadwornym jednego z tamtejszych baszów.

Opuszczona i wszelkich dostatków pozbawiona kobieta, wychudła, wynędzniała z choroby i z frasunku, postanowiła opuścić Stambuł i nająwszy sobie wóz z końmi za 30 lewów, udała się w drogę do Polski na Adryanopol. Towarzyszył jej stary żebrak, kaleka, Tatarzyn, nazwiskiem Krymil, który umiał cokolwiek po polsku, bo za młodu będąc kupcem, często bywał w Polsce.

W Adryanopolu doznała ludzkiego przyjęcia ze strony tamtejszych niewiast, z któremi zaznajomiła się w łaźni, t. j. w jedynem miejscu, gdzie się same Turczynki dla zabawy schodzić mogą. Znajomość z owemi tureckiemi paniami ułа-

twiła jej kilka pomyślnych kuracyi, które w swem pamiętniku notuje.

Między innymi wyleczyła pewnego szewca, Greczyna, na krwawą desenteryę i suchoty, a pacyent ten nietylko, że jej suto zapłacił (100 lewów), ale jej uczynił taką »estymacyę« w mieście, że odtąd miała wielu pacyentów godnych i pożytecznych. To ślepy od lat kilkunastu Turczyn, co »czybuki« robił misterne, to pozbawiona wzroku Anastazya, córka niejakiego Hadży Margaryty, co aż do Jerozolimy jeździła po radę, a może i w nadziei uproszenia cudu u Grobu Pańskiego — jej zawdzięczali zdrowie. O owej Anastazyi opowiada nam że gdy się w czasie bytności w Jerozolimie zdrzemnęła w korytarzach Grobu Pańskiego, ukazać się jej miała Matka Boska, która jej pokazała pewną kobietę i oświadczyła, że ją ta kobieta za 5 lat spotkana w Adryanopolu wyleczy. Po odzyskaniu wzroku zaklinała się dziewczyna, że owa lekarka, we śnie jej przez Matkę Boską ukazana, tak samo wyglądała, jak Halpirowa.

Wspomógłszy się na kilkanaście tysięcy lewów, wyjechała pani Salomea do Jambułu, gdzie rezydowali synowie hana tatarskiego. Tam wyleczyła żonę i syna Alimgiereya-sułtana, za co dostała 1000 lewów i suknie białogłowskie czerkieskie. Odesłana w konwoju do Tatar-Pazardżiuku, »kurowała« żonę Ibrahima-efendiego, który ją odesłał do Filipbei w Macedonii. O tem miasteczku opowiada, że jest miejscem urodzenia Aleksandra Wielkiego, i że się zwie od Filipa, jego ojca. Kuracya córki tamtejszego komendanta, który ma tytuł »Nazyra«, nie udała się wcale, chora bowiem po zażyciu kilku kropli jakiegoś *elixiru proprietatis* w dwie godziny później umarła. Doktorka nasza obroniła się przed więzieniem tylko w ten sposób, że resztę pozostałego lekarstwa sama wypiła.

Z Filip-bei udała się do Zofii. Drogę niebezpieczną i bardzo górzystą przez Bałkany trzeba było odbyć konno. Kupuje tedy konia za 400 tynfów, przebiera się w męskie suknie, najmuje 10 koni pod rzeczy i sługi i przyłączywszy się

do 30 konnych podróżnych, jedzie do Zofii. W drodze spotyka ją sławny i straszny na owe czasy rozbójnik, Sary Husein-aga, a oświadczywszy wprost, że wie, kto ona jest, wzywa ją, aby się wraz z nim udała do Karłowa, miasteczka bułgarskiego, leżącego w tak głębokim jarze, że kiedy się do niego zjeżdża, to się zdaje, »że z nieba na dół«. Było to miejsce zamieszkania owego sławnego rozbójnika, który, będąc cierpiącym na oczy, żądał, aby go wyleczyła, tudzież, aby wzięła w kuracyę jego krewniaka, który 6 lat na nogi nie chodził. Po skutecznem wyleczeniu krewnego Husein-agi, jego bowiem samego leczyć było niepodobieństwem, gdyż rozbójnik z obawy przed władzami kilkudziesięciu dni na jednem miejscu pozostawać nie mógł, odprowadzoną została w konwoju do Zofii, gdzie wkrótce otrzymała posadę doktorki w haremie baszy Kiupru-Uły.

Przypadek zdarzył, że tu spotkała się z swym mężem, który, będąc lekarzem pewnego bośniackiego baszy, zachorował na »kontraktury« członków i przybył do wód mineralnych w Zofii dla kuracyi. Spotkanie było bardzo czułe, pani Salomea otoczyła nawet męża serdeczną opieką i pielęgnacyą, zdaje się w nadziei połączenia się z nim. Ale owe nadzieje ją zawiodły. Mężowi towarzyszył jakiś w niewolę zabrany okrętowy lekarz maltański. Halpir, wyleczywszy się, zostawił jej książki swoje i owego maltańskiego lekarza, sam zaś powrócił do Bośnii, gdzie wkrótce potem zarażony powietrzem, umarł. Znajomość z »paizanem« maltańskim nie była bez pożytku dla naszej lekarki. Nauczył on ją wyśmienicie zapisywać po łacinie recepty ze znakami doktorskimi i obznajomił z wszystkiemi ziołami, używanemi w medycynie współczesnej.

Dotąd — z wyjątkiem oczu — leczyła bez najmniejszej znajomości sztuki lekarskiej, obecnie z pomocą książek i maltańskiego lekarza mogła już rozporządzać pewnym zasobem wiedzy fachowej. Pobyt jej w Zofii przypada na rok 1737.

Były to czasy bardzo niespokojne, Turcya prowadziła właśnie wojnę z Persyą, Rosyą i Austryą. Wypadki polity-

czne wpłynęły na Halpirową, że Zofię opuścić musiała, choć jej w baszyńskim haremie bardzo było dobrze i opływała we wszelkie wygody. Gdy austryacki jenerał, Seckendorf, wziął Niż i opanował całą »nyską« prowincyę, przyszedł ordynans od sułtana, aby zofijski basza Kiupru-Ułu kraj ten odebrał od »Niemców«. Seckendorf, pragnąc się przy Niżu utrzymać, zbuntował ludność miejscową przeciw Turkom, których chrześcijanie wycięli na kilka tysięcy. Lecz wskutek zdrady następcy Seckendorfa (Dochata), Niż wydano Turkom, ci zaś mszcząc się za poprzednią rebelię, uczynili taką rzeź między chrześcijanami, że głowy bułgarskie, zwiezione do baszy zofijskiego, Kiupru-Uły, formowały piramidę na »wysokość wielkiej karczmy«. Rzeź ta tak zraziła, sturbowała i przestraszyła Halpirową, iż pożegnawszy zofijskiego baszę, wyjechała konno, przebrana za janczara, do Widynia tureckiego.

W mieście tem brak był ogólny mieszkań, tak, iż Halpirowa 100 czer. złotych na miesiąc dawała za stancyę i jeszcze nie mogła jej dostać, musiała tedy mieszkać w hanie, t. j. austeryi. Powodem owego braku mieszkań była liczna załoga austryacka, konsystująca w Widyniu. Jenerał »Damnic« (Daunitz) przyciągnął tu z ogromnem wojskiem, »chcąc zrewanżować, co Seckendorf pobłądził, ale mu się to nie udało, bo przegrał bitwę pod Krajowem i wielu Austryaków dostało się do niewoli«.

Wielu z tych niewolników, zwłaszcza oficerów, kupowano dla interesu, aby ich potem rodzinie dobrze odsprzedawać. Ku wielkiemu zdziwieniu — dowiadujemy się z pamiętnika, że i pani Halpirowa wzięła się do tego niegodnego handlu niewolnikami. Oto z namowy niejakiego Mehmet-agi Kuł-Uły, kupiła sobie 5 osób, t. j. czterech mężczyzn i jedną damę. Nazwiska ich były: Karol Farowina, Teodor Cotner, Antoni Jermentiny, porucznikowie, czwarty zaś był chorążym i nazywał się Józef Fortunatus de Pichlszteyn, tudzież jedna dama. Za te 5 osób dała 300 czer. zł. i kupiła ich — jak wyznaje — dla zysku, »byli to bowiem z dobrych rodzin ofice-

rowie«, z którymi się stargowała, że dostanie 1.200 czer. zł. i darowizny na 300 czer. zł.

Po wysłaniu listów przez umyślnego kuryera do Wiednia, przysłano jej zamiast 1.200 tylko 900 zł. i liczne podarunki, jak: sukna, pistolety paryskie i różne galanterye.... »Tedy ja mówiła do niewolników moich, wszakżeście panowie moi ze mną się stargowali za 1.200 czer. zł., a czemu tylko 900 dajecie? Dali mnie racyę, że jeden oficer między nami zowie się Józef Fortunatus de Pichlszteyn, ten daleko od Wiednia mieszka, musi poczta iść przez Grac, Steiermark, niską Karniolę, wyższą Karniolę do Lambuchu *(sic)*, do miasteczka Bigilszteyn, skąd imię mają Pichlszteynowie; tam mieszkają tego imienia rodzice, to tam tak prędko listy jego nie doszły, dlatego dla Imci pana Józefa Fortunata de Pichlszteyn pieniędzy niema«.

— »To waćpaństwo w imię boskie jedźcie do swego kraju — odrzekła Halpirowa — a pan Józef może mi posłużyć w kompanii...«

I w ten sposób p. Józef został przy okulistce, ażby pieniądze od jego rodziców nadeszły. Halpirowa chwali go, »że się jej udał, był bowiem człek rozumny, dobrej adukacyi, był w szkołach rzymskich, w legorskich, wiedeńskich i na to miał dyploma z pieczęciami«, przytem »trzeźwy, posłuszny, cichy i pobożny...«

Przybył w tym czasie do Widynia ks. Józef Rakoczy, »królewicz węgierski, książę siedmiogórski«, który, dłuższy czas będąc w pojmaniu u cesarza Karola VI, uciekł z niewoli austryackiej i szukał przytułku i opieki na tureckiej ziemi. O ojcu ks. Józefa, ex-królu węgierskim [1]) — opowiada nam

[1]) Od pokoju pasarowickiego (1718) mieszkał ks. Rakoczy w Rodosto nad morzem Marmora, gdzie umarł 8. kwietnia 1735 r. Halpirowa więc, pisząc w 20 lat później ów pamiętnik, widocznie zapomina, że w 1737 r. ex-król wygnaniec już nie żył. Podobnych bałamuctw i omyłek historycznych w pamiętniku jest więcej. (*Przyp. autora*).

pani Salomea — że mieszka w Tekierdagi nad Czarnem morzem (?) i bierze od sułtana dla siebie i dla swego dworu wielką lafę. Brata rodzonego ks. Józefa, Aleksandra, który był kardynałem, po ucieczce ks. Józefa miał cesarz Karol VI, według Halpirowej, »kazać skastrować i do Paryża odesłać« (!?).

Ów książę Józef, mężczyzna 29-letni, stanąwszy sfatygowany z drogi i z bojaźni w »hanie« widyńskim, rozchorował się na kaszel i krwią plucie i zażądał pomocy lekarskiej. Trzybuńczuczny basza Widynia, Haywaz Mahmet, przywołał doń Halpirową, a zapłaciwszy jej 400 tynfów, obligował, żeby go wzięła w kuracyę. W 30 dniach wyleczyła ona go szczęśliwie, bawiąc się przytem pobożną i uczciwą z nim rozmową, »bo był pan wysokiej nauki i pobożności chrześcijańskiej«.

Gdy książę Rakoczy przyszedł do zdrowia, Haywaz Mehmet wysłał umyślnego kuryera do sułtana z oznajmieniem, że królewicz węgierski uciekł do jego kraju i szuka u niego protekcyi i pomocy. Sułtan w odpowiedzi przysłał młodemu Rakoczemu 3.000 kies i wiele kolorowych aksamitów na suknie z złotymi galonami, tudzież inne bogate podarunki w sukniach, koniach i służbie, srebrne szory, kulbaki, wierzchowe konie, karety, cugi, rzędy, ludzi urodziwych 24, przybranych w strusie pióra dyamentami nasadzone, zegarki, tabakierki, i księdza kapelana. Cały dwór jego ojca zjechał do niego z Takierdagi i osobna lafa szła na niego z dóbr cesarskich, aby się mógł odpowiednio prezentować. Prócz tego wszystkiego — mówi autorka pamiętnika — cesarz turecki obiecał mu 100.000 janczarów dla odebrania węgierskiej ziemi.

Królewicz, widząc się takim dostatkiem otoczony i przyszedłszy do zdrowia i powodzenia, począł brykać i puszczać wodze swej woli. Nie obeszło się bez tego, żeby się nie pokusił o wdzięki młodej a urodziwej Polki. Ale Halpirowa nie była tak płochą, jakby się na pozór zdawało. Na jego niecne propozycye odparła z godnością: »Wiem, że królewicz ze mną ślubu nie weźmiesz, a jeśli tylko tak dla obrazy boskiej chcesz broić, a potem mnie młodość moją i niewinność

i wstyd przyrodzony w hańbę obrócić, i stangretowi lub lokajowi swemu w małżeństwo oddać, to wiedz, że dość jestem bogata i mam co jeść; oko jasne i nikt mi zadać nie może żadnej złej akcyi; jestem młoda, to mnie P. Bóg jeszcze i męża da przy godziwem chrześcijańskiem życiu, a Wasza Król. Mość odstąp od złego przedsięwzięcia w tym cudzym kraju«.

Ale książę Rakoczy był natarczywy i groził, że pośle do baszy, prosząc o wydanie mu Halpirowej, przyczem uparcie utrzymywał, że ona nie jest Polką, lecz »Węgrzynką«, więc jego poddanką, gdy się zaś upierała przy swej polskiej narodowości, odrzekł: »Jeśli cesarz turecki tyloma mię obsypał dostatkami, toć mi jednej białogłowy, choćby nawet i Polki nie zechce negować ze swego respektu«.

Zrozumiała kobieta, że trudna będzie sprawa z tak zapamiętałym człekiem, więc nająwszy cicho mały okręcik, »aby zbyć się tego niepotrzebnego amorata«, pojechała Dunajem do Ruszczuku.

Książę Rakoczy, dowiedziawszy się o jej ucieczce, dał znać do Haywas-baszy, że Halpirowa jest szpiegiem i że on żąda, aby za nią wysłano pogoń. I w rzeczy samej wysłani janczarowie złapali ją w Ruszczuku i uwięzili. Jako szpieg miała być skazana na śmierć, uratować ją zaś mogło tylko przejście na wiarę turecką. Trafiło się jednak, że w tym samym dniu, kiedy ją uwięziono, zjechał do Ruszczuka podskarbi koronny Ahmet-aga, Esteredzy-basza, któremu 22-letni syn »zachorzał« na dziwną chorobę, bo mu głowa, oczy i cała twarz spuchły i język mu na 5 palców z »gęby« wysadziło tak, iż nic nie gadał, nie widział i zmysłów nie miał.

Zawołano trzech jedynych w Ruszczuku lekarzy do niego, lecz żaden się nie podjął go leczyć. Wówczas ktoś wspomniał o uwięzionej Halpirowej, którą nazajutrz miano stracić. Ze wschodem słońca podskarbi posłał po nią. Halpirowa, choć nie znała owej choroby, podjęła się na wolę boską wyleczyć syna Esteredzy-baszy. Zaraz na rozkaz podskarbiego wrócono jej wszystkie ruchomości, oddano jej córkę, sługi i fortunę

i wzięła się do leczenia. Upamiętał się też w tym czasie książę Rakoczy, odwołał oszczerstwo, jakoby była szpiegiem, uparcie jednak obstawał przy tem, że jest Węgrzynką, nie Polką i żądał jej wydania. Z łaski jednak Esteredzy nie wydano jej wcale, gdy zaś po 40 dniach pacyenta swego wyleczyła, sława jej lekarska się rozgłosiła i była u wszystkich w dobrej estymie. Autorka obiecuje, że kuracya ta będzie opisana w doktorskiej księdze, którą Halpirowa później miała podać do druku [1]). Z kuracyi tej miała wielkie zyski, dostała bowiem 500 lewów (2.000 tynfów), kolaskę pąsowem suknem z wierzchu nakrytą, parę koni z szorami, obszerne i wesołe mieszkanie nad Dunajem z wszelką suficyencyą z kuchni podskarbiego, tudzież siano i obrok dla koni.

Turcya, jak już wyżej wspomniano, prowadziła wielkie wojny z Persyą, z Niemcami i z Rosyą. W krwawej porażce azowskiej kilkadziesiąt tysięcy Turków zginęło, drugie zaś tyle dostało się w niewolę. Między tymi było wielu krewniaków, przyjaciół Halpirowej, która musiała patrzeć na ich płacz, lament i żałobę. Powodowana wdzięcznością za doznaną przyjaźń w obcym kraju, postanowiła jechać z Ruszczuka przez Polskę do Petersburga, aby u imperatorowej rosyjskiej wyjednać uwolnienie z niewoli owych zabranych znajomych Turków. Był to jednak tylko pozór do wyjazdu, później bowiem dowiadujemy się, że uwolniła wprawdzie jakichś czterech Turków ruszczuckich z rosyjskiej niewoli, ale kazała im sobie za to dobrze zapłacić, gdy się zaś ociągali, procesem ich do zapłaty zmusiła; powodem więc właściwym owej podróży była jej awanturnicza żądza poznawania coraz to nowych krajów i ludzi, tudzież wieczna gonitwa za rozgłosem i powodzeniem.

Pożegnawszy ruszczuckich znajomych, udała się w konwoju 40 Turków z córką i z niewolnikiem p. Pilsztynem drogą

---

[1]) Bibliograficzne moje poszukiwania w tym kierunku były bezowocne. *(Przyp. autora).*

na Mohilów do Baru. W Polsce musiała się już rachować z opinią i nie chcąc się pokazywać po dworach z niewolnikiem, postanowiła go zostawić u Jezuitów barskich tak długo, pókiby od jego rodziców z »Karniolii« okup nie nadszedł. Pilsztyn, dowiedziawszy się, że go Halpirowa chce opuścić, począł rzewnie płakać i w tajemnicy wyznał przed Jezuitami, że wdowę miłuje, a że jest człek wolny, przeto radby zostać jej dożywotnim przyjacielem. Halpirowa zważywszy, że tułać się musiała po świecie sama i że jej żaden pan, ani starosta za żonę nie weźmie, zgodziła się na ów związek, a uczyniła to tem chętniej, że już od pierwszego poznania — jak słyszeliśmy — wielką dla Pilsztyna miała sympatyę. W ten sposób p. chorąży »rejmentu jenerała Damnica«, wzięty w niewolę pod Krajowem, po dwuletniej, wiernej służbie u wdowy z niewolnika stał się jednym razem jej panem, a jak się później dowiemy — tyranem. Ślub się odbył w Dubnie, gdzie starała się o służbę dla męża u ordynata księcia Sanguszki, co się jej jednak nie udało. Pilsztynowie mieli już opuszczać Dubno, gdy na zapusty zjechał tam z Ołyki ks. Michał Radziwiłł, hetman polny litewski, który z wielką ochotą przyjął do siebie oboje; mężowi dał zaraz patent na chorąstwo, panią Pilsztynową zaś wziął z sobą za doktorkę do Nieświeża.

W powtórnem pożyciu małżeńskiem Pilsztynowa była podobnie nieszczęśliwą, jak i w pierwszem. Potulny niegdyś p. Fortunat, »jak się ożenił, tak się odmienił«. Nie szanował żony i lekceważył ją, mimo iż go bogato wyposażyła, bo to i w suknie i konie i rzędy, pistolety, szarfy, chusty, nawet w pościel, jednem słowem wyekspensowała się na 5.000 czer. zł. Sprzykrzywszy sobie zaraz z początku pożycie z drugim mężem, oddała córkę z pierwszego małżeństwa do klasztoru Benedyktynek na »adukacyę«, sama zaś postanowiła wyjechać do Petersburga w celu uwolnienia ruszczuckich Turków z niewoli.

Książę Radziwiłł, mimo usilnych próśb, nie chciał jej dać paszportu, ani listów instancyalnych do carowej, śmie-

sznem się mu bowiem wydało, aby Polka bez żadnych zasług u dworu prosić miała za nieprzyjaciółmi Rosyi.

Mimo oporu swego chlebodawcy pojechała. W dzień później spotykamy ją już na noclegu pod Nowogródkiem w karczmie, w dobrach starosty bobrójskiego, Łopota, który niebezpiecznie chorował, na głowę i zęby. Starosta, dowiedziawszy się o pobycie tak sławnej lekarki w swej wiosce, zawezwał ją do siebie. Pilsztynowa ledwie miała czas dać choremu lekarstwo, gdy do p. Łopota nadjechali goście. Byli to dwaj bracia Rosyanie, Liwenowie, z których jeden był jenerałem, drugi pułkownikiem. Za wstawieniem się Łopota jenerał dał jej paszport do Petersburga i rekomendacye do wielu panów, starosta zaś opatrzył ją hojnie, poczem puściła się w dalszą podróż na Birże do Rygi.

W drodze tej pełnej rozbójników tylko w ten sposób uniknęła niebezpieczeństwa, że się ukryła na kilka dni w jakiejś nędznej karczmie na uboczu, gdzie ją spotkał niejaki p. Pczemski, »co len wiózł na 14 brykach do statku ryzkiego na Dźwinie«, i ten wziąwszy w środek wozów jej kolaskę, zawiózł ją szczęśliwie do Rygi. Tu mieszkając kilka tygodni w polskiej austeryi, spotkała wielu »godnych« Polaków, których nazwiska wymienia, tu także poznała się z jenerałem »Bysmarkiem« (zapewne pradziadem ex-kanclerza niemieckiego), którego jako komendanta załogi prosiła o pozwolenie zobaczenia Turków, zamkniętych w fortecy ryzkiej. Ujrzawszy się z nimi, wypytywała ich o ruszczuckich niewolników i »wzięła o nich dobrą i rzetelną wiadomość, gdzie i w której fortecy rosyjskiej zostają i kto z nich umarł, a kto żyje«.

Tamże zawarła znajomość z oficerem, chorążym, niejakim Burmanem, »człekiem godnym« — jak pisze — »a dobrej edukacyi kawalerem, bez ale«. Ten miał w Rydze jedną damę, wdowę dobrze się mającą, którą sobie życzył poślubić »ta dama zaś także sobie mocno tego życzyła«. Na przeszkodzie była tylko ta okoliczność, że ojciec chorąży ego, majo, Burman, który się znał na hiromancyi, »prognostykował sy-

nowi swojemu, że w roku 20 życia swego i w 25 i w r. 35 miał haniebną śmiercią umrzeć«. I stało się, że w roku 20 wpadł ów syn w rzekę »Niwę« z koniem z promu i tylko jedna noga w strzemieniu została, która wyśliznęła się, iż go woda uniosła i z wielką tylko biedą się uratował. Następnie służył on w polskiem wojsku za buławy w. hetmana Józefa Potockiego, ale zbrzydziwszy sobie służbę, »zdezerterował« raz, drugi i trzeci. Gdy go złowiono, był dekretowany na śmierć, w wigilię jednak wykonania wyroku szczęśliwie uciekł z pod warty do ojczyzny swej Rygi, gdzie dosłużył się w garnizonie chorąstwa. »Dama«, w której się kochał chorąży, bojąc się »trzeciego paroksyzmu«, jaki na niego paść miał, bo właśnie kończył 35 rok życia, postanowiła przeczekać ów nieszczęsny rok, nimby mu rękę swą oddała.

Burman, umiejąc po polsku, chętnie przebywał z Polakami, chętniej jeszcze z Polkami, stąd też p. Pilsztynowa dobrą przyjaźń z tym kawalerem zabrała.

Pewnego dnia rozeszła się po mieście pogłoska, że Burman zabił swego kapitana i wzięty jest do więzienia. »Przyczyna tego zabicia była ta, że kapitan źle mówił na damę Burmana«. Przyszło do wymiany słów, przyczem kapitan oświadczył mu, że on sam najlepiej wie, co to za dama, »bo jest sam świadkiem jej nieuczciwości«. Burman oburzony odparł: »Ja nigdy nie miałem szczęścia z żoną pana mieć konfidencyi, ale proszę przyjść i przekonać się, że gdy tylko zawrę z nią znajomość, po trzech godzinach już będę miał takie u niej łaski, o jakich pan wspominasz, żeś u mojej damy profitował«. Dowiadujemy się dalej, że kapitan na ten zakład się zgodził i że Burman, udawszy się do mieszkania jego żony, jednej chwili zyskał względy kapitanowej. Kapitan, wróciwszy do domu, gdy ujrzał, dokąd sprawy doszły, porwał za szpadę i przyszło do bójki, w której sam zginął. Burmana wzięto natychmiast do więzienia, gdzie go Pilsztynowa odwiedziła i pożegnała zarazem, musiała bowiem wyjeżdżać do Petersburga, przyrzekła jednak, że jeśli tylko będzie mogła

mówić z cesarzową, to pod przysięgą obiecuje prosić za nim i wyeksplikować jego niewinność. Nawiasem dodaje polska okulistka, że sprawa była trudna, Burman bowiem był katolikiem, podczas gdy większość starszyzny ryzkiej składała się z protestantów.

Przyjechawszy do Narwi, udała się do jenerała Tarasa Harasimowicza Szatiłowa, do którego miała list od jenerała Lewina (z Litwy pod Nowogródkiem). Jenerał przyjął ją bardzo łaskawie i wziął do swego pałacu w gościnę, żona bowiem jego była chora, skuteczna zaś kuracya nietylko doktorowej zapewniła ludzkie i przyjacielskie obejście, ale i protekcyę. Jenerałowa wyzdrowiawszy, napisała list do brata rodzonego, brygadyera Semiona Jurewicza Karaułowa w Petersburgu, »który kiedyś był komendantem w Krakowie podczas inkursyi« (zdaje się, że było to w czasie koronacyi Augusta III w styczniu 1733 r.).

Po przybyciu do Petersburga, państwo »Karaułowie«, o których dowiadujemy się, że mieszkali w tym czasie w pałacu księcia Szeremetiego na Wasilowym Ostrowie 25 linii, przyjęli ją bardzo gościnnie. Brygadyerowa była właśnie w błogosławionym stanie i bardzo frasobliwa, bo jej dzieci zwyczajnie umierały przy porodzeniu. Pilsztynowa pocieszała ją, że za pomocą Pana Boga i z jej experyencyą wszystko dobrze będzie. I w rzeczy samej, kiedy w kilka tygodni później przyszło dziecię na świat bez tchu i gdy się zdawało, że jest nieżywe, lekarka kazała sobie podać dzierżę do robienia chleba i obróciwszy ją dnem do góry, przykryła nią dziecko, które »w pół pacierza zapłakało i żyło«. Dano mu imię Iwan Siemionowicz i »chwała Bogu żyje i byli potem rodzice z niem w Kijowie na pokłonienie św. Barbary, bo go w tym punkcie ofiarowali«.

Dolegało w Petersburgu naszej doktorce tylko to, że »nijak« nie miała przystępu do carowej Anny Iwanównej, w dodatku zaś wszyscy jej mówili, że trudno będzie »dostąpić«, że »ludzie po roku siedzą, a nie mogą z nią gadać, na-

niego, że on już tej drugiej żony nie chce, bo się zakochał w własnej praczce i tę wyłącznie pragnie poślubić. Wówczas Anna Iwanówna »rozgniewana kazała z niego ordery zdjąć i powagę generalską złożyć y lokajskie suknie oblec, y żeby do stołu półmiski z kuchni nosił y z talerzem stał za plecyma drugich od siebie podlejszych«. Książę z ochotą tę karę przyjął »dla miłości swej praczki«, którą carowa zawezwała do siebie i śmiercią jej groziła, jeśliby poszła za niego. Dziewczyna oświadczyła, »że choćby pewnie znała, że ją mąż zabije, ale dość ma na tem, że choć jeden dzień będzie Galiczynową y familia jej prosta zaszczycać się kiedyś będą, że księżnę w rodzinie mieli«.

Tymczasem owa piękna Wiedenka z frasunku i tęskności od rozumu odchodziła, z czego Pilsztynowa wielką miała niewygodę, bo w tym samym pokoju mieszkając, wszystkich jej narzekań na niestatek księcia i lamentów dzień i noc słuchać musiała.

»Widząc carowa Imci tey Madamy niespokojność, tedy bywało każe przed sobą stanąć księciu w lokajskim ubiorze y Madamie; książę był nizkiego wzrostu, owa Madama zaś wysokiego. Tak Madama w prezencyi carowej Imci y całego dworu asystującego weźmie taboret i księcia co siły w łeb uwali. Kilkanaście razy książę ucieka, ale za drzwi nie wypuszczają, tedy tej gonitwy będzie przez długi czas, tego igrzyska mało nie codzień napatrzyłam się dość; już ja y z Petersburga wyjechałam, a Madame powaryowaną zostawiłam.... Wtem carowa Imci obiecała księciu dać ową praczkę, jeśli taką pokutę wypełni, że mu każe pałac lodowaty wystawić z pokojami, z stołami, z kuchnią, z łóżkiem, a on żeby z ową praczką na tem łóżku przenocował bez pościeli, bez futra, w swej sukiennej barwie, narzeczona zaś w kamlotowych bez podszewki sukienkach«. Książę podjął się tej próby, która się odbyła »po ruskiem Bożem Narodzeniu, w ostre mrozy«.

Na owem weselu były liczne dziwowiska i »konkurs ludzi godny«. Akademia kadecka asystowała w maszkarach, na

koniach »ze świecami słomianemi«. Jeść i pić suto dano. Liczne kapele przechodziły przez ulice. Tymczasem pan młody z panną młodą zamknięci w owym lodowym pałacu, zostawali pod wartą, »żeby ani sukien, ani napoju, ani węglów rozżarzonych nie podał kto temu małżeństwu«. Przenocowawszy długą noc na gołym lodzie, nazajutrz rano stawili się przed carową i upadłszy przed nią na kolana, przywróceni zostali do łaski. Księciu kazano ordery »przywrócić« i w książęcy, bogaty strój się ubrać, poczem zaszła po nich poszóstna kareta i odjechali oboje do swego pałacu.

Wyżej była wzmianka o Burmanie, co zabił swego kapitana w Rydze. Gdy ta nowina doszła obecnie do carowej i rozgłosiła się na dworze, wówczas Pilsztynowa opowiedziała całą historyę Annie, która widząc Burmana niewinność, wydała ordynans, żeby go przywieziono do Petersburga, gdzie »dostał pardon« i »wielką łaskę z woli P. Boga zjednał sobie u carowej y jest pożałowany«. Został on porucznikiem w »leibkompanii« w karasyjskim pułku z łaski doktorki polskiej, po jakimś zaś czasie prosił o urlop, aby mógł jechać do Rygi i ożenił się z ową wdową, o którą się bił. Carowa posłała po nich pojazd, ludzi 15 i tysiąc rubli dała na expens na tę ich drogę, po przyjeździe zaś odebrał porucznik patent na kapitanią, a wdowie »sprawiono 12 par wspaniałych sukien, gotowalnię: srebrne pudełka, zegarki, dwie szczero złote tabakiery, kotarę za 1.000 rublów nad łóżko y innych wiele rzeczy, tudzież dworek y karetę, 4 konie, y tak z Bogiem w pokoju, wesołych i zdrowych zostawiłam w Petersburgu...« kończy autorka.

W następnym rozdziale opisuje nam »wesele Imci pana Kiczerlinga« (Kaiserlinga), szambelana carowej, z pewną »damą jej fraucimeru«. Byli na tem weselu wszyscy ministrowie i dygnitarze dworu: Osterman, Wołyński, ks. Michał Alexiowicz Czerkawski i dam niezliczona moc. Podarunki dla panny młodej stanowiły: dyamentowa korona, kulant(?) y bransoletki waloru 10.000 rubli, łóżko a raczej sypialnia 20.000 rb.

z taboretami, z gotowalnią i obiciami. Wymienia też inne mobilia jej darowane, jak: 12 karet poszóstnych, których koła kute były srebrnemi szynami, szory jedwabne z złotą blachą i srebrnymi herbami. Laufry przy karetach mieli kaszkiety dyamentami sadzone, laski w ręku złote, kameryzowane brylantami, przyczem nawiasem autorka wspomina, że tegoż roku wydała za mąż carowa siostrzenicę za »Urlicha *(sic)*, księcia olsztyńskiego«, »która po śmierci Anny Iwanówny była naślednicą y panowała lat siedm (!), w czem Pilsztynowa zdradza grubą nieznajomość współczesnej historyi [1]).

Wesele, o którem wyżej wspomniano, zasługuje na bliższe opisanie ze względu na współczesne rosyjskie zwyczaje. Pan młody, przyjechawszy do pałacu carskiego, rozebrał się do koszuli, tylko był w szlafroku i w nocnej czapce, w »halsztuchu«, tudzież patynki miał nocne na nogach, które mu dała panna młoda. »Te rzeczy były waloru 2.000 rubli«. W takim kostiumie pan młody co żywo ucieka do innego pokoju, tymczasem zaś, »co tylko jest ludzi godnych z dam, kawalerów starych y młodych y cudzych, nawet stangreci i masztalerze«, pchając się do pokoju, gdzie łóżko panny młodej, stawiają ją na środku pokoju bez ubrania, tylko w koszuli i dają jej srebrną wielką tacę, na której kilkadziesiąt stoi kubeczków pełnych »cukrowej wódki«, ona zaś każdemu »z pokorą« daje kubeczek, prosząc, żeby pili, »y każdy bierze y pije

[1]) Po śmierci Anny z początku sprawował rejencyę jej ulubieniec, Biron, w zastępstwie małoletniego Iwana IV (1740—41). Po kilku tygodniach Biron strącony przez Münnicha i wysłany na Sybir, poczem w. księżna Anna Leopoldówna, zamianowawszy męża swego, Antoniego Ulrycha, ks. holsztyńskiego komendantem naczelnym wojsk, a Münnicha kanclerzem, objęła rejencyę, sprawowała ją zaś nie lat siedm, lecz kilka miesięcy t. j. do początku 1741 r., w którym to czasie Elżbieta z pomocą wiernego Kyryłły, bandurzysty, dostała się na tron. Mały Iwan uwięziony, rodzice jego wygnani, Münnich zaś, Osterman i inni z szafotu poszli na Sybir. Omyłki powyższe tłómaczyć tylko można tem, że autorka pamiętnik swój pisała w kilkadziesiąt lat później w Stambule nie dziw przeto, że ją pamięć zawodziła. *(Przyp. autora).*

y mocno P. Boga chwalą y błogosławią państwu młodym, żeby szczęśliwe życie y dobre zdrowie y błogosławieństwo boskie mieli, y córki teyże panny młodej, żeby także czystemi pannami za mąż poszły, jak y matka ich teraz w oczach naszych jest czystą panną z daru boskiego«. Potem przyszedł jeden przystojny i stateczny kawaler z damą i przyniósł sobolą szubę, zieloną, aksamitną z dyamentowemi pentlicami, obszerną i bardzo długą. Obecni goście okryli ją tą szatą, a życząc jej »stanu i postanowienia«, położyli ją na łóżku i wówczas wszyscy obecni ustąpili do innych pokoi, gdzie zasiedli do sutej uczty, po której były tańce i pląsy, »jak zwyczaj bywa na weselu«. Tymczasem pan młody cichaczem przez skryte pokoje skrada się do panny młodej i każe sobie jeść i pić dać i zostają sami dwoje przy swoich domowych sługach i służebnicach przez 24 godzin. Po takiem sam na sam wyszli wspaniale ustrojeni do gości i z nimi się zabawiali. Wesele to »agitowało się strojno i bogato przez ośm dni«.

Pilsztynowa, wracając do własnych wspomnień, opisuje, jak zyskawszy łaskę carowej, wyprosiła sobie czterech Turków z Ruszczuku w niewoli będących, a mianowicie dwóch z twierdzy narewskiej, dwóch zaś z twierdzy rewelskiej. Otrzymawszy konwój z 7 żołnierzy, przybyła wśród najrozmaitszych awantur, napadów zbójeckich i hajdamackich do Koralicz pod Nowogródkiem, do księcia Michała Radziwiłła, hetmana polnego litewskiego. Chciała owych Turków sama odwieźć do Ruszczuku, ale książę na to nie zezwolił. Wysłano ich do baszy benderskiego, skąd szczęśliwie dostali się do miejsca rodzinnego.

W dalszym ciągu opisuje Pilsztynowa historyę Piotra W., a mięszając anegdotyczne opowieści z historyą, nie pomija organizacyjnych i reformatorskich jego czynności. Z tych opisów dowiadujemy się nietylko, jak ów monarcha kraj z rozbójników oczyścił, jak wojsku dał »barwę« i mustry je uczyć kazał, lecz są tu i takie szczegóły, o których mało kto wspomina, jak n. p. że przy każdej drodze kazał car powbijać słupów 5 na milę, malowanych z podpisem po moskiewsku, po

niemiecku i po łacinie, »gdzie jechać i jak daleko«. W austeryach taksy na drzwiach zaprowadził, »wszystko więc tanio można było dostać, a dla ubogich darmo jeść i pić dawali«.

O Petersburgu pisze, co następuje: »Gdzie były błota i trzęsawice, co to za mosty kamienne y drewniane y piaskiem równo wysypane...« »...Petersburg tak śliczny, tak wspaniały, wystawił Piotr nad rzeką Niwą, że piękniejszy i milszy niż Stambuł i Wiedeń; bo Stambuł lubo wielki, wspaniały bez miary, ale stare miasto. Tu pałac za tysiąc kies, a tu kuźnica, gdzie konie kują, a tu »bąkał«, co ogórki i harbuzy przedaje, y Wiedeń toż samo; tu klasztor wspaniały, tu chałupka jednego rzeźnika lub bakałarza, dość: tu stary dom, tu nowy pałac. Ale Petersburg — ach, jak śliczny i porządny! Takie długie ulice, że kilkaset kamienic czyli pałaców wciąż tak wszystkie równe, zwyż i około siebie równo stoją, że się zdaje jedna ściana. Niektóre pałace miedzianą blachą pobite, około każdej kamienicy różne stoją drzewa. Żeby największy deszcz, to się człek nie pomoczy, pod dachami idąc, a ulice tak szerokie, że się sześć karet pominąć mogą; nigdzie odrobiny śmieci lub błota widać, bo jak chłop prosty z miasta wyjeżdża, to musi dać 2 kopiejki, a jeśli śmiecie lub gruzy weźmie, choćby jedną garść, to już 2 kopiejek nie da, a jak do miasta chłop wjeżdża, to musi drzewo lub kamień przywieźć, a nie przywiezie, musi dać 2 kopiejki. To drzewo i kamienie na reperacyę mostów po małych ulicach«. »Kościół nasz katolicki wspaniały, w nim ojcowie Reformaci«.

Opowiada dalej o następcach Piotra Wielkiego, szeroko zaś kreśli nam postać Anny Iwanównej, na której dworze 1739 r. bawiła, wkońcu zaś wspomina, jak Elżbieta z pomocą Kyryły bandurzysty (hr. Razumowskiego), uwięziwszy rejentkę Annę Leopoldównę i jej męża, korony dostąpiła.

O Bironie, którego nazywa »Herc-Hercug von Kurland«, opowiada między innemi, że miał 7 synów. Skoro tylko którego syna żona mu powiła, »to go zaraz wynoszono z kołyską na pokoje carowej Anny, gdzie był aż do czasu, póki się

Bironowej drugi syn nie urodził, którego podobnie na pokoje carowej wynoszono, a poprzedniego oddawano rodzicom«.... »Taki to afekt y nagrodę — dodaje — odbierają dobrzy słudzy«.

Znajdujemy dalej wiele szczegółów o Kyryle bandurzyście, o jego nobilitacyi i jego pochodzeniu. »Ja będąc w Kozielcu« — pisze okulistka polska — »w miasteczku za Dnieprem, 10 mil od Kijowa, nie od dziesięciu, ale od kilkudziesiąt ludzi słyszałam, którzy znali Kyryła Rozumowskiego (*sic*) y ojca, matkę y braci y siostry. Był to chłop prosty y kazano mu woły paść, ale nie mógł ich upilnować, bo mu się w szkodę wdzierały... i biednego chłopca za to bito. Ten Kyryło miał extra dobry głos y rad był na kobzie lub skrzypcach grywać. Jednego dnia krwawo płakał y do P. Boga wołał, żeby mu dobrego pana dał, żeby się mógł czytać y pisać nauczyć y na bandurze dobrze grać. Tegoż dnia porzuciwszy woły w polu, pobiegł drogą pieszy, boso, bez czapki y płacze. Już trzy dni biegł bez posiłku, uciekłszy od wołów, gdy w tem jedzie jakiś pułkownik rosyjski i widzi małe dziecię lat dziesięciu w lesie płaczące. Kazał się chłopca spytać, gdzie idzie y czego płacze. — »Pana szukam y głodny jestem« — odrzekł chłopiec. Kazał mu tedy ten pułkownik dać jeść i wziął go na służbę.

Po kilku latach pilnej i wiernej posługi ów Kyryło wyuczył się pięknych różnych umiejętności, zwłaszcza w muzyce i śpiewie, dobrych manier nabrał i przez wszystkich był lubiany.

Trafiło się, że pułkownik, u którego Kyryło służył, wyjechał do Petersburga. Razu pewnego był on z panem swoim w cerkwi, w której równocześnie znajdowała się Elżbieta Petrówna, »a że w Moskwie przy służbie bożej śpiewają extra wybornie ludzie, tam zaśpiewał y Kyryło. Jak »Elisabet «posłyszała jego głos, zaraz sobie życzyła mieć go za śpiewaka w swojej kapeli, bo się bardzo, jak y ja wiem, kocha w muzyce, widziałam bowiem, że miała dwanaście dziewczyn, co na bandurach grały.... Pryncessa Elisabet prosiła więc pułko-

wnika, aby jej ustąpił swego Kyryła;« i w ten sposób dostał on się na dwór Elżbiety. Mówi o nim, że »był to człek wejrzenia pięknego y wzrostu miernego, rozumny, dowcipny, cichy, trzeźwy y pobożny, że się nigdy na nim żaden występek nie pokazał, y przez to zjednał sobie u pani swoiey wielkie łaski, że mu siła świadczyła«.

Po powrocie Pilsztynowej do Polski, książę Radziwiłł kazał jej z mężem jechać do Łachwy na Polesie, owych przywiezionych zaś z Moskwy Turków odebrano jej i odesłano do Benderu. Pilsztynowa bardzo była z tego rozkazu hetmańskiego niezadowolona. W dodatku i mąż jej nie sprawiał pociechy, »bo mi oczewiście — pisze — wiarę małżeńską złamał«, wreszcie na odludnem Polesiu »ani rozrywki, ani awantażu« żadnego nie miała, jeżeli zaś zważymy, że była cierpiąca, »bo z woli Pana Boga w ciąży zostawała«, ona, która »przywykła była patrzeć w Petersburgu na takie szlachetne rzeczy i żyć dobrze«, to zrozumiemy, że jej w Polsce wcale nie było wesoło.

W kilka miesięcy chorąży otrzymał od hetmana nowy ordynans, aby z żołnierzami swymi wymaszerował z Łachwy do Żółkwi i wówczas to umyśliła Pilsztynowa prosić męża, aby jej pozwolił jechać do »cesarskiego państwa«, do rodziców jego dla względów materyalnych, wykupiwszy bowiem męża z niewoli, spodziewała się od rodziny jego pewnego odszkodowania (5.000 cz. zł.), »nadewszystko zaś rada była wyrwać się jak z niewoli, bo niekontenta była z gotowego grosza siedzieć na nudnem Polesiu« lub w Żółkwi. Wziąwszy tedy od chorążego listy do jego rodziców i krewnych, tudzież do jenerała Damnica w Wiedniu, z którego regimentu Pilsztyn pod Krajowem Turkom w niewolę wpadł, córkę zostawiła u niejakiej pani Szczytowej, kasztelanowej smoleńskiej, i wybrała się z dwoma ludźmi i białogłową, czterokonną kolaską, przydawszy wózek pod rzeczy, »na Wrocław, Otawią, Naysę, Ołmyc, Brün, Nikilsburg do Wiednia«, stąd do »Gracu, Niderkarniolii, Überkarniolii do Laibucha« i o 4 mile dalej do

miasteczka Pichlszteyn, skąd przodkowie jej męża mieli szlachectwo od cesarza Leopolda nadane.

W domu rodziny męża doznała bardzo gościnnego przyjęcia; przemieszkała tam niedziel sześć, lecz co się tyczy pretensyi pieniężnych, te nie zostały wyrównane, ledwo bowiem zdołała od ojca męża 100 czer. złotych wydostać. Zniechęcona niepowodzeniem materyalnem, naparła się jechać z powrotem do Wiednia, między innemi zaś przyczynami wyjazdu i ten podaje, że »w Karniolii damy w połogu tylko zupy jedzą, a ja, Polka, zwykłam kapłuny jadać«. Trzeba się jej też było i śpieszyć, bo pragnęła przed połogiem dostać w Wiedniu należną gażę ze skarbu wojskowego dla męża za jego wojenne zasługi. Wymieniwszy tedy portrety swoje z krewnemi, pożegnała ich i udała się do stolicy Austryi.

W Wiedniu stała na Leopoldstadt »beim rotyn resył« *(sic)*. Tu, gdy zabrakło jej pieniędzy na dalszą podróż, domagała się audyencyi u cesarza, wszelkie jednak zabiegi, aby uzyskać ze skarbu państwa należny żołd dla męża, skończyły się na czczych obiecankach skąpego monarchy. Wkrótce miała odbyć połóg, a tu ani pieniędzy, ani siana dla koni, tylko na polityce »nie schodziło«. »O! nie tak jak w Petersburgu« — dodaje autorka. »Nikt mię tu na obiad nie zaprosi. Niemcy nie mają tej maniery, jak Polacy lub Rosyanie, co to kiedy do kogo kubkiem piją za zdrowie i potem też i temu dadzą, do kogo piją. W Niemczech będzie mię szukał z pilnością, gdzie ja siedzę, znalazłszy zaś, pije ten kawaler moje zdrowie: »Ihr Gesundheit engelsze *(sic)* Madame« — sam Niemiec wypije, a mnie nie da!«

Położenie jej było rozpaczliwe, gdy wtem przyjechał do Wiednia poseł turecki z Stambułu, Dżany Alibei-efendy, w towarzystwie 300 Turków i stanął na Leopoldstadzie. Udała się do niego Pilsztynowa w swej wielkiej opressyi, a poseł dowiedziawszy się, z kim ma do czynienia, przyjął ją za poselską lekarkę, tem chętniej, że mu ludzie w drodze pochorzali, a z lekarzami wiedeńskimi trudno się im było przez

tłumaczów porozumiewać. Wpisano ją na rejestr, dostała mieszkanie, rano i wieczór po ośm półmisków z kuchni, na 4 konie porcyę siana i obrok, a prócz tego 3 oka kawy, głowę cukru i 12 czer. zł. Za Turkami poszli inni, co się u niej leczyli, a naprzód damy dworskie, jak: »fraila Porcya księżniczka, fraila Maryanna de Berchtult«, gdy zaś wyleczyła »hr. Konwencyła«, który kilkanaście lat był ślepy, nietylko że dostała za kuracyę 200 cz. zł., lecz sława jej szybko rozeszła się po całym Wiedniu. Nadszedł czas połogu. Powiła syna, któremu dano imię Franciszek Ksawery. Kumem był »ks. Ferner« (zap. Werner) a kumą »de fraila Berchtult«, dama górnego fraucymeru cesarzowej. Chrzest się odbył u fary »in die Leopoldstadt«. Cesarzową nazywa »die szeyne Lizil von Wolfinbytel«. Opisuje polowanie cesarza w Zwierzyńcu w towarzystwie żony »Lizyl«, córki i siostry zaręczonej wówczas z księciem bawarskim. W tem towarzystwie była też siostra rodzona cesarza, Marya Magdalena, która »niegdyś zaślubiona (zaręczona) była za Imci Pana Sapiehę, koniuszego litewskiego, co go rozsiekali« (pod Olkiennikami). »Damy dworskie bardzo go mile wspominały...« Na jednem z tych polowań cesarz Karol tak był rozanimowany strzelaniem, że nie chciał podobno iść do wspólnego obiadu, lecz prosił jednego z strzelców o kawałek »salsesonu«, który tenże jadł. Po zjedzeniu tej potrawy, cesarz zachorował i umarł. Podaje też wiele innych szczegółów anegdotycznie opowiedzianych a dotyczących dworu wiedeńskiego, jak n. p. o pewnej mamce, co 2-letniemu synowi Karola VI wbić miała igłę do głowy, wskutek czego dziecko umarło i ród Habsburgów wyginął po mieczu.

W kilka miesięcy później obdarzona suto przez posła tureckiego, opuszcza Pilsztynowa Wiedeń, kupiwszy sobie wprzód 4 konie za 200 talarów bitych, karetę za 100 talarów i wziąwszy z sobą 500 cz. zł., które z praktyki lekarskiej zarobiła. Wyjechawszy przeto »z pieniędzmi i z honorem«, święta Bożego Narodzenia przepędza w Ołomuńcu. W Wrocławiu pod pozorami trudności paszportowych pod-

stępem dostaje się do pałacu królewskiego i gwałtem domaga się posłuchania u Fryderyka III, aby zwrócić na siebie uwagę tego króla. Ale na dworach środkowo europejskich, wobec potężnej konkurencyi niemieckich lekarzy, trudniej było o miejsce i karyerę, niż w Petersburgu i w Stambule, to też lekarka nasza, nie doznawszy spodziewanego poparcia ani w Wiedniu, ani w Wrocławiu, wraca na Piotrków do Lublina, a następnie udaje się do Lwowa. Tu dowiaduje się, że mąż zmarnował fortunę jej, złożoną w depozycie u pani Szczytowej, w dodatku dochodzi ją wieść, że p. chorąży trzyma sobie w domu dwie białogłowy i hulaszcze życie prowadzi. Widząc męża lekkomyślność i marnotrawstwo, stara się o separacyę, lecz bezskutecznie, mąż bowiem, mimo swych excessów, nie chce jej opuścić. W tym czasie ciężarna po raz drugi, zostawia 2-letniego syna u kasztelanowej bracławskiej, pani Potockiej, w Smotryczu i udaje się do Turcyi na Bukareszt, gdzie połóg ją kilka tygodni zatrzymuje. Urodziła znowu syna, któremu dano na imię Stanisław.

Stąd wyjechała do Ruszczuku, gdzie po długim procesie wydostała od owych Turków, których uwolniła z niewoli rosyjskiej, 5.000 zł. pol. Po dwóch latach złożywszy sobie 40.000, wróciła znowu do Polski — jak pisze »na swoją biedę«. Dunajem popłynęła do Galaczu, stąd zaś na Jassy i Żwaniec do Czarnych Koziniec, gdzie u biskupa kamienieckiego, Mikołaja Dembowskiego, ochrzciła pewnego niewolnika (Hasana baszę), którego przywiozła z sobą z Turcyi i nazwała Mikołajem Nadolskim. Ten Nadolski stale osiadł w Czarnych Kozincach, gdzie się później z Polką ożenił.

Będąc już teraz majętną, zebrała dzieci razem, a więc sprowadziła córkę z pierwszego małżeństwa od Benedyktynek ze Lwowa, odebrała syna od kasztelanowej bracławskiej z Smotrycza i z dziećmi postanowiła mieszkać stale w Kamieńcu. Męża nie życzyła sobie wcale nawet widzieć, ani się o rozwód nie starała, pragnęła tylko w dewocyi żyć, »bo jej to zamęście kością w gardle stało«.

W tym czasie był jenerałem kamienieckiej załogi, pan Dominik Bekierski. Jenerał dowiedziawszy się, że Pilsztynowa ma pieniądze, postanowił ją wyzyskać. Gdy się to nie udało, zrobił jej zarzut, że niewolnikami handluje i skonfiskował jej całą gotówkę i klejnoty, grabieży zaś takiej nietrudno było dokonać dowódcy, który całą załogę miał na usługi. Był to gwałt i nadużycie władzy, ujął się też za nią biskup Dembowski i wydał nawet dekret w konsystorzu, orzekający jej niewinność. Ale to nic nie pomogło; Bekierski kpił sobie z biskupich dekretów. Wówczas biskup kamieniecki, wybrawszy się w podróż do Radomia na komisyę, wziął z sobą Pilsztynową do Załoziec, gdzie hetmanowi w. koronnemu, p. Józefowi Potockiemu, sprawę przedstawił i prosił go, aby wyperswadował jenerałowi, żeby biednej kobiecie oddał zabraną fortunę. Ale i to niewiele pomogło, jenerał bowiem tak się zawarował i obronił fałszywymi świadkami i listami wobec hetmana, że bezradny kapłan, obdarzywszy biedną niewiastę 12 czerw. złotymi, sam pojechał do Radomia, ją zaś zostawił w Założcach.

W jakiś czas dopiero Mniszech, kasztelan krakowski, a ojciec hetmanowej, Postępski, sędzia wojskowy i podkomorzy, tudzież wyleczony przez doktorkę na nogi p. Stefan Błędowski, pułkownik z Olejowa, zdołali przekonać hetmana, że to nie żadna »hultajka«, jak utrzymywał Bekierski, lecz »godnych sentymentów« białogłowa, poczem Bekierski, stawiony przed sąd na rozkaz hetmana, wydał jej zabrany kuferek, w którym prócz klejnotów było 18.000 zł.

Było to w r. 1743. Pilsztynowa miała lat 29, a musiała mieć niezwykłą urodę, skoro w dalszym ciągu pamiętnika dowiadujemy się o jej miłosnych sukcesach i awanturach.

Przyznaje się do nich okulistka polska z pewną dyskrecyą i nie przechwala się niemi wcale, owszem uważa je za nieszczęście. Oto pewien szlachcic »godnego urodzenia«, którego nazwiska nie wymienia, tak natarczywie stara się o jej względy i rękę, iż kobieta odważa się w duchu raz jeszcze

spróbować szczęścia w małżeństwie. Wkrótce jednak przekonuje się, że amant jej jest pędziwiatrem, awanturnikiem i pijakiem i po wielu kłopotach, które ją dużo zdrowia i pieniędzy kosztowały (a które bardzo szczegółowo opisuje), widząc, że się kawalera nie pozbędzie, córkę swą wydaje za mąż za Antoniego Ostrowskiego, syna 12-letniego zostawia w szkołach kamienieckich, sama zaś udaje się znowu do Turcyi, gdzie już do końca życia przemieszkiwa.

W kilkanaście lat później doznaje ona największej krzywdy, jaką kobieta-matka doznać w życiu może. Oto, gdy w utęsknieniu na obczyźnie przebywała, ów w Polsce zostawiony kawaler, wyłudziwszy resztki majątku zostawionego dla jej syna, wyprawia go do matki z Podoskim, wojewodą płockim, który w r. 1760 był posłem do Turcyi. Stęskniona matka przyjęła syna z otwartemi rękami i usiłowała go zatrzymać przy sobie w Stambule. Ale ani jej prośby, ani łzy, ani dostatek, jakim go otoczyć pragnęła, nie zdołały skłonić młodzieńca do pozostania w Konstantynopolu. Syn nie poczuwał się do obowiązków przywiązania ani wdzięczności względem matki, która dotąd ani jego wychowaniem, ani jego losem wcale się nie zajmowała. Opuścił ją więc i wraz z towarzyszami wrócił do kraju.

Zbolała Pilsztynowa szuka ulgi i ukojenia w modlitwach (których kilka wierszem w swym pamiętniku zapisała) i w peregrynacyi do Grobu Pańskiego w Jerozolimie, tudzież w podróżach po Egipcie, nigdzie jednak odnaleźć nie może tego, co ją na zawsze odleciało, t. j. szczęścia, jakie kobiecie daje miłość i ciepło rodzinnego ogniska.

Spędza przeto ostatnie dni życia w Stambule w osamotnieniu na modlitwie i spisywaniu owego pamiętnika, który »podaje do uwagi ludzkiej«. »Kto go czytać będzie, niech uważa, w wielu już byłam niebezpieczeństwach życia i wiele razy fortuna mię bogaciła i nazbyt zubożywała, niech zrozumie, czy miałam ja co dobrego od mężów, od utrapionego kawalera, od dzieci i sług«....

Poeci nasi i powieściopisarze robią nieraz poszukiwania w świecie wyobraźni lub w książkach za bohaterami swych utworów. Pilsztynowa, to typ awanturnicy operetkowej, doznającej w życiu niemal nieprawdopodobnych przygód, gdy zaś w głąb jej zbolałego serca i duszy spojrzymy, to mamy przed sobą bohaterkę wstrząsającego dramatu i obraz zmarnowanego na obczyźnie życia polskiej niewiasty. Nie zaznała szczęścia, szukała go bowiem tam, gdzie go kobieta nigdy nie znajdzie.

Przeczytawszy ten pamiętnik, nasuwa się mimowoli myśl, że ubieganie się kobiet o rozgłos i o zajmowanie stanowisk, dzierżonych przez mężczyzn, to rzecz nie nowa, że emancypacyjne dążenia płci pięknej istniały po wszystkie wieki i istnieć będą, jak długo egzystować będą kobiety chore, nerwowe, w pożyciu małżeńskiem nieszczęśliwe, niehigienicznie chowane, szczytnych swych zadań nie pojmujące lub żądne sławy i niezwykłych przygód. Różnica między ubiegłymi wiekami a obecnym jest tylko ta, że choroba owa w minionych wiekach sporadyczna, dziś grasuje modnie i epidemicznie w całym niemal cywilizowanym świecie.

Jeszcze jedna uwaga. Pamiętnik ów, ozdobnie w czerwony kurdyban oprawny, podpisany jest na pierwszej tytułowej stronicy: *Ex catalogo librorum Joannis de Witte, colonelli artileriae reg. in Kamieniec.*

Podpis ten pozwala przypuszczać, że Pilsztynowa mogła być znajomą Witta, a że znajdujemy ślady, a nawet dowody w jej pamiętniku, że handlowała żywym towarem, ona to więc mogła sprowadzić z Stambułu ową sławną, piękną Greczynkę, panią Wittową, której późniejsze losy i koleje życia powszechnie są znane.

Początek powstania Rakoczego.

Franciszek II Rakoczy, wnuk Piotra Zryniego, którego głowa dla sprawy węgierskiej padła pod toporem kata, syn dzielnego patryoty Franciszka I i Heleny Zrynyi, która krwawy cień ojca wiecznie mając na pamięci, gorącą nienawiścią pałała ku »niemieckim rządom« — pasierb sławnego przywódcy powstania, Emeryka Tekelego — już w kolebce przeznaczony był do roli, jaką odegrał w męskim wieku. Nazwisko, pochodzenie, czasy — wszystko złożyło się, aby otoczyć imię jego nimbem bohaterstwa i wielkości.

Nie dziw, że Węgrzy obecnej doby w ciężkich przeprawach politycznych przypomniawszy sobie czyny sławnego bohatera, któremu lat kilka wszystko sprzyjało, aby Węgry od Austryi odłączyć, zażądali sprowadzenia zwłok jego z dalekiej Azyi na ojczystą ziemię dla uczczenia dwusetnej rocznicy wybuchu powstania Rakoczego.

Cesarz austryacki, a król węgierski, chętnie się na to zgodził, ale od tego czasu mija już rok drugi, a patryoci węgierscy, zacietrzewieni zaciekłą walką parlamentarną, czekają snać sposobniejszych czasów, aby uczcić pamięć zasłużonego dla ojczystej sprawy wygnańca-bohatera.

Nim to nastąpi, nie od rzeczy będzie przypomnieć działalność i dążenia sławnego patryoty węgierskiego, który nas interesuje nietylko jako przywódca ruchu, owiany urokiem bohaterskiego poświęcenia, ale i dla pewnych węzłów pokrewieństwa, jakie go z Polską łączyły.

Wszak babka jego Zofia, ostatnia z Batorych de Somlio, była córką Andrzeja Batorego i Zakrzewskiej de Felden, a więc Polka z domu. Zapomnijmy zresztą o fatalnym pomyśle męża tejże Batorównej, który, niepohamowany w swych ambitnych zamiarach, uległszy szwedzkim namowom, w tak brutalny sposób poważył się najechać Polskę, a pamiętajmy, ile tę eks-Polkę łez kosztowało, aby go odwieść od tego nieuczciwego zamiaru.

Posuńmy się w tej genealogii dalej wstecz, a przekonamy się, że cały ten ród od początku XVII wieku był w linii żeńskiej, polskim.

Matką wspomnianego Andrzeja Batorego była Zofia Katarzyna Kostczanka, ta zaś ostatnia siostrą ks. Anny Ostrogskiej z Wysocka i Katarzyny Sieniawskiej, podczaszyny kor. z Brzeżan. (Sam Andrzej, gdy matka jego jako wdowa bawiła lata całe u siostry w Wysocku, chował się u Jezuitów w Pawłosiowie pod Jarosławiem).

Czyż teraz dziwić się będziemy, że Franciszek Rakoczy w czasach swej ucieczki z austryackiego więzienia, lub podczas niepowodzeń wojennych szuka przytułku u powinowatych na brzeżańskim dworze, że w czasach bardzo krytycznych dla Polski jest przez osobną partyę poważnie forytowanym kandydatem do polskiego tronu (1707).

Ale nie uprzedzajmy wypadków i przypatrzmy się bliżej współczesnym stosunkom węgierskim, aby nam żywiej stanęła na oczach ta najpopularniejsza dla każdego Węgra osobistość na przełomie dwóch okresów dziejowych, między pokojem Szatmarskim, którym zakończono powstanie Rakoczego, a późniejszymi czasami.

Po przeszło 150-letniej walce przeciw uciskowi austryackiemu, po licznych buntach i ostatniem powstaniu Tekelego (który jest ojczymem Rakoczego i jeszcze w tym czasie żyje na wygnaniu), przyszło nareszcie 1687 r. na sejmie w Preszburgu między stanami a koroną do pokoju. Stany uznały w Węgrzech habsburskie dziedzictwo i zrzekły się sławnej

klauzuli »złotej bulli«, która prałatów, magnatów i szlachtę uprawniała do zbrojnego oporu przeciw wszelkim nieprawnym rozporządzeniom rządu.

Państwo z drugiej strony daje ogólną amnestyę, z pod której wyjęci są Tekely i jego uparci zwolennicy. Znienawidzony krwawy trybunał gen. Carafy w Eperies zniesiony, skonfiskowane dobra restytuowane, w węgierskiej kancelaryi dworskiej przynajmniej dwie narodowości mają swój głos, a artykuły religijne z 1681 r. mają być w czyn wprowadzone.

Zwycięstwa Austryaków nad Turkami (zdobycie Budy 1686) i chwilowe wyparcie ich z Węgier przyczyniają się na razie znacznie do uspokojenia umysłów.

Zdawało się, że tyloletnie bunty i niepokoje węgierskie zakończone. Tymczasem z Turkami nie tak łatwa sprawa. Ciągła wrzawa wojenna, trwająca aż do roku 1697, nie pozwala w czyn wprowadzić upragnionego dzieła pokoju z 1687 roku, a nadużycia żołdactwa austryackiego (Labanczów, jak ich z przekąsem nazywano) w pozornie uspokojonych umysłach Węgrów wzbudzają nowe bunty i niezadowolenia.

Zwycięstwo Eugeniusza Sabaudzkiego pod Zentą (1697) otwiera wprawdzie nowe widoki, ale jest to chwila największego rozbratu i rozgoryczenia między rządem a stanami.

Piętnastoletnia wojna z Turkami, ciągłe kwatery i kontrybucye wojsk austryackich do żywego doskórzyły tak włościanom, mieszczanom, jak i szlachcie. Powszechne nawoływania duchowieństwa i świeckich magnatów: »Precz z obcem żołdactwem!« — nie były niczem innem, jak okrzykiem oburzenia na ucisk, jakiego Węgry od lat doznawały.

Ale stawmy się w położeniu Austryi. Jak tu rozpuścić wojsko mimo zwycięstwa nad Turkami, jeśli się zważy, że nie tylko warunki pokoju Osmanom zbrojną ręką trzeba było dyktować, lecz i w całym kraju wrzało jeszcze i kotłowało, jak w kipiątku.

Jest jednak i po jej stronie wina. — Oto »szlendryan« urzędów i niezwykle wygórowane ciężary podatkowe, tudzież

zarzut, że godzi na całość praw i przywilejów narodowych — są głównymi powodami rozgoryczenia, które wnet wybuchło na nowo płomieniem jasnego buntu.

Wprawdzie Austrya stara się tym buntom zapobiedz i wprowadzić w czyn osławiony plan reformy Leopolda Kollonicza, biskupa Raaby, kardynała, w końcu prymasa Węgier, ale bierze się do dzieła bardzo niezręcznie, zanadto bowiem dobrze znano zasady tego znienawidzonego dostojnika kościelnego, człowieka skądinąd światłego i zasłużonego, którego dewizą było: »Naprzód Węgry okuję w kajdany, uczynię je żebrakiem, a wkońcu katolikiem!« — *(Faciam Hungariam captivam, postea mendicam, deinde catholicam!)* [1]).

Projekt reformy Kollonicza wychodzi ze słusznego zresztą stanowiska, że Węgry są dotąd zaniedbane pod względem gospodarki rządowej i trzeba temu szybko i stanowczo zapobiedz. A więc w pierwszym rzędzie należy je kolonizować przez Niemców(!) i germanizować (system zupełnie ten sam, co Prusaków w Wielkopolsce [1]), i w ten sposób moderować żywioły węgierskie skłonne do buntów i niepokojów.

Nie brak w nim rozumnych rozporządzeń w celu podniesienia oświaty przez założenie uniwersytetów (w Budzie i Koszycach) i odpowiednich szkół, — dużo mądrych projektów w celu podniesienia handlu i przemysłu, zniesienia dotychczasowego systemu żołdackiego, ale najwięcej zajmuje się ten projekt reformą obrony wojennej i sposobami opodatkowywania obywateli.

»Okoliczność bowiem, że w czasie pokoju dochody korony wynoszą 50—60.000 guldenów, wydatki zaś pół miliona, czyni reformę systemu poborów niezbędną; ale te nowe podatki ma składać nie tylko wieśniak, ale wyjątkowo każdy duchowny i świecki pan, każda kapituła, każdy wojskowy odpowiednio do własności«.

---

[1]) Memoires du prince François Rakoczy sur la guerre d'Hongrie depuis 1703 jusqu'a sa fin... — Szalay VI, 30, 31. — Horvath IV, 245.

Mniej pociągające jest zdanie, w którem się dawna policyjna mądrość państwowa odzwierciedla.

Należy — twierdzi projekt — dobrobyt narodu przez regularny upust krwi umniejszyć, aby stłumić ochotę do buntów i niepokojów [1]).

Wojna odwlokła na wiele lat wprowadzenie w życie tej reformy, a głównie okoniem jej stanęła autonomiczna szlachta i magnaci z arcybiskupem Koloczy Szeczenym na czele, którzy w reformie tej widzieli prawa swoje i przywileje zagrożone.

Pokój Karlowicki (29. stycznia 1699 r.), który Leopold zawarł jako »cesarz« w imieniu swoich krajów i poddanych, a nie jako »król Węgier« — był tylko dolaniem oliwy do ognia.

Gdy więc na początku 1700 roku zażądano, aby cały tłum drobnej szlachty podlegał opodatkowaniu na równi z wieśniakiem, powstał krzyk oburzenia za ten zamach na najświętsze przywileje narodu, a niejeden magnat i szlachcic węgierski, którego poprzednie powstanie Tekelego doszczętnie zniszczyło, przemyśliwał teraz tylko o nowym buncie, w mieszczanach zaś i chłopach nurtował także ogólny duch niezadowolenia.

Przeciw tym wzburzonym tłumom uprzywilejowanych stanów, przeciw nowo powstałym buntom Kuruzzów, przeciw żądnej rokoszu szlachcie, rząd posiadał źle płatnych, rozprószonych żołnierzy, którzy tak chłopu jak mieszczaninowi solą byli w oku, zniszczone i rozwalone twierdze i dowódców (jak Nigrelli w Koszycach), którzy nie wzbudzali postrachu, a tem mniej miłości.

W dodatku duchowieństwo nie sprzyjało także koronie. Węgierscy książęta Kościoła byli na wskróś Węgrami, a niemiecki rząd był im tak znienawidzony, jak i świeckim magnatom.

---

[1]) Zur Geschichte Ungarns im Zeitalter Fr. Rakoczis II, v. Dr F. Krones. Arch. f. öst. Gesch. Bnd 24, 1870, str. 263.

Niemieckie mieszczaństwo przez rząd zaniedbane, licznemi wojnami zrujnowane, moralnie złamane, nie mogło żadną miarą być zwolennikiem, na któregoby korona liczyć mogła, przeciwnie powszechnie przez rząd krzywdzone i opuszczone, lgnęło do obozu powstańców. — A *plebs misera contribuens* — tłumy płacące podatki? Nie miały w sprawach tych żadnego głosu, tylko plecy i parę rąk dla obcych interesów na zawołanie! W górnych Węgrzech objawiły się już w roku 1696—1697 poważne zaburzenia. Bunt w Ujhely, rokosz Tokaja i Szalontaja rozdmuchały na nowo ledwo co stłumione namiętności [1]). Tokaj na odezwach do ludu podpisuje się jako namiestnik Tekelego *(colonellus Toekelianus)* »węgierskie kołpaki« podnoszą się przeciw »niemieckim kapeluszom«, miasta Saros-Patak i Tokai dostają się w ręce rokoszan. Ów bunt wprawdzie stłumiono, ale inni dowódcy Kuruzzów wyłaniają się na wschodzie i niepokoją tamtejsze komitaty, a kompletnie bezradny koszycki komendant Nigrelli, daremnie sobie głowę suszy nad zgaszeniem wszczętego pożaru. Daleko dzielniej i radniej występuje tu na widownię tych buntów Aleksander Karolyi, nadżupan szatmarskiego komitatu, ale krewki, energiczny magnat, na wskróś autonomista, w razie nieporozumienia z koroną i przerzucenia się na przeciwną stronę — bardzo mógł być niebezpiecznym dla austryackiej sprawy.

W archiwum komitatu w Eperies znajdują się akta, zawierające ciekawe szczegóły dotyczące tych niespokojnych czasów. I tak szwagier Rakoczego hr. Ferd. Gobert Aspremont donosi komitatowi Saroskiemu o rabunkach, które północną część komitatu ku granicom Polski czynią bardzo niebezpieczną. Wysyła on w tym celu 40 w karabiny uzbrojonych trabantów, aby uspokoić okolicę zamku Makowicy i prosi komitat o pomoc. Inne pismo z 10. lipca donosi z Makowicy, że Aspremont dał znać komendantowi górnych Węgier jenerałowi Nigrellemu, że polskie zaburzenia w związku z niepo-

[1]) Wagner: Histor. Leopoldi I. magni Caesaris.

kojami w Węgrzech wydają mu się bardzo poważne i niebezpieczne.

W tych urzędowych korespondencyach widzimy pierwsze przebłyski zbliżającej się nowej wojny domowej.

Tymczasem wobec tych niebezpiecznych rozruchów węgierscy delegowani w Wiedniu rozpatrują pilnie sprawę i starają się złemu zapobiedz.

Tu w aktach eperieskich pierwszy raz spotykamy się z hr. Niklasem Berczenyim z Szekes, nadżupanem komitatu Ungwarskiego, cesarskim radcą i podkomorzym, komendantem Szegedvaru [1]), który później tak ważną rolę odegrał w życiu i losach Rakoczego. Z wiosną 1696 r. jest on wraz z innymi delegatami w Wiedniu i radzi z nimi nad sprawami Węgier. Z tych aktów pokazuje się także, że rząd nie przewidując, jakiego w Berczenyim ma wroga, powierza mu patentem z 10. lipca 1697 stłumienie buntu Kuruzzów zostających pod wodzą Tokaja i Szalontaja. Tu także poznajemy stosunek Franciszka Rakoczego do komitatu saroskiego, gdzie ten ostatni liczne dobra posiadał. Delegacya wiedeńska nic nie uradziwszy została rozwiązana, a kontrybuenci podatkowi wobec tego, że przyjechali bez pieniędzy, zostali w Wiedniu zatrzymani pod karą aresztu. Daremnie się za nimi wstawiali delegowani z palatynem Esterhazym na czele twierdząc, że tu gwałcone jest prawo, które nie pozwala szlachcica bez wezwania, przesłuchania i dowodu w kajdany okuwać (węgierskie *Habeas corpus*).

---

[1]) Ur. 1664 — od 1684 bierze czynny udział w wojnie tureckiej, 1692 pułkownik i komendant Szegedwaru. Pierwszą jego żoną była bogata dziedziczka Krystyna Drugeth-Homonna. Po wymarciu jej rodziny odziedzicza ogromne dobra. Druga żona Krystyna Csaky, dumna, ambitna kobieta. Ulubionem miejscem pobytu Berczenyiego jest Ungwar, skąd sąsiaduje z Rakoczym i często u niego bywa. Portret jego przedstawia fizyonomię na wskróś madziarską o rysach pochmurnych, znamionujących namiętność i zapalczywość. Niemców i wszystko, co niemieckie patryota ten węgierski dusznie nienawidził.

Przypatrzmy się teraz po krótce, w jaki sposób zapatrują się najbliżsi sąsiedzi polscy na obecne i poprzednie rozruchy węgierskie.

Pierwsze lata panowania Jana III aż do kongresu niwegskiego (1679) są epoką wpływu francuskiego. Król polski w ciągłych stosunkach z Francyą szuka odwetu przeciw elektorowi brandenburskiemu, stara się odzyskać Śląsk, wchodzi w ciągłe układy i przymierza z buntowniczymi Węgrami, a tem samem nieprzyjaźnie występuje przeciw Habsburgom.

Polska przedstawia dla polityki Ludwika XIV i jego ambasadorów »bezpieczną przystań i jakoby śpiżarnię, z której utrzymywali stosunki z malkontentami węgierskimi, żywili ich powstanie, zaopatrywali w żołnierzy, oficerów i pieniądze« [1]). Miasteczko Skole na trakcie wiodącym od Stryja ku granicy węgierskiej było od najdawniejszych czasów stacyą, przez którą przekradały się co chwila osobistości, by się porozumieć z ajentami francuskimi i przychylnymi sobie panami polskimi. Tu szły transporty broni, pieniędzy, przekradał się werbowany w granicach Rzplitej dla Węgier żołnierz.

Z kongresem niwegskim zmienia się polityka polska, a najświetniejszem następstwem tej zmiany jest wyprawa i odsiecz Jana III pod Wiedniem (1683).

Znana podczas niej rola Węgier i Węgrów. — Dwudziestoletni naówczas magnat, głośny Emeryk Tekeli staje na czele malkontentów węgierskich, zyskuje turecką pomoc, występuje na równinach Esseku jako król Kuruzzów i staje się przewodnikiem nawały tureckiej pod Wiedeń. Mimo tego jednak dawne tradycye przyjaźni między Polską a Węgrami nie zacierają się wcale.

Król polski pośpiesza Wiedniowi na pomoc, gromi Turków, ale oszczędza w pochodzie przez Węgry posiadłości panów węgierskich, Tekeli zaś zobowiązuje się z swej strony

---

[1]) Kazim. Jarochowski: Epizod Rakoczego. Przewodnik nauk. liter. 1885.

nie niepokoić podczas nieobecności Jana III bezbronnych granic Rzplitej [1]).

Znany koniec tej wojny tureckiej i powstania Tekelego w Węgrzech. Sejm węgierski z 1689 r. oświadcza gotowość poddania się domowi habsburskiemu, a Tekeli podejmuje się roli pośrednictwa, mimo iż sam stoi na stanowisku bezwzględnego protestu przeciw rządom habsburskim.

Pośrednictwa jego nie przyjęto. Zakończył, jak wiemy, życie w Małej Azyi na wygnaniu licząc zaledwie lat 47, dokąd mu towarzyszy wierna jego małżonka, wielka patryotka węgierska Helena Zrinyi, matka z pierwszego małżeństwa Franciszka II Rakoczego — który w niedalekiej przyszłości ma objąć rolę swojego ojczyma.

Na takiej to widowni ma niebawem wystąpić po raz pierwszy Franciszek Rakoczy.

Przypatrzmy się bliżej tradycyom i otoczeniu, w jakich się wychował.

Dziad jego Jerzy, ożeniony z Zofią Batorówną, Polką po matce, jak wspomnieliśmy, roi sobie pretensye do polskiej korony i w nawalnych czasach Jana Kazimierza do spółki z Karolem Gustawem, Chmielnickim i Moskwą przymnaża nam klęsk i nieszczęść. Wiadomy koniec jego łupieskiej wyprawy. Zachciało mu się »polskiego czosnku« — jak żartuje Pasek — a zgubiwszy swoje wojsko doczekał się przekleństw własnej ojczyzny i z desperacyi umarł. — »Otóż tobie czosnek!«

Syn jego Franciszek I, ożeniony z Heleną Zrinyi, był w młodym bardzo wieku uczestnikiem wielkiego przeciw domowi habsburskiemu spisku (1671), który wielu magnatów, a między nimi ojciec Heleny, Piotr Zrinyi, śmiercią na rusztowaniu okupiło. On sam za wstawiennictwem matki Zofii Batorównej ocalony — skazał się na dobrowolne więzienie w ponurym swym zamku Munkaczu, gdzie zgasł z żalu i zmartwienia (1676), licząc zaledwie 31 rok życia.

---

[1]) K. Jarochowski.

Pozostawił małoletnie dzieci: córkę Julię, która wyszła potem za Belgijczyka w służbie austryackiej hr. Ferdynanda Goberta Aspremont, i syna Franciszka, pod opieką dumnej matki, która nie mogąc darować domowi rakuskiemu śmierci ojca na rusztowaniu i nieszczęść męża, poświęca wszystko, a więc siebie, syna, ogromne włości i kapitały — dziełu zemsty.

Oddaje ona rękę i ogromne majątki Rakoczych Emerykowi Tekelemu, najzawziętszemu wrogowi sprawy austryackiej. Syn Franciszek, wychowany przez matkę, pod wrażeniem doznanych krzywd — już w dziecinnych latach przejmuje się nienawiścią do wszystkiego, co »niemieckie«.

Podczas gdy ojczym jego Tekeli walczy na czele powstańców, wojska cesarskie oblegają tymczasem Munkacz, gdzie z wierną załogą zamknęła się jego małżonka. Po walecznej obronie zamek musi się poddać. — Helenę z dziećmi wziętą do niewoli, odwieziono do Wiednia. — Dzieci wzięto pod opiekę cesarską, matkę zamknięto w klasztorze Urszulanek (poszła ona później wraz z mężem na wygnanie). — Córkę Julię oddano do klasztoru, syna zaś Franciszka powierzono wychowaniu Jezuitów w Neuhäusel, następnie w Pradze.

Wrażenia z lat dziecinnych tak silnie utkwiły w pamięci chłopca, że wszelkie usiłowania wychowawców, aby go pozyskać dla sprawy rakuskiej, pozornie się tylko udawały. Młody książę wykształcił zawczasu w sobie zmysł udawania i odgrywania komedyi do tego stopnia, że najdoświadczeńsi pedagodzy na niej się nie poznali.

Pozornie udawał on wielkiego zwolennika sprawy rakuskiej, mówił tylko po niemiecku, zarzucił nawet strój i język węgierski i zyskał wkońcu do tyla zaufania swych opiekunów, że pozwolono mu wyjechać za granicę.

Młodzieniec pięknej powierzchowności, smukłej postaci, o kruczo czarnych włosach spadających mu bujno na ramiona i ognistego oka, umiał się podobać na dworach niemieckich książąt i w roku 1699 pozyskał serce i rękę córki landgrafa heskiego, Aleksandryny hr. Leiningen.

Związek ten zyskał młodemu Rakoczemu wyniesienie do godności książąt Rzeszy i podniósł jego urok i znaczenie w ojczystym kraju, gdzie już od dawna upatrzono go sobie na przywódcę przyszłego powstania.

Już w r. 1697 dawni żołnierze Tekelego: Franciszek Tokaj wraz z Szalontajem zebrawszy tłum ochotników, zajęli kilka zamków i mieli zamiar pochwycić Rakoczego, aby się jego imieniem posłużyć. Ale ruch ten, nie zapowiadający żadnego powodzenia, wnet stłumiono.

Dwór wiedeński, zawsze podejrzliwy względem Rakoczego, odtąd tem czujniejszem okiem śledził każdy krok jego. Otoczono go całą czeredą tajnych agentów i wzajemna nieufność wywoływała coraz to większe rozdrażnienie.

W tym czasie przebywając w swych dobrach węgierskich, a zwłaszcza w Munkaczu, zawiązuje on bliższe stosunki z zapaleńcami sprawy narodowej, dawnymi wojownikami powstania Tekelego, którzy bardzo stanowczy i rozstrzygający wpływ wywierają na chwiejny dotąd umysł Rakoczego między wiernością dla domu austryackiego, a wrodzonemi i nabytemi z przeszłości uczuciami i wołaniami własnego narodu.

Między nimi najwybitniejsze miejsce zajmują hr. Mikołaj Berczenyi, sąsiad jego z Ungwaru, tudzież wielki przyjaciel i drugi sąsiad Rakoczego, hr. Stefan Szirmai, Sarosi i bracia Vay.

Pierwszy z nich, Niklas Berczenyi, odgrywa później jako główny organizator i doradca Rakoczego, czy to w Węgrzech, czy na wygnaniu w Polsce, najważniejszą rolę. Historycy austryaccy nazywają go złym duchem Rakoczego, »ciągle gorejącą pochodnią buntu«. Jest on duszą, Koszutem [1]) powstania Rakoczego, »nie wyrzekającym się go wtedy nawet, kiedy Rakoczy sam upadł na duchu, wynajdującym wciąż nowe środki, kiedy się wszystko zdawało stracone, utrzymującym wszędzie swoich agentów«.

---

[1]) K. Jarochowski: Epizod Rakoczowy. Przew. nauk. liter. 1885.

Berczenyi ma rozległe związki i znajomości z Polakami, w czem wiele mu pomaga dokładna znajomość języka polskiego. Trafi on wszędzie, tak do Ludwika XIV, jak do Karola XII, czy to w obozie Altransztadzkim, czy w okopach pod Benderem. Utrzymuje związki z panami polskimi, nie zaniedbując ich równocześnie z Augustem II; wchodzi w porozumienia z Piotrem i kanclerzem jego Gołowkinem, nie zrywając równocześnie z Portą.

Wpływ tak obrotnego przyjaciela nie pozostaje bez skutku. Rakoczy ulega jego namowom i zawiązuje ścisłe stosunki z Ludwikiem XIV, aby od niego zyskać poważną pomoc w ludziach i pieniądzach, celem wywołania powstania przeciw panowaniu austryackiemu na Węgrzech.

Rzut oka na współczesne wypadki europejskie z powstaniem węgierskiem w ścisłym zostające związku, rozjaśni bliżej tę sprawę.

Zgon Karola II, ostatniego z Habsburgów na tronie hiszpańskim, wywołał znane pretensye Ludwika XIV, który uprzedziwszy Austryę, wnuka swojego Filipa ks. Anjou osadza na tronie Hiszpanii. Cesarz Leopold energicznie przeciw temu protestuje, a gdy król francuski w uzurpatorski sposób usiłuje pozbawić morskie mocarstwa wszelkich stosunków z hiszpańskiemi koloniami, oburzenie tych państw dochodzi do zenitu i cała Europa dzieli się na dwa wielkie obozy, wywołując sławną wojnę koalicyjną. »Wielkie przymierze« podpisane przez cesarza, Anglię i Holandyę stawia germańską Europę naprzeciw romańskiej potęgi.

Z drugiej strony i na północy powstaje równocześnie nie lada burza, gdy August II wraz z Piotrem Wielkim przez napad na Inflanty dają hasło do długoletniej, a tak nieszczęsnej dla nas wojny północnej.

W śmiertelnym boju z domem austryackim Ludwik XIV nie zapomina o odwiecznym środku dywersyjnym, jaki dla Francyi od niepamiętnych czasów przedstawiają Węgry, gdzie lada iskra wywołać może wybuch gwałtowny.

Rakoczy, pozyskany stanowczo dla sprawy narodowej, rozpoczyna pod koniec r. 1700 za pośrednictwem niejakiego Longuevala, Belgijczyka w służbie austryackiej, korespondencyę z dworem wersalskim. Tymczasem przeniewierczy Longueval wydał listy obu stron gabinetowi wiedeńskiemu. To też rząd wiedeński, czuwając nad każdym krokiem nie dość ostrożnego magnata, kazał go w kwietniu 1701 r. aresztować w wiejskiej jego rezydencyi Sarosz pod Munkaczem.

Batalion żołnierzy pułku Salma, pod wodzą kapitana Rosenbacha, odstawił księcia wraz z małżonką do Wiednia, a stąd do W. Neustadt, gdzie rozpoczęto z nim surowe śledztwo. Zagrożony mimo wszelkich protestów oddaniem pod sąd wyjątkowego trybunału i obawiając się losu swego dziada Zrinyi'ego i tylu innych magnatów węgierskich, którzy zginęli na rusztowaniu, Rakoczy zdołał umknąć 7. listopada 1701 r. i przedostać się przez górne Węgry w przebraniu służącego w towarzystwie hr. Berczenyiego do Polski.

Ciekawy opis tej ucieczki znajduje się w niewydanej dotąd kronice klasztoru księży Pijarów w Podolińcu [1]). Gościnne przyjęcie poczciwych zakonników nagrodził książę potem hojną wieczystą darowizną rok w rok kilku beczek wina z swoich winnic w Hegyalii w zamian za odprawianą mszę św., które to wino klasztor ten jeszcze do początku XIX stulecia pobierał.

Zbiegły książę udaje się do Brzeżan, gdzie doznaje ze strony wojewodziny bełzkiej, pani Heleny Elżbiety Sieniawskiej z domu Lubomirskiej, żony Adama Mikołaja Sieniawskiego, hetmana polnego, bardzo gościnnego przyjęcia.

»Wielka rządziocha« — jak ją Otwinowski nazywa — miała tak rozliczne stosunki w kraju i za granicą, rozporządzała tak ogromnymi majątkami, że wybór nie mógł być lepszym i szczęśliwszym. Czy afekt osobisty, jak niektórzy autorzy twierdzą, do »pani krakowskiej«, czy tylko względy dy-

[1]) Dr Krones, dopiski, str. 343.

plomatyczne pociągały urodziwego magnata węgierskiego do Brzeżan, trudno rozstrzygnąć. Zdaje się, że jedno i drugie, wojewodzina bowiem nietylko dowcipem i rozumem, ale i niezwykłą urodą i dziwnym urokiem pańskiego majestatu zniewolić mogła ku sobie niejedno męskie serce.

Za jej wpływem cała rodzina Lubomirskich przechodzi z sympatyą i czynną pomocą do obozu Rakoczego. W. hetman koronny Hieronim, stryj jej, bracia: Jerzy podkomorzy i Teodor starosta spiski, Tarło, znany stronnik Leszczyńskiego, Józef Potocki wojewoda kijowski, Konstanty Sobieski i wielu innych, są dzielnymi pomocnikami i rzecznikami sprawy węgierskiej. Rakoczy z nieodstępnym Berczenyim są ciągle upragnionymi gośćmi w Jarosławiu, w Sieniawie, Puławach, w Brzeżanach, Stanisławowie lub w Żółkwi, już to u wojewodziny bełzkiej, już u wojewody kijowskiego, lub u Konstantego Sobieskiego w jego obronnym żółkiewskim zamku.

Nie dość tego. Aby mu udzielić stałego schroniska w Polsce, pani Sieniawska darowała mu dwie wioski w Jarosławskiem, między temi Jankowice (na drodze z Pruchnika do Przeworska, parafia Chłopice), gdzie po nieudanem powstaniu (1711) Rakoczy z przyjaciółmi rezydował i dokąd ciekawe archiwum powstania Rakoczego z Munkacza na Skole przewieziono. Co się stało z tem archiwum, do dziś nie wiadomo.

Z pomocą magnatów polskich, a głównie p. Sieniawskiej, zawiązuje Rakoczy ścisłe stosunki z Ludwikiem XIV, który ściśnięty pierścieniem wojsk koalicyjnych, zagrożony utratą sukcesyi hiszpańskiej — wszelkich środków używa, aby zarzewie rokoszu węgierskiego rozdmuchać w silny płomień i sprawę hajdamackiego na pozór buntu uczynić sprawą całego narodu.

Dzielnie w tem wszystkiem dopomaga Rakoczemu energiczny i obrotny Berczenyi, który z pomocą posła francuskiego Bonaca zostaje w ciągłem porozumieniu z Wersalem, aby dla węgierskiej sprawy uzyskać pomoc materyalną.

Niemałą pomocą są i panowie polscy z wojewodziną bełzką na czele, którzy, prócz pieniędzy, dostarczają mu żoł-

nierza, mimo, iż ojczyzna, zewsząd zagrożona, w wielkiej znajduje się opresyi i niebezpieczeństwie.

Tymczasem w Węgrzech wre i kotłuje tajemnie, jak na dnie cichego wulkanu. Dopiero w kwietniu 1703 r. włościanie z okolic Munkacza z powodu przeciążenia podatkami chronią się uzbrojeni do sąsiednich lasów i rozpoczynają przeciw cesarskim otwartą partyzantkę.

Władze uważają ruch ten za zwyczajny bunt chłopski przeciw uciskowi szlacheckiemu i powołują przeciw niemu pospolite ruszenie szlachty poblizkich komitatów. Tu nawiasem pamiętać należy, że wojsk cesarskich było w kraju bardzo mało, główne załogi bowiem wyprowadzono do Włoch przeciw Francuzom.

Powstańcy chłopscy okazują więcej zmysłu politycznego, niżby się po nich spodziewać można było. Oto wyprawili oni do Rakoczego do Brzeżan poselstwo, które mu oświadczyło, iż za wstąpieniem jego na ziemię węgierską cały kraj, jak jeden mąż, chwyci za broń i dlatego wzywają go do jak najrychlejszego powrotu.

Rakoczy na wieść przyniesioną przez poselstwo chłopskie, mimo iż rozporządzał niewielkim zastępem zbrojnych, rusza na Drohobycz i Skole ku ojczystemu krajowi. — Pod Klińcem przekracza 16. czerwca granicę i tego samego dnia łączy się z powstańcami, którzy kilka dni temu od pospolitego ruszenia pod wodzą Karolyiego doznali srogiej porażki pod Dołhą. Klęska ta nie wróży sprawie pomyślnego powodzenia. Mimo tego ambitny książę nie traci ducha i ogłasza sławny pierwszy manifest.

Po wielu walkach i początkowych niepowodzeniach zajmują zastępy powstańców cały pas kraju od Karpat aż po Dunaj, Tokaj i W. Waradin.

Szlachta wkrótce dochodzi do przekonania, że to nie zwykły bunt hajdamaków, ale walka o najżywotniejsze interesy narodu i ta okoliczność skłania ją, że coraz liczniej łączy się z zastępami Rakoczego.

Ruch ten, jak lawina, obejmuje coraz to szersze kręgi i ubezwładnia do reszty i tak już nieliczne załogi austryackie. Na nic się zdały wszelkie odezwy rządu, że poczyni możliwe ulgi i ustępstwa w pobieraniu podatków, ogłosi amnestyę i wynagrodzi poszkodowanych.

Już wszystko za późno. Rakoczy, wzmocniony pieniężnymi zasiłkami magnatów polskich i węgierskich, staje się wnet panem całych północnych i środkowych Węgier i ogłasza (1. stycznia 1704 roku) osławiony drugi manifest, wybornie zredagowany przez jego sekretarza Pawła Radaia, rozpoczynający się od słów: »Recrudescunt Hungarie vulnera...«, w którym nadaje narodowi węgierskiemu wolność religijną, restytucyę skonfiskowanych dóbr kościelnych i przywraca w całej pełni utracone prawa i przywileje szlacheckie.

Nie jest moim zamiarem opisywać tu przebieg i historyę powstania Rakoczego. Wiemy, jaki był epilog tej szlachetnej sprawy wielkiego bohatera węgierskiego. Oto po kilku latach powodzenia i tryumfów wojennych, o czem świadczyło 163 sztandarów zdobytych na »labanczach« i zawieszonych w sali tronowej munkackiej, nastały czasy klęsk i pogromów.

Dzielny wódz musiał uledz i szukał znowu przytułku u pani Sieniawskiej na ziemi polskiej — wojska zaś jego z namowy hr. Karolyiego złożyły broń i przysięgły na wierność Habsburgom. Wojnę zakończono pokojem i układami w Szatmar (1711 r.), które na długie lata zapewniły narodowi nienaruszalność praw i pożyteczne zmiany w organizacyi wewnętrznej.

Dalsze losy naszego bohatera są bardzo smutne. Po kilkoletnim pobycie w Polsce, gdzie żyje w ciągłej nadziei, że odzyska utracone prawa i z wygnania zostanie odwołany, udaje się na Gdańsk do Paryża (1713), aby u dawnego protektora szukać pomocy w uzyskaniu amnestyi. Wszystkie jednak zabiegi są bezskuteczne. Jedzie więc do Turcyi, ale i tu wyko-

łatać nie może, aby w pokoju passarowickim (1718) uwzględniono jego pretensye i zadowolnić się musi roczną pensyą od sułtana, tudzież zapewnieniem bezpiecznego pobytu na ziemi tureckiej.

Osiadłszy wraz z dozgonnym przyjacielem Berczenyim w Rodosto na wybrzeżu azyatyckiem, naprzeciw Konstantynopola, oddzielony od rodziny, pędzi w ciężkiem utęsknieniu i rozgoryczeniu jeszcze siedmnaście lat skołatanego żywota, którego tu dokonał 8. kwietnia 1735 roku. Skromny pomnik nad brzegiem Helespontu świadczy o miejscu jego wygnania. Zwłoki przewiezione do Galaty, spoczęły w kościele jezuickim, obok popiołów jego ukochanej matki Heleny Zrinyi i ojczyma Tekelego, którzy trzydzieści lat temu również na azyatyckich brzegach na wygnaniu pomarli.

Czytelnia Włościańska w BIERZANOWIE.

Na cześć Kościuszki

w setną rocznicę przysięgi.

Gdy Ojczyznie kopano mogiły,
Świętej Matki już się zbliżał zgon,
Tyś zasiewy, pozbawione siły,
Natchnął życiem, zmienił w bujny plon!

I do Sławy na zwycięskie boje
Bratnich szyków nie powiodłeś wprzód,
Aż przyjęły Wolności podwoje
W swoje progi zespolony lud!

Dziś wiek cały pod Twe stopy kłoni
Kornąą głowę, by ci złożyć cześć,
A Twój sztandar w silnej dzierżąc dłoni
Cała Polska pragnie naprzód nieść;

Więc nam wymódl, Ty królewski cieniu,
Miłosierdzia — ulituj się nas,
By nam w pracy i w tem zespoleniu
Nadszedł wreszcie wyzwolenia czas.

Ku cnej Matce nigdy niewygasły
Znicz miłości niech nam będzie dan,
I niech goi, pod Twojemi hasły
W polskiej piersi ból z serdecznych ran!

Niechaj droga ta Ojczyzna stanie,
Coś ją pragnął silną ręką wznieść,
I niech Tobie, Królu nasz i Panie,
Wieczne będą: Sława, Hołd i Cześć!!

W Krakowie, dnia 24. marca 1894.

Skon Jana III[1]).

Zachodnie blaski czerwcowego słońca
Park wilanowski i króla komnaty
Jak w morzu światła skąpały bez końca,
I jedwabiste muskając makaty
W włoskich zwierciadłach tęczą barw się snują,
A złote sprzęty, barwne malowidła,
Rzeźby, marmury, statuy, bogiń skrzydła
Drżącym połyskiem całują.

Ogólną ciszę sypialni przerywa
Zegar wenecki, co godziny brzęczy,
I krzyk papugi, co przykro-wrzaskliwa
U drzwi zawisła na złotej obręczy.

Przepych, wspaniałość, aż oczy oćmiewa!
Wśród szaf z hebanu, barwistych szyldkretów,
Ozdobnych cacek z bronzu, złota, drzewa,
Legły wezgłowia miękkich taboretów
Amarantowym brokatem usłane;
Plafon w szerokiej, pozłocistej ramie
Przedstawia piękną w kąpieli Dianę
I Perseusza, co okowy łamie.

[1]) Wiersz napisany r. 1904 w 208-mą rocznicę zgonu wielkiego bohatera z pod Wiednia, zmarłego 17. czerwca 1696.

A w tem bogactwie znękany chorobą
Siedzi król-starzec o zawiędłej twarzy,
Ten, co był zawsze cnej Matki ozdobą,
Jak najnędzniejszy z nędzarzy.
Aby swawolę skruszyć senatorów,
Nowych rycerzy powołał do rady,
Ale w nagrodę swych łask i faworów
Doznał niewiary i zdrady.
Marzył on kiedyś, że jest owym mężem,
Co w czyn przemieni Chrobrych ideały,
I mądrą głową, rycerskim orężem
Braci zawiedzie do chwały.
Lecz go zawiodło szczęście w tej pogoni,
Bo gdy się praca zdała już gotowa,
Rządne mu berło wytrąciła z dłoni
Hydra-anarchia stugłowa!
Więc może starzec weselszą pociechą
Cieszył się kiedy pod rodzinną strzechą?

Spojrzał na ścianę, skąd mile spoziera
Nań rząd portretów pendzla Eleutera [1]).
Lube widziadło i dzieci i żony,
Miejsce dlań święte, kącik ulubiony!
Cóż, gdy ci drodzy, co mu byli słońcem,
Troskę mu niosą przed dni jego końcem,
I w ciągłych sporach o tron i o schedę
Pragną go widzieć jak najprędzej w grobie,
Schęcając wrogów łupieżną czeredę,
Przeciwko niemu i przeciwko sobie.

Wir czarnych myśli do głowy się tłoczy,
Lęk, ból bezmierny pierś jego rozpiera,
A przez zamglone snem wieczystym oczy

[1]) Pseudonim nadwornego malarza Siemiginowskiego.

Czarna noc śmierci wyziera,
Co ma uleczyć tę bolesną dolę.

. . . . . .

Bezchmurne niebo patrzy się wesoło,
Wtem — piorun z trzaskiem w najwyższą topolę
Uderza w parku i wstaje szum wkoło
Jakby przed burzą.

Słonko jasne, hoże,
Śle błysk ostatni, a królewskie łoże
Żałobnem gronem otaczają dzieci
Z jękiem i płaczem.
...Już nie żył Jan trzeci!!

Czytelnia Włościańska w BIERZANOWIE

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE.

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE.

Ciekawy list do Zygmunta III.

. . . Bez znajomości dziejów, człek jako widziemy,
Jak kamień niemy!
„Goniec Cnoty", M. Stryjk.

Szlachta polska naszej dawnej Rzplitej równa wprawdzie *de iure* dzieliła się na wyższą, czyli stan senatorski, i niższą, czyli właściwy stan rycerski, jako niby bracia starsi i młodsi. »Niby«, bo w gruncie rzeczy przedział między nimi był ogromny. Powtarzał wprawdzie możnowładczy potentat, całując się z dubeltówki z chodaczkiem, któremu słoma z butów wyglądała, a karabela na rapciach z powrózków wisiała: »Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie!« — ale w życiu, w praktyce, równości tej nie było wcale.

Prócz powyższych dwóch stanów, trzecim reprezentantem Rzplitej był król, który ma przedstawiać, mimo swego majestatu, także stan równy. Ta domniemana równość jest odmiennym obrazem od innych ustrojów społecznych w Europie. — »Gdy na Zachodzie stopniowo upadała średniowieczna lenność, a z nią potęga arystokracyi na korzyść władzy monarszej — pisze Z. Gloger — w Polsce, gdzie lenności takiej nie było, stało się przeciwnie. Na gruncie obyczaju słowiańskiego urósł potężny swobodami i liczbą stan rycersko-szlachecki, a ponad tą wielokrociową rzeszą, kilkadziesiąt rodzin najmożniejszych stworzyło klasę panującą, która w rzeczywi-

stości rządziła Rzplitą, ograniczała w imieniu szlachty władzę królewską i upokorzała osobę króla«.

Równość, której tak pilnie pozornie przestrzegano, była tylko na papierze, ale nie w życiu. Dość wglądnąć w przysłowia szlacheckie, które są odzwierciedleniem współczesnego życia i obyczajów, aby się o różnicy tych trzech stanów przekonać. »Inszy król, a inszy pan Baranowski« — mówi jedno z nich — a drugie dodaje: »Inszy pan Kozłowski, niżeli p. Baranowski« — lub »Starszy Pan Bóg, niźli św. Marcin«, — »Wielka różnica, pan Baranowski, a woźnica« etc.

Moglibyśmy cały szereg takich przysłowi sobie przypomnieć, które wymownie świadczą, do jakiego stopnia w Polsce obserwowano różnicę stanów tak co do majątku, urzędów, jak i starożytności rodów. — Tu wspomnę tylko takie przysłowia, jak: »Lisie pomknij się, kuno przed stół, sobolu za stół, baranie za piec« — czyli: »Jakie odzienie, takie raczenie«, lub znany Paprockiego dwuwiersz powszechnie w przeszłości powtarzany: »Panie Polaku, umiej dobrze gadkę onę, bębennicaś, starają się u piszczka o żonę«.

Mimo jednak tej różnicy stanów, jedna rzecz szlachcie naszej była wspólna t. j., że każdy szlachcic był wyborcą bez różnicy w wielkości majątku i sam mógł być wybranym nawet królem. Było to prawo tak potężne, że ono wyłącznie i jedynie równało najbiedniejszego szlachetkę z magnatem, jeden drugiego bowiem zawsze potrzebował.

To też z jednej strony możnowładcy kaptują sobie całe tłumy drobnej szlachty pieniędzmi, bezpłatnemi dzierżawami, dopuszczaniem do łask i faworów, pochlebstwem, starają się u nich o popularność, bo wiedzą, że tylko w ten sposób mogą być potężni, a oparci na ich wpływie — królom dyktują prawa, ścieśniają ich władzę, biorą w swe ręce najwyższe godności, najbogatsze królewszczyzny i żądają, aby nikt łaski dworu bez ich wiadomości osiągnąć się nie poważył.

Za Zygmunta III możnowładztwo wznosi się do takiego znaczenia, że wojewodowie, biskupi, kasztelanowie za pan brat

są z królem, który choć często niepomiernie uparty, ustępować im musi i od prymasa do ostatniego senatora wszystkich dostatnio z »snopka Wazów« (herb króla) żywi.

Ciekawy bardzo dokument, odsłaniający nam ten podufały stosunek możnowładców do króla, znalazłem przeglądając stare rękopisy biblioteki suskiej, na szczęście podczas ostatniego pożaru zamku w Suchej ocalonej, gdzie znajdują się tysiączne skarby pomnikowe, dotąd niewyzyskane. Jest to kopia listu »IMci Pana Philipa Wołuckiego, kasztelana Rawskiego, starosty Radomskiego do Króla IMci Zygmunta III z strony stawienia Pocztu do Prus«. Oryginał znajduje się w Bibl. cesarskiej w Petersburgu w foliancie zatytułowanym »Torba Dworska« (F. IV. nr. 74), a rzeczywistość tego listu poświadczają Grabowski, Malczewski i inni.

Styl, to człowiek, — ba nie tylko styl, ale i ortografia, choć mylna, ale tak cenna w tym razie, która nam wiernie zachowuje jakby w fonografie dźwięki narzecza i sposób mazurskiego wymawiania. Radzę też list ten czytać głośno, aby mieć tem dokładniejsze wyobrażenie o zamaszystej bucie, podufałości a razem i serdecznej życzliwości względem króla, o rubasznym, naiwnym humorze i pańskiej fantazyi polskiego magnata.

Brzmienie jego jest następujące:

»Miłościwy, Najaśniejszy Królu, Panie moy Miłościwy.

Służby swoie zycliwe zalecam pilnie w łaskę W. Kr. Mci Pana Mojego Miłościwego. — Jego Mść Pan Podkomorzy Rewski, brat mój rodzony, cłowiek zacny y mądry, nad którego po mnie w nasem Rewskiem Województwie nie mas mędrszego, Wierna Rada W. K. Mci będzie mi świadcył, jako ja WMci rad służę, y miłuję z Serca, iesce barziey nis nieboscyka Pana Oyca swego; Kiebybyś mię tak W. Kr. M. miłował, a kiegosby mi Diabła ius więcey potrzeba! Juści mię tes W. K. M. kostowną kastalią utcił (uczcił) i udarował, do tego i Starostwem Redomskiem, ba i co drugiego do tego.

Prawda to, że ia tes przy kazdey Naswiętsey Msy, by ich było y kopa, dawsy Ceski gros, za dobre zdrowie J. K. Mci Pana Boga prosę, a po Naswiętsey Msy z Plebanikiem Swoim ziadsy (zjadłszy) Stukę Mięsa, kazdą duskiem, by się i spukać, za zdrowie J. K. Mci wypijawa, o cem niechay on Sam serzey powie W. K. Mci.

Co się tedy tyce strony Pocztu do Prus na tego Swedzika, tę hańbę świecką: tedy tak do W. K. Mci w te słowa pisę: Msciwy, Nayiasniejsy Królu, Panie moy Miłościwy, Naświętsa Panna pise, kiedy się onych dwoje ludzi w Galilei zeymało, a Pan się był na nie strony wina obryknął, tedy zawoławszy świętey Celedzi, tak im mówiła: — *Si bona de manibus* jego bierzemy, a cemubyśmy tes *mala* od niego brać nie mieli! A wierę Panowie, miło wam było dobrego się winka napijać, a to teràs, iakie moze być (roz. s. pijcie!) Takze tes, jeźli i nam miło było na W. K. Mć patrzać, kiedy z Królową Jeymością, abo z iaką krasną Panią abo Panną skaces, podrygas, poskakujesz, a my tes ichmość Panowie Senatorowie przed W. K. Mcią skacemy, hasemy, to tak, to sak wykrącamy; to zasię po Tanecku siadsy kołem, na klęckach za zdrowie W. K. Mci winko dobre łupiemy (i wierę nie kozdy takie doma pija, oprócz Nas, co sobie po nie do Węgrasków posyłamy) to po łysinach za zdrowie W. K. Mci kieliski tłucemy, a Viva! viva! — wołamy.

A wierę Panie, viva, viva! miło tu wam w zamku rozkosować, w sarłatnych farazyach złotogłowami podbitych, z kiteckami za capecką poskakiwać; cemusby tes przy Królu JE Mci pod namiotem jako Psi na zimnie pieconecki z cybulą, wędzonecki z cosneckiem pożywać nie mieli! Nuzes teras Panowie Vivowie od sobolich y rysich Farazyi z kołnierzami rzućcie się kopijeckę w rękę wziąwszy, a sabełkę do boku przypasawsy, a tego Wisielca Swedzika mierzionego bijcie, tłuccie, zeby wiedział ten Swedzik, co to jest z Królem JMcią zartować! A zaśby nie lepiej W. K. Mci Nieborackowi w cie-

pley izbie z Królową Jey Mcią pod pierzynką leżeć, niżeli co W. K. M. iako Sołtys iaki na zimnie drzys!

Ale kiedybym ia W. K. Mcią był dzian (nadzian czyli na miejscu K. Mci), tedybym ja tego Wisielca Gustawka kazał poymać i obiesić gdzie na wrotach, tam, gdzieby wsyscy Złodzieje Swedowie patrzali. A jeżlibym tego nie dokazał, tedy mię W. K. M. każ obiesić przed Rathuszem w Warszawie, abo gdzie będzie wola W. K. M. P. M. Miłościwego; juz ja nie będę od tego.

Co się tedy tyczy onego Pocztu do Prus, tedy W. K. Mć racz wiedzieć, aby mi nawet wciornastkie moje Rewiany w powrozie wieść i z moją rodziną, tedy się ja stawię W. K. Mci jako będę mógł z podkomorzym Rawskim.

Jej Mość Królowej proszę, racz W. K. Mć. służby nasze zalecić. Kochamy ją, boć dobra żona, aczkolwiek Rakuszanka.

W. K. M. P. M. Miłościwego
uniżony sługa
Philip Wołucki,
kasztelan Rawski«.

Dan z Radomia 1628.

Czytelnia Włościańska w BIERZANOWIE

Czytelnia Włościańska
w
BIERZANOWIE.

Pra-baby wielkich rodów.

Szlachta polska ubiegłych wieków licznie po rozległych ziemiach Korony i Litwy rozrodzona, słusznie zwać się mogła narodem — skoro wyłącznie w jej rękach spoczywały wszelkie prawa i władza prawodawcza, sądowa i administracyjna, ogromne fortuny, sztuka, nauki i cała kultura olbrzymiej Rzeczypospolitej. Od potężnego magnata do chodaczkowego szlachcica, od sobolowej delii z brylantową agrafą do nędznej karabeli na rapciach z powrózków zawieszonej mieściła ona w łonie swem wszelkie różnice wykształcenia i zamożności.

Tacy panowie jak Tęczyńscy, Opalińscy, Koniecpolscy, Sieniawscy, Potoccy, Radziwiłłowie, Czartoryscy, Braniccy, Lubomirscy posiadali nieraz tak wielkie włości, że porównaćby je można już nie z małemi księstwami Rzeszy niemieckiej, ale z ogromnymi obszarami całych państw i mocarstw europejskich.

Dobra Szczęsnego Potockiego między Targowicą, Mohilowem i Tulczynem położone obejmowały 3 miliony morgów, w czem było przeszło milion ornej ziemi i liczyły 130.000 osadników pańszczyźnianych, a dwór jego liczniejszy od dworu królewskiego składał się prócz licznego wojska z 400 osób dworzan i służby [1]).

---

[1]) Wewnętrz. dzieje Polski... T. Korzona, T. I. — Dr Antoni J.: Dwór Tulczyński (Opow. histor.).

Ks. Adam Czartoryski, jenerał Ziem Podolskich rezydował po królewsku w Puławach, a gdy mu wypadło w podróż się wybierać, to mu towarzyszył orszak kilkuset dworzan i hufiec szlachty w jedwabnych strojach tatarskich z 14 wielbłądami i całym taborem karoc, kolebek, powozów, karabonów. Współczesny historyk Wilhelm Coxe, który w tym czasie zwiedzał Polskę i podróż swą opisał, oblicza jego dochody na 100.000 funtów szterl. czyli na 3,600.000 złp. W niniejszym szkicu zobaczymy, że zdanie Cox'ego nie było przesadą, owszem na podstawie dokumentów współczesnych jak intercyzy ślubne i transakcye podziałowe dowiemy się, że dochody te i majątki były znacznie większe niż się cudzoziemskiemu historykowi na pozór zdawało.

Ale bo też posiadłości Czartoryskich w XVIII wieku, to obszar tak olbrzymi, że poczynając się u prawych brzegów Wisły sięgały nieprzerwanym pasem wysoko na północ aż w głąb Podlasia, a na wschód aż po porohy dnieprowe.

Pokaźną część tej olbrzymiej od Tęczyńskich pochodzącej fortuny stanowiły po lewym brzegu górnej Wisły dobra staszowsko-łubnickie. Położone w powiecie stobnickim, w uroczej, lesistej okolicy, grupują się one około Rytwian dawnej posiadłości Jastrzębców i ciągną się od lewego brzegu Wisły tuż naprzeciwko galicyjskiego miasteczka Szczucina aż po miasteczko Staszów i dalej. — Dobra te, jak liczne inne n. p. wilanowskie, tęczyńskie, łańcuckie, przemyślańskie, starosielskie, międzyrzeckie i inne są dziś własnością Potockich w linii męskiej lub żeńskiej. A przecież nigdy Potocczyznami nie były. Przypatrzmy się więc jak one od ostatnich Tęczyńskich z rąk do rąk wianem kobiecem przechodziły i dowiedzmy się, że dzisiejsi Potoccy t. zw. linia krzeszowicka i łańcucka są jedyną po pra-prababach dziedziczną odroślą wielkiego rodu Tęczyńskich.

* * *

W pierwszej połowie wieku XVII ród Tęczyńskich był już na schyłku. Z trzech braci najstarszy Andrzej starosta ostrzycki, kasztelan bełzki zszedł bezpotomnie ze świata, najmłodszy Gabryel wojewoda bełzki miał jedyną córkę Zofię[1]), a tylko Jan wda krakowski całą nadzieję podtrzymania sławnego rodu Toporczyków pokładał w trzech synach: Gabryelu, Krzysztofie i Stanisławie i w umiłowanej córce Izabelli, która słynęła na całą Polskę nie tylko z wielkiej fortuny, ale i z niezwykłej urody. Wyszła ona w tym czasie za Łukasza Opalińskiego marszałka nadwornego kor.

Wojewoda krakowski odziedziczywszy po śmierci braci olbrzymią fortunę, brzemieniem lat przyciśnion, przemyśliwał często nad tem, aby majątku z rodziny nie wypuszczać. I znalazł sposób na to.

Oto około 1620 r. wyrobił sobie dyspensę papieską i postanowił jedynaczkę po bracie Gabryelu wojewodzie lubelskim, ową wyżej wspomnianą Zofię wydać za jednego z swych synów.

Współczesne pojęcia obyczajowo-religijne takich związków nie pochwalały wcale. Dość przypomnieć wielki krzyk oburzenia na małżeństwo Zygmunta III, który po śmierci pierwszej żony Anny, siostrę jej Konstancyę pojął za małżonkę. Wiemy, że wtóre to małżeństwo powszechnie za kazirodcze uznane zaważyło na szali rokoszowych zaburzeń.

To też, aby opinię publiczną ułagodzić i błogosławieństwo niebios zamiarom swoim wyjednać, założył wojew. krakowski w »puszczy pustelniczej«, tuż pod Rytwianami klasztor reguły św. Romualda i fundował kościół włoskiej struktury dla Kamedułów sprowadzonych z księstwa Spoletto z klasztoru Montis Coronae. Klasztorowi temu zapisał prócz pieniężnych czynszów, wieś Sieragi z folwarkiem tudzież wioski Zrębin i Wolicę w okręgu wiślickim (1621).

---

[1]) Weszła później w związki małżeńskie z Janem Mikołajem Daniłłowiczem.

Ale inaczej Nieba zrządziły niż sobie wojew. krakowski w głowie ułożył. Dwaj synowie Gabryel i Krzysztof wysłani za granicę na edukacyę nim ojciec zdołał swe nadzieje urzeczywistnić zginęli tragiczną śmiercią.

Starszy Gabryel poległ w nieszczęsnym pojedynku w Lowanium, drugi Krzysztof zabity został w Germonela we Włoszech przez chłopa, do którego winnicy wszedł nieopatrznie, trzeci zaś Stanisław poległ w boju w młodzieńczym wieku w wyprawie Koniecpolskiego przeciw Tatarom nad Dniestrem.

Skołatany tylu nieszczęściami Jan widząc, że jemu, ostatniemu z rodu przyjdzie wnet głowę do grobu złożyć, stawił się przed aktami grodu krakowskiego i kornie czoła uchylając przed wyrokami bożymi, uczynił dwa zapisy: jeden powiększający zapis fundowanego klasztoru Kamedułów na 9.000 złp. na połowie sąsiedniej wsi Szczeki, drugim zaś przeznaczył temuż klasztorowi pensyę 4.000 złp. po jego śmierci płatną, zapewniając ją na kopalni »galmana« (w Sierszy i na Krzu koło Trzebini) na tak długo, »póki galman w takiej obfitości będzie dobywany, iżby na opłacenie tej pensyi wystarczył«. — Notatka ta zacytowana z współczesnego dokumentu ważna dla historyi kopalni galmanu w dobrach krzeszowickich, świadczy dowodnie o rozkwicie górnictwa polskiego w XVII wieku.

Ale wróćmy do właściwego przedmiotu. Fundator pustelni kamedulskiej w Rytwianach zastrzegł sobie, iż gdyby kiedykolwiek konwent był zniesiony i monaster opróżniony, tedy bez żadnej kwestyi zapisane klasztorowi dobra powracają do sukcesorów [1]).

W rok po owym zapisie *ultimus virorum de Tencyn* — dokonał skołatanego żywota, a jedyna pozostała córka

[1]) I w rzeczy samej, gdy w r. 1819 rząd rosyjski klasztor Kamedułów zniósł i kościół jako filię do parafii w Staszowie przyłączył, zastrzeżenie powyższe Jana Tęczyńskiego pozwoliło współczesnym sukcesorom hr. Potockim zapisane ongi klasztorowi dobra prawnie odzyskać.

Izabela Opalińska odziedziczywszy po nim wszelkie prawa i dobra jako wzorowa gospodyni i matrona wedle bożego zakonu olbrzymią spuścizną mądrze zarządzała.

Nie zapomniała też w swych dostatkach i o biednych Kamedułach Rytwiańskich i *in augmentum provisionis* wieś im Kamieniec i lasy przydała.

Marszałkowa nadworna długo żyjąc w szczęśliwem małżeństwie (owdowiała dopiero około r. 1662), doczekała się potomstwa, które jej wielkie wróżyło nadzieje. Dwie córy i dwóch synów miały być ozdobą i podporą rodu Opalińskich.

Ale kto się nad historyą poszczególnych rodów głębiej zastanawia — zauważyć może dziwne dziedziczno-fizyologiczne zjawisko. Oto podczas gdy nieraz męskie jednostki dogasającego rodu dziedzicznie marnieją lub się zwyradniają, jak to już i u ostatnich Tęczyńskich widzieliśmy — to kobiety tegoż samego rodu nie tylko potężnieją ciałem, celują urodą i niezwykłemi zaletami umysłu i serca, ale są nieraz jakoby przeznaczone na odrodzenie, wzmożenie i fizyczne spotęgowanie innych, zupełnie obcych rodów.

Tak i tu było. Rody Tęczyńskich i Opalińskich w linii męskiej wygasły bez śladu, podczas gdy kobiety tych nazwisk z jednej zaledwie odrośli przeznaczone były na podścielisko i podtrzymanie innych wielkich rodzin w Polsce.

Już widzieliśmy jak z Tęczyńskich utrzymała się tylko Izabela Opalińska. Z jej czworga dzieci najstarsza Joanna i syn Jan w dojrzałym wieku zmarli bezpotomnie — drugi zaś syn ostatni w linii męskiej Łukasz Stan., starosta nowokorczyński, fizycznie i umysłowo niedojrzały, jak to zaraz zobaczymy, jest dla matki i całej rodziny wiecznem utrapieniem i w końcu mimo wysiłków utrzymania rodu i dwurazowego małżeństwa, schodzi bezpotomnie z tego świata — podczas gdy bujna i urodziwa jej córa Anna wyrasta na dzielną pra-babę i podporę obcych zupełnie rodów Lubomirskich, Sieniawskich, Czartoryskich i Potockich.

Inaczej rzecz się ma z męskim potomkiem tego rodu, p. Łukaszem Opalińskim.

Na nieszczęście dumnej i ambitnej matki ten ostatni z tej linii Opalińskich żeni się z prostą wieśniaczką ze Szczeki, wioski położonej wśród lasów tuż koło Rytwian. Znać polując w puszczy pustelniczej spotkał ją na grzybach lub jagodach i takim zapałał ku ładnej dziewusze afektem, że mu go nijak nie można było wyperswadować.

Daremne wyczekiwanie upragnionego potomstwa zakłócało ich pożycie, a myśl, że wielki ród Tenczyńsko-Opalińskich w męskiej linii zejdzie bezpotomnie, trapiła starostę nadewszystko. Ciosu tego pragnie uniknąć p. Łukasz i gdy około roku 1690 Maryanna Dziulanka umarła, — żeni się po raz wtóry z siostrą swoją stryjeczną Zofią Opalińską (1° *voto* Kościerzyńską, 2° *voto* Leszczyńską), ale i z tego powtórnego małżeństwa nie pozostawia żadnego potomstwa.

Zwiedzając w swoim czasie klasztor pokamedulski w Pustelni rytwiańskiej, miałem sposobność oglądać w podziemiach klasztornych okazały sarkofag, z czarnego marmuru, w którym złożono zwłoki owego Łukasza Opalińskiego.

W dwóch przeciwległych ścianach sarkofagu są otwory, przez które, jeśli się do jednego z nich wsunie do wnętrza zapalony stoczek, można dokładnie widzieć dobrze jeszcze zachowane zwłoki starosty nowokorczyńskiego, ubrane w czarny kontusz. Rysy twarzy pospolite — i ostry kąt twarzowy, wstecz pochylone nizkie czoło wyraźnie świadczą, że to potomek dogasającego rodu.

W ten sposób została jak widzimy, jeszcze tylko jedna jedyna spadkobierczyni nazwiska Opalińskich t. j. wyżej wspomniana najmłodsza córka Izabeli — Anna Elżbieta Opalińska, która wyszła za Stanisława ks. Lubomirskiego marszałka wiel. koronnego.

Ona to jest ową sławną pra-babą wielkich i potężnych rodów Rzczplitej, które będąc spadkobiercami ogromnych fortun i zajmując pierwszorzędne dygnitarskie stanowiska wielki

wpływ na losy naszej ojczyzny wywierały. Od niej począwszy wszystkie kobiety tego rodu mają tak znamienne, a wybitne cechy rodu Tenczyńsko-Opalińskiego, że nie sposób ich działalności i wpływu pominąć milczeniem.

Dość spojrzeć na okazałe i urodziwe postaci takich pań jak Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska (Pani krakowska) lub Zofia z Sieniawskich Czartoryska, albo Izabela z Czartoryskich Lubomirska, aby zrozumieć, jaki wpływ miały i ile uroku roztaczały już nie na zwykłych śmiertelników, ale na koronowane głowy współcześnie w Europie panujących.

Wszystkie wyżej wymienione — to córy, wnuczki i prawnuczki w prostej linii od wspomnianej już ostatniej z Opalińskich Anny Elżbiety Lubomirskiej marszałkowej wiel. koronnej.

Córka jej Elżbieta Helena, która z końcem XVII wieku wyszła za w. hetmana Adama Mikołaja Sieniawskiego kasztelana krakowskiego, panią krakowską powszechnie zwana, jest istną królową wspaniałej rezydencyi brzeżańskiej, gdzie na porządku dziennym rezydują u niej monarchowie to August II. Mocny bezowocnie ubiegający się o jej względy, to Piotr Wielki, który tak się w niej rozmiłował, że mało co tych amorów wolnością osobistą nie okupił. Było to mianowicie w maju 1707 r., gdy car opuszczony przez Augusta przemyśliwał o zgodzie z Karolem XII i nie życząc sobie Leszczyńskiego na tronie, a więcej może marząc o tej godności dla syna swego Aleksego, postanowił użyć pośrednictwa i potężnych wpływów niepomiernie ambitnej pani krakowskiej i w tym celu do Brzeżan w gości zjechał.

Podczas okazałego przyjęcia i wspaniałego balu w Raju pałacyku letnim pod Brzeżanami, partyzanci Leszczyńskiego z Świderskim na czele wpadli do pałacu i miałby się monarcha rosyjski z pyszna, gdyby nie przytomność umysłu sprytnej hetmanowej, która podziemnym krużgankiem co żywo poleciła odprowadzić cara do obronnego zamku brzeżańskiego.

Cóż dopiero powiedzieć o jej stosunkach i korespondencyi z Ludwikiem XIV i innymi współczesnymi monarchami

i przedstawicielami państw zagranicznych, którzy więcej dbali o jej łaski niż o względy Augusta II, Leszczyńskiego lub najwięcej wpływowych panów polskich. Nie tu miejsce, abym o tem szerzej się rozwodził. Dość przejrzeć całe stosy korespondencyi w Muz. Czartoryskich lub w archiwach prywatnych zachowane, aby mieć pojęcie, że pani ta prowadziła osobną kancelaryę dyplomatyczną w Brzeżanach, skąd kuryerzy listowi dzień w dzień rozbiegali się na wszystkie krańce świata.

Przypomnę tu nawiasem jej stosunek z ks. Franciszkiem II Rakoczym. Urodziwy ten książę, kandydat do tronu polskiego gorliwie przez nią w miejsce Leszczyńskiego forytowany, sławny przywódca powstania węgierskiego, wojewoda siedmiogrodzki — wielkimi u niej cieszył się względami. Czy to po ucieczce z więzienia Wiener-Neustadzkiego, czy po nieudanej sprawie węgierskiej — zawsze w Brzeżanach nieraz na lat kilka gościnnego doznaje przyjęcia, wkońcu gdy zrezygnować musi z ambitnych zamiarów i gdy mu cały majątek na Węgrzech skonfiskowano, obdarowany zostaje przez nią hojną donacyą dwóch wsi, w okolicach Jarosławia i Pruchnika, gdzie może bezpiecznie pod osłoną brzeżańskiej milicyi przebywać do czasu swego nieszczęśliwego wyjazdu do Francyi i wygnania.

Ale bo też to niezwykła i wspaniała była postać. Przypatrzmy się bliżej jej współczesnemu portretowi zawieszonemu w pokojach rajskiego pałacyku pod Brzeżanami (dziś rezydencya brzeżańskich hr. Potockich).

Kruczo-czarne sploty obfitych włosów, które zdobi perłami haftowana bramka, otaczają oblicze gładkie, białe, okraszone żywym rumieńcem i czarownym uśmiechem. Aksamitna, ceglastego koloru suknia złotym szychem naszywana, głęboko u szyi wycięta zaznacza jej okazałą i bujną postać. Rysy kształtne, wyraziste i oczy duże, czarne, pełne wyrazu i wdzięku pociągają ku sobie dziwnym urokiem pańskiego iście królewskiego majestatu.

Pamiętała też ta energiczna i ambitna pani o swoich własnych interesach i umiała koło nich rządnie chodzić.

Przypomnijmy sobie, że brat jej matki p. Łukasz Opaliński zapisał dobra Staszów, Rytwiany i Łubnice Janowi Franciszkowi Opalińskiemu »od stryjecznych. stryjecznemu bratu« z krzywdą i pominięciem jedynej własnej siostry Anny Elżbiety Lubomirskiej matki pani krakowskiej. Przyczyną tej alienacyi były zapewne rozterki z rodziną z powodu nieodpowiednich małżeństw p. Łukasza.

Obecnie pani krakowska »uważając się czynem wuja Łukasza pokrzywdzoną«, wystąpiła jako jedyna z krwi Tenczyńsko-Opalińskich dziedziczka z powództwem przeciwko nabywcy dóbr i uzyskała w trybunale piotrkowskim 1715 roku dekret, który donacyę dóbr tych 1694 r. zeznaną skasował, i »dobra rzeczone jako naturalnej i jedynej z krwi Tenczyńskich pochodzącej sukcesorce i dziedziczce przysądził».

Pani krakowska miała jedyną córkę Maryę Zofię urodzoną 1698 r., którą dość późno jak na owe czasy, bo dopiero w 1724 r. wydaje za mąż za hetmana polnego litewskiego Stanisława Denhoffa.

Jak wspaniałe były p. Denhoffowe gody wyprawione przez matkę panny młodej na lwowskim dolnym zamku, ile na ulicach rozrzucono dukatów, ile strug przedniego wina rynnami wylano gwoli ucieszenia drobnej szlachty i całych tłumów mieszczaństwa lwowskiego, o tem dokładnie doczytać się można w współczesnych rękopisach i »silvach rerum«.

Po kilku latach małżeństwa bezdzietna Zofia Denhoffowa owdowiała i wyszedłszy wkrótce za mąż za jednego z najwybitniejszych panów polskich, Augusta Czartoryskiego wojewodę ruskiego, staje się założycielką i podporą potężnego domu.

Jak ważną i wpływową rolę dom ten odegrał w Rzeczypospolitej przez cały ciąg dziejów XVIII wieku, wszystkim wiadomo.

Czartoryscy czyli t. zw. »Familia« dążąc swojemi reformami do zniesienia bezrządu przez utworzenie silnej władzy na podstawie konstytucyjnej monarchii dziedzicznej, trzęsą całą Polską, a wiele im w tem pomaga ogromna fortuna odziedziczona po pani krakowskiej i — możność szafowania królewszczyznami. Grupują oni około siebie potężne stronnictwo i paraliżują kroki partyi przeciwnej (republikańskiej), na czele której stoją Józef Potocki woj. kijowski, Tarłowie i inni, dążący z pomocą generalnej konfederacyi do utorowania na nowo drogi do tronu Stanisławowi Leszczyńskiemu.

Zofia z Sieniawskich Czartoryska, to pani wielkich cnót i zalet, umysł wyższy ponad wszystkie współczesne tak nieraz niesmaczne walki stronnicze. Dość przypomnieć sprawę Adama Tarły i jego smutny koniec, sprawę, w której wszystkie Czartoryskie tak niesympatyczną odegrały rolę, a do której wojewodzina ruska wcale się nie mięszała. Widać, że wykwintna ta dama stała o całe niebo nad błędami swojego wieku [1]).

Oddana całą duszą wychowaniu dwojga dzieci Adama (późniejszego jenerała ziem podolskich) i Izabeli, doczekała w swem długiem życiu (umarła 21 maja 1771 r. mając lat 73, pochowana w kościele św. Krzyża w Warszawie) niejednej pociechy z licznych wnuków i prawnuków, a ogromną fortunę mądrym zarządem w dwójnasób zwiększyła.

Aby bodaj w przybliżeniu mieć pojęcie, jak wielkie państwo wojewodzina ruska dzieciom w spuściźnie zostawiła — przypatrzmy się intercyzie ślubnej przy wydaniu córki Izabeli za Strażnika kor. Stanisława ks. Lubomirskiego późniejszego marszałka w. kor. w r. 1753 — a następnie transakcyi późniejszej z r. 1762, mocą której pierwotna intercyza została usuniętą i między Adamem Czartoryskim, a siostrą jego Izabelą Lubomirską nastąpił równy podział dóbr.

Na podstawie tej intercyzy przy wydawaniu wojewodzianki ruskiej za Stan. Lubomirskiego wyznaczono jej z dóbr

[1]) Patrz wyżej: Pojedynek Tarły.

ojczystych 400.000 zł., a z dóbr macierzystych klucze: Łubnicki, Grzymałowski, Toustecki i Międzyrzecki. Po kilku latach fortuna tak ojczysta, jak macierzysta wzrosła przez przykupienie dóbr, spłacenie długów i wydoskonalone gospodarstwo, a rodzeństwo zawarło między sobą transakcyę i dobra na dwie równe części podzieliło.

Zestawienie tych dóbr, aczkolwiek może przydługie, jest pod względem historyczno-geograficznym tak cenne i ciekawe, że nie mogłem go tu pominąć, tem więcej — że ono nam wyjaśni — jaką drogą te ogromne włości i całe państwa przechodząc od Tenczyńskich do Opalińskich, a od tych ostatnich tytułem posagów w linii żeńskiej pra-babami z rąk do rąk, stały się potężną podwaliną innych sławnych i zamożnych skądinąd rodów — w których posiadaniu przedtem nie były.

Otóż przy wyżej wspomnianym podziale księżna Izabela Lubomirska marszałkowa w. kor. dostała:

I) Dobra Wielkopolskie w woj. mazowieckiem, a mianowicie: *klucz Wilanowski* t. j. Wilanów, Powsin, Powsinek, Lisy, Zastów, Zamoście, Wolica, Służew, Augustówka, Zbytki, Latoszki, Koło, Zawady, Żabiniec, Mroków, jurysdykcyę Praską. Cena tego klucza do proporcyi intraty wynosiła: 2,499.261 zł. 26 gr. i 12 denarów.

Dobra Małopolskie w województwie krakowskiem:

Hrabstwo Tenczyńskie, t. j.: Tenczynek, Rudno, Nowojowa Góra, Zalas, Młynki, Frywald, Filipowice, Wola Filipowska, Krzeszowice, Miękiny, Ostrzenica, Myślachowice, Sierża wodna, Czyżowice, Grojec, Nowagóra, Morawica wielka, Baczyn morawiecki, Morawica mała, Budzyn, Chrzosna, Cholerzyna, Brzoskwinia, Czerna, Pisary, Baczyn brzoskwiński, Nielepice. Cena do proporcyi intraty: 1,208.791 zł. 12 gr. 4 denary.

Klucz Spytkowski: Spytkowice, Miejsce, Bachowice, Grodzisko, Mirów, Brodło, Oklesna, Rusowice. Cena 681.086 zł.

Klucz Iwanowski: Iwanowice, Poskwitów, Krasieniec, Dasnice. Cena 254.042 Zł.

Dobra w województwie Sandomirskiem:

Klucz Łubnicki: Miasto Staszów z przedmieściami. — Wsi: Łubnice, Orzelec wielki, Grabowa, Orzelec mały, Łyczba, Starawieś, Budziska, Czarzyzna, Czarna, Przeczów, Otalęż, Wola otalęzka, Wilkowa Góra, Borki. Cena 569.502 zł.

Klucz Rytwiański: Rytwiany, Tuklęcz, Kłoda, Ruda, Sichów wielki, Sichów mały, Syzdzyna, Szczeka, Niedźwiadki, Koniemłoty, Święcica, Oględów. Cena 708.759 zł.

W województwie Ruskiem:

Klucz Brzeżański: Miasto Brzeżany z przedm. Wsi: Szybalin, Posuchów, Potutory, Żołtnówka, Chinowice, Żuków, Szarańczuki, Trościanie, Bażnikówka, Kuropatniki, Baranówka, Dobrcze, Kozówka, Koniuchy, Augustówka, Dworzec, Buszcze, Poruczyn, Urmań, Plichów, Wolica, Putiatyńce, Łuczynie, Ujazd, Koniuszki, Babuchów, Ceniów, Olechowiec, Nadorożniowa, Leśniki, Raj. Cena 2,471.794 zł.

Klucz Narajowski: Miasto Narajów z przedm. Wsi: Wierzbów, Szumlany, Łabszyn, Kotów, Rybniki, Rohaczyn. Cena 572.242 zł.

Klucz Przemyślański: Miasto Przemyślany z przedmieściami. Wsi: Borszówka, Krosienko, Ciemierzyńce, Pleników, Wiśniowczyk, Brykoń, Ładanów, Wypyski, pół Wołkowa. Cena 456.734 zł.

Klucz Starosielski: Staresioło, Budków, Podmonaster, Wodniki, Hrynów, Hlibowice, Suchodół, Olchowiec, Łopuszna, Hucisko, Dźwinogród, Horodysławice, Mikołajów, Podsosnów, Podjorków, Romanów, Podhorodyszcze, Kocurów, Siedliska, Szołomija, pół Hermanowa. Cena 2,236.842 zł.

Klucz Skolski: M. Skole z przedm. Wsi: Hrebenów, Tuchla, Libohora, Stawsko, Rożanka wyższa, Rożanka niższa, Jelonkowate, Wołosianka, Harczowanie, Oporzec, Ławoczne, Tarnawka, Kolne, Hatar, Tucholka, Płowie-Ryków, Hołowiecko, Grabowiec, Orawa, Pohar, Orawczyk, Tysowiec, Koziowa, Korostów, część w Horczynie. Cena 1,155.262 zł.

Jurysdykcya Lwowska z gruntami ziemskimi do niej z dawna należącymi. Cena 7.471 zł.

Witowice, Opoka, Pożog, Skowie-
Profecka, Włostowice, Zbędo-

Klucz Międzyrzecki: Miasto
Grabowice, Przychody, Mizie-
moszyce, Sawki, Tulilów, Żabce,
Krzewica, Łoniew, Łuby, Ko-
asiatki, Koszeliki, Rogożnica, Pu-
Szachy, Utrówka, Sietno, Zerocin,
wka, Kwasówka, Łoski, Przecho-
ecka, Ostrówki, Worsy, Turów, Wy-
Cena 2,142.432 zł.

racławskiem: *Klucz Granowski:* Mia-
Vsi: Grudek, Czartoryżka, Słobodyska,
ajówka, Sebestyanówka, Iwangród, Kra-
, Skarzenówka, Topolówka, Markówka,
Karabelówka, Ochijówka, Kublicz, Miko-
zkówka, Rachnówka, Michałówka, Ada-
a. Cena 2,926,284 zł.

a tej schedy **25,594.915 zł.**

Dobra także tu należały, ale zostały 1738 r.
zedane p. Benoe, Instygatorowi koronnemu.

obszar tego olbrzymiego majątku miał war-
ą 46 i pół miliona zł., cóż dopiero powiedzieć
artości tych włości, które jak z tego zestawie-
łem posagów już to macierzystych, już ojczy-
y w ręce synów, córek i wnuków tej rodziny
ę porozdrabniały, każda z nich stanowi jeszcze
pokaźną fortunę.

: księżna Marszałkowa rezydowała stale w Wila-
trzymała dla siebie dochody tego klucza, tudzież
) i rytwiańskiego. Resztę schedy rozdzieliła między
rki.

starsza Izabela wyszła za Ignacego Potockiego pisa-
nnego (umarła w Warszawie 1783 r.) i ona to zape-

Połowa hrabstwa Jarosławskiego: Połowa miasta Jarosławia z przedm. Wsi: Tuczempy, Ostrów, Wysock, Wietlin, Lasy, Laszki, Moszczana, Zaleska Wola, Korzenica, Bobrówka, Komaczówka, Sobiecin, Miękisz stary, Miękisz nowy, Tuchla, Czerniawka, Zaradawa, Surochów. Cena 3,293.623 zł.

W województwie Podolskiem. *Klucz Międzybozki.* Miasto Międzyboż z przedm. Stawnica, Lubomirka, Czartoryjka, Hołowczynie, Łysohórka, Michunki lasowe, Proniłów, Adamówka, Śrubków, Denhofówka, Kapaczówka, Żurawlińce, Hołosków, Zawoyki, Daszkowice, Pirochowce, Waciowa, Głowaczówka, Parchomowce, Kopystyń, Kalinówka, Szumowce, Dawidkowce, Szpiczyńce, Mołomolińce, Junaczyńce, Podlesie, Redwińce, Tereszowce, Jarosławka, Grabowce, Myłkowce, Złotaryńki, Wołosowce, Łysanowce, Michuńki, Zapadyńce, Bachmatowce, Buzulińce, Ihnatowce, Krzyszkowce, Bałamutówka, Maciejowce, Świnna, Manasterek Snitówka, Szpiczyńce. Cena 5,354.246 zł.

Klucz Zinkowski: Miasto Zinków z przedm. Wsi: Pirogówka, Pietrasze, Bebechy, Faszczejowka, Zachińce, Ziankowce, Janczyce, Maźniki, Ochrymowce, Słobódka, Mańkowce, Jaśkowce, Bożykowce, Hohole. Cena 1,963.409 zł.

Klucz Mikołajowski: Miasto Mikołajów. Wsi: Werdenki, Markówka, Chodkowce, Orlińce, Zarudzie, Paszkowce, Hryniowce lasowe, Skarzyńce, Tyranówka, Klimaszówka, Kalinówka, Hryniowce polowe, Maniłówka, Stawczyńce, Hladki, Pachutyńce, Kopaczówka, Peczyska, Chodakowce, Arkadyowce, Stufczyńce. Cena 2,284.011 zł.

Klucz Starosieniawski: Miasto Starosieniawa. Wsi: Bułhaje, Szczerbanie, Hreczana, Nowosieniawa, Czechy, Illatka, Berezówka, Paplińce, Czeszki, Misiorówka, Jówki, Babin, Wola babińska, Pankowce, Teleżyńce, Rusanówka, Ułasówka, Huczyńce, Siomaki. Cena 2,461.360 zł.

W województwie lubelskiem. *Klucz końskowolski.* Miasto Końskawola. Wsi: Puławy, Stara wieś, Rudy, Młynki, Wronów, Wola Osińska, Sielce, Chrzachowek, Dembie, Pąpów, Wólka

Nowodworska, Chrząchów, Witowice, Opoka, Pożog, Skowieszyn, Parchatka, Osiny, Wólka Profecka, Włostowice, Zbędowice. Cena 1,582.821 zł.

Województwo podlaskie. *Klucz Międzyrzecki:* Miasto Międzyrzec z p. Wsi: Rzeczyca, Grabowice, Przychody, Mizie-Jelnica, Strzakły, Poscisze, Krzymoszyce, Sawki, Tuliłow, Żabce, Tłuściec, Wulka Krzymoska, Krzewica, Łoniew, Łuby, Kożuszki, Łukowisko, Manice, Zasiatki, Koszeliki, Rogożnica, Puchacze, Dołha, Surmacze, Szachy, Utrówka, Sietno, Zerocin, Zahayki, Drelow, Pereszczówka, Kwasówka, Łoski, Przechodzisko, Szóstka, Wulka łożecka, Ostrówki, Worsy, Turów, Wygnanka, Bereza, Stoupno. Cena 2,142.432 zł.

W województwie bracławskiem: *Klucz Granowski:* Miasto Granów z przedm. Wsi: Grudek, Czartoryżka, Słobodyska, Korytna, Lewuchy, Narajówka, Sebestyanówka, Iwangród, Krasnopolka, Kiwaczówka, Skarzenówka, Topolówka, Markówka, Stepanówka, Ważne, Karabelówka, Ochijówka, Kublicz, Mikołajów, Mytków, Tyszkówka, Rachnówka, Michałówka, Adamówka, Curlichówka. Cena 2,926,284 zł.

Cena całkowita tej schedy **25,594.915 zł.**

Bursztyńskie Dobra także tu należały, ale zostały 1738 r. za 230,100 zł. sprzedane p. Benoe, Instygatorowi koronnemu.

Cały więc obszar tego olbrzymiego majątku miał wartość współczesną 46 i pół miliona zł., cóż dopiero powiedzieć o dzisiejszej wartości tych włości, które jak z tego zestawienia widać tytułem posagów już to macierzystych, już ojczystych przeszły w ręce synów, córek i wnuków tej rodziny i mimo iż się porozdrabniały, każda z nich stanowi jeszcze dziś wcale pokaźną fortunę.

Sama księżna Marszałkowa rezydowała stale w Wilanowie i zatrzymała dla siebie dochody tego klucza, tudzież łubnickiego i rytwiańskiego. Resztę schedy rozdzieliła między cztery córki.

Najstarsza Izabela wyszła za Ignacego Potockiego pisarza koronnego (umarła w Warszawie 1783 r.) i ona to zape-

wne otrzymuje klucze: brzeżański, narajowski i inne z nimi graniczące.

Druga z rzędu Aleksandra wyszła za Stanisława Potockiego podstolego kor. brata poprzedniego i otrzymała klucze satanowski i tarnorudzki.

Trzecia Konstancya żona Seweryna Rzewuskiego hetm. pol. kor. bierze posagiem klucze grzymałowski i toustecki.

Z czwartą najmłodszą Julią żeni się Jan Potocki krajczy koronny (syn krajczego Józefa) i otrzymuje z początku prawdopodobnie z dóbr małopolskich tylko hrabstwo tęczyńskie, klucz spytkowski, iwanowski, przemyślański i starosielski.

Synowie jego: Artur i Alfred w wielkich snać musieli być u babki faworach, skoro księżna Marszałkowa kor. już staruszką będąc robi dodatkowy zapis i dobra im Rytwiany i Łubnice 1802 r. rezygnuje. (Umarła dopiero w 1816 roku w Wiedniu mając lat 86).

Ci dwaj ostatni są dziadami dzisiejszych hrabiów Potockich krzeszowickich i łańcuckich, których wielce zasłużoną działalność na polu społecznem i politycznem zostawiam do skreślenia przyszłym historycznym popularystom.

Tu z tego skromnego szkicu historycznego widzimy, że hr. Potoccy krzeszowiccy i łańcuccy są po pra-babach spadkobiercami krwi i dziedzictwa wielkiego rodu Tenczyńskich.

Załączona tabela pracę moją uzupełni i uplastyczni.

a Tenczyński,
lubelski

ka † panną.

palińska wyszła za
cia Lubomirskiego,
k. kor. † 1702 —
Denhoff, syn jego
twa Teodor, woje-
ki, starosta spiski

lana krakowskiego,
wi domu Tenczyń-
rzysądził,

narł 1780) (1°-voto
1771 r. 21. maja,
a w Warszawie,

Viedniu) wyszła za
arszałka wielkiego
oku)

na hr. Potockiego,
koronnego

bia Potocki
rabiów Branickich

Stanisław hr. Potocki
zowicki).

Czytelnia Włościańska w BIERZANOWIE.

Smoleńskie wspominki.

Powieść historyczna z XVII wieku.

I.

W zacisznej komnacie wawelskiego grodu siedział Zygmunt III w głębokiem zamyśleniu. Na twarzy jego podłużnej malowało się znużenie, czoło wysokie, zmarszczone, pracowało tajemną troską, oczy czarne, łagodnego wejrzenia, patrzyły w dal nieokreśloną, jakby tajników przyszłości dojrzeć i dalsze losy burzliwego panowania przeniknąć chciały.

W ręku trzymał właśnie co przeczytany list, który mu p. Walenty Ślizień, starosta orszański, przywiózł z Żółkwi od hetmana.

Starosta w nieruchomej postawie oczekując dalszych rozkazów króla, oczyma wodził po wspaniałej komnacie i podziwiał jej bogate urządzenie, a więc: obicia, co na tle złotem historyę Adama wyobrażały i łoże rzezane z hebanu, nad którem wisiał baldachin z szkarłatnego brokatu, wyszywanego w złote snopki, herby dynastyi Wazów, tudzież wspaniałe posągi z szczerego złota, wsparte na hebanowych podstawach a przedstawiające dwunastu Apostołów.

Zygmunt przybrany był w czarny aksamitny kaftan, naszywany brabanckiemi koronkami, przez szyję zaś wisiał mu halzbant z pięknych brylantów i pereł, zdobny na piersiach tablicą z podługowatego dyamentu i trzema wielkiemi perłami

kształtu gruszek. Był to dziedziczny klejnot starszego syna królów szwedzkich.

Król po chwili wstał, a podniósłszy powolnie głowę rzekł:

— Toś się waćpan pośpieszył nie lada. Więc w trzech dniach drogę z Żółkwi do Krakowa odbyłeś?

— Śpieszno mi wielmie było, dusznie bowiem pragnę, abyśmy co najprędzej pod Smoleńskiem stanęli. Nie ciągnie mię tam jak drugich, chęć odzyskania utraconej ziemi, którą mi zagrabiono, ale droższe nad wszystko skarby, bo kochające serca osób, do których tęsknię bez miary.

— To waćpan stamtąd pochodzisz?

— A nieinaczej, pragnę swoich jak najprędzej ujrzeć.

— W poręś mi się nagodził, mój Śliźniu, bo się tu właśnie rozglądam za kimś, coby mi tam co tchu pojechał i listy Sehinowi z zapowiedzią dał, że z wojskami licznemi pod Smoleńsk podążam i natychmiastowego zdania twierdzy żądam — mówiąc to, wręczył staroście plikę papierów i dorzucił:

— Jedźże więc jako poseł, a spraw się tak, abyśmy w otwarte bramy miasta bez dobycia miecza weszli. Za usługi pomyślne, co Panie Boże daj, nie minie cię nagroda.

Starosta skłonił się królowi do kolan.

— Miłościwy panie — rzekł — zaszczyt to nie mały dla mnie, że mi tak ważną misyę powierzyć raczyliście, jeźli już jednak o nagrodzie mowa, to innej nie pragnę, jedno, aby dziewka, którą bezpamiętnie miłuję, mogła być moją.

— Więc to ciebie tam i afekt ciągnie? A jakoż się zowie ten skarbczyk umiłowany?

— Imię jej Marusza, a jest córką przybraną p. Boratyńskiego z Izdebnej, tuż pod Smoleńskiem. Od dwóch lat sercem mi ona oddana, bojarowie jednak okoliczni, a przyjaciele jej rodzica, aby mię tem większa przepaść z tą dziewką dzieliła, nakłonić ją usiłują do schizmatyckiej cerkwi i namawiają, aby rękę oddała carskiemu krewniakowi, Michałowi Skopinowi Szujskiemu. Dziewoja się opiera, jako że gorliwą unitką jest,

a Szujski na zabój rozmiłowany, grozi jej porwaniem lub przymusowym ślubem, mnie zaś nieszczęsnemu zazdrość i rozpacz serce gryzie, więc nie dziw, że mi tam spieszno i że z wdzięcznością wielką poselstwo to przyjmuję.

— Spełnij tylko, coć powierzyłem, a już o tobie baczenie mieć będę, pomnij jednak, jako ojczyste sprawy pierwszeństwo zawżdy mają przed prywatnemi. Jedźże tedy z Bogiem, staraniem zaś naszem będzie, aby cię pocieszyć w twym smutku, a Skopinowe zachcianki ukrócić.

Starosta padł panu do nóg i gorąco dziękował, król zaś ścisnął go za głowę, wręczył mu rulon dukatów i pożegnał, błogosławiąc znakiem krzyża na drogę.

Gdy p. Śliźień wyszedł uradowany i pełen dobrych nadziei, Zygmunt wielkimi krokami chodząc po komnacie, rozmyślał i w głowie ważył świeżo otrzymane pisanie hetmanowe.

Pomyślne wieści o coraz to szerszych zaborach Piotra Sapiehy i ks. Rożyńskiego na Moskwie skłoniły hetmana, iż szląc list za listem, namówił polskiego monarchę, aby podbić to mocarstwo dla siebie lub przynajmniej przywrócić wydarte przed stu laty Smoleńsk i siewierską ziemię.

Wszak jeszcze Bezobrazow, poseł od Dymitra, na weselu Maryny, tajnie się z tem w imieniu bojarów oświadczył, że woleliby mieć za pana królewicza Władysława, niż tych, co bezprawnie i gwałtem się cisną do carskiego tronu. Głosy te coraz to szerszem echem dochodziły do króla, a choć szlachta w szczerość słów bojarskich nie wierzyła, pochlebcy podsuwali Zygmuntowi myśl zagarnięcia korony carskiej, życząc jej nie tyle dla syna, ile dla samego króla.

Senat w obecnym roku 1609 na radę zwołany, sprzyjał Zygmuntowi, utrzymując, że Moskwa złamała traktaty i naruszyła prawa narodów przez pojmanie polskich posłów, towarzyszących Marynie, że to jakby od Opatrzności nastręczona sposobność do odzyskania wydartych przed stu laty posiadłości. Cóż dopiero rzec o pożytkach, jakie przez zjednoczenie

kościoła ruskiego i rozkrzewienie łacińskiego wyznania, na cały świat chrześciański spłyną.

— Pozorem do wojny — mówili zausznicy królewscy — może być odzyskanie Smoleńska, z celem zaś właściwym nie ma się co odzywać.

Rokoszanie jednak i drobna szlachta, którym tylko o zdobyciu tej twierdzy w uszy kładziono, a nic o koronie carskiej nie wspominano, przeczuwali o co rzecz, i bojąc się, że z rozszerzeniem władzy królewskiej, prawa ich i przywileje na szwank narażone będą, wcale tej wojny nie pragnęli.

To wszystko razem, gdy król w myśli ważył, nie zapomniał i o tem, że zaburzenia rokoszowe pozornie tylko uspokojone, w wnętrzu zaś Rzeczypospolitej wre jeszcze jak w kipiątku, a roje burzliwej szlachty czekają znowu skinienia jakiego potężnego panka, aby władzę monarszą doszczętnie zgnębić i ukrócić. Roje niepłaconego żołnierstwa i buntowniczych ziemian bojami zatrudnić, burzliwe ich myśli w północną skierować stronę, wojowniczego ducha narodu wojną zewnątrz kraju zaprzątnąć, oto zamiary, które Zygmunt obecnie pragnął w czyn zamienić.

— Wojna! — pomyślał — nie mojeć to rzemiosło, jeżeli jednak w oczach bitnego narodu sławy nabyć mam i berło silnie dzierżyć chcę, uchylić mi się od niej niepodobna.

Tu na myśl przyszły rokoszowe upokorzenia ze strony krzykaczy i wichrzycieli, którzy mu zarzutów kunktatorstwa i braku odwagi nie szczędzili; spojrzał na ścianę, gdzie wisiał wielki obraz pędzla Dolabelli, przedstawiający Guzowską sprawę, schmurzył wyniosłe czoło i cienkie wargi zacisnął. Przykre wspomnienia rozprószyli dygnitarze dworscy, którzy właśnie co weszli do komnaty. Był to podkomorzy Andrzej Bobola, ks. Piotr Skarga i marszałek nadworny Mikołaj Wolski.

Dziwna była chwiejność króla. Już wyprawę na Smoleńsk postanowił, już poselstwo do Sehina wyprawił, a jeszcze postanowieniom nie dowierzając, zwlekał i poparcia swych zamiarów szukał w radach otaczających go dworaków.

— Spocznijcie! — rzekł, witając ich łaskawie. — Drogiej rady potrzebuję. Dostałem pisanie od hetmana, czytajcie, a jakieby zdanie waszmościów było, powiedźcie, — to mówiąc, podał list hetmański p. Boboli do przeczytania.

Czytał go głośno p. podkomorzy, a szło mu to czytanie opornie dość, jako że był już starzec w leciech podeszłych i wzrok miał osłabiony wielce.

— Przyganiać nam znowu będą — rzekł ks. Skarga po wysłuchaniu listu — że się w rządy i polityki wdajem, słusznie jednak W. Król. Mość czyni, że rady drugich zażywa swojemu rozumowi nie dufając, my bowiem panu naszemu, nie, co się podoba, ale, co słyszeć powinien zawżdy mówimy. Gorzkie są nieraz słowa nasze, ale z serca pochodzą.

— To też wdzięcznem sercem przyjmuję je od was — odrzekł Zygmunt. — Nietajne wam moje zamiary względem Moskwy. Wiecie, że posłowie od Dymitra otworzyli się potajemnie ze zleceniem od bojar, iż chcą do tego przywieść, aby na tem państwie królewicz Władysław panował. Kazałem wówczas bojarom oświadczyć swój żal i oburzenie, że się Dymitr tak tyrańsko przeciwko nim obchodzi i nie zagradzałem do tego drogi, żeby nie mieli o sobie radzić — co się tknie jednak królewicza, nie byłem tego umysłu, żeby mię miała uwodzić chciwość panowania i poddałem sprawę całą pod wolę bożą.

— Trzeba było wówczas *statim* okazyą za czuprynę brać — rzekł p. marszałek nadworny — a byłyby sprawy po myśli poszły. Dziś, gdy Wasil Szujski z pomocą braci i wielu innych bojar, panem się uczynił i od wszystkich »prowincyów« państwa przysięgę odebrał, trudniejszaby to była rzecz....

— Trudności te urojone są — przerwał p. Bobola. — Acz większa część prowincyi Szujskiemu przysięgę oddała i posłuszeństwo czyniła, wielu jednak jest, co ani przysięgać na jego imię, ani mu posłuszni być nie chcą i z niechęci ku niemu, Dymitrowi Samozwańcowi sprzyjają. Z tymi ostatnimi trzymają silne wojska Sapiehy, i Różyńskiego, sami zaś Szujscy chcą do tego rzeczy przywieść, że Wasil dobrowolnie ustąpi,

żeby tylko król jegomość ujął się za tą sprawę, a dał im syna swego na państwo. Cóż więc łatwiejszego jak wojska Piotra Sapiehy do poparcia nas nakłonić i berło carskie w godne złożyć ręce? Dziwno mi doprawdy, że Jego Król. Mość tak długo się namyśla czynić, co już dawno uczynionem być powinno.

— Wprawdzie hetman i inni senatorowie — rzekł król — przekładali mi, aby tej okazyi do pomnożenia sławy nie opuszczać, skoro jednak potem »murmur« jakowyś w kraju był i wielu się niechętliwych naszym zamiarom okazało, odłożyłem rzecz całą do Sejmu.

— A jednak w Sejmie sprawy tej nie poruszano — wtrącił ksiądz Skarga.

— To też — bronił się król — i hetman w czuły mi to sposób wyrzuca, że *publico consilio*, nic w tej materyi nie orzeczono. A przecież w radzie tajemnej senatu było to proponowane i wyjąwszy trzech zgodne były sentencye, żeby tej okazyi nie opuszczać....

— W Izbie poselskiej jednak — powtórzył z naciskiem ks. Piotr — mowy o tem nie było i szlachta słusznie szemrać będzie.

Schmurzył się król.

— W Izbie posłów słowa o tem nie wspomniano — odparł — bo wielu między wami na rozszerzenie naszej władzy zawistnem okiem patrzy, więc też z niechętnymi w żadne deliberacye wchodzić nie chciałem.

Tu król wargi zacisnął i chrząknąwszy przez nos, przystrzyżoną brodę niespokojnie palcami szarpał.

— Źle się stało — konkludował p. Bobola — ale gdy się zważy wszystkie pożytki z tej ekspedycyi, nie oglądając się na sarkania drugich, rażno do rzeczy przystąpić i wedle własnej myśli działać trzeba. Hetman wojska gotowe ma, królowa jejmość po chorobie do zdrowia tęższego przyszła, nie ma co, jedno na koń siadać, a ruszać. Prawda i to, o czem hetman w liście wspomina, że »na kontentowaniu się ludzkiem siła

zależy, zwłaszcza, że przewłoka czasu potrzebować będzie sumptu wielkiego na wojsko, a od ludzi niechętnych trudno się ratunku spodziewać«. Dobre więc są p. hetmanowe rady: światu głosić, że W. Kr. Mość rozszerzenia państw Rzeczypospolitej szuka. Wzbudzi to przychylny afekt i w szlachcie i w wojsku do tej sprawy, że też potem, gdy ujrzą, jako sprawy po myśli idą, do wszystkiego chętniejszymi będą.

— A wojsku, to zapłacim tem złotem, co go dotąd w swej chemicznej kuchni p. Wolski zrobić nie zdołał? — wtrącił ks. Skarga.

— Sądzę — odparł spokojnie podkomorzy — że najlepiej, czem można, ukontentować rycerstwo, choćby też i z czego innego urywając, a zachęci się ich do znoszenia trudów.

Wielce uradowany radami p. Boboli dorzucił król: — Wyprawa ta i tak długo się nie pociągnie, nawet mi nadzieję uczyniono, że Smoleńsk dobrowolnie się zda, już też posła tam wyprawiłem, aby o to praktykował.

— Jakoż to? — zawołał podkomorzy — W. Kr. Mość oblężeniem Smoleńska zabawiać się myśli, gdy się mu wrota całej Moskwy na ścieżaj otwierają i cały septentrion pod berło polskie się garnie?

— Gorąco mi to i hetman zaleca, aby wprost przez siewierską ziemię na Moskwę iść — tłómaczył król — ale i panów Sapiehów rady niezłe są, aby zdobyciem Smoleńska drogę do moskiewskiej stolicy torować.

— Panowie Sapiehowie — wtrącił marszałek — duży kawał ziemi w smoleńskiem dzierżą i dlatego radzą jak im lepiej.

Zmarszczył się Zygmunt, jako że Sapiehowie, a zwłaszcza Lew, kanclerz litewski, w wielkich u niego łaskach i faworach byli.

— A jakież wasze zdanie, ojcze Piotrze? — pytał król poważnego kaznodziei.

— Jeźli bez pochlebstwa rzec mam — ozwał się ksiądz Skarga — to mi się wcale nie zda, aby Wasza Kr. Mość w rządy

obcych narodów mięszać się miał. Gdyby tu jedno o odzyskanie utraconych ziem polskich szło, godnaby to była sprawa tak wielkiego pana a króla, ale widzę, że W. Kr. Mość nietylko Smoleńsk odzyskać pragnie, ano tym sprzyja, co pod pozorem zjednoczenia Kościoła, obcych do zgody przywodząc, własnych pożytków szukają, a nie baczą, że się to z prawami boskiemi nie zgadza. Zakon nasz i cały chrześcijański świat gorąco pragnie, aby się jednolita władza Papieża w tych państwach rozszerzyła, ale któż wyroki boskie odgadnąć zdoła? Mybyśmy się dziś o to kusić mieli, czego w czasach świetnych zwycięstw, w tych krajach poprzednik Waszej Król. Mości dokonać nie zdołał? Małoż to w tej ojczyźnie rozerwania serc ludzkich, abyśmy w uspokojenia obcych mieli się mieszać?

Nastała uroczysta chwila milczenia. Poważne rady tem dziwniejszemi wydały się królowi i jego doradcom, iż pochodziły z ust sędziwego członka Jezuitów, który to zakon myśl zajęcia Moskwy najgoręcej popierał, nikt jednak nie odważył się zaprzeczyć starcowi, nikt na słowa jego nie miał odpowiedzi.

— Radzę tedy — przerwał ogólne milczenie ksiądz Piotr — na Smoleńsk iść, o obce się nie kusić, a Bóg dobrej sprawie pobłogosławi!

— Wezmę rady wasze w rozwagę — rzekł król — i proszę, módlcie się ze mną, aby Bóg tak pokierował krokami naszymi, iżby z tej wyprawy pożytek i sława dla Nieba i Rzplitej urosły. Jutro w drogę ruszamy.

To rzekłszy głową skinął na znak pożegnania i do drogi podkomorzemu dwór i hufce nadworne gotować kazał.

Wyszli powiernicy, król zaś respons krótki do hetmana Żółkiewskiego wystosował, w którym oświadcza, jako p. Śliźnia już w poselstwie do Sehina wyprawił i Lublin, jako miejsce, gdzie wojska hetmańskie z królem zjechać się miały, naznacza.

Słowo »wojna«, rzucone nad Wisłą, biegło wzdłuż i wszerz kraju i odbiło się głuchem echem o niezmierzone przestrzenie

stepów ukraińskich i czarne porohy Dnieprowe. Żółkiewski bowiem wysłał już kilka tygodni wprzód gońca do Olewczenki, atamana horodnych Kozaków w Kijowie, aby drużyny zbierał i co duch na północ zdążał.

Ruszyły tedy z trzech miejsc niemal równocześnie wojska polskie: król z całym dworem i rycerstwem z Krakowa, hetmańskie chorągwie z Żółkwi, a kozackie drużyny z Kijowa. Prócz tego z różnych punktów kraju prywatne zaciągi panów polskich, jako to: Potockich, Lwa Sapiehy, Dorohostajskiego, Lubomirskich, Stadnickich i wielu innych — śpieszyły królowi z pomocą.

II.

Nazajutrz po onej radzie już wczesnym rankiem w podwórzach Wawelu gwarno było jak w ulu. Całe rzędy karabonów i wozów stały gotowe do drogi, a skrzętni żołnierze, pachołkowie i hajducy pakowali na nie zamczyste sepety, grubo żelazem kowane skrzynie, przybory kuchenne i moc rozmaitych drobiazgów i sprzętów do wygody króla, królowej i jej fraucymeru przeznaczonych.

Gdy wozy przodem wyprawiono, gdy hufce królewskie z dworzan i żołnierzy złożone już wyruszyły, przyszła kolej na bryki i bryczki, któremi jechali pokojowi, szatni, śpiewacy, muzykowie, kucharze, stajenni i wozowi, wreszcie zajechały kolebki i »kotcze« mające zabrać oboje królestwo, dostojnych dygnitarzy dworskich i fraucymer królowej. Tu znowu roiła się moc urzędników w spódniczkach i kornetach a prym między niemi trzymała panna Urszula Majerin, mistrzyni i dusza całego dworu.

Była to kobieta blizko trzydzieści lat licząca, wysoka, kształtnie zbudowana, o obliczu pięknem, pełnem sprytu i rozwagi. Białe jej gładkie czoło podłużnym marsem sfałdowane i wargi z lekka zaciśnięte, nadawały jej wyraz pewnej surowości i niezłomnej energii. — Dama ta dostojności wielkiej,

cnotliwymi obyczajami ozdobiona, w łacińskim i niemieckim języku biegła, w największych respektach u króla i królowej zostająca, wyrocznią była dla wszystkich i wielki wpływ miała w szafunku łask królewskich.

Co sobie pani Urszula postanowiła, niechybnie wykonane być musiało, choćby się szatani piekieł przeciwko niej sprzysięgli. Uznała za słuszne jakiego dygnitarza koronnego lub dworskiego na wyższy urząd posunąć, stawało się jako chciała mimo zabiegów i starań kandydatów forytowanych na też stanowiska przez najpierwszych senatorów świeckich i duchownych w Rzeczypospolitej; postanowiła bywało kogo pogrążyć, władzę czyją ukrócić, nie wiele czasu upływało, a dygnitarz taki popadł w dyskredyt i niełaskę u królestwa obojga. Zdawałoby się, że taka kobieta, zwłaszcza cudzoziemka, więcej nam szkody niż pożytku zrobi, a jednak trzeba jej przyznać, że znała ona stosunki, potrzeby i prawa państwa naszego wyśmienicie, a powodowała się tak wielką słusznością, taką rozwagą w czynach i radach, iż cokolwiek postanowiła, to zawsze wychodziło na dobre familii królewskiej i Rzeczypospolitej. To też najwięksi nawet wrogowie szanować ją musieli, u królestwa zaś każde jej słowo więcej ważyło, niż najważniejsze uchwały sejmu i senatu.

Władysław, którego ś. p. matka Anna, (pierwsza żona Zygmunta), z sobą ją przywiozła, pod jej wyłączną opiekę oddany, nieraz od niej dobrze rózgą lub za uszy dostawał za chłopięce zbytki. Pod jej zarządem był cały dwór, wszystkie skarby i sprzęty królewskie, stąd też dzisiaj miała zajęcia i uwijaczki nie mało.

Gdy już wszystkie wozy, wojska i służbę naprzód wyprawiono, wyszedł z komnat Zygmunt z małżonką swą Konstancyą, królewna Anna, panna Majerin, ksiądz Skarga, ks. Prowancy nauczyciel Władysława królewicza, p. Bobola, pan Wolski i wielu innych dygnitarzy, aby siadać na koń lub w kolebki i ruszać w drogę, — jednego tylko Władysława nie stało, a nikt nie wiedział, gdzie chłopca szukać. Posyłano do stajen,

do ogrodów, pytano w kuchniach, wołano po wszystkich komnatach, król srogie wyrzuty ks. Prowancemu czynił, że chłopca w karności utrzymać nie umie i zbytnio mu folguje, panna Urszula zaś w te pędy wróciła się w krużganki i nuż na pokojach szukać niesfornego wychowanka.

Tymczasem w jednym z gabinetów wschodniego skrzydła pałacu królewskiego odgrywała się następująca scena:

— Zosiu! drogi skarbie! — mówił królewicz, załamując białe dłonie — zginę bez widoku twych pięknych oczu.

— Choć mi srodze markotno, że nas królewicz opuszcza — mówiło urodziwe dziewczę, skubiąc koronkę białej zapaski — ano już rzec muszę, że to grzech śmiertelny a obraza boska, ta cała nasza znajomość i podufałość. Niechby kto nadszedł i ujrzał.

— Nie grzech to Zosienko, nie! — przerwał jej śpiesznie chłopiec — bo ja cię miłuję tak bezpamiętnie, że chyba zginę w tej drodze lub zgoła zmysły stracę bez ciebie. Nie strzymam bolu serca i w rozłące z tęsknoty za tobą zmarnieję.

— Królewiczu, panie!... — wyciągając dłonie, wołała ze łzami w oczach dziewczyna.

— Nie mień mię »królewiczem«, już tyle razy prosiłem.

— Waćpan w hiperborejskich krajach nad potężnym ludem panując, nie będzie miał czasu myśleć o Zosi Zbrożkównej i zapomnisz....

— Ja miałbym zapomnąć twoje oczy czarowne? — przerwał jej Władysław. — Co mi po berłach, co po tronach, gdy ciebie nie stanie!

— ...Wówczas Zosia waćpana jedno mile wspominać będzie mogła całe życie... w klasztornem zaciszu.

— Skarbie ty mój nad dyamenty droższy, gdy carem zostanę, ty moją będziesz carową — rzekłszy to rzucił się jej na szyję i całować począł białe pieszczone czoło i rumiane usta dziewoi.

Jej czarne, pełne życia oczy ogniem pałały, twarz oblała się rumieńcem a białemi dłońmi robiła ruchy, jakby bronić

chciała przystępu do siebie, lecz chłopiec nad wiek dojrzały, rozbudził znać w jej młodem serduszku uczucie, któremu daremnie się opierała, bo go już nie odpychała od siebie, jedno do piersi przyciskając, mówiła ze łzami:

— Żegnam waćpana i szczerze wyznawam.... że cię wzajem miłuję jako duszę własną, jako....

Jeszcze tych słów nie dokończyła, gdy we drzwiach komnaty zjawiła się pani Urszula Majerin.

— Waćpanna do garderoby! — krzyknęła ochmistrzyni — pakować mi zaraz swoje rzeczy, dziś jeszcze do Lipy, do rodziców wrócisz.

Skonfundowana panna stała skamieniała, oboje zaś młodzi radziby się byli ze wstydu pod ziemię schować. Ale nie było czasu na usprawiedliwienia; panna Majerin wskazała na drzwi tak energicznym ruchem, że dziewczyna osłoniwszy swe piękne czarne oczy zapaską wśród gwałtownego łkania wybiegła z komnaty.

— Na przedwczesnych ochotach miłosnych nie zbywa królewiczowskiej mości — ofuknęła mentorka surowo młodzieniaszka — lecz gdy Liviusa tłumaczyć przyjdzie, to się wnet książka sprzykrzy?

— Uprzykrzy się... bo Ovidius milejszy i zabawniejszy od nudnego Liviusa...

— Nie dworuj waćpan, a wiedz, że ci się w bałamuctwa bawić nie pozwolę! — A teraz w drogę, bo król jegomość się niecierpliwi i w »kotczu« czeka — z temi słowy zarzuciła mu letni płaszczyk aksamitny na ramiona i czapeczkę z czaplem piórem na głowę.

Królewicz czapkę zdjął i pannę Urszulę w rękę całując rzekł: — Już święcie przyrzekam, że się to nie powtórzy wcale, jedno ojcu nic nie wspominajcie, a ta dziewka przezemnie, niech nie cierpi, proszę.

— Dobrze już! — przebaczam i ojcu słowa nie rzeknę, lecz Zosię do rodziców odesłać muszę i tak sprawami pokieruję, że mi ona wdzięczną będzie za to, co zrobię.

To rzekłszy wyszła z komnaty, a za nią szedł z pochyloną głową Władysław, któremu obecnie na sercu więcej ciężyła Zosia Zbrożkówna i jej losy, niż jakaś tam północna carska korona, o której dlań marzył ambitny ojciec.

Zszedłszy na dół, zajął miejsce w kolebce naprzeciw Zygmunta, który syna za opóźnienie surowem spojrzeniem skarcił i cały rząd wspaniałych kolebek i pięknie przybranych koni ruszył wśród tłumów mieszkańców Krakowa, żegnających serdecznymi okrzykami monarchę.

Droga wlokła się dość powoli od dworu do dworu, od miasta do miasta, a większa część czasu upływała na świetnych przyjęciach, festynach i uroczystych powitaniach, jakiemi ludność Korony aż do znudzenia raczyła dostojnych gości.

W dwa tygodnie później, w sobotę przed Zielonemi Świątkami zajechał drogę królowi hetman w Bełżycach i tegoż samego dnia jeszcze połączone wojska wkroczyły do Lublina.

Nazajutrz był dzień pogodny, słoneczny. Tłumy odświętnie przybranych mieszczan, szlachty i wojska roiły się po ulicach, uroczyste dźwięki dzwonów wołały na nieszporne nabożeństwa.

Komnaty, w których Zygmunt zamieszkał w grodzie lubelskim, przybrane były kosztownymi kobiercami i przyozdobione suto i wspaniale na przyjęcie królewskiej rodziny, która właśnie co wstała od stołu, gdy pacholę u drzwi stojące, przybycie hetmana oznajmiło.

Król prosić go kazał bezzwłocznie i wnet we drzwiach komnaty ukazał się mąż wzrostu słusznego, szczupłej kompleksyi, którego wąs siwy, zawiesisty, długa, srebrem przetykana broda, wysokie czoło i pogodne, błękitne oczy cześć i poszanowanie budziły i pewnej mu powagi dodawały. Z pierwszego wejrzenia poznać można było, że to był człowiek skory do czynu i do rady.

Przybrany w szkarłatną ferezyę ze złotymi guzami, szedł poważnie, utykając nieco na prawą nogę. Kalectwo to z po-

strzału pod Byczyną nabyte, przypomniało znać królowi usługi hetmana dlań łożone, z krzesła bowiem żywo powstał i wdzięcznie witając, spiesznie ku niemu postąpił:

— Wiecie dobrze — rozpoczął — jako wiele mi na tem zależy, aby to, do czego szczęście drogę podaje, do skutku przyszło. We wszystkich sprawach radzi zawsze na was polegamy, i ta moskiewska, aby się miała odbyć bez waszmości nie życzymy wcale.

Słowa królewskie zmięszały nieco Żółkiewskiego, który zwlekaniem wyprawy zniechęcony, exkuzował się był przed samym wyjazdem laty i spracowanem zdrowiem, aby się jeno uchylić od tej drogi.

— To też, choć zdrowie nie dopisuje — rzekł on — a i lata ciężą, nie wypraszam się już od przysługi, choć z różnych cirkumstancyi i respektów... nie mam nadziei pożądanego skutku tej wyprawy.

— Już mi o tem pisaliście — zauważył król z westchnieniem — sądzę jednak, że się te przeszkody przy bożej i waszej pomocy usunąć dadzą.

— Nie mamy pewności — odparł hetman — czy Smoleńsk dobrowolnie się zda, a strzelbą, którą posiadamy, murów tak miąższej twierdzy otworzyć, trudna będzie. Przytem gotowości i dostatku wielkiego wyprawa ta potrzebuje, a tu w czas roku daleko się weszło, droga uciążliwa, w dodatku zaś brak pieniędzy i zimna, które w tych północnych krajach prędko naścigną, żołnierzowi ochotę do boju odejmą.

Królowi narzekania te nie w smak były, chcąc jednak hetmana ułagodzić i do działania zachęcić rzekł:

— Zaniechajże waszmość tych skarg i narzekań. Nie czas po temu, gdyśmy już w drodze. Wszystkiemu zaradzić będzie naszem staraniem. Na jednę ćwierć lata żołnierzowi zapłatę wydzielić kazałem, na dalsze zaś ćwierci, gdyby się sprawa przeciągnęła, trzeba waszmości dalszy zaciąg z rycerstwem tak umoderować, aby do słusznego czasu bez żadnych tumultów zapłaty swej czekali.

— Któż ręczyć może, czy się żołnierz nakłonić da i buntu nie uczyni? Za mej pamięci czekali zasłużonych żołdów cierpliwie, ale się teraz wszystek świat zbestwił, każdy się za groszem ogląda.

— Dał Pan Bóg waszmości w każdej sprawie dobrą radę — perswadował król — dał do usłużenia ojczyźnie sposobność, dał i osobliwsze szczęście. Powagą i wziętością wiele też możesz u wojska. Rachuję tedy na was, że sobie tak postąpicie, aby Rzeczpospolita szwanku nie odniosła, a jeźli się to za bożą i waszą pomocą zrobi, wdzięcznie prace i trudy przyjmując, będziemy się starali to łaską naszą nagrodzić.

Pokłonił się nizko Żółkiewski.

— Jako żołnierz, chętnie wszystkiego dla służby Waszej Król. Mości i ojczyzny się podejmę... ano drudzy...

— Bądźcie spokojni, drudzy też przybędą — dokończył król — i na prywatne zaciągi głównie tu rachuję. Panowie Potoccy, p. Dorohostajski, Sapiehowie, Stadniccy przyrzekli, że się stawią i jako mię słuch dochodzi już są w drodze. Zanadtośmy się tą wyprawą osławili, nie sposób z drogi się wracać, nie lża, jedno szczęścia próbować trzeba. Waszmość z wojskiem kwarcianem na Brześć Litewski i Słonim ruszysz, ja do Wilna muszę, dokąd mię ważne pociągają sprawy. — Tam zostawię jejmość królowę z synem, po załatwieniu zaś wileńskich spraw u Mińska się zjedziemy.

— Stanie się, jako Wasza Król. Mość rozkazuje.

— Tylko koni nie żałujcie — dodał król — a nigdzie dwóch nocy na jednem miejscu nie odpoczywajcie. Idźże przeto waszmość w imię Boże, a nie trać ducha!

Temi słowy pożegnał król hetmana, który skłoniwszy się rodzinie i samemu panu, poważnym krokiem opuścił komnatę.

III.

W kilka tygodni później Zygmunt stanął w Wilnie, a przypuściwszy Radziwiłła do ucałowania rąk, po nagrodzeniu het-

mana Chodkiewicza za inflanckie zwycięstwa pochwalnemi mowami i obietnicami żołdu, pożegnał królowę wraz z dziećmi i puścił się w drogę ku Mińsku, gdzie już Żółkiewski z wojskiem nań czekał.

Na prywatnej audyencyi pytał się wódz polski, czy są jakie świeże wiadomości o ofiarowanych dobrych chęciach bojar i co się wie o Smoleńsku. Król zbył go krótką odpowiedzią, że bojarowie wówczas dopiero z dobremi chęciami przeciwko Zygmuntowi się otworzą, skoro się osłyszą, że już wkroczył w granice ich państwa. Dotąd sprawy te idą cicho, ale się śpieszyć trzeba, gdyż według nadeszłych od starosty wieliskiego listów, w Moskwie zamieszanie wielkie, Smoleńsk zaś z wojsk ogołocony dobrowolnie się zda, a p. Śliźnia z powrotem i z pomyślną odpowiedzią lada dzień spodziewać się należy.

Ruszono więc pośpiesznymi marszami na Borysów ku Orszy, stąd zaś po przeglądzie świetnych wojsk, prosto już do Smoleńska zdążano.

Tymczasem p. Ślizień, który na 10 dni z górą wojska królewskie wyprzedził, 20 września stanął na Hłuszycy u Dniestru na przeprawie, skąd już tylko godzina drogi dzieliła go od smoleńskiego przedmurza. Nimby jednak to poselstwo odprawił, postanowił sobie wstąpić wprzód do Izdebnej, dokąd go serce i tęsknota za umiłowaną dziewoją pociągały.

— Anibyś waćpan wiary dał — mówił starosta orszański do p. Raroga, zaufanego przyjaciela — jak mi ta dziewka w głowie i w sercu siedzi.

Tu rozgadał się p. Ślizień na dobre i czego od niego przez całą drogę wydostać nie można było, dziś zwierzał się z tego towarzyszowi podróży na widok ojczystych stron umiłowanej dziewoi.

W ten sposób dowiedział się p. Rarog, że Maruchna jest przybraną córką państwa Boratyńskich i że ją lat temu dwa-

dzieścia jakaś biedna kobiecina znalazła w lesie przy drodze. Domyślano się wówczas, że dziecko to porzucili żołnierze moskiewscy powracający z Olszy, gdzie wśród krwawej rzezi tamtejsi unici, niechcąc uledz przymusowi Moskali bronili swego wyznania i prawowitego Kościoła aż do śmierci męczeńskiej. Krzyżyk złoty zawieszony na piersi dzieciny, ozdobiony u dołu herbem, świadczył że była katoliczką i szlacheckiego pochodzenia. Bezdzietna pani Boratyńska dała wieśniaczce pieniężne odszkodowanie i wzięła do siebie dziecko, które z latami wyrosło na tak gładką dziewoję, że uroda jej ściągała z dalekich stron kawalerów. Między ubiegającymi się był prócz młodego kniazia Szujskiego także i p. Ślizień, który często do Izdebnej zaglądał i o względy pięknej panny nie bez sukcesów się ubiegał, gdy wtem służba wojskowa w pułku husarskim hetmana Żółkiewskiego, przerwała te konkury. Stęskniony husarz ochotnem więc sercem zdąża dziś do Smoleńska, może bowiem przy tej sposobności ujrzeć skarb umiłowany i zakończyć sprawę zdobyciem ręki urodziwej Maruszy, która w nim również na zabój jest rozmiłowana.

Właśnie kończył p. starosta to opowiadanie, gdy na horyzoncie ukazały się czarne mury olbrzymiej twierdzy smoleńskiej. Wkoło sterczały gruzy i zgliszcza dopalających się przedmieść, które nieprzyjaciel na wieść o zbliżaniu się wojsk polskich zniszczył ogniem, z pośród zaś dymów, co w górę jak z trybularzy kłębiły się ku niebu — potworna budowa, rzekłbyś olbrzymi sarkofag, rysowała się na tle pochmurnego nieba potężnemi sylwetami czarnych baszt i wieżyc. Rycerze polscy podziwiali przepaścistość kamiennych murów od fundamentu na trzy kopie wysokich, silnemi wieżami i strzelnicami wzmocnionych, których bramy zatarasowane były piaskiem, kamieniami i rusztowaniem z grubych dyli dębowych.

Już byli na przedmurzu, gdy wśród zwalisk niedopalonych domów spotkali starca w wyszarzały kontusz przybranego. Oblicza dojrzeć nie mogli, odwrócony bowiem od nich, patrzył nieruchomo na mury. P. Ślizień wstrzymał swą dru-

żynę, a białą chustą w stronę miasta powiewając na znak, że w poselstwie przybywa, rozpytywać jął starca o różne szczegóły, w celu wybadania usposobienia i zamysłów nieprzyjacielskich.

— Waszmość tutejszy?

— A jużci tutejszy, jedno jak waszmościowie z ubrania widzicie nie Moskwicin, ale wasz.

— Nie mógłbyś nam też waćpan powiedzieć, co znaczą te spalone przedmieścia smoleńskie?

— One znaczą, że tam nie macie po co w poselstwie iść, bo Sehin dobrowolnie miasta nie zda. Uparty to, twardy a nieużyty człek, swemu hosudarowi jak pies wierny i ani myśli o rokowaniach z wami.

— Więc powiadasz waszmość, że te przedmieścia spalił, aby nam oblężenie utrudnić i w żadne rokowania z nami wdawać się nie zechce?

— Oj! spalił on panie — mówił starzec — nie tylko te przedmieścia, ale i okoliczne wioski, a z włości na to mówiąc mojej, com ją tu w górze u Smoleńska miał, nie zostało mi nic, jedno ten kij żebraczy i bezgraniczna rozpacz w sercu za donią umiłowaną, którą mi porwali.

Siwe wąsy zwisłe aż na piersi trząść mu się poczęły, oczy łzami zabiegły i starzec łkać począł jak dziecko. P. Ślizień w okamgnieniu skoczył z konia, a porwawszy go w ramiona, krzyczał:

— Przez żywy Bóg! waćpan jesteś Boratyński z Izdebnej, cóż się z Maruchną stało?

— Ot, nieszczęście się stało z dawna przewidywane — jęknął p. Boratyński. — Waćpan jej głowę zawieruszyłeś amorami i serce tak opętałeś, że czekając z utęsknieniem waścinego powrotu, o nikim sobie wspomnieć nie dała. Kniaź Szujski tymczasem swatów słał za swatami; bogatymi podarunkami, gorącemi prośbami zjednać ją chciał dla siebie i dla swej cerkwi, ale wszystkie groźby i prośby jego były bez sukcesu. Wtem, skoro się Moskwa osłyszeli, że litewski król

na Smoleńsk rusza, przysłali po raz ostatni do mnie z oświadczeniem, że jeśli im dziewka nie będzie po woli i nie zechce prawą małżonką Skopinowi być, to ją przemocą wezmą i zostanie jego nałożnicą.

Starosta orszański na te słowa, rzucił się jak szalony ku starcowi, a szarpnąwszy nim gwałtownie, zawołał:

— Więc ją porwano! — Mów, mów, wszak ty jej ojcem przybranym byłeś i opiekunem, kochałeś ją jak córkę i obronić jej nie zdołałeś?

— Jakoż ją było bronić, mnie samemu, przeciw całej nawale nieprzyjaciół. Oto nie dalej jak onegdaj napadli na mój dwór, otoczyli go tłumem zbrojnych ludzi, ją porwali, a mienie moje z dymem puścili. Na klęczkach błagałem, aby mi jej towarzyszyć pozwolono, bom ją od hańby ratować chciał. Zgodzili się na to, ale skorośmy pod bramami Smoleńska stanęli, ona zwróciła się do mnie i rzecze: »Ojcze, ty tu zostaniesz, bo się jeszcze światu na wiele przydać możesz, ja zaś, gdy po czterech dniach nie wrócę, to już mię dłużej nie wyczekuj, wiedz tylko, że nie kochałabym ojczyzny i pana Walentego, gdybym na haniebny związek z Szujskim zezwoliła«. — Po tych słowach rzuciła mi się w objęcia i serdecznie uścisnęła. Daremnie się przy swojem upierałam, że jej w tak wielkiem niebezpieczeństwie nie opuszczę, daremnie perswadowałem, że we dwoje prędzej sobie na obczyźnie rady damy, daremnie do zamku przemocą wedrzeć się chciałem; jednym razem porwano mi ją z przed oczu, bramę przed nosem zatrzaśnięto i jeszcze mię z po za brustwerów żołnierze kulami traktować chcieli. Dotąd mi w uszach brzmi głośny trzask okutych żelaznych podwoi, co się zapadły jakby wieko trumny za moją Maruszą. Zdało mi się wówczas, jakobym tę lubą dziewkę żywcem w grób zakopał. Stałem długo jak zdrzewiały i zdjęła mię boleść bez granic, nie tylko bowiem widzę, że na niechybną hańbę poszła, ale i to sobie za sromotny żal mam, że mi wspólną niedolę dzielić wzbroniła i że jej w tak ciężkim terminie ręki podać nie zdużam.

— Tak! waćpan jej obronić nie zdołałeś, — ale ja jej pomoc dam — zawołał p. Ślizień — i choćbym ją piekłu wydrzeć miał, na hańbę tej serdecznej dziewki nie zezwolę.

Rzekłszy to, dobywać się jął ze stukiem do bramy, Moskwa zaś dowiedziawszy się, że poselstwo od litewskiego króla przybyło, nim p. Boratyński w myślach ponurych pogrążon, miał czas się ocknąć, wpuścili p. Śliźnia wraz z p. Rarogiem do wnętrza twierdzy.

Hetman nie mogąc się po tygodniu doczekać p. Śliźnia, którego jak się domyślał, uwięziono, radził królowi, aby w Żarnówce, trzy mile od Smoleńska, wojska dłuższy czas zatrzymać, ażby Kozacy, co w tyle zostali, zrównali się z nimi. W ten sposób zwiększywszy swoje siły, będą mieli czem nieprzyjaciołom zaimponować, że ich i ochota do dalszego oporu odejdzie.

Nie podobała się ta rada królowi.

— Nie przestrasza mię, że posłów uwięzili — mówił on — niech jeno osobę moją pod murami ujrzą, długo się namyślać nie będą.

— Niech Wasza Król. Mość słodkim gadaniom ucha nie daje, a uwierzy radom starego żołnierza — perswadował Żółkiewski. — Cukrować »leda« kto potrafi, bo rzeczy dalsze różowo zwykle widzimy, a już w naturze naszej leży, iż czego dusznie serce życzy, temu łacno wiarę daje. To też i mądrzy doradcy na lep tych nadziei idąc, Waszej Król. Mości prawią, jako Smoleńsk dobrowolnie się podda, a tymczasem Sehin o silnym odporze myśli.

— Zbyt czarno waszmość te sprawy widzisz — odparł król — ano mię kanclerz litewski święcie upewnia, że tak źle nie jest i że miasto się samo zda.

— Najj. Panie, twierdza ta jako to od zbiegów i własnych ludzi wymacać mogłem, *in summa* popisowych ludzi ma przez dwakroć sto tysięcy, dział do trzech set, prócz in-

nej strzelby; prochów i kul dostatek, żywności gwałt, ufając tedy dużości murów i aparatowi wojennemu, nie dziw, że się oblężeni w żadne traktaty wdawać nie chcą. Ta zaś strzelba i działa małe a nawet popsute, które przy nas są, nie otworzą muru tak miąższego.

— Rada tedy waszmości?

— Chcemyli tego zamku dostać, potrzeba nam dobrych dział, puszkarzy i dzielnej, dobrze wyćwiczonej piechoty. Wojska nasze składają się przeważnie z husaryi, końmi nam na mury nie »wjachać«!

— Jakoż piechoty przyczyniać — mówił zafrasowany król — skoro tej garstce, którą wiedziem, czem płacić nie ma?

Zamilkli obaj. Zygmunt wielkimi krokami mierząc komnatę, wargi zaciskał, przez nos pochrząkiwał i białą pieszczoną dłonią szarpał śpiczastą brodę, jako to zwykł był czynić, gdy mu się co wedle woli nie szańcowało, hetman zaś wsparłszy się oboma rękami o stół, stał nieporuszony i przed się patrząc trudność sprawy w duchu rozważał.

Jedna im myśl zasępiła czoła, ta sama troska na sercu ciążyła. Pieniądze przeznaczone przez Sejm na zapłacenie pułków walczących w Inflantach, użył król bez zezwolenia stanów na smoleńską wyprawę, żołnierz zaś z szwedzkiej wojny nie płatny, do Litwy wtargnąwszy, rozbojem i gwałtem nękał ludność bezbronną, a tu i tych groszy, co były, nie starczyło na żołd. Jakże tedy marzyć o nowych zaciągach, o nowej piechocie! — Czuł to hetman dobrze, że postępowanie króla było przeciwne prawom i wolności Rzeczypospolitej i że ta smoleńska sprawa, choćby najpomyślniej się skończyła, nie uzyska aprobaty niezadowolonej szlachty i wywoła tylko sarkania buntowniczych żywiołów, jedyną tedy nadzieję pokładał w prywatnych szkatułach senatorów świeckich i duchownych. Jak obecnie zaciągi panów nie zawiodły króla, tak roił sobie wódz polski, że jeszcze nie jeden grosz na ową wyprawę z ich kalet napłynie i stan rzeczy poprawi. Te same nadzieje miał i król, a że jaki taki złoty jeszcze się znajdował w szkatule,

więc hetmanowi obiecał, że działa popsute przelać każe i zdolnych puszkarzy z Rygi sprowadzi, jedno o przyczynieniu piechoty dla braku znaczniejszej gotówki, ani sobie wspominać dał.

— Z tem, co jest, radzić musimy, nie zwlekajmy tedy, a dziś jeszcze mimo zmęczenia, drogę tę kończyć nam trzeba i jutro na świtaniu obóz pod Smoleńskiem założyć.

Bardzo się ta festynacya nie podobała hetmanowi, lecz rozkaz pana był dlań święty, więc ledwo czas miał na kwaterę wstąpić i nawet polewki winnej nie dosiedziawszy, w te pędy konia sobie kazał podawać i wsiadaną grać.

Oddawszy władzę nad chorągwiami p. Mikołajowi Strusiowi, sam wziął na się obowiązek generalnego obożnego i ruszył z kopyta ku taborom. Prócz zwykłych hetmańskich oznak, wiózł przed nim jeden z towarzyszy na długiem drzewcu kolorową latarnię, aby ją każdy w nocy zdala mógł zobaczyć i po rozkaz się zgłosić. W drodze spotkał już p. Strusia, który w pełnym rynsztunku na bułanym koniu siedząc, zwyczajem żołnierskim powitał hetmana.

— Konnica kwarciana i moje roty gotowe do drogi — rzekł on.

— Jakoż to, a reszta w Żarnówce nocować myśli? — pytał zdziwiony p. Żółkiewski.

— Kanclerz litewski i pan przemyski, sami naprzód poszli, Potoccy zaś zostaną z królem w Żarnówce — odparł p. Struś.

Już się dalej hetman nie dopytywał, zwłaszcza że nie wypadało p. Mikołaja, krewniaka Potockich za język ciągnąć, wiedział przytem dobrze, jak się te prywatne zaciągi na każdym kroku z pod jego władzy usuwały, uśmiechnął się więc tylko smutno i pomyślał: — Baba z wozu, koniom lżej! już chyba bez nich, choćby pod Smoleńsk zajść damy rady, — i spiąwszy konia ostrogą popędził do taboru.

Nie spuszczając się na ordynansowych poruczników, sam porządku surowie dozierał i baczne oko miał, aby prócz pro-

wiantów nie brakowało na wozach wiązań chróstu, dyli, siekier, taczek i wszelkich przyborów niezbędnych do zarzucania mostów i zakładania obozu.

Oględnym był pan hetman w tych rzeczach wielce, jako, że mu na Hłuszycy przez Dniepr most budować wypadało, przy zakładaniu zaś obozu chciał mieć ludzi i wozy w pogotowiu.

A szła tych wozów moc wielka, naprzód zaś jechały poszóstne lub poczwórne karabony rotmistrzów i pułkowników, dalej całe szeregi podwójnych lub pojedynkowych dla poruczników i towarzyszy. Na nich, prócz uzbrojenia i narzędzi obozowych, namioty dla towarzyszy szare, drelichowe, stroje konne, szaty rycerskie i siła wszelakiej żywności tudzież napojów. Wprawdzie dla pohamowania obozowych zbytków, prócz piwa i gorzałki po trosze, nie wolno było wina, petercymentu ani miodów z sobą wozić, ale na ten rozkaz hetman przez palce patrzył, każdy zaś porucznik i rotmistrz, ba nawet towarzysze beczkami na wozach przednie miody i kosztowne małmazye mieli dla własnej wygody. Za to inne przewinienia i uchybienia przeciwne prawu wojskowemu nie uchodziły bezkarnie. To też i przy dzisiejszym przeglądzie nie obeszło się, aby niektórym nie ujęto żołdu lub ich nie wytrąbiono z szeregów. Nie brakło i takich, co się wieźli z białogłowami, ale tych hetman jeszcze pod Orszą wytrąbić kazał, obecnie wyrzucano takie jedynie wozy z taboru, które się nie wykazały piechurem luźnym uzbrojonym w rusznicę lub nie miały przyborów potrzebnych dla okopania obozu i stawiania szańców i mostów.

Skończywszy przegląd taboru husaryi, jął hetman lustrować tabor piechoty. Wozy tu pośledniejsze były i nie tak liczne, choćby z tego względu, że każdy dziesiątek ludzi tylko jeden miał karabon, na którym wieziono żywność.

Na ostatku szły wozy z rękodzielnikami, a więc jechali na nich: cieślowie, kowale, rusznikarze, a jeszcze dalej kapelani, cyrulikowie, medykowie, bazarnicy i szły pojedynkowe bryki z żarnami do mielenia zboża.

Odbywszy tę żmudną i wiele czasu zabierającą lustracyę przy świetle pochodni i w licznej asystencyi starszyzny, zwołał następnie wszystkich poruczników i rotmistrzów na koło i z pomiędzy nich naznaczył pułkowników, obożnych, strażników, prowiantowych i pisarzy, urzędy zaś te porozdawał nie za faworem, ale wedle cnoty i doświadczenia wojennego.

Panowie: Daniłłowicz wojewoda ruski, Olizar, Skumin, Firlej, Struś mianowani zostali pułkownikami, innym zaś, jak: Kalinowski, Bałaban, Gózdzikowski, Kazanowski, Spodwiłowski, rozdał p. Żółkiewski resztę urzędów obozowych.

Dotąd przez całą drogę rządziły się i ciągnęły wojska chorągwiami, teraz gdy obóz założyć miano, podzielił je pan Żółkiewski na pułki i w długiej przemowie przypominał starszyźnie ciężkie obowiązki, od których całość ojczyzny i dobro sprawy zależy. A więc napominał, aby surowo i sprawiedliwie karali przestępnych, nikogo nie wyjmując, aby ćwiczeń obozowych pilnie dozierali i z hetmanem się o porządku swego pułku znosili, przypominał jak ważną jest rzeczą, gdy każdy żołnierz podczas boju lub w szturmie chorągwi swej jako matki pilnuje, mowę zaś swą, w której cały regulamin wojskowy w krótkości zebrany był, zakończył gorącemi słowy zachęty do przykładnego i wzorowego życia:

— »Nie oddawajcie się waszmościowie zbytkom, ani wygodnym wczasom — nie potośmy tu przyszli, a już, czego Boże broń, nie ważcie się żywić krzywdą biednego żołnierza i pomnijcie, że na dobrej starszyźnie wojna zawisła bardziej, aniżeli na mnóstwie wojska«.

IV.

Na świtaniu dnia następnego stanęła husarya, a wnet za nią i tabory na Hłuszycy u Dniepru, gdzie dla przeprawy wojsk hetman kazał most budować, sam zaś ruszył naprzód z zamiarem wyznaczenia stanowisk pod obóz. Towarzyszyli

mu obożni pułkowi i pół roty towarzystwa, a wiedli z sobą kilka wozów z różnobarwnymi znakami i chorągwiami do wyznaczenia długości i szerokości miejsc obozowych dla pojedyńczych pułków.

Z pierwszymi słońca promieniami, a było to nazajutrz po św. Michale, (1609 r.) roty hetmańskie, kwarciane i królewskie stanęły u smoleńskiego przedmurza.

W tejże chwili piechota i pacholikowie jęli wały do opasania obozu sypać, starszyzna zaś i towarzysze z podziwem przypatrywali się olbrzymiej twierdzy.

Wnet zaroiła się dolina naddnieprzańska tłumem rycerstwa, koni, hajduków i robotników. Piechurowie sypali wały, pacholikowie czyścili długą drogą zmęczone rumaki lub rozbijali namioty, towarzysze doglądali porządku, starszyzna wydawała rozkazy, bazarnicy stawiali budy i szałasy, wodzowie zaś objeżdżali miąższe mury i łamali sobie głowy nad sposobami wzięcia opornego miasta.

W trzeci dzień po św. Michale nadjechał sam król i zastał roboty obozowe w pełnym toku. Po krótkim spoczynku kazał Zygmunt na ochotnika na harc wyjeżdżać, dla zabawienia nieprzyjaciela, sam zaś w towarzystwie hetmana i senatorów, z inżynierami niemieckimi oglądał położenie potężnych murów zamku i naradzał się, jakimby sposobem szańce przeciwko twierdzy usypać. Smoleńsk nie był wcale z wojska ogołocony, jak to fałszywie donoszono, owszem — posiadał liczną załogę i opatrzony był na długo we wszelką żywność i potrzeby.

Między monasterami św. Spasa, św. Trójcy i Najś. Panny, jak okiem sięgnąć po obu stronach Dniepru stanęły liczne namioty wojsk polskich. Król zamieszkał w monasterze św. Ducha, dokąd nie dochodziły kule działowe, koło jego zaś kwatery rozmieściły się wojska królewskie i hetmańskie. Przedmurze wschodnie, dotąd nieobsadzone, czekało przybycia licznej drużyny Kozaków zaporoskich, którzy pod Olewczenką, co jeno nadejść mieli. — Od południa zajęła miejsce potężna

straż królewska, a po zachodniej stronie bliżej ku zamkowi usadowiła się piechota pruska p. Weihera starosty puckiego, piechota węgierska z Grajewskim na czele, piesi Mazurowie i litewscy Tatarzy. Nad nimi wyżej nieco umieszczono małe działka burzące, a całkiem już w górze między koszami trzy działa nośne stanęły, z których szkodę nie małą przez wierzch muru czyniono.

Nad Dnieprem u monasteru św. Spasa wojska Lwa Sapiehy i pana przemyskiego obóz swój miały, na północ zaś przeciwko zamkowi, stanęli pp. Potoccy, marszałek litewski Dorohostajski i wojska starosty sandeckiego. Dział tam ustawiono sześć, ale jak się później pokazało, nieznaczne szkody czyniły, były bowiem małonośne i niewielkiego kalibru.

Po takiem rozmieszczeniu wojsk »zwiódł« hetman radę wojenną. Było już dobrze pod wieczór, gdy kwatera królewska zaroiła się senatorami i wodzami. Z niewesołej twarzy p. Żółkiewskiego zmiarkować łacno było, że sprawa smoleńska kamieniem mu na sercu cięży. Nadeszli wnet wojewoda bracławski i ks. kanclerz litewski, stawił się też marszałek litewski i wszyscy pułkownikowie tudzież znaczni rotmistrzowie tak husaryi jak i piechoty.

Kanclerz litewski w pocieszających i pełnych otuchy słowach uspakajał radę utrzymując, że wszelkie pogróżki są daremne, nieprzyjaciel bowiem skoro ujrzy, że się nasi na długo fundują i szańce kopają, bez dobywania miasto zda, »a gdyby się po woli zdać nie chcieli, to ich siłą w kilku dniach weźmiemy«.

— Uderzyć odrazu całą nawałą na nich — kończył Sapieha — a stracą ducha i sami Sehina do otworzenia bram zmuszą.

Tu powstał p. Żółkiewski i tonem spokojnym a poważnym dowodził jak na dłoni, że tak olbrzymie mury husaryą wziąć trudno, jako że niema smoków, ani strzelby ku takiemu atakowi sposobnej. Jeżeli panowie rada i senatorzy królowi zwycięstwa życzą, niech piechotę zwiększyć pozwolą

i działa potężne sprowadziwszy, węzeł ten po nici roztargiwać zechcą, inaczej siły się zerwą, a węzeł tak mocny się nie rozedrze.

— Przez takie zwlekanie — przerwał niechętny hetmanowi p. Jan Potocki wojewoda bracławski — żołnierz stanie się ociężałym i nic nie sprawiwszy przyjdzie nam do domu wracać. Nad czemże to tak zafrasowani radzimy! Czyż nas to już na dzielnych rycerzy nie stać, abyśmy tego kurnika w kilku dniach nie mieli wziąć!

Porwało się kilku rotmistrzów z zapałem p. Potockiemu potakując.

— Nie kurnik to — odparł hetman — jedno twierdza, jakich u nas niewiele.

— At! — burknął wojewoda — waszmość zawsze się namyślasz i deliberujesz. Gdybyśmy wszystkie nieprzepieczeństwa i sukcesy długiemi macerowali deliberacyami, a z impetem nie działali, rzeczy trudnych i wielkich nigdyby się nie dokonało.

Hetman w przydłuższej mowie wyjaśnił powody swoich namysłów i rozwagi, z jaką należało do sprawy przystąpić.

— Nie na takie jam się rzeczy bez długich deliberacyi ważył — mówił doświadczony wódz — a najzagorzalsi wrogowie przyznać mi muszą, żem to czynił przy Bożej pomocy zawżdy z pomyślnym sukcesem, co i pan nasz najmiłościwszy, znając sprawy nasze, zaświadczyć może — ano tu impetu naszego nie czeka nieprzyjaciel w polu, jedno piętrowe mury stoją przed nami, których nam głowami nie rozbić! Skoro w dodatku siły rozedrzeć przyjdzie, co nie daj Boże, na troje, bo się bez tego nie obejdzie, aby Szujski Smoleńskowi odsieczy nie przysłał, a i to nas nie minie, by nam Samozwaniec nie chciał drogi zapierać do carskiego tronu, cóż wówczas z siłami szczupłemi poczniemy?

Przy swojem tedy usilnie obstawał, że piechotę zwiększyć i o dobre postarać się działa należy, a jeżeli tego na razie uczynić nie można, to z temi siłami, jakie są, nie ma

co odsieczy pod murami czekać, jedno Kozakami zaporoskimi Smoleńsk wkoło opasawszy, wojska nasze do boju w otwartem polu ochotne i sposobne, ku stolicy moskiewskiej wieść i tron carski dla królewicza Władysława opanować trzeba.

Było wielu, którym ta rada do serca przypadła, jako, że rozumieli, iż twierdzy tej tak łacno nie wezmą, inni, a między nimi sam Zygmunt i Lew Sapieha upornie milcząc zdania swojego nie objawiali, inni zaś, jak pp. Potoccy z szyderstwem przyjęli propozycye p. hetmanowe.

— Niebiegły z waszmości chemikus — przedrwiwał pan wojewoda bracławski — gdy z błota złoto robić się poważasz. To Kozaków za sobą zostawim, aby ich z łatwością nieprzyjaciel przekupiwszy, tył nam zajął i drogę do powrotu zaparł? Takiem pokierowaniem sprawy doczekalibyśmy się, jako się to u nas już praktykowało, że dowództwo nad wojskiem i bezpieczeństwo osoby królewskiej oddawano w ręce ludzi, o których powiedają, że w blizkich porozumieniach ze zdrajcami ojczyzny zostawali...

Szmer powstał w komnacie, wszyscy bowiem wiedzieli, że słowa te zwrócone są do Żółkiewskiego, którego jako blizko skoligaconego z Zebrzydowskim i Herburtem, nieprzyjaciele w czasie rokoszu w podejrzenie u tronu podawali, jakoby był przeciwny królowi. Hetman pod Guzowem, dowodząc prawem skrzydłem, zbił te podejrzenia, a jednak zawistne gęby źle go dotąd przed królem udawały, emulacya zaś Potockich, u Zygmunta w szczególnych faworach zostających, drogę mu tamowała do większej buławy.

Z miny króla, z zaciśniętych warg jego i pochrząkiwań przez nos, widać było, jako mu ta mowa pana wojewody nie w smak była, a musiał to i sam p. Potocki zauważyć, bo zaledwo w komnacie szmer przycichł, miarkując krewkość języka, tonem już łagodniejszym, acz szyderczym kończył:

— Cóż rzec dopiero o sromocie, żeśmy tak lichej twierdzy wziąć nie mogli i dobywanie onej chłopstwu ostawili? — Co się zaś tknie tronu carskiego, skądże to waszmość wie-

dzieć możesz, że królewiczowi naszemu przeznaczony? Nie o tron panu naszemu najmiłościwszemu, jedno tu teraz gra idzie o zwrot utraconych ziem polskich!

Mowa wojewody srodze przykrą była tak dla hetmana jak i dla króla i wielu starszych z wojska, którzy zasługi wodza znali i wysoce je cenili. Młodzieńczy rumieniec okrasił sędziwe czoło Żółkiewskiego; jednym rzutem myśli objął cały żywot zasług i chwały pełen. Głowę w górę wzniósłszy z majestatycznym a pełnym wyrzutu spokojem spozierał, to na króla, to na przeciwnika i jego stronników.

Mąż, co nie żałował zdrowia, trudu, ni mienia dla Rzeczypospolitej, któremu życie całe na krwawej pracy w obronie ojczystych spraw zbiegło, co od prostego żołnierza stanowiska naczelnego wodza się dosługiwał, dziś przez możnego pana wystawiony był na szyderstwo w obliczu podwładnych i samego króla. Krzywda to była srodze bolesna i trzeba było tej równowagi umysłu, tej powagi i wzięcia, jakie w kole rycerstwa posiadał Żółkiewski, aby zarzuty te bez uchybienia godności milczeniem pominąć i nie przyjść w pośmiech a lekceważenie u wojska. To też uśmiechnął się smutno stary wódz i odparł spokojnie a pobłażliwie:

— Wybacz waszmość, że niektóre rzeczy niegodne uszu tych tu dostojnych panów rady i miłościwego pana, bez odpowiedzi ostawię i porządkiem mu jego zarzutów nieodpowiem, ano od końca rzecz rozpocznę. Cobym o przeznaczeniu tronu moskiewskiego trzymał, znam to do siebie, żem jest człowiek miałkiego dowcipu i szczerze a pokornie wyznawam, żem ukradkiem w dekreta boskie nie zaglądał, komuby więc panowanie to przeznaczone było, nie wiem, tyle jednak powiedzieć mogę, że królewicza za najgodniejszego pretendenta do tej korony uważam i szczerze mu jej dla dobra Rzeczypospolitej i całego świata chrześcijańskiego życzę.

— W odejściu od zamku, kiedy go Kozakami osadziwszy, w granice Moskwy wkroczym, sromoty nie będzie żadnej; już bowiem tak samo uczyniliśmy z Suczawą, pod którą przy-

szedłszy, gdyśmy osądzili, że dział do tłuczenia muru nie mamy, widząc jaka potęga w zamku, osadziliśmy go ludźmi, że im nasi z za murów wychodzić nie dali, i tak drogę za sobą mieliśmy wolną i przezpieczną. Taż racya i tuby nam służyła. A że zamek głodem weźmie chłopstwo na żołdzie zostające, a nie husarya pana wojewody bracławskiego, w tem już żadnej ujmy nikt się nie dopatrzy, chyba kto marny spór w obliczu dostojnego pana nad dobro i całość ojczyzny przekłada!

Ostatnie słowa w sedno pana bracławskiego tknęły, to też niecierpliwie szarpał za długą brodę i niepomny obecności króla, już powstać miał, aby Żółkiewskiemu ostrem słowem przyciąć, gdy w tem małomówny Zygmunt, co zawsze w porę słowa rzucać umiał, do p. Nowodworskiego się zwrócił: — A podajno waszmość rękę, jako z tego wilczego dołu wyniść?

— Zda mi się miłościwy panie — rzekł żartobliwie kawaler maltański — że w tem nasza lepsza, iż Moskwa w wilczym dole siedzi, a myśmy nad dołem. Nic to, że z niego po dobrej woli wyniść nie chcą; musi być nie wiedzą, że ich podkopami zmacamy i petardami po powietrzu latać nauczymy. Już oni nam się pogróżkami nie wyfiglują, jedno więle czasu, ani słów nie traćmy, a co rychlej do działania przystępujmy.

Powątpiewał hetman o skutku p. Bartłomiejowych rad i nadziei by najmniejszej nie miał, aby podkopy i petardy jaki efekt uczyniły, ale już słowa nie rzekł, żeby senatorom i pułkownikom nie psuć serca.

Radzono tedy jeszcze długo, ten i ów podrwiwał, że to zwierzyniec nie zamek, że go łacno wziąć będzie, »inni lada błazeństwy tuszyli go otworzyć«. Ostatecznie za zgodą większości stanęło na tem, żeby — dopóki lepsze działa z Rygi nie przyjdą — fortelami i nocnymi szturmami próbować szczęścia.

Dobrze już w noc pułkownicy i senatorowie opuścili kwaterę królewską i każdy co tchu do swej chorągwi zdążał, aby wydać odpowiednie rozkazy.

Hetmana wstrzymał król na chwilę.

Wynagrodził p. Żółkiewskiego przychylnem słowem za despekt wyrządzony mu na radzie.

— Przystojnieś się waszmość tej krzywdy zemścił, nie odpowiadając na nią wcale.

— Lecz w tem mił. panie sprawiedliwość skrzypi — skarżył się hetman — że gdy tak wielki pan co powie albo uczyni, choćby też słowa jego łgarstwem były, tedy wielu jest, co mu święcie uwierzą.

— Znają to wszyscy po panu wojewodzie, że języczny człek jest, zasługi zaś i cnoty waszmości zbyt głośne są w całej Rzeczypospolitej, aby ci takie gadania w czemkolwiek sławy ujmować miały. — Jakoś mi rad, zapomnij waszmość o tem, ważniejsze bowiem sprawy nas dolegają. Oto Sehin swym uporem gotów nam koncepty pomieszać, że w pośmiech tylko przyjdziemy przed całym światem z oną niefortunną wyprawą. Przestworne gęby w całej Koronie i Litwie znowu będą miały co gadać.

Tu Zygmunt czoło zasępił i załamując ręce, szybko chodził po komnacie.

— Nie należy do serca frasunku przypuszczać i ducha tracić, gdy się dzieła nie poczęło — pocieszał Żółkiewski. — Przewidywałem, że te sprawy snadnie nie pójdą, ano nad to, co mówiłem, inakszej rady nie znajduję.

Znowu więc hetman *privatim* królowi w uszy kładł, jako im nic nie pozostaje, jedno Kozakami miasto obsadzić i głodem je wziąć, a z zaciągami panów i wojskiem kwarcianem ruszać na Moskwę i o tron carski się ubiegać.

Król słuchał niecierpliwie, z twarzy zaś znać było, że mu co innego w głowie, w końcu zapytał:

— A cóż waszmość powiesz na owe petardy i podkopy?

— Te fortele na ukradkę tylko idą — odparł hetman. Tu nieprzyjaciel ostrzegł się, nic mu podkopami nie zrobim.

Zaczem jął szeroko przedstawiać, żeby tego zaniechano, że to efektu żadnego nie uczyni, nieprzyjaciel bowiem, aby podkopom przeszkodzić, wokoło muru pod ziemię słuchy po-

czynił; co się zaś tknie petardów, to także rzecz daremna, szkody one nie zrobią żadnej wobec onych zrębów i zasieków, jakie Sehin przed bramami kazał zbudować.

Rady hetmana na dokładnych wywiadach oparte, słuszne zdały się królowi, choć nie pocieszające, lecz o obsadzeniu twierdzy Kozakami wspomnieć sobie już nie dał, a przez nos pochrząkując, skłonił głową na znak pożegnania i zniecierpliwiony, zły i zgryziony przeszedł do sąsiedniej komnaty. Była to sypialnia Zygmunta. Tam już czekał nań Lew Sapieha, aby się z nim na osobności naradzić.

Kanclerz, mężczyzna w sile wieku, urody prawdziwie pańskiej, wspaniałej, o oczach żywych, bystrych, ciemnobłękitnych, obyczajów był surowych, choć się w dowcipnych żartach lubował, a wszystkie jego afekta trzymał na wodzy niepospolity rozum i głęboka wiara.

Polityk niezrównany, po śmierci Stefana szerokimi wpływami i znaczeniem popierał elekcyę Zygmunta na Litwie, podobnie jak to czynił Zamoyski w Koronie, a za to przywiązanie do jagiellońskiej krwi, król wynagradzając go, dał mu pieczęć wielką litewską i dobra Skorwińskie na wieczne czasy w posiadanie.

Zygmunt ledwo sam na sam z nim się znalazł, rzuciwszy się w fotel zawołał:

— Każdy co innego prawi, że już nie wiadomo, jaką drogą dojść do celu.

— Wiem ja — rzekł Sapieha — że hetmanowi moskiewski tron w głowie, ale na to mamy czas, jako że owe projekta wyniesienia królewicza bardzo są podejrzane. Stary ja statysta, a na lep ich ułudnych obietnic złapać się dałem. Wszak na piśmie donosili, że dobrowolnie miasto zdadzą, a skorośmy tu przybyli, opór stawiają; tak samo też, co się tknie tronu, pochlebstwami pragną nas ugłaskać, abyśmy o większe się kusząc, mniejszego poniechali. Wstyd mi, żem nieprzyjacielowi na słowo wierzył, ale już dziś widzę, że dlatego nas carską łudzą koroną, by Smoleńska nie wydać. Dla

niepewnych tedy obietnic przyszłoby nam odstąpić tej twierdzy i siewierską ziemię z niepowetowaną szkodą i hańbą utracić.

— Cóż tedy robić mamy, aby do tej hańby nie przypuścić?

— Popierajmy Najj. Panie rzeczy nasze orężem, a zdobywszy twierdzę, jakośmy zamierzyli, Władysława z tryumfem poprowadzimy na Moskwę.

— Jednak siły nasze za słabe, żeby tak miąższej twierdzy podołać.

— Nic to; wytrwajmy panie — odparł Lew — a Bóg sprawie poszczęści. Do starosty uświackiego listy napiszę, żeby pozornie stronę Dymitra trzymając, polskie sprawy w Moskwie popierał i pod hasłem Samozwańca stronników Szujskiego na naszą korzyść osłabiał.

— Już się w głowie od tych rad kręci. Zrobię, jako mówicie, jedno dziś usuńmy już poważne sprawy, a wołajcie pana bracławskiego, Wolskiego i Bobolę, to w karty zagramy.

Wnet służba stolik ustawiła, zapalono woskowe świece i ulubieńcy Zygmunta zasiedli z nim do zwykłej partyi faraona.

V.

Od rozpoczęcia prac oblężniczych upłynęły cztery długie miesiące; ostra, mroźna zima tem przykrzejszą była dla żołnierzy polskich, że ich dziesiątkowała gorączka tyfoidalna, a Sehin ani miasta poddać, ani też wysłanego w poselstwie Sliźnia uwolnić nie chciał.

Stary Boratyński dzień w dzień wychodził pod mury, aby zasięgnąć wiadomości o losach Maruchny lub starosty orszańskiego, ale wszelkie jego wyczekiwania były daremne. Bywało stanie pod Abrahamowską bramą, a że go już złość jadła, obelżywem słowem na żołnierzach wymusić chce, co się tam z niemi stało:

— A skoroż ich tam storzypiętki wypuścicie z waszego kurnika, czekacie aż król litewski wszystkich wywieszać każe.

A oni mu na to: — Spytaj tej oto wieży, ty... taki synu, na dnie której ta twoja dziewka i rycerz gniją, a mury jej niech ci odpowiedzą.

Już ta obelżywa odpowiedź była dość jasną, aby pojąć całe położenie nieszczęsnych brańców. P. Boratyński zmęczony daremnem oczekiwaniem i strachem o los córki prosił o posłuchanie u hetmana. Żółkiewski dał mu ucho łaskawe i oświadczył, że już kilka razy wyprawiał parlamentarzy pod mury, ale mimo, iż grubą nagrodę za wolność posła naznacza, niczego się po nieprzyjacielu spodziewać nie można. Dziś właśnie wyprawiono znowu na zwiady, lecz naszym z blanków odwarknięto pogróżkami, jako starosty orszańskiego nie za posła, ano za nieprzyjaciela uważają, bo im dziewkę Szujskiemu zmówioną zbałamucił. — »Jeżeli tedy — wołali — panna Boratyńska nie zechce Skopinowi być po woli, starosta życiem przypłaci ten opór dziewczyny«. — Wszelką tedy nadzieję uwolnienia tak p. Śliźnia, jak Maruchny stracono i po kilku tygodniach zapomniano w obozie o ich nieszczęsnej niewoli.

Tymczasem w połowie lutego 1610 r. wszczął się w nocy gwar przy Kopyczynieckich wrotach i w świetle miesiąca można było dojrzeć, jak tłum żołnierstwa nieprzyjacielskiego wypychał za bramę polskiego husarza.

Był to p. Ślizień, któremu to nagłe uwolnienie z więzienia mówiło, że Maruchnę utracił bezpowrotnie.

Oto późnym wieczorem zawołano go do Sehina, a ten krótko i węzłowato mu oświadczył, że dziewka długo oporną była, teraz jednak, gdy Szujskiemu, do którego ją już wyprawiono, powolną być przyrzekła, poselstwo jego i niewola skończone. Starosta się opierał i wyjść za bramy nie chciał, jakby nie wierzył słowom wodza smoleńskiego, a taka go desperacya szalona brała, iż duszną ochotę miał całej załodze smoleńskiej łby pościnać, ale mu w te pędy konia podano i sotnik krzyknął nad uchem: — Przyrzekliśmy, że cię wolno puścim, skoro dziewka nam oporną nie będzie. Ona już da-

wno w objęciach Skopina, nie błaźnijże tedy z naszego parolu, a weź się stąd!

Żołnierze powtórzyli okrzyk: Weź się stąd! — a gdy husarz jeszcze się wahał i namyślał, pchnięto go całą nawałą ludzi tak silnie w otwartą bramę, iż jednym razem znalazł się za murami na zgliszczach spalonego przedmieścia.

Tu dopiero opamiętał się nieco, a chwyciwszy się oburącz za głowę, z bolu oniemiały rozważał całe zajście.

Więc Maruchny swej nie ujrzy więcej! — Opierała się długo, to znaczy, że to, co uczyniła, zrobiła tylko dlatego, aby p. Śliźnia od głodowej śmierci zratować i wolność mu wyjednać. Wierzył święcie, że od hańby bronić się będzie dziewczyna do upadłego, ale pojmował także, jakie jej w tej obronie niebezpieczeństwa zagrażają. — A nuż ulegnie przemocy! — Oszalała dziewka na takie rzeczy się ważyć.

Zdala dochodziły uszu jego nawoływania polskich straży i widniały ogniska obozowe. Jakiś głos tajemny mówił mu, żeby do obozu nie wracać, lecz cichaczem obszedłszy straże, na Moskwę co koń wyskoczy pędzić i Maruchnę od śmierci i hańby ratować.

Mroźny wiatr zerwał się z północy, a staroście zdało się jakoby na skrzydłach wichury leciał głos z jej słodkich a cudownych ust pochodzący, który brzmiał w te słowa: — Uważ waćpan jakoby mię już na świecie nie było, jedno pamięć po mnie, a jeźli wspomnienie moje czcisz i afekt w sercu dla mnie chowasz, to wracaj co tchu do szeregu i pociesz strapioną ojczyznę. Na baczeniu miej, żeś jako czesny żołnierz jej potrzebny i nie godzi się, byś ją dla mnie w tak ciężki czas opuszczał. Idź, a mnie ostaw, już sama o sobie tak radzić będę, abym na sławie by najmniejszego szwanku nie poniosła!

Chciał te perswazye zgłuszyć w sobie żołnierz, ale mu na wszystko jak z bicza racye dawał głos przeciwny, więc ciężko sercem zabolał i ku kwaterom hetmańskim skierowa drogę.

W obozie cisza zalegała taka, że z namiotów słychać było chrapania uśpionych żołnierzy, na wejściu zaś paliło się ognisko, przy którem siedziało kilku towarzyszy.

— A kto tam? — krzyknęli posłyszawszy odgłos kopyt końskich.

— Swój.

— Co zacz?

— Ślizień, starosta orszański.

Żołnierze porwali się na nogi i Krzyżem św. żegnali.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał p. Raróg, który jeszcze w październiku ze Smoleńska wrócił i właśnie dziś służbę miał przy straży. — Walek! prze żywy Bóg! a ty tu skąd? — i rzucił się ku niemu z wyciągniętemi ramiony.

Wnet zjawił się i p. Kopyciński, wielki przyjaciel starosty i porwał go w objęcia. Poczęli się tak ściskać, całować, wykrzykiwać i nawoływać z wielkiej uciechy towarzysze, iż z najbliższych namiotów jaki taki biegł na miejsce gwaru sądząc, że to napad nieprzyjacielski lub że się swoi za czuby porwali.

Tymi krzykami zbudzon przybył i pachołek p. Śliźnia, Seńko i ledwo oczom wierzył, pana swego ujrzawszy.

— No ruszajże się — wołał na służącego p. Raróg — siwka za żłób, a ty Walku z nami, boś widzę strudzon srodze i posiłek ci się setny patrzy.

Ale przelękniony pachołek nie śmiał przystąpić bliżej, wszyscy bowiem na wieść o srogiej kaźni głodowej, wyprawili p. Śliźnia już na tamten świat. W dodatku twarz jego znękana więzieniem, z oczami w dół zapadłemi, przy blaskach obozowego ogniska trupio blada, nadawała mu wygląd pozagrobowego ducha.

— Cóż to, nie poznajesz mię Seńku — spytał słabym głosem starosta.

— Oj rety! dyć to naprawdę mój pan — zawołał pachołek do nóg się mu schylając.

Pan Ślizień uścisnął wiernego sługę i konia mu oddał. Raróg i Kopyciński wprowadzili starostę do namiotu. Zastawiono stół szklenicami i gąsiorkiem starego węgrzyna, pacholikowie zaś wnet przynieśli cynowe misy z jedzeniem.

— Nam tu już konceptu nie stało — mówił p. Raróg — na wymyślenie sposobów, aby cię wydostać z kaźni. Hetman wielce zdesperowany pięć tysięcy talerów okupu z własnej kieszeni dawał, a dałby nawet więcej, żeby jedno brać chcieli, ale oni się na tę dziewkę dla Skopina tak zawzięli uparcie, iż żadną miarą do ugody z nimi przyjść nie możono.

Z kolei p. Ślizień opowiadać jął, jako Maruchna dla ratowania go, pozornie zgodziła się na zmianę wiary i na afekt dla Skopina i przez taką ofiarę wyjednała mu wolność, rycerze zaś słuchając słów jego, uszom własnym nie wierzyli.

Nie wiedzieli, co więcej podziwiać, czy jej odwagę, czy poświęcenie, jeden tylko p. Kopyciński, co go czarnym niedowiarkiem zwano, bo czarno na świat patrzył i każdą rzecz subtelnie zmacać musiał, uderzając się w czoło zawołał:

— Wiesz ty, co mi w głowę wlazło! Ona musi chyba miłuje tego Skopina, skoro z własnej woli poszła do Moskwy, a ty sądzisz, że to dla ciebie zrobiła. Szkoda cię doprawdy, że za nią głowę tracisz. Pogziły się nasze dziopy, od czasu jak się Marynie carskiej zachciało korony, dziś już niejednę ochota ku Moskwicinowi ciągnie.

Ale gdy to Kopyciński mówił krew się w Śliźniu burzyła, rumieńcem gniewu twarz nabiegła. Słowa te w sedno go tknęły, zerwał się z zydla i krzyknął:

— Odwołuj bezczelne szczekanie, bo w gębę sobie wrzucać niesławy na tę dziewkę nie dam!

W lot porwał się stary Raróg, aby pogodzić zwaśnionych.

— Walek, czy cię utrąciło — perswadował. — Wszak on tylko w swej głupiej głowie takie suppozycye robi.... nie zaś wcale, żeby to prawdziwie miało być!

— Już odwołuję — rzekł pan Kopyciński — bo widzę, jakom sobie fałszywy konterfekt tej dziewoi w duszy wykom-

binował. — Jużci ona nie może być niecnotą, skoro cię tak na zabój miłuje.

I podali sobie ręce na zgodę, ale niedowierzający pan Kopyciński wnet znowu rozpoczął:

— Dziwno mi doprawdy, jaką możność twoja Maruchna znajdzie, żeby szwanku na cnocie nie poniosła. Przecie Skopin sumieniem ci się nie zobowiązał, taką ją oddać, jaka tam poszła.

— Ależ szalony, niedowiarku! — zawołał zirytowany p. Ślizień — wszak to jest jedyna rzecz, która mię najwięcej trapi, a ty jakbyś nie rozumiał, deliberacyami ją macerujesz. Znam tę dziewkę i wiem, że raczej zginie, niżby miała na hańbę zezwolić!

W namiocie zapanowało głuche milczenie, towarzysze bowiem, pojąwszy bolesny żal p. Śliźnia, nijakiej rady znaleść nie mogli na niesienie mu pomocy. Starosta orszański z głową opuszczoną na piersi siedział zafrasowany i oniemiały od strasznej rozpaczy.

Wtem zaskoczył ich świt ranny i już drugą pobudkę w bębny bito, gdy służbowi husarze warty zmieniwszy do snu się poukładali.

Ledwo jasne słonko wstało na sinym horyzoncie, już radosna wieść powrotu p. Śliźnia rozbiegła się po obozie, i co chwila inny towarzysz lub rotmistrz wchodził do jego namiotu, aby go co prędzej ujrzeć i powitać, lubili bowiem starostę wielmie tak żołnierze jak i starszyzna, gdy w tem ordynansowy żołnierz wezwał go do hetmana.

Koledzy nie dali mu kroku uczynić, jedno na ramionach zanieśli wśród okrzyków przed namiot wodza. P. Żółkiewski ojcowskiem sercem powitał rycerza. Wyszedł przeciwko niemu i przycisnąwszy do piersi rzekł:

— Wybacz, że cię wraz z królem na taką przygodę naraziliśmy. Trudno nam żołnierzom *pericula* przewidzieć i choćby ci zginąć przyszło było, szczere użalenie miałbym nad tobą, ale być się przydarzyła rzecz żołnierzowi nie dzi-

wna. Bogu dziękujmy, żeś cało wrócił, bo mi expedycya twoja wielce na sercu ciężyła.

Tu badał go pilnie, w jaki sposób się wyratował, a skoro p. Ślizień ze wszystkiego się wyspowiadał i o Maruszy opowiedział, poważny wódz głową pokiwał i rzekł: — Biedna dziewczyna, toż ona tam na niechybne stracenie poszła.

— A jednak jeszcze nadzieję mam — mówił husarz z ciężkiem westchnieniem — że się wyratuje z tej toni, bo to i szabelką władać umie i koniem wodzić jak najwprawniejszy żołnierz, a przebiegła i mądra jest jak Salomon. Przytem, o ile się domyślam, poszła na Moskwę nie tylko, aby się uwolnić, lecz zarazem, aby się ojczyźnie przysłużyć, a łatwiej jej to przyjdzie niż niejednemu z nas.

— Zuch dziewczyna! — zawołał hetman. — Stary jestem a rozmiłowałbym się w takim żołnierzyku. Jeszcze się doczekamy, że Skopina niecnotę zetnie, a Wasilowi Szujskiemu co zada i drogę nam do Moskwy na ścieżaj otworzy. Słuchajno Śliźniu, ważniejsza wojna, niż najdroższa nawet sercu dziewoja, ale widzę, że ją haniebnie miłujesz, więc żal mi cię okrutnie, bo to i rozpacz i wstyd szalony cię gryzie, żeś rady nijakiej nie znalazł na jej ratowanie. Siedzimy tu już blizko pół roku, a wszystko, co się dotąd zrobiło dla wzięcia tej twierdzy, do celu nas nie zawiedzie. Ale się pociesz, bo tu długo nie będziemy. Wkrótce ruszymy na Moskwę, a tam już wszelkich starań dołożę, aby ci dopomódz w odszukaniu Maruszy, dziewka ta warta bowiem tego, aby ją wedle sił ratować.

Już mu dalej husarz mówić nie dał, jedno padł do nóg i całując po rękach powtarzał: Czemże ja tę dobroć waszej miłości odwdzięczę?

— Dzielnością i męstwem, mnie jako i ojczyźnie; — znajdzie się pora. — Powstań — dorzucił — ciężkie termina nas czekają, co bowiem dotąd było, to nieudana przygrywka do wielkiego boju, na który się gotować mamy. Powoli i z uporem sprawy nasze idą, ale moja głowa w tem, aby im raźniej-

szy impuls nadać. Zważ przeto, że więcej tu niż o prywatnych, o publicznych sprawach radzić trzeba, i gdyby się nawet temu ratunkowi ważniejszymi wypadkami przeszkodziło — nie rozpaczaj, jedno ból swój dla miłości ojczyzny poświęć i wiernie jej służ, a Bóg cię pocieszy w wielkiem strapieniu. Idźże już, a podjedz sobie dobrze, boś widzę wysechł jak szczypa na tym smoleńskim chlebie, na baczeniu zaś miej, że afekt, to boczna rzecz, ważniejsze do spełnienia mieć będziem.

VI.

W miesiąc później sankami ciągnionemi przez dwa ogniste, czarne kałmuki, wjeżdżała w świętą bramę Kremlinu dziewoja dziwnie gładkiej urody. Postać jej kształtną okrywała delia kunami podszyta, jasne sploty i warkocze włosów osłaniał kołpaczek z krymskich baranków.

Z delikatnych rysów młodego oblicza, z niebieskich, mgłą smutku przyćmionych oczu, tudzież z wysokiego, lekkim marsem okrytego czoła widniała energia i biła jakowaś wyższość i dojrzałość nad lata.

Była to Maruchna, a wiózł ją Hrehory Mieszajew, stary i wierny sługa Skopina.

Zdala już podziwiała tę olbrzymią twierdzę o murach granitowych, z po za których piętrzyły się stare pałace carów i metropolitów, kopulaste katedry, monastery, arsenały i inne olbrzymie budowle.

Hrehory, wskazując pojedyńcze cerkwie, opowiadał ich dzieje i szeroko wychwalał pamiątki starego grodu, choć dziewoja swym losem zajęta niewiele zwracała uwagi na jego słowa:

— Tę oto, złota panienko, cudną cerkiew — mówiąc to wskazał na olbrzymią, przysadzistą budowę — fundował Iwan Wasilewicz, gdy ją zaś ukończono, kazał budowniczemu wyłupić oczy, aby drugiego podobnego cudu nie pokusił się stworzyć.

Dziwaczna budowa, świadcząca o spaczonej fantazyi fundatora, okrzyk zdziwienia wydarła z ust zbolałej Maruchny. Niezwykle monstrualne to dzieło, obudziło w niej uczucie strachu, wzrok ćmiło, w głowie zawracało. Zapomniała na chwilę o swem położeniu i okiem wodziła po ogromnej masie nagromadzonych kopuł, wielkich i małych, już to ściśnionych, już w szerokie a nizkie banie wzdętych. Te wśród dachu gromadnie ugrupowane i w najdziwaczniejsze kształty przyobleczone wypukłości nadawały świątyni wygląd olbrzymiego potworu. Ogrom dachu, zastawionego kopułami, z pośród których sterczała w górę olbrzymia piramida zakończona półksiężycem i złotym krzyżem, porównywała z całą gromadą potwornych grzybów, które tem więcej podobieństwa do nich miały, że im plam, pasków i różnobarwnych zygzaków nie brakowało.

Rzuciła okiem dalej i dojrzała spiętrzone nad sobą, wyzłacane trójramienne krzyże i połyskujące cerkwie białokamiennej Moskwy.

Przejeżdżali właśnie ulicą, gdzie wtłoczona między wspaniałe katedry, mała a skromna stała cerkiewka.

— Ta maleńka kaplica — mówił Hrehory — to pamiątka założenia Moskwy, cerkiew Wybawiciela. Zbudował ją pielgrzym, który tu niegdyś w lesie okrywającym wzgórze Kremlu mieszkał i sławne na cały świat czynił cuda. Lud się do niego tłumnie zbiegał i przynosił bogate dary, które pobożny mąż na budowę świątyni obrócił. Nizka to, mała i ciemna budowa, ale ją czcimy jako najcudowniejszą relikwię w mieście. Ta zaś wyżej, co błyszczy całą masą złocistych kopuł, to »Uspeński sobór«, w którym są patryarchów i metropolitów wspaniałe grobowce. Tam to przed wielkim ołtarzem carowie koronacyę odbywają, tam też wisi obraz Matki Bożej ozdobiony kamieniami ogromnej wartości i podobno przez św. Łukasza malowany. Jeden dyament w tym obrazie tak jest drogi, żeby za wartość jego całą tę katedrę zbudować można, w zakrystyi zaś jest skarbiec hosudarów i patryarchów, pełen

napierśników sadzonych dyamentami i perłami, używanych przez carowe przy koronacyi, bez liku też tam krzyżów złotych drogimi kamieniami zdobnych, wiele naczyń z ciężkiego złota i srebra, tudzież bogate, lamowe suknie naszywane perłami.

— Druga katedra, co ją tu oto widać — mówiąc to zdjął kołpak barani, kłaniał się po trzykroć i żegnał krzyżem św. — to cerkiew poświęcona św. Archaniołowi Michałowi. W niej zwłoki hosudarów spoczywają. Ta zaś najwyżej, co dziewięcioma złotemi kopułami błyszczy do słońca, to trzecia katedra »Zwiastowania Maryi Panny«, gdzie obok cudownie malowanych świętych i męczenników, są obrazy i posągi uczonych, aż z dalekiej Grecyi.

Promienie zachodzącego słońca purpurowymi blaski oblały te złote budowle, tu i ówdzie białym puchem śniegu przyprószone, a Maruchna tak się zapatrzyła w ten wspaniały obraz, iż ani się spostrzegła, gdy zajechali przed olbrzymi pałac, którego grube, kamienne mury, wystające galerye i rzeźbione ganki z licznemi okienkami nadawały mu wygląd warowni.

Był to pałac carów, gdzie w bocznem skrzydle znajdowało się mieszkanie dla Skopina, który nazajutrz po przybyciu Maruszy odbyć miał tryumfalny wjazd do Moskwy. W drodze już dowiedział się Mieszajew o tym tryumfie swego pana, śpieszył więc, aby na czas przybyć z dziewoją, a nawet konnego naprzód pchnął z żądaniem, aby przy urządzeniu kwatery dla kniazia i o brance jego pamiętano.

Ciężka struktura hosudarskiego domu przygnębiające wrażenie zrobiła na dziewoi.

— To mój grób! — pomyślała jasnowłosa, gdy wysiadłszy z sanek, weszła do sklepionej sieni, wspartej na kamiennych słupach.

Wnet służba wskazała jej mieszkanie, a Maruchna zmęczona drogą, zgryzotą i obawami trapiona, blada jak chusta w milczeniu szła po szerokich, kamiennych schodach i przez

długie korytarze, których ściany okryte były złotemi malowidłami i płaskorzeźbami. Przez wąskie drzwi weszli do wnętrza wspaniałej komnaty, obitej gobelinami i drogiemi makatami.

Obicia te białe, jedwabne, w barwiste desenie wyszywane, w górze w misterny węzeł spięte, tworzyły strop wspaniałego namiotu, oświetlonego olejną lampą, zwisającą w szkarłatnej bani ze szkła weneckiego. Światło różowe blaski siejąc na okół, nadawało temu pańskiemu ustroniu wygląd tajemniczy.

Pod oknami marmurowy stół, obstawiony miękkimi taboretami i zydlami, wspierał się na pięknie rzeźbionych lwach z bronzu, z przeciwka zaś stało olbrzymie łoże pokryte złotogłowiem i obwieszone od góry kotarą z tejże samej, co i ściany namiotu materyi.

Mieszajew skłonił się kornie u progu i wyszedł, Marucha zaś zostawszy sama z lękiem niewymownym wodziła okiem po przepysznych sprzętach i zdawała sobie sprawę z rozpaczliwego losu, głowę łamiąc nad sposobami uwolnienia się z tej niewoli.

Przebiegała myślą wypadki od czasu porwania jej z Izdebnej, a na wspomnienie tego, co jeszcze stać się może, białemi dłońmi ściskała rozpalone skronie.

Oto po długim oporze w Smoleńsku, przyrzekła w końcu Sehinowi, że Szujskiemu nie będzie przeciwną, ale uczyniła to z tą nadzieją, że po uwolnieniu p. Śliźnia, podstępem lub szczęśliwym trafem zdoła ujść sromotnej niewoli. Sehin jednak przewidział chytre zamiary dziewoi, bo usta jej kneblem zamknąwszy, w nocy ją ciszkiem przez obóz polski przenieść kazał i do Moskwy uprowadzić.

Tuż za polskim obozem czekały na nią dwa kozackie konie, których z Mieszajewem dosiadłszy, następnej już nocy byli u Dorohobuża.

Tamto rozpaczliwa jej myśl przyszła do głowy, aby się salwować ucieczką. Jakoż upatrzywszy czas po temu wydarła Hrehoremu kiścień z za pasa i cięła go przez łeb w mnie-

maniu, że ogłuszy starca, a sama umknąć zdoła. Cios, choć dość silny — ledwo zranił mongolską czaszkę żołnierza, który odtąd ostrożniejszy, na chłopskie sanie się przesiadłszy, przywiózł ją do białokamiennej Moskwy.

Rozpamiętywania te przerwał jej właśnie Hrehory, który wszedł do komnaty, aby stół do wieczornego zastawić posiłku. Kroki starego sługi były chwiejne, oczy łez pełne, a z twarzy widniało cierpienie. Dziewoja wnet dojrzała jego frasunek.

— Co wam to Hrehory? czemuście tacy żałośliwi?

— Gdy ludzie haniebną niewdzięcznością za wierne płacą służby, to jakoż człek nie ma być żałośliwy!

— Cóż się stało?

— Nie pytajcie, bo złemu nie zaradzicie, a mnie mówić o tem, serce od bolu pęka.

Znać było, że skrytego coś tai, więc już nań nie nalegała wcale, jedno choć tę miała pociechę, że nie sama cierpi, ano i drudzy ciężki ból w sercu noszą. Myśl ta ulgę sprawiła duszy zgnębionej do tyla, że posiliwszy się wieczerzą, strudzona wielce rzuciła się w ubraniu na wspaniałe łoże i mimo niepokoju i bojaźni usnęła snem twardym.

Wczesnym rankiem zbudziwszy się zapomniała, gdzie się znajduje i wyciągając nad głową ramiona, wdzięcznie a rozkosznie uśmiechała się do sennych widziadeł, które wpół rozbudzonej jeszcze z oczu nie schodziły. Oto widziała p. Walentego jak na kolanach ku niej się czołgał, a słowa wdzięcznego, gorącego afektu i podzięki za ocalenie z ust mu biegły.

Zdało się jej, że to w komnatce swej w Izdebnej z tak miłego snu się ocknęła i właśnie co do pani Boratyńskiej pobiegnąć miała, aby się jej na szyję rzucić i błogie widzenie na »dzień dobry« opowiedzieć, gdy w tem ruch i bieganie służby po korytarzach do opamiętania ją przywiodły i nagą rzeczywistość odsłoniły.

Skopina jeszcze w mieście nie było, lecz dziś właśnie przybyć miał. Właściwa jego siedziba była w Wielkim Nowo-

grodzie, gdzie urząd wojewody sprawował. Car jednak za świeże zwycięstwa wspaniałym pochodem przyjąć go chciał i wyznaczył dlań kwaterę we własnym pałacu.

To też od wczesnego rana dworzanie i służba czynili przygotowania na przyjęcie kniazia.

Mieszajewa nie wiele to obchodziło, on bowiem już nie za sługę wiernego, lecz za wroga Skopinowego się uważał. Snuł się jak mara po krużgankach, potrącany przez dworaków i żołnierzy, a nie pilnował wcale podwoi komnaty, w której Marusza spoczywała.

Wtem jeden z carskich służalców zbliżył się do niego z rozkazem, aby co żywo stanął przed obliczem cara.

Poszedł Hrehory chętnie, bo już i tak cały ranek przemyśliwał, jak się dostać do hosudara i o posłuchanie prosić. Prowadzony przez dworzanina wszedł do niewielkiej komnaty, gdzie car Szujski zajęty był czytaniem listów i świeżych od wojska wiadomości. — Mieszajew rzucił się przed panem na kolana, a ten oddaliwszy bojarów i służbę pytał:

— Czy ty jesteś Hrehory Mieszajew, ojciec zabitego przez synowca naszego, pisarza Wasila?

— Tak, panie, jam kniaziowi Skopinowi, synowcowi waszemu wiernie jak pies służył, a on mi w czasie mej nieobecności dziecko zamordował. Syn mój, Wasil, wojskowym był pisarzem przy kniaziu i wszystkie listy a »hramoty« przez jego przechodziły ręce. Pisywali do siebie i znosili się w tajemnych sprawach kniaź z wodzem najemnego wojska Pontusem, wszystko to zaś mój Wasil załatwiał.

— Dalszą historyę tych listów znam — przerwał mu car. — Kilka z nich dostało się do rąk moich, w nich zaś stało, jako kniaź Skopin zwycięstwami drogę sobie ściele do carskiego tronu i swem męstwem nie mnie, ano sobie na pożytek pracuje. Podejrzenie oddania mi tych listów padło na twego syna, a kniaź w okrutny sposób rozkazał go udusić.

— O tak! »mnohosławny hosudarze« — jęknął Hrehory — i niczem mi życie, niczem świat bez syna mojego. Ja

chłop wasz pokorny, kolanem wam biję i miłosierdzia a zmiłowania błagam. Ulitujcie wy się nad biednym poddanym i psem waszym, a uczyńcie mu sprawiedliwość.

— Oto jest sprawiedliwość twoja — rzekł car, wyjmując butlę wina z pod kobierca, okrywającego stół. — Poczęstujesz kniazia, skoro dziś do mnie w gości przybędzie, a już on nikogo nie zdusi, ani o carskim pomyśli tronie. Milczeć mi, my o niczem nie wiemy, rozumiesz, i nikt sprawy tej na tobie dochodzić nie ma!

— Wedle woli waszej uczyni chłop pokorny, jako mu rozkazano — rzekł Mieszajew, skłonił się czołem do ziemi i wyszedł z carskiej komnaty.

Tymczasem w ulicach Moskwy strojono z rozkazu hosudara bramy tryumfalne w choiny i festony, z okien wywieszano kosztowne sukna, kobierce, makaty i barwiste chorągwie na uroczyste przyjęcie tryumfatora i sławnego wojownika, którego zwycięstwa trzymały na tronie obecnie panującego cara.

Droga Skopina od Wielkiego Nowogrodu do Moskwy była zwycięskim, tryumfalnym pochodem, wśród którego zmiażdżone lub rozprószone zostały wojska najdzielniejszych wodzów Szujskim nieprzyjaznych.

On zmusił Sapiehę Piotra do odstąpienia od św. Trójcy, on pobił najdzielniejsze pułki polskie Różyńskiego i Zborowskiego, on nastawaniem z coraz to silniejszą potęgą zmusił Samozwańca do ucieczki, on Smoleńszczanom przez posły serca dodawał i otuchy, aby się Zygmuntowi nie poddali — lecz tenże zarazem dzielnej odwagi młodzian wzbudził w stryjcu swym, podstępnym a obłudnym Wasilu, podejrzenia, że go ta zwycięska droga prosto na tron wiedzie, więc car uroczyście synowca jako tryumfatora przyjmował, a jako niebezpiecznego rywala tegoż samego dnia w chytry sposób otruć go kazał.

Już z południa taki był zgiełk i tłok ludzi na ulicach stolicy, iż hosudarowi, który z bojarami i dworem na spotka-

nie Skopina wyruszał, strzelcy nadworni w ścisku drogę torować musieli.

Marusza stała u okna komnaty z trwogą w sercu, a każda głośniejsza wrzawa przed pałacem przypominała dziewoi, że się zbliża chwila rozstrzygająca o jej życiu lub śmierci.

Nagle tak rozdźwięczne brzmienia zahuczały w powietrzu, że aż szyby zadrżały w ołowianych oprawach, a dziewoi tulącej się do ścian obitych makatami, zdało się, że te wrzaski i harmonijne potężne odgłosy, to jakoby olbrzymi huk zapadającej się w przepaść Moskwy. To rozkołysane dzwony tysiąca cerkiew białokamiennej stolicy biją na powitanie Skopina. Od dyszkantów począwszy, dzwoniły alty, tenory i basy, a kiedy już wszystkie razem huczeć poczęły oktawy, taka groza przejęła dziewoję, iż z lęku bezmiernego tchu w piersi jej zbrakło; stała jakoby zmysłów pozbawiona, w uszach i skroniach czuła ból, a serce jej młotem w piersi biło. Po chwili, oprzytomniawszy nieco, rzewnie płakać poczęła, te dzwony bowiem jakoby na jej pogrzeb huczały.

Wtem nowe, przeraźliwsze jeszcze wrzaski doleciały jej uszu. Spojrzała w ulicę i widziała szeregi wojsk różnobarwnie przybranych, zbliżające się przy odgłosie olbrzymich bębnów i piskliwych fletów do carskiego pałacu.

Przodem jechała pozłocista kareta, ciągniona przez cztery tarantowate konie, których szory były jedwabne, złotem przetykane, na głowach zaś rumaków kołysały się czuby z olbrzymich białych piór strusich. — W pojeździe siedział sam car, przybrany w długie suknie ze złotej lamy, a tuż na białym bachmacie jechał młodzian o pełnej, krągłej twarzy i wyrazistych rysach. Siodło rumaka okrywało powłóczyste szkarłatne sukno złotem przetykane, uzdy obciążone były pontałami i jedwabnymi kwastami, rząd zaś cały tysiącem drogich kamieni połyskiwał do słońca. Lśniący pancerz okrywał pierś rycerza, a z ramion zwisał mu długi płaszcz z białej lamy bramowany gronostajami.

Był to Skopin.

Poznała go Maruchna, a otarłszy łzy zrozumiała, że nie czas płakać, jedno o stanowczej myśleć obronie.

Do komnaty wszedł Mieszajew z kredencarzami i służbą. W bronzowych perskich świecznikach woskowe świece zapalono, na marmurowym stole białe rozesłano obrusy i ustawiono na nich bogate misy napełnione potrawami, Skopin bowiem dziś miał osobno wieczerzać, uczta zaś oficyalna z bojarami miała się odbyć nazajutrz.

Były tam galarety z ryb w przedziwne formy kształtowane, całe ćwierci mięsiwa pieczonego i gotowanego. Stół ubrano w misterne z ciasta wieże, twierdze, baszty i herby, między temi ozdobami zaś stały srebrne lub kryształowe naczynia, pełne owoców z pieprzem w cukrze smażonych.

Osobno długie ławy zastawiono srebrnemi i złotemi czarami, konwiami i puharami, butlami z »gosudarskiem wińcem« t. j. gorzałką, za któremi stały piwa, miody i różnego rodzaju wina jak: reńskie, mozelskie, peterciment, romania i inne, jednem słowem w całej zastawie, której Skopin ani dziesiątej części pożyć nie był w stanie, według zwyczaju narodowego było »wsioho mnoho«.

Maruchna usiadłszy z przeciwka, badawczem okiem obserwowała Mieszajewa, jakby w nim jaką nadzieję ratunku upatrzyć pragnęła, on zaś szybko uwijał się koło stołu i w milczeniu ustawiał każdą potrawę.

Ze zmarszczonego czoła i złowrogo błyszczących oczu znać było, że stary jakieś tajne a zbrodnicze zamiary nosi w sercu.

Naraz zgiełk powstał w korytarzach, szczęk zbroi i odgłos kowanego obuwia o kamienne posadzki doszedł aż do komnaty. Marusza zbladła jak trup i z krzesła się porwała, podwoje na oścież się otwarły, do wnętrza wpadł jak szalony Skopin. Płaszcz biały z ramion zrzucił i mierząc Maruchnę ognistem spojrzeniem, zawołał:

— Krasna dziewko, ty marzenie moje, raz przecie mam cię w swej mocy — i podał jej dłoń, a drugą ujął w pół dzie-

woję, aby ją przygarnąć do siebie. Marusza usunęła się w bok i okiem wzgardy rzuciła na niego.

— Jakoż to, śliczna, nad Dnieprem na mnie nie chciałaś spojrzeć, a teraz takoż nie zechcesz miłować?

— Kniaziu — odparła — nie traćmy bez pożytku słów, ni czasu. — Przybyłam tu, nie abym cię miłować miała, jedno żem przybyć musiała, aby drugim pomoc nieść. Nie żądaj afektu, bo go dla cię nie mam, a jeżli iskierkę dla mnie żywisz uczucia, to szlachetnym bądź, wolno puść i do ojczyzny wrócić pozwól.

— Dzierlatko ty przemądra, więc opór stawiać myślisz? — O! nie wywiniesz mi się tak łacno — krzyknął, objął ją rękami w pół i usadowił na swych kolanach.

— Puść mię! — krzyknęła rozpaczliwie i przemocą mu się wydrzeć usiłowała. Daremne to były wysiłki: za słabą była, aby się wymknąć z żelaznych objęć rycerza.

Wtem przed kniaziem stanął Mieszajew, a kłaniając mu się w pół, prosił do stołu.

— Jak się masz stary! — rzekł Skopin, uwalniając Maruszę. — Dziękuję ci za tę krasną brankę. Bądź pewien, że cię za nią suto wynagrodzę, a teraz »gosudarskiego wińca« daj.

Hrehory w milczeniu puhar gorzałką napełnił i podał kniaziowi. Skopin wychylił go jednym tchem.

— Potrawy rozdzielcie między moich ludzi, a mnie winа lej bez końca.

I spełniał puhar za puharem, czarę za czarą, a Maruchnę pożądliwym obejmował wzrokiem i w szalonym śmiechu białe zęby szczerzył. Dziewoja siedziała blada, nieruchoma, główkę jasną w górę wzniosła i drżącemi usty słowa modlitwy szeptała: — Niech się dzieje wola boża; zginę, a imienia polskiej dziewoi na hańbę nie dam!

— Petercymentu!! — krzyknął Skopin dobrze już pijany, a Mieszajew napełnił złoty puhar winem z butli ofiarowanej mu przez cara. Ręka mu nie zadrżała, gdy kniaziowi napój wręczał, jedno się mu usta piekielnym a szyderczym

śmiechem wykrzywiły i w piersi uczuł rozkosz dokonanej zemsty.

Skopin, spełniwszy naczynie, zwrócił się do Mieszajewa: — A teraz świece zgasić i precz mi z komnaty!

Jasne świece woskowe pogasły, tylko zmroczne blaski różowe siała lampa u stropu wisząca. Kniaź puklerz z piersi zdjął, oczami wahającemu się Hrehoremu drzwi wskazał. Sługa posłuszny rozkazowi wyszedł z komnaty.

. . . . . .

W godzinę później dał się słyszeć w korytarzach chrapliwy głos Skopina, wołającego ratunku. Mieszajew wpadł do pokoju, na środku którego leżał kniaź na wpół ubrany i o pomoc stłumionym okrzykiem błagał. Tuż obok na stole stała wypróżniona butla petercimentu, Maruchna zaś blada jak chusta leżała bez życia na łożu.

Skopin ledwo wyjęknąć zdołał: — Bodaj.... u wrogów w niewoli.... jak pies zczezł.... kto mię życia pozbawił! — gdy krew obfitym strumieniem buchnęła mu nosem i ustami.

— To za śmierć syna mojego i za krzywdę tej dziewki! — krzyknął Mieszajew i w te pędy porwawszy omdlałą Maruchnę na ręce, przycisnął sprężynę ukrytą za kotarą łóżka i tajnemi drzwiami uprowadził ją do sąsiednich komnat. Były to pokoje dawniej przez carów zamieszkałe, a dziś niemal pustką stojące.

— Panienko złota — rzekł stary, ocuciwszy dziewoję — oto nożyce; utnijcie jasne sploty warkoczy, a przywdziejcie co tchu to męskie ubranie i uchodźcie ze mną — mówiąc to wskazał na przygotowane dla niej rzeczy.

Marusza w kilku minutach z przebraniem była gotową, jednem cięciem każdą z dwóch kos ucięła tuż u szyi i przez szereg komnat i krużganków przeprowadzona, nagle znalazła się za małą furtą zabudowań carskich w ciemnych ulicach Moskwy.

VII.

Hetman mówiąc p. Walentemu o ważnych sprawach, których spełnienia oczekiwać należy, jedno tylko miał na myśli: a mianowicie, że przyjdzie czas, w którym trzeba będzie z pod Smoleńska ruszyć w pole przeciw nieprzyjacielowi.

Wnet sprawdziły się przewidywania doświadczonego wodza, aby jednak zrozumieć rzecz, przypatrzmy się współczesnym dziejowym wypadkom w Moskwie.

Gdy Zygmunt daremnie usiłuje Smoleńsk wziąć, w Moskwie w tym czasie Szujski stara się wszelkiemi siłami utrzymać na tronie. Przeszkadzają mu w tem nie tylko bojarzy i kniaziowie z licznem swem stronnictwem, lecz głównie ubezwładnia moc jego nowy Dymitr Samozwaniec, który wiele twierdz swemi wojskami obsadziwszy, coraz liczniejsze tłumy polskiego rycerstwa w tuszyńskim obozie gromadzi i przemocą usiłuje pozyskać moskiewską koronę.

Skądże się wziął ów nowy Samozwaniec?

Oto po zamordowaniu męża Maryny, rycerz polski, Miechowiecki, spotkał około Starodubia żyda, chłopa czy bojarskiego syna, który twarzą bardzo pierwszego Dymitra przypominał, a wziąwszy tego człowieka w obroty i nauczywszy go dobrze farbować a zmyślać, udawał i głosił przed światem, że mąż Maryny ucieczką się od śmierci salwował i praw do korony nie myśli się zrzekać. Porozpisywał też ów Miechowiecki listy do panów polskich, donosząc o nowej rewolucyi, a każdego w inny sposób zachęcał do wyprawy na Moskwę i do popierania sprawy nowego Dymitra.

Rycerstwo polskie prowadzenie wojny bez rozkazu króla i sejmu nie uważało wcale za występek i gromadziło się tłumnie w tuszyńskim obozie, między nimi zaś wielu było, co w jednej osobie na obydwóch tronach chcieli widzieć Zygmunta lub sami sięgali po carską koronę.

Do tych ostatnich należał starosta uświacki Jan Piotr Sapieha, największy rycerz owego czasu, mąż odwagi tak nie-

pospolitej, iż w Polsce o jego czynach opowiadano jak o częstochowskich cudach, a cała współczesna Europa podziwiała jego męstwo i sztukę wojowania. On to sławą pod Kircholmem okryty, (głównie bowiem Chodkiewiczowi pomógł do zwycięstwa), nie spoczywał długo w swych dziedzicznych Lejpunach, lecz połączywszy z własnemi rotami liczne ochotników zaciągi, na rok przed smoleńską wyprawą poszedł na Moskwę.

W drodze dowiedział się, że Marynę owdowiałą i jej ojca, wojewodę sandomierskiego, znaczny konwój prowadzi z więzienia do granic polskich, puścił się przeto za niemi w pogoń i niedaleko Wiazmy pobrawszy ich, zawiódł do Samozwańca w Tuszynie. Husarze polscy, przy Dymitrze zostający, rotami wyszli przeciw niemu i przyjęli go z pompą hetmańskiej godności należną, sam zaś car Szujski, przestraszony przybyciem tak znacznego wodza, chciał z nim wejść w traktaty.

Sapieha załatwiwszy sprawę między Maryną a fałszywym Dymitrem w ten sposób, że ich nakłonił, by się ślubem tajemnym związali, zgodził się na układy z Szujskim.

W tym celu stanęli obaj z wojskami swemi pod murami Moskwy, lecz skoro starosta zmiarkował, że dla zwłoki czasu Szujski go płonnemi ludzi obietnicami, wówczas ruszył z całą husaryą pod olbrzymie mury monasteru św. Trójcy.

Widząc, iż monaster ów jest źródłem, z którego się żołd na utrzymanie wojsk czerpie, a przytem zwabiony ponętą skarbów w nim nagromadzonych, z pomocą których w dzierżenie i dysponowanie tronu przyjść mógł, trzymał tę potężną twierdzę przez szesnaście miesięcy w oblężeniu, wskutek jednak dziwnej wytrwałości mnichów i ciągłych napaści Skopina, odstąpić musiał trudnego zadania.

Zygmunt dowiedziawszy się o tem niepowodzeniu Sapiehy, zmartwił się niepomiernie, nadzieja bowiem uzyskania tronu moskiewskiego z upadkiem sprawy starosty uświackiego, osłabła znacznie, wzmożenie się zaś sił Szujskich i Skopina opóźniało i utrudniało tylko poddanie się Smoleńska.

Widział nawet król i wodzowie, że to zwycięskie posuwanie się Skopina naprzód, zmierza nie tylko do wyparcia Samozwańca i Sapiehy z Moskwy, lecz głównie do powstrzymania monarchy polskiego w dalszym jego pochodzie, tudzież do dania pomocy i odsieczy Smoleńskowi.

Podczas gdy to się w Moskwie dzieje, w obozie smoleńskim mija miesiąc za miesiącem wśród bezczynności i trwożnego wyczekiwania.

W drugiej połowie marca przybywają posłowie moskiewscy do króla, z Sołtykowem na czele ze świetnemi obietnicami i na chwilę błyska naszym nadzieja polepszenia sprawy. Z wielką pompą przyjmowano ich w obozie i czas schodził na długich rozhoworach i wspaniałych ucztach, to u króla, to u Potockich, to znowu u hetmana, lecz ofiarowanie tronu carskiego Władysławowi było albo czczem przyrzeczeniem, którem jak ułudnem cackiem usiłowano naszych skłonić do odstąpienia z pod Smoleńska, lub były to tylko projekta mniej licznego stronnictwa bojarów, na które większość narodu zgodzić się nie chciała.

Równocześnie powrócili posłowie królewscy z obozu tuszyńskiego i także pomyślne przywieźli nowiny, że Samozwaniec do Kaługi uciekł, a polskie wojska, rozdzieliwszy się na partye, jedne do króla, drugie zaś przeszły na stronę zbiegłego carzyka.

Znowu się zdawało, jakoby sprawy nasze miały się ku lepszemu, prócz bowiem ucieczki Samozwańca i rozdzielenia jego wojsk, nagła wieść gruchnęła, że Skopin, ów największy wróg i najbitniejszy pogromca polskich hufców, zginął od trucizny, ze śmiercią zaś tego dzielnego wodza, sprawy Szujskich do tyla się zachwiały, iż Smoleńsk już skłonnym był do układów i tylko upór Jana Potockiego tudzież trudne warunki, pod jakimi miasto brać chciano, sprawiły, że Sehin nie chciał się poddać.

— Mniejsza o Smoleńsk — mówił król — wcześniej czy później twierdzę tę wziąć musimy, ale zgon Skopina w takiem

ścieśnieniu spraw naszych na Moskwie jak obecne, to tryumf niemały, śmierć bowiem tego wodza zwątli siły Szujskich, a poprawi nasze.

— Sprawy ich nie zwątlały — zauważył p. Potocki wojewoda bracławski — bo wojska silne mają i wodza wnet znajdą nowego.

Przewidywania te nie były pozbawione racyi. Car Szujski wnet nowe zaciągi cudzoziemskie sprowadził, po Tatarów w pomoc wysłał i nad wojskami brata swego, kniazia Dymitra przełożywszy, niewątpliwie sobie zwycięstwo obiecywał.

Miał wprawdzie Zygmunt drogę od strony Moskwy obsadzoną załogami polskiemi, w Carowem Zamieściu bowiem stał p. Dunikowski, w Białej p. Gąsiewski, w Wiaźmie Marcin Kazanowski, a nawet liczne hufce co przebrańszych odstępców Samozwańca jak: pułki Zborowskiego i Stadnickiego gotowe były przejść na żołd króla, ale były to wszystko wojska luźne, w jedność nie związane, w porządek żołnierski nie dość wprawione i po różnych miejscach w małych stojące garstkach, mogły więc z łatwością przez nieprzyjaciela być rozbite, a wówczas monarcha polski nie był pewny ani ostania się przy twierdzy, ani nie miał bezpieczeństwa własnej osoby.

W tym stanie rzeczy zwołał Zygmunt radę wojenną, na której długo deliberowano nad tem, w jaki sposób rozdzielić swe siły, aby jedna część poszła na Moskwę pod wodzem, któryby zdołał rozsypane garstki rycerstwa skupić, w porządek wprawić i nieprzyjaciela w dalszym pochodzie wstrzymać — druga zaś połowa, aby u Smoleńska została.

— Hetmana to obowiązek — dowodził p. Jan Potocki — zagrożonych granic państwa strzedz i nie dopuścić, aby nieprzyjaciel dalej się posuwał. P. Żółkiewski ustawicznie o wzięciu tej twierdzy powątpiewa, na liche siły nasze srodze wyrzeka — niechże tedy troskę o Smoleńsk naszym pozostawi głowom, a kwarcianem wojskiem wstrzymuje odsiecz nieprzyjacielską.

— Zważyć proszę — bronił się hetman — że kwarciani żołdu za trzy ćwierci dotąd nie wzięli, konie wygłodzone mają, a i samym bez zapłaty wyżywić się trudno będzie w nieprzyjacielskim kraju.

I w podobny sposób długo się na tej radzie ścierano na słowa, kto ten obowiązek objąć ma, w końcu król sam zlecił p. Potockiemu, »żeby wziąwszy z sobą wojska szedł i złączył się tam z tymi ludźmi, którzy na przedzie byli, dla uczynienia wstrętu nieprzyjacielowi«[1]).

Wybór ten uczynił król głównie dlatego, bo wiedział, jak wielki mir mieli Potoccy nietylko u swoich, lecz i u obcych, sądził przeto, że gdy się bojarowie z chęciami swemi dla króla odezwą, to nikt sprawy jego tak popierać nie zdoła, jak p. Jan, wielce ulubiony faworyt.

Wojska też miał p. wojewoda czesne, dostatnio przybrane i na schwał uzbrojone, czem nie mało można było zaimponować bojarom, co więcej, łudził się Zygmunt, że kiesą Potoccy potrząsną, aby panów moskiewskich hojnością swą dla króla zjednać, zapomniał zaś o tem monarcha polski, że dumny i ambitny faworyt jego całą duszą pragnął, by sława wzięcia Smoleńska, nie komu innemu, ano jemu samemu przypadła w udziale.

Wreszcie Potoccy, widząc dwie niefortunnie dźwigane korony na głowie Zygmunta, mimo całego przywiązania do osoby królewskiej, trzeciej nie życzyli mu wcale, choćby tylko ze względu na ogólny pożytek ojczyzny.

P. Jan niechęci po sobie nie pokazując, podjął się pozornie tej drogi, następnych jednak dni, co znaczniejszych żołnierzy hojnie u siebie częstował i burzył ich, aby przeciw władzy wierzgali i z nim iść nie chcieli.

Wkrótce więc potrafił przed królem usprawiedliwić się nieposłuszeństwem wojska i innymi subtelnymi koncepty. Przytem dla niesposobnego zdrowia, które miał słabe, przekonał

[1]) Pamiętn. Hetmana Żółkiewskiego.

Zygmunta, że na Moskwę iść nie może. »I tak z tej drogi jego nie było nic« [1]).

W obozie tymczasem, gdy ani podkopy, ani petardy pana Bartłomieja Nowodworskiego do żadnego efektu nie doprowadziły, wzięto się do dział, które z Rygi sprowadzono, ale iniemi niewiele dokazano, jedne bowiem nie były dość potężne, inne się popsuły, same zaś wojsko w największych niewygodach żyjąc pochorzało w szańcach, inni się porozbiegali, wielu w czasie szturmów pobito i poraniono.

Król i wodzowie w prawdziwej byli desperacyi, bo tu miesiąc za miesiącem mijał, zapłaty dla wojska znikąd nie było, kniaź Dymitr Szujski, jak słychać, już z wojskami do Możajska idzie i twierdze obsadzone polskiemi załogami oblega po drodze, Potocki przeciw nieprzyjacielowi w pole ruszyć nie chce, a Sehin Smoleńska broni wytrwale.

W dodatku buntować się niektórzy z naszych poczęli, bo się im czas dłużył i żyć nie było z czego. Znalazło się też wielu, którzy tu jeno po to przyszli, żeby się dobrze obłowić. Niektórzy znowu widząc, że sprawy opornie idą — rzekłszy sobie: — Jam żonaty, dwiema panom służyć muszę, ojczyźnie i prywacie, a »przez« jednego żołnierza i tak wojna będzie! — lub też: »trudno ano gospodarstwo i bezradną kobietę samą ostawić, żeby choć raz w rok do domu nie zajrzeć!« — ukradkiem się jeden za drugim wynosili z obozu.

Inni, niepomni blizkości majestatu królewskiego, pili na umór i namnożyło się w obozie ludzi gęby rozpuszczonej i hardych niespokojników, co to słowami drugiemu natrętliwie dorzucając, dawali okazyę do odpowiedzi i porwania się do broni.

Gdy więc król desperat w takiej opressyi twierdzy wziąć nie może, a najlepsi wodzowie z emulacyi zawistnie na się patrzą, drudzy zaś niżsi burdy wszczynają lub na umor piją: hetman Żółkiewski, widząc rzecz pełną niebezpieczeństwa,

[1]) Tamże.

dzień i noc przemyśliwa nad ratunkiem ojczyzny z przykrej imprezy.

— A cóżbyś ty na to — spytał pewnego dnia Śliźnia doświadczony wódz — gdybyśmy kilkanaście hufców dobranego żołnierza wziąwszy, bez łaski p. Potockiego drogę nieprzyjacielowi zaszli, a porządnie mu dali po tebinkach?

— Między słowem, a ziszczeniem...

— ....Jest góra w pośrodku! — dokończył hetman. — A jeźli my tę górę ominiem lub siłą się na nią wedrzem?

— Tożby to cud był prawdziwy, tak małą kwotą pobić tak licznego nieprzyjaciela!

— *Virtute pugnandum est, non numero!* — rzekł wódz i długo chodził po izbie rozmyślając.

Pan Walenty tymczasem z jego rozkazu pisał listy do Gąsiewskiego i innych wodzów, w których hetman prosił ich usilnie i zaklinał, aby się dzielnie mimo słabych sił trzymali i pomoc im obiecywał w ludziach i pieniądzach. Takie pisma niemal co tydzień dziesiątkami z kancelaryi p. Żółkiewskiego przez umyślnych posłańców wysyłano, chcąc zwątlone i zewsząd zagrożone załogi polskie do wytrwałości i cierpliwości zachęcić.

— Potockiego tam chciano wyprawić — mówił do siebie Żółkiewski — ano nie usłużył ojczyźnie, choć ma wojska liczne i do boju w otwartem polu sposobne. Zapragnął on sławy wzięcia Smoleńska, lecz i tu niczego nie dokaże, bo się tak na dobywaniu twierdz zna, jak wilk na gwiazdach. Jeśli się nam tedy ani tu, ani tam wedle myśli nie powiedzie, to nas stąd niechybnie wymiotą, czem wieczną a niezmazaną makułę i hańbę wywleczemy na ojczyznę. Jakoż to, i ja na to patrzeć mam, i zezwolić?

— Walek! — zawołał — ruszajno do monasterza św. Ducha, a spytaj komorników, czy król zechce ze mną gadać.

P. Ślizień pióro rzucił, zerwał się z zydla i szybko wybiegł z izby. Hetman tymczasem coraz to szybciej po kwaterze chodził i myślą pogłębiał moskiewskie sprawy.

— Idą oni ku nam, możemy i my ku nim. Pomykiem, niespodzianie, chrząszcza im po nosie puścim, a oni wziąwszy dobrze po boku »zrejterują« się w zad.

— My za nimi, prosto w stolicę.... Moskwa bramy nam otwiera.... Szujskiego z tronu strącamy, na imię Władysława lud przysięgę wierności składa i chresty całuje.... Oj! żeby to, żeby.... jedno siły nasze za małe, żołd niewypłacony, konie schudzone, a tam wojska liczne, w dodatku zaś Pontusa hufce dobrze w boju wyćwiczone i karne jak rzadko!

I wahać i wzbraniać się począł hetman w postanowieniach, gdy p. Ślizień z doniesieniem wrócił, że król czeka na niego.

Przybrał się tedy p. Żółkiewski odświętnie, konia sobie podać kazał i postanowiwszy nie odstąpić od raz powziętego zamiaru, pojechał do króla.

— Cóż mi za nowiny waszmość przynosisz? — spytał Zygmunt ujrzawszy wodza przed sobą.

— Pragnę, ostatka sił dobywszy, Waszej Królewskiej Mości służby moje ofiarować — rzekł Żółkiewski — i z kwarcianymi przeciw Moskwie wyruszyć.

Zmarszczył się król.

— Czy waszmości świat zbrzydł, że tak małemi siłami ważyłbyś się czoło stawiać tak licznemu nieprzyjacielowi?

— Jużem ja wszystkie przeszkody na uwagę brał — odrzekł hetman — i takem w końcu rozważył, że się lepiej na odwagę puścić, niż tu gnić w obozie i czekać, aż nas stąd jak tchórzliwych szaraków wygonią. Prawda, że wojska całego wziąć tylko mogę trzy tysiące husaryi i nieco piechoty, podczas gdy tam jako mię słuch dochodzi, 80.000 ludzi ku nam zdąża, ale mi się zda, że gdy wrogom w polu zdzierżeć nie zdołamy, toć są jeszcze inne sposoby wojowania, których się uczepiwszy, Moskwicina pogrążyć możemy. Głodem, niewczasami morzyć ich będziem i o to usilnie się starać, aby wszystkie ich sprawy, nie gorzej niż nasze znać; wreszcie — zda mi się, te moskiewskie zawieruchy różnymi paroksyzmami

zarażone zbyt długo trwają, żeby nie były blizkiemi upadku. *Amor bellandi* stygnie w nich, mimo powodzenia, a i żołdu najemnym żołnierzom wnet nie starczy Szujskiemu. Kto w końcu wiedzieć może, żali nam Bóg nie poszczęści i w otwartem polu nie pobijem nieprzyjaciela!

— To szalona myśl! — zawołał król — na złamanie szyi, na niechybne jatki iść. P. Potocki dwa razy tyle wojsk ma, a zawahał się.

— Pan wojewoda bracławski niekrzepkiem zdrowiem się cieszy — rzekł hetman — nie dziw tedy, że nie poszedł, ja jednak za zezwoleniem i wiadomością Waszej Królewskiej Mości stanowczo pójdę!

Długo się król namyślał, sprzeciwiał i perswadował, aby się hetman nie ważył na tak śmiały a ryzykowny krok, lecz wszystkie namowy daremne były.

— Ha! — rzekł w końcu Zygmunt — wszak to wiadoma rzecz, że waszej miłości experyencyi, męstwa i rozwagi w boju nie brak, gdyby mi to więc nie pan Żółkiewski, ano jaki szalony łeb, co mi tu waszmość przedkładasz, zaprojektował — stanowczobym się przeciwił, lecz waszmość stary wódz i nie w takich opałach byłeś, najlepiej tedy wiesz, jak sobie począć, aby ojczyźnie pożytku przysporzyć, a nam wstydu oszczędzić. Jeżeli szczerze rzec mam, to od czasu jak drudzy tam iść nie chcieli, rozważyłem w duszy, że nikt tej biedzie nie zaradzi, jedno waszmość, alem się z tem dotąd odzywać nie śmiał, boć sam widzę, jako siły twoje za małe są. Skoro tedy waszmość dufasz, że sobie poradzisz, to idź, lecz dla dobra naszego i ojczyzny bacz, abyś nam zdrów i cało wrócił. — Boże zdarz! Boże pomóż! Boże wyrwij nas z tych głębin, a do przystani pożądanych życzeń szczęśliwie pozwól dopłynąć — mówiąc to król ręce złożył i oczy w górę wzniósł, a potem hetmana za głowę ścisnął, żegnał serdecznie i błogosławił na drogę.

VIII.

Siły, z jakiemi hetman z obozu poszedł, wynosiły ledwie czternaście chorągwi husaryi, którym przydano szczupłą garstkę królewskiej piechoty wraz z Kozakami, ale byli to wszystko żołnierze chłop w chłopa dorodni, bitni, w boju doświadczeni i do rygoru wojskowego nawykli.

Czołem szły roty hetmańskie pod komendą p. Śliźnia, którego p. Żółkiewski na wyjezdnem w nagrodę wojennych usług i trudów w niewoli poniesionych mianował porucznikiem chorągwi. Pocieszyła go ta ranga nie lada, tem bardziej, jako mu już teraz błyskała nadzieja, że w Moskwie odnajdzie i ocali drogą sercu dziewoję.

Za nim zdążały chorągwie p. Strusia i wojewody ruskiego Daniłłowicza, dalej zaś roty pp. Kalinowskiego, Borkowskich, Bobowskiego, Kazanowskiego i księcia Poryckiego, a wszystkie choć nie w szkarłatach, jedno w pakłakach, falendyszach i ciężkich stalowych zbrojach, ale tak dziarskie i do boju ochotne, iż z niemi bogato przybrane roty największych nawet magnatów w paragon iść nie mogły.

Z tem to wojskiem szedł hetman ku Białej rozumiejąc, że tam zastanie hufce nieprzyjaciół, z którymi będzie mógł rozprawić się w otwartem polu. — Ale wojska moskiewskie tak daleko się jeszcze nie zapędziły; odpocząwszy tedy dwa dni pod Białą, obrócił się wódz polski ku stolicy.

W drodze na Szujsku spotkał hufy Zborowskiego, które za namową posłów polskich przeszły z tuszyńskiego obozu na stronę Zygmunta. Tam to doszły go również wiadomości o ruchach nieprzyjacielskich, mianowicie, że Dymitr Szujski czeka u Możajska na wojska cudzoziemskie Pontusa, który się dotąd w Moskwie z carem o żołd targuje, i że tenże Dymitr wysłał już przed sobą pod wodzą Wołujewa co przedniejszych ośm tysięcy ludzi pod Carowe Zamoście, gdzie miejsce obronne zająwszy, gródek zbudować mają, aby polskie hufce wstrzymać w dalszym pochodzie.

Dowiedziawszy się o zamysłach nieprzyjacielskich, postanowił wódz polski wydać Wołujewowi bitwę, nimby tenże miał czas się ufortyfikować. Chciał też Żółkiewski użyć do tej sprawy i tych żołnierzy, którzy pod Zborowskim do króla się udali, ale oni widząc, jak są hetmanowi na rękę, drożyć się z nim poczęli i nie chcieli iść, pókiby im nie przyrzekł żądanej zapłaty. Widząc, że trudno z nimi dojść do końca, ruszył hetman sam, lecz te traktaty z opornym Zborowskim tyle mu czasu zajęły, iż gdy na milę pod Carowe Zamoście przyszedł, nieprzyjaciel już się umocnił w silnym gródku, i tak długo opór stawiać postanowił, pókiby nie nadeszła cała nawała wojsk Szujskiego.

Silna pozycya nieprzyjaciół obróciła w niwecz pierwotne zamysły hetmana, nie mógł już bowiem wydać Moskwie bitwy w otwartem polu, jedno ich głodem trzeba było zmusić do układów lub szturmem brać gródek.

Tegoż samego wieczora zrekognoskował hetman miejsce, gdzie się nieprzyjaciel rozłożył, nazajutrz zaś ledwo jasne słonko pierwszym promieniem czarne ozłociło bory, ruszył z całem wojskiem pod Carowe Zamoście.

W godzinę później stały już chorągwie na wyniosłem wzgórzu, skąd malowniczy roztaczał się widok. Środkiem zielonej równiny połyskiwały do słońca w srebrzystych skrętach fale bystrego strumienia w wielki staw rozlanego, a nad brzegiem tych wód widać było schludne domki, dworzyszcza i zagrody małego miasteczka.

Carowe Zamoście, przez cara Borysa założone, miało jedyny dostęp przez groblę tak szeroką, iż sto koni w rząd wygodnie po niej iść mogło. Kilkaset kroków od owej grobli stała warownia z przenośnych, drewnianych balów, wklinowana od północy w wielkie lasy, zarysowane czarnym pasem na horyzoncie; z jednego boku błota i stojące wody przystępu wzbraniały, z drugiej strony roztaczały się równe błonia, od których się nieprzyjaciel głębokim rowem zabezpieczył.

Żołnierze polscy rwali się do boju, konie ich pogry zając wędzidła parskały ochoczo. Wyjechał na czoło pan Żółkiewski, badawczem okiem objął okolicę i w myśli usuwał zapory.

— Niechybnie szturmem brać będziemy ten chlewek — rzekł p. Ślizień i wysunąwszy się na front czekał rychło hetman z koni zsiąść każe i da znak do ataku.

— Nie ma się nawet co namyślać — dorzucił p. Raróg — jasne to, że Moskwicina za balami siedzącego nie skusimy w pole.

Hetman uparcie milczał, okolicę przez szkła badał, tam i z powrotem jeździł, jakby się wahał i namyślał, co dalej czynić, w końcu przed szeregami stanąwszy, co gardła krzyknął: — »Z koni!« — i rumaki trzymać kazał okiełznane, żeby każdej chwili gotowe były do boju. Husarzom nie w smak była ta powolność i wahanie hetmana, pojąć też nie mogli, czemu się z impetem uderzyć obawia na tak słabą warownię. Niektórzy z rotmistrzów sarkać poczęli.

— Wojewoda bracławski słuszność miał, że nasz poczciwy pan Stanisław zbyt długo deliberuje — ozwał się p. Weiher, młodzian urodziwy, ulubieniec całego wojska. — Jeźli tak wszędzie wahać się będziem, to szczupłemi siłami niczego nie dokażemy.

Rycerz ten, mimo złych wróżb i przeczucia, jakie go od kilku dni trapiło, taką ochotę miał do walki, iż hamować musiano jego zapędy. To też p. Struś perswadował mu: — *Signa ominosa* [1]) waćpan miałeś, a naprzód się rwiesz. Przy złych wróżbach ochotę w sobie pohamować należy, a co się

[1]) Przeczucia te się sprawdziły. W liście J. Zawadzkiego do ks. Rudnickiego biskupa warmińskiego czytamy: »Pan M. Weiher podjachawszy blizko pod ich obóz z działa jest w głowę uderzony, ciało koń pierzchliwy aż w obóz nieprzyjacielski zawlókł. Zginął z żalem wszystkiego wojska. Miał *signa ominosa* śmierci swej, bo się spowiadał i ciało Pańskie przyjmował, a potem na koń wsiadłszy cyrulikowi swemu kazał gotować i maść i trunę«...

tknie p. hetmana, to wie on dobrze, co robi i przyczyna tego nie leda być musi, że się bierze ostrożnie do rzeczy. Znać zasadzkę przewiduje lub do nocy zaczeka, aby fortelem zażyć nieprzyjaciela.

I w rzeczy samej hetman husaryę na górze zostawił, a piechotę i Kozaków u grobli nad błotami umieściwszy, postanowił nie ruszać się z tych miejsc do wieczora, w nocy zaś chciał groblę przejść cichaczem i za gródkiem na Możajskiej drodze wojsko położyć, aby w ten sposób Wołujewowi odwrót zamknąć i pozbawić go wszelkiej nadziei posiłków ze strony Dymitra.

Ale w wojennych wyprawach nie zawsze tak bywa, jako sobie wódz w głowie uknuje. Tak się też i tu stało. Nim wojska polskie pod Carowe Zamoście doszły, Wołujew część ludzi w gródku ostawiwszy, wczesnym rankiem kazał most na grobli zburzyć, po bokach zaś w rowach i gęstych haszczach zasadził kilkuset strzelców tak dobrze ukrytych, iż ich nasi z początku dojrzeć nie mogli. Znał wódz moskiewski natarczywość polskiego żołnierza, spodziewał się tedy, iż gdy husarya z nagła na groblę wpadnie, od strzelców z owych zasadzek wielką szkodę poniesie, lecz hetman podejrzywając od początku podstęp, surowo zakazał komukolwiek wyjeżdżać na groblę, Moskwa zaś widząc, że piechota nasza dołem obóz zakłada, a husarya w górze bezczynnie stoi i następować nie myśli, utęskniwszy sobie pobyt w onych rowach, nuż pomykiem przebiegać jeden do drugiego. Spostrzeżono ich wnet i hetman w te pędy Kozaków i piechotę sporządził do boju. Jedna część poszła rowem, tak, iż tych nieprzyjaciel widzieć nie mógł, druga zaś połowa wierzchem »w odkryte« do nich skoczyła. Gdy się obie kompanie z linią nieprzyjacielską zrównały i w jednę całość złączyły, poczęli nasi bić, strzelać i siekać tak natarczywie, iż Moskwa na żadne przeszkody nie bacząc przez rzekę w bród skoczyła i nie oparła się aż o gródek. Piechota polska wówczas rzuciła się za nimi. Wtedy to Wołujew wypuścił z twierdzy do trzech tysięcy ludzi jezdnych i pie-

szych, a ci wpadłszy z impetem na polskich piechurów poczęli ich tęgo turbować i siekać.

Hetman w te pędy rozkaz wydał, aby co żywo most składano, co też w mig wykonano. Wówczas Żółkiewski zwrócił się do najbliżej stojącej roty p. Śliźnia, a krzyknąwszy: — na koń! — buławą wskazał most w dole zbudowany. Rzucili się cwałem kwarciani, za nimi zaś w skok popędziły chorągwie pana Strusia, Daniłłowicza i Weihera.

Wielki okrzyk: »Śmierć wrogom!« rozległ się w powietrzu, bierwiona mostu zadudniały a roty takim impetem uderzyły na nieprzyjaciela, iż piechota polska po krótkiej walce odratowana, nieprzyjaciel rozprószony i na głowę pobity, przez groblę zaś droga otworem stała do twierdzy.

Hetman po tem zwycięstwie przeszedł na Możajski szlak i obsadził wszystkie drogi, któremi Wałujewa dojść mogły posiłki.

Starszyzna nasza wielką ochotę miała szturmem brać strwożonego nieprzyjaciela, jako że i siły wojsk polskich wzmogły się, ludzie bowiem z pułku p. Zborowskiego, w którym wielu dzielnych było rycerzy, skoro ich słuch doszedł o owem zwycięstwie, żałowali mocno, że w tej potrzebie nie brali udziału i zawstydzeni poprzednim swym uporem, tegoż samego dnia połączyli się z wojskiem Żółkiewskiego; lecz hetman wszelkie szturmowanie za niebezpieczną rzecz mając, radził głodem zmusić Wołujewa do poddania.

— Wiem od jeńców — mówił wódz — że tyle tylko żywności mają, ile w sakwach przynieść zdołali, trzeba nam tedy cierpliwie poczekać, a głodem ich weźmiemy.

To też zaraz kazał gródki w okół twierdzy stawiać i osadził je piechotą. W ten sposób Wołujew ścieśniony, wyprawiał nocami gońca za gońcem pod Możajsk do Szujskiego i znać dawał, iż jeźli pomocy wkrótce nie otrzyma, to dla niedostatku żywności poddać się będzie zmuszony.

Poselstwa te pożądany skutek odniosły, nie upłynęło bowiem i dziesięć dni, gdy do uszu naszych doszło, że wojska Szujskiego za nadejściem z Moskwy Pontusa de la Gardie

z pod Możajska ruszyły, a ich wodzowie obiecowali sobie nawałą swych ludzi, niby olbrzymią obręczą ścisnąć i doszczętnie zagłodzić garstkę polskich rycerzy. Mimo więc wielkiego tryumfu i zwycięskiej bitwy trwożyć się poczęli Polacy na myśl, że lada chwila napłyną olbrzymie tłumy moskiewskiej potęgi i zmiażdżą szczupłe hufce hetmańskie.

Żółkiewski chodził po obozie milczący i zamyślony, a z jego zmarszczonego czoła znać było gorącą pracę myśli nad sposobami pogrążenia wrogów. Między wojskiem, zwłaszcza zaś w rotach p. Bobowskiego, Taliboga, Małyńskiego tudzież w namiotach królewskiej piechoty narzekano i szemrano srodze.

— Hetmanowi życie zbrzydło, więc nas chce wraz z sobą zgubić i dlatego tak ochotnie naraża się na niebezpieczeństwa! — mówił p. Małyński.

— Na niechybne jatkiśmy tu przyszli, panowie bracia! — dorzucił Talibóg.

— Noga z nas nie ujdzie! — żalił się p. Bobowski.

Kwarciani tylko i pułki Strusia, Zborowskiego i Kazanowskiego nie traciły animuszu, a serca tych dzielnych żołnierzy radowały się na myśl spotkania z nieprzyjacielem.

Ale mimo tej ochoty, sprawa nie była łatwą, więc hetman zwołał co znaczniejszą starszyznę do rady, na której uchwalono, aby cichaczem wysyłać podjazdy w okolicę, a otrzymawszy dokładne wieści o siłach nieprzyjacielskich, żywność zwozić i za wałami bronić się do upadłego. Polecił tedy pan hetman Śliźniowi, aby wziąwszy oddział ludzi, w towarzystwie doświadczonego, w boju osiwiałego p. Raroga podążył w głąb północnych borów i osłuchawszy się u przednich straży o moskiewskich siłach, aby jeszcze dziś w nocy stanął z powrotem w hetmańskim namiocie.

Oddział p. Śliźniowy przedzierał się długo przez bezdrożne, podleśne gęstwiny, a ostre krzaki młodych tarnin

i cierniste gałęzie olbrzymich dzikich róż i leszczyn uderzały raz w raz po marsowych obliczach rycerzy i kaleczyły nogi rumaków, nim w końcu po pełnej trudów przeprawie dostali się w las wysokopienny.

Tu przestrzeni było więcej, ale popsute drogi zeschłym liściem zasłane, pełne rowów i wyboi, nie mniej niż owe gęstwy leśne utrudniały posuwanie się naprzód.

Miejscami las rzedniał, a oczom rycerzy odsłaniały się urocze polanki bujnem kwieciem i zielenią porosłe, to znowu ciche, modre, niezgłębione wody leśnych jezior lub grząskie i zdradliwe pokłady torfowe.

P. Walenty dobyty pałasz na bindzie zwiesił i naprzód kłusując łowił uszami tajemne odgłosy boru, co w poważne hymny się układając pierś rycerza tęsknotą napawały, myśl w przeszłość unosiły. Stała mu na oczach Maruchna i jej porwanie, potem sroga jej niewola i własne więzienie w Smoleńsku, które niczem były w porównaniu z katuszami, jakie dziś cierpi, najwięcej zaś prześladowała go myśl, że Maruchna uległa przemocy Skopina i na hańbę oddana podły żywot branki pędzi.

— Bodajem skościał, jeżeli to prawda! — krzyknął na głos w zapamiętaniu, a stary Raróg tuż za nim jadąc, tubalnym głosem dorzucił:

— Święta prawda!

Ślizień spojrzał nań jak zmysłów pozbawiony: — O czem waćpan prawisz?

— Jeszcze waść pytasz? — O czemże, jak nie o tych karkołomnych wybojach. Bodaj ich skręciło, jednej porządnej drogi w tym barbarzyńskim kraju nie znaleźć.

— Tyle razy perswadowałem, abyś podjazdy młodszym zostawił — rzekł p. Walenty.

— Trudno wilkiem orać — odparł — choć i tego nie neguję, żebym już chętnie w namiociech siedział, ale gdy się komu humory w mózgu zamulą i w melankolią wpadnie, to go trzeba strzedz i pilnować, bo sobie taki młody a zdespe-

rowany źrebiec prędzej łeb na tych drogach zbije, niż stara, ochwaciała szkapa.

— A niechbym już raz kark skręcił! — odparł Ślizień, w duchu zaś dorzucił: — Ale to nie można rzecz! zbyt dobrze ją znam i wiem, że sama myśl hańby zabiłaby ją.

— Nie bluźń, a w piersi się bij. Gdybyś ty był starego Raroga słuchał, a tę dziewkę dawno wybił sobie z głowy, nie przyszłoby do tej skwary, jaka cię dziś dogryza. Ale zawżdy tego pożądasz, czego dostać nie łacno, więc też nie dziw, że ci często psi krupy zjadają.

— Gadaj waćpan zdrów! Żebym ją dyabłu z gardła wydrzeć miał, musi być moją. Z Smoleńska ją fortelem uprowadzono, ano teraz mi błyska, że ją ocalę.

— Daj ci Boże, ale weź na rozum Walku, żeby nieźle było te amorackie ochoty w jakowyś munsztuk ująć i ukrócić, nie wiemy bowiem, czy się o Maruchnę dopytamy, gdy i Skopin nie żyw, a ona choćby przy życiu była, to pewno przed okiem naszem dobrze ukryta.

Skrzywił się p. Ślizień na te przezorne rady:

— Waćpan jeźli czego w śmiech nie obrócisz, to zanegować musisz. Nie ukryta ona przed światem, jedno wolna żyje, a w ciężkiej żałości; coś mi ciągle szepce, że ją jeszcze ujrzę....

— Żałość sroższą będzie — perswadował Raróg — skoro cię łżywe omylą nadzieje.

— Święcie wierzę, że mi nadzieje nie kłamią! — odparł rozżalony wojak.

W ten to sposób pocieszał się p. Walenty, a przyjaciel osłabiał w nim afekt, aby rozczarowanie zdesperowanego żołnierza nie było tak srogie i bolesne. Zwierzając się ze swych myśli, wyjechali na wyniosłe wzgórze, gdzie przystanęli, aby koniom spoczynku dać chwilę. Wtem doszedł ich z głuszy leśnej odgłos kopyt końskich i w dole ukazała się postać rycerza w lśniącej zbroi. W miarę, jak się zbliżał, rozpoznać można było jego rysy i kształtną urodę.

Był to młodzian bardzo gładki, o twarzy młodej, niemal dziecięcej, cerze białej, okraszonej świeżym rumieńcem. Głowę jego i szyję osłaniała lśniąca misiurka, na piersiach zaś miał błyskotny kirys, z pod którego wyglądał czarny, aksamitny kaftan, szczelnie do zgrabnej kibici przylegający. Szerokie rajtuzy i wysokie buty na przedziwnie zgrabnych i małych nogach dopełniały stroju młodego petyhorca, który w wdzięcznych ruchach na koniu się przechylając, osadził go tuż przed p. Śliźniem.

Na widok porucznika nieznajomy zmięszał się tak, iż zbladł jak chusta i siedział jak zmartwiały na siodle.

P. Ślizień rycerzowi w oczy spojrzał i serce żywiej zabiło mu w piersi, widział bowiem przed sobą żywy portret Maruchny w żołnierskiem przebraniu.

— Na miły Bóg! gadaj waćpan, ktoś jest?

Żołnierz jakby myśli zbierał, milczał chwilę, w końcu dźwięcznym, lecz nieco drżącym głosem rzekł:

— Jestem Giżycki towarzysz pancernej chorągwi p. Sapiehowej.

— Cóż mi waść za androny prawisz? — ofuknął się Ślizień, oka z niego nie spuszczając — toć ja Giżyckiego jak brata znam, w jednym z nim namiocie pod Guzowem kwaterą stałem; dziś on w husarskim pułku Strawińskiego służbę odbywa i wąsal jest, barczysty chłop... ojcem waćpana mógłby być....

— Tak, — odparł młodzian — dobrze waćpan mówisz. Jest taki Giżycki, jedno on Gozdawę w herbie nosi, my się zaś Nałęczem pieczętujem, a gniazdo nasze w wieluńskiej ziemi.

— Dajmy to, iż tak jest, czemuż tedy waćpan, powiadając się Sapieżyńskim żołnierzem, do Sapiehy nie jedziesz, jedno się wracasz? Jakoś się to, co mówisz, jedno drugiego zgoła nie dzierży.

— Ciężko Waszej Mości dogodzić — odparł rezolutnie petyhorzec — toć jeszcze wszystkiego nie powiedziałem, że do hetmana śpieszę, a po co, to zaraz wyjawię...

Ale p. Ślizień nie słuchał już dalej, lecz Raroga na bok wziąwszy, coś z nim chwilę szeptał i radził, gdy zaś wrócili przed petyhorca, p. Raróg rzekł:

— Co się w długie deliberacye bawić mamy! W tych czasiech wiele się rozmaitego człeka podejrzanej reputacyi po tym kraju włóczy. Waćpan kręcisz i zrewidować cię musim, abyśmy wiedzieli, coś zacz. Możeś ty dobrze od Szujskiego szpieg, a gładko petyhorca farbujesz. — Brać go!! — krzyknął na towarzyszy.

Już się kilku z szeregów ruszyło, gdy żołnierz w te pędy do szabli: — Szlachcic jestem — zawołał — jako i waćpanowie i ani sobie krętactwa, ani szpiegostwa zadawać nie pozwolę. Nie wierzysz waść, to się ze mną bij, ale mię tknąć nie śmiesz, bo choćbym waćpana usiekł, to mię jeszcze hetman za wieści, jakie wiozę, nagrodzi. Waćpanów pierwszym obowiązkiem szukać języka o nieprzyjacielu, ale nie o swoich, to też pytać mię naprzód powinniście, nie, com ja zacz, jedno, co wiem o Moskwicinie.

— Racyę ma — pomyślał p. Ślizień i w duchu dorzucił: — Mina tego młodzieniaszka panieńska, ale rezolut jest i męskiego serca kawaler — a choć widział, że żołnierz w obliczu starszyzny do szabli się brał, ale już słowa nie rzekł, bo mu w tej chwili nie wojskowe reguły, jedno Maruchna była w głowie.

Raróg dzielną odpowiedzią petyhorca skonfundowany, nie nalegał już nań, a junacka postawa rycerzyka podobała mu się tak, iż udobruchany rzekł:

— Nie miejże waćpan rankoru do mnie. Z wystąpienia twego widzę, żeś gorąca kasza, ale nie Moskwicin, a to nam wystarczy. Bo to widzisz waść, jako każdy człek ma swoje przyrodzenie, tak każda nacya ma swoją wadę lub cnotę, po której ją poznać można i wszystko można zmienić i strój, i oblicze, jedno przyrodzenie trudno! Otóż wymacać chciałem, jaką waść masz fantazyę, jakie sentymenty i jakie przymioty, — a w duchu dodał: — Błazen ze mnie, jeźli to nie niewiasta a ten gap Ślizień patrzy i jeszcze niedowierza!

— Dajże waćpan pyska! — dorzucił — boś mi wielmie przypadł do serca. Jestem Raróg, stary towarzysz hetmańskiej roty p. Śliźnia, mojego wielkiego przyjaciela, którego oto waść przed sobą widzisz. — Mówiąc to, podjechał ku zmięszanemu młodzieńcowi i siarczyście go całował, a w duchu powtarzał: — Lisem nas podchodzisz, to ci też i lisem zapłacić trzeba!

— Waćpan masz gębę gładką jak aksamit! — mówił śmiejąc się stary żołnierz. Petyhorzec bronił się tym serdecznym objawom husarza, ale ten ostatni nie zważając wcale na jego opór, powtarzał: — Dajże jeszcze raz skosztować tych słodyczy! — a kiedy go już dobrze wyobracał i wyściskał: — A teraz gadaj, coś nam o nieprzyjacielu miał powiedzieć.

— Kiedy mi waszmościowie do słowa przyjść nie dacie...

— Mów już waćpan — przerwał Ślizień, nie spuszczając z oka miłego chłopa.

— Nieprzyjaciel cztery mile stąd obozem stoi — rzekł petyhorzec — i gdyby radom moim hetman dał ucho, a jeszcze dziś na odwieczerz na nich ruszył, wszystkoby nam poszło łatwo i możnaby im uczynić dywersyą....

— Chyba to przednie straże nieprzyjacielskie — przerwał mu Ślizień — dokładne bowiem mamy wieści, że Szujski dopiero dziś wyruszył z Możajska.

— Z palca nie wyssałem tego, co tu mówię — rzekł młodzian nieco zirytowany, że mu porucznik na każdym kroku oponuje. — Droga wasza złamanej babki nie warta, bo tam taka chmara barbarzyństwa obozem leży, że na niechybną poszlibyście zgubę, gdybyście ze mną do hetmana nie wrócili. Wczoraj wieczorem, zdążając do obozu starosty uświackiego, stanąłem kwaterą w wiosce niedaleko Kłuszyna u pewnego bojara, który Samozwańcowi sprzyja, a któremu Szujscy dobrze doskórzyli. Znalazłem u niego gościnne przyjęcie i zmęczony niewczasami chciałem ułożyć się do snu, gdy wtem uszu moich doszedł odgłos bębnów i przeraźliwych piszczałek. Kwaterę w stodole na strychu miałem tuż przy drodze,

skąd przez otwór w dachu zbadać mogłem i policzyć siły nieprzyjacielskie.

— Przodem jechało tam chłopstwa orężnego dwadzieścia tysięcy, wszyscy na wozach lub na koniach. Ci wioząc z sobą kobyliny i przenośne ostróżki, tuż za wsią na obszernych błoniach między lasami upatrzyli miejsce na obóz i wzięli się do kopania szańczyków. Za nimi szły wojska cudzoziemskie Szwedów, Niemców i Francuzów, a było ich ciężko zbrojnych rajtarów do sześciu tysięcy z Pontusem de la Gardie na czele, potem już sypały się bez rachunku pułki Szujskiego, jezdne i piesze, których dorachować się nie mogłem, jako że już dobrze ściemniało, ale jakem się później dowiedział, jest ich z górą trzydzieści tysięcy żołnierza.

— Cieniami nocy osłonion ruszyłem z kwatery do obozu, a zgubiwszy się w tłoku ludzi widziałem, jak w obliczu rajtaryi szwedzkiej Szujski Pontusowi sto tysięcy rubli żołdu wypłacał, a i tego nie zmilknę, że potem wódz szwedzki zaprosił Dymitra na wspaniałą ucztę, która się do rana przeciągnęła, dziś zaś wieczór Szujski Pontusa ma raczyć sowicie. Skoro tedy oni bankietują się wzajemnie, nasi z nieobaczka w nocy podejść mogą i dobrze im dać po boku.

— Jezu! Chryste! jeźli to wszystko prawda — zawołał Ślizień — co nam tu waść prawisz, toś rangi pułkownika wart — a Raróg aż się rzucał na siodle i wołał: — Hetman nie będzie wiedział, jak waści uraczyć, gdzie go usadzić za takie wieści!

— Niech mi tak Matka Najświętsza miłościwa będzie, jako dokładną, a czystą prawdę mówię i żadnej za to nagrody, prócz zwycięstwa naszych nie pragnę.

— Nie mamy tedy co czasu tracić — rzekł p. Ślizień — jedno nawracać, a co tchu z wieściami temi śpieszyć do hetmana.

Ruszyli tedy z powrotem, a petyhorzec od czasu do czasu w pnie drzew uderzał obuchem siekiery i drogę znaczył.

— Po co to waćpan czynisz? — pytał Raróg.

— Abyśmy z powrotem w nocy nie błądzili po lesie.

— A niechże waści! — krzyknął z zapałem p. Raróg — takeś już naprzód wszystko obmyślił, żeby i sam hetman z większą przezornością *ad rem* nie przystąpił. Bodaj się tacy na kamieniu rodzili! Znamy jednak dobrze tę drogę aż do skraju lasu, porzuć tedy to cechowanie, a jeźli się waćpanu czas dłużyć nie będzie, to pogadajmy chwilę.

Młodzian grzecznie się uśmiechnął i zbliżył konia ku husarzom.

— Powiedz że mi tedy, co tam u was w wieluńskiem słychać, bo tam już lat kilka nie byłem, a bardzo dobrze te strony znam i miłe z tej ziemi wyniosłem wspominki. Jakże się miewa pan Wojciech Giżycki stolnik wieluński, mój wielce serdeczny przyjaciel, a zapewne ojciec waszmości?

Petychorzec milczał chwilę, jakby mu gębę zawiązano, w końcu zarumieniony po uszy rzekł: — Dalekie to powinowactwo, bom ja synem jego stryjecznego brata.

— Pan stolnik wieluński miał tylko jednego brata rodzonego Krzysztofa — a innych Giżyckich tam nie ma — odparł p. Raróg. — Przecie familię stolnika znam, a i to wiem, że tam u obydwóch córek jest bez liku, ale ani jednego chłoptasa, coby tak rycersko ród ten prezentował, jak waćpan — mówiąc to stary husarz mrugał figlarnie na Śliźnia i uśmiechał się z pod siwego wąsa.

— Mów waść prawdę — dorzucił p. Ślizień — bo o ile wdzięczni jesteśmy za wieści o nieprzyjacielu, o tyle nie bardzo im wiarę dać możemy, skoro się waćpan tak sprzecznie plątasz w odpowiedziach tyczących się rodziny. Z tego widać, że jakiś sekret dusisz w sobie i wyjawić go nie chcesz, a przecie jako żołnierz wiedzieć powinieneś, że kogo po język wysłano, temu wszystko największy nawet wróg powiedzieć musi pod groźbą tortur i śmierci.

— Dobrze znam wojenne przepisy, ale to już rzec muszę, że waćpanowie natrętni i niedyskretni jesteście. Wszak wszystko, co potrzeba, powiedziałem, co się zaś mych rodzin-

nych stosunków tknie, te nikogo nie obchodzą, ani dla zwycięstwa pożytku by najmniejszego z nich nie będzie. Moglibyście też waćpanowie baczyć na pewne przysłowie...

— ...Które powiada: nie wtykaj nosa we drzwi — wtrącił p. Raróg.

Nie to rzec chciałem — odrzekł młodzian — ale skoroś waćpan sam takie *proverbium* odszukał, to pomnijże dobrze, aby go z pożytkiem w praktyce stosować.

— Cóż tedy waszmość za przysłowie rzec chciałeś? — spytał Ślizień.

— To, że się o kozią sierść swarzymy. Na co się zdało badać mój ród i pochodzenie, gdy idzie o ważniejsze sprawy.

— Jest przyczyna, dla której waćpana ród tak pilnie badamy — rzekł Ślizień.

— Cóżby to miała być za przyczyna?

Tu w końcu p. Ślizień całą prawdę wyjawić postanowił: — Poznaliśmy — mówił on — pewną dziewkę w smoleńskiem, która w ręce nieprzyj[illegible] wpadła, a do której waćpan twarzą i obyczajam[illegible]rzyrodził, jako jej żywiusienki portret.

— Wie[illegible] ja ową dziewką w żołn[illegible] tak serdecznym [illegible]eli na siebie ze [illegible]zie słów jego, a pan [illegible]omu ostry cierń zrani duszę, a [illegible]owieka, przed którym ze swych bolów wynu[illegible]oże, to się wówczas taką odelgę czuje w sobie, jak gdyby nam ciężki kamień spadł z serca.

Tu w dalszym ciągu z lubością patrzył w oblicze petyhorca i opowiadał historyę Maruchny ze wszystkimi szczegółami. Gdy zaś skończył, żołnierzyk zauważył z troską w oku: — Trudno się przeciw niebu kokoszyć i z upartem sercem dziewki bój toczyć. Gdyby ona waćpanu naprawdę była wzajemną, toby śmierć poniosła a nie poszła w Moskwę. Ukój tedy żal głęboki i w niepamięci pogrąż jej wspomnienie.

Pan Walenty, podniósłszy brwi, sfałdował stroskane czoło, ale już słowa nie rzekł, jedno przeciągłem spojrzeniem na petyhorca rzuciwszy, ciężko westchnął.

Właśnie wyjechali na skraj lasu. Zmierzch już zapadał, a na rozległej równinie, która się oczom ich odsłoniła, obozowe ogniska widniały z daleka. Konie podniosły raźnie głowy i zarżały radośnie, rycerze sporym kłusem ruszyli prosto przed hetmańską kwaterę.

IX.

Starosta orszański zdał przed hetmanem dokładną sprawę z podjazdu, a Giżycki, powtórzywszy słowo w słowo wszystko, co już rycerzom w drodze opowiadał, jął potem częściami wodzowi odkrywać, jakie są siły nieprzyjacielskie, jakie położenie miejsca, skąd pod obóz najlepiej zajść i którędy przez lasy najkrótsza do Kłuszyna droga.

P. Żółkiewski tak był rad młodzianowi, iż niebacząc na wiek, ani godność, za stołem go usadził i hojnie winem raczył, sam doń przepijając, a tak mu już wszyscy rotmistrze nadskakiwali, tak wszyscy doń lgnęli, że się rycerz opędzić nie mógł natarczywym ze wszech stron zaproszeniom. Ale bo też miał ten rycerzyk tak czarowne spojrzenie, a tak wdzięczne i ujmujące całe jego zachowanie było, iż w jednej chwili stał się ulubieńcem całej obozowej starszyzny.

— Więc tam w obozie szumno i huczno wczoraj było i pijatyka do późna w noc się przeciągnęła? — pytał hetman.

— Nietylko wczoraj, ale i dziś i przez dni następne lusztykować będą z okazyi wypłaconego żołdu.

— A toś nam w porę przybył z owemi wiadomościami, bo teraz już wiemy, jak sobie poczynać mamy.

— Słyszałem też — mówił rycerzyk — jak dwaj pułkownikowie nasze siły lekce sobie poważąc, powiadali, że się Pontus wcale ku nam w drogę nie kwapi, bo skoro się tylko o mnóstwie jego wojsk osłyszycie, to w te pędy czmychniecie

pod Smoleńsk, Szujski zaś radzić miał, aby jutro na odwieczerz z pod Kłuszyna ruszyć i w poniedziałek po ranu głodem was wziąść bez dobycia miecza.

— Słyszycie waszmościowie — zawołał hetman zwracając się do rotmistrzów — głodem nas brać chcą.

— Rozumiemy się na tych sztukach — wtrącił p. Struś. — Po co im ludzi tracić, gdy z jednej strony od Carowa Wołujew drogę zamyka, z drugiej nas mogą od Kłuszyna ścisnąć jak obręczą.

Tu p. hetman głowę na piersi opuścił i w myślach kłócił się a frasował, nie wiedząc, co wybrać i jak najlepiej postąpić, aby i gródka nie utracić i nieprzyjaciela podejść w otwartem polu.

Milczenie głuche panowało w namiocie, nikt słowa odezwać się nie śmiał, a wszystkim sprawa ta klinem była w głowie, bo na oko się widziało, »że uprosić się trudno, uchodzić nie myśleć, jeno w samym Panu Bogu nadzieja zwycięstwa« [1]).

Strwożyła się starszyzna, a najbardziej z tego powodu, że pola sposobnego do spotkania nie miano, obóz bowiem polski był między gęstymi lasami, skoro zaś hetman szczupłe swe siły rozdzieli i przeciw nieprzyjacielowi pod Kłuszyn ruszy, to Wołujew dowiedziawszy się o tej wyprawie, bez pochyby na obóz w tyle zostawiony wypadnie i zniesie go doszczętnie.

— Cóż tedy waszmościowie sądzicie, jak sobie począć, aby z tej skwary cało i zwycięsko wybrnąć? — pytał hetman.

Wywiązały się długie dyskusye, bo każdy co innego radził. P. Ślizień był zdania, że siły rozdzielić należy i w nocy niepostrzeżenie »dybkiem« przez las podejść pod obóz nieprzyjacielski, a będzie można wszystkich jak czeczotki na lep pobrać, jako że Moskwicin na taki napad nieprzygotowany, długo w noc ucztuje i lekceważy siły nasze. Sprzeciwiał się temu p. Bobowski utrzymując, że gdzie sześćdziesiąttysięczna

[1]) Dyariusz S. Maszkiewicza.

nawała regularnego wojska przeciw niespełna trzem tysiącom żołnierzy walczy, nie może być mowy o zwycięstwie. — Jakoż przypuszczać — mówił on — aby jeden usarz dwudziestu Moskwicinów pożył? Czapkami nas nakryją i wysieką doszczętnie jako kiść kłosów na zagonku. Radzę więc cofać się cichaczem z pod Carowa ku Smoleńsku i co duch słać do króla o posiłki.

Rozgniewał się hetman na takie rady i zawołał z oburzeniem: — Znam ja takich, co to do gotowego jak w dym pójdą, a gdy przyjdzie na orzech, to się cofać pragną lub głowy tracą. Takich najwięcej między nami. Cztery godziny drogi dzieli nas od sławy i zwycięstwa, wszyscy więc zgodzicie się na to, że dziś jeszcze i to jak najprędzej wyruszyć należy.

— Tak jest, dziś jeszcze wyruszyć trzeba! — krzyknął starosta chmielnicki.

— Za tobą wodzu na skraj świata pójdziem — dorzucił p. Ślizień.

— Nie damy się w kaszy zjeść! — wołał stary Raróg. — Zobaczycie waćpanowie, że Moskwicinom tak skrzydeł podskubiemy, iż ze strachu pludry pogubią.

— Każdy z swą rotą — mówił dalej hetman — w pół godziny do drogi gotów niechaj będzie. Pan Bobowski i starosta bracławski, tudzież Kozacy zaporoscy, jako że ci wszyscy w obliczu gródka stoją, z miejsca się nie ruszą i obozu strzedz mają aż do naszego powrotu. W Bogu nadzieja, że nam się poszczęści!

Słowa hetmana orzeźwiły słabe umysły. W godzinę później otrąbiono hasło przez munsztuk tak cicho, że odgłos jego ledwie najbliższe roty słyszeć mogły, a każdy żołnierz wziąwszy z sobą na dwa dni żywności, gotów był na czatę. W drogę tę wyruszyło ledwie dwa tysiące pięćset konnicy i kilkaset pieszych ludzi, wozu taborowego żadnego nie wzięto, jedno dwa falkonety polne po cztery konie i hetmańską karetę. Gdy wszyscy w porządku stanęli, dano znak do drogi

i poszli komonnie przez lasy, pełni wiary i ufności w niechybne zwycięstwo.

W przedniej straży jechał Giżycki, otoczony starszyzną wraz z hetmanem i przy świetle gorejących pochodni wskazywał drogę. Cisza na okół panowała taka, że gdy miejscami stanęli, to słychać było w bujnych jaskrach i trawach leśnych trzepotanie skrzydeł nocnych motyli i ćwierkanie polnych świerszczów. Tu i owdzie zachrzęszczało w gąszczu; to spłoszony jeleń przedzierał się w głąb lasu przez chrusty i gałęzie lub zbudzony szarak czmychał z pod stóp polskiego wojaka. Czerwone światło pochodni, odbite w czarnych falach leśnych jezior, budziło w nadbrzeżnych sitowiach błotne ptactwo, a białe mgły i opary ubarwione różowym odblaskiem, kłębiąc się i układając w fantastyczne kształty, tworzyły jakoby olbrzymie wieńce i grupy wodnych bogiń i rusałek.

Nocy lipcowe w tych okolicach bardzo krótkie bywają, to też już po kilku godzinach jazdy ciemne zarysy pni drzewnych szarzeć poczęły, i dojrzeć można było, jak las coraz to rzedniał, z brzaskiem zaś dnia polscy rycerze stanęli na obszernej równinie różowym blaskiem wschodu oblanej. Piania kogutów i naszczekiwania psów dochodziły ich z pobliskich wiosek. Na lewo od wiejskiej dąbrowy, z za opłotków i zagród, na rozległych łanach widać było morze pstrych namiotów, ogrodzonych sosnowemi kobylinami i murem wozów powiązanych łańcuchami.

To obóz nieprzyjacielski po hulaszczej nocy do tego stopnia nie przewidujący napaści, że nawet żołnierze z przednich straży leżą pokotem w trawie, jak powalone kłody i tylko ich zdala rozpoznać można po lazurowych giermakach po broni w kozły ustawionej.

Moskwa, wiedząc o szczupłych siłach naszych, nie spodziewała się wcale, żeby hetman miał odwagę kusić się o tak wielką potęgę i owszem tej nadziei była, że nasi cofną się co rychlej pod Smoleńsk. Dniem wprzód, jak się później dowiedziano, Pontus u Szujskiego na uczcie głośno się z szyder-

stwem w te słowa przechwalał: — »Gdy mię na Wolmierzu do niewoli z Karolusowymi wzięto, dał mi hetman Żółkiewski szubę rysią, mam ją też teraz dla niego z sobola, co mu oddaruję!« — Tuszył sobie wódz cudzoziemski, że hetmana pojmie w niewolę, nie bacząc wcale, jak omylnemi często bywają nadzieje.

P. Żółkiewski z odkrytą głową na karym koniu przodem jadąc, kończył właśnie koronkę do Matki Boskiej, gdy się nagle oczom jego odsłonił widok obozu. Nie przerywając pacierzy wjechał na środek równiny z ostatniemi słowy modlitwy: »Nie opuszczaj mię w zamysłach moich, ani mię nie zostawiaj na urąganie mych nieprzyjaciół«, poczem zwrócił się ku chorągwiom nagląc, aby co prędzej wyjeżdżały z lasu.

Gdy kilkanaście rot husaryi w jak największym porządku cichaczem u boru stanęło, pokazało się, że nie można od razu uderzać na uśpiony obóz, dwa bowiem działa polowe ugrzęzły w błocie po osi i tak drogę zawaliły, że się część wojska przed niemi w czas dobyć nie mogła, drugi zaś powód, dla którego zaraz nie uderzono, był ten, że przez pola przystęp do obozu płoty zagradzały, między nimi zaś stały sielskie zagrody i zabudowania dwóch rozległych wiosek.

Aby drogę do obozu otworzyć podłożono ogień pod owe płoty i wiejskie domostwa. Nim część ich zgorzała, dobyła się w tym czasie reszta husaryi z lasów i hetman począł szykować do boju chorągwie.

P. Zborowski stanął w sprawie na prawicy, lewe skrzydło zajął p. Struś starosta chmielnicki. W posilecznych hufcach prawego skrzydła ustawiono roty panów: Kazanowskiego i poległego Weihera z Samuelem Dunikowskim na czele, pułk zaś hetmański, któremu książę Janusz Porycki i p. Ślizień przewodzili — stanął w pobocznych hufach po lewej stronie. Z boku w chrustach i wiklinach ukrył hetman lekko zbrojnych Kozaków ks. Zbaraskich, których choć ledwie czterysta było człeka, ale wielkie usługi strzelbą oddać mogli, jako że

jeszcze dotąd nie nadeszły działka polowe i chorągiew piesza p. hetmanowa.

Gdy już szyki do boju sprawiono, chrzęst i łomot palących się płotów i zagród zbudził nieprzyjaciela, a w obozie powstał krzyk, zgiełk i przestrach nie do opisania. W skłębionym tłumie ludzi i koni dojrzeć można było, jak żołnierze ze snu zbudzeni, wpół ubrani, ciskając broń pod nogi wodzów i miotając przekleństwa, niebaczni na ich rozkazy, rzucali się w dzikim popłochu w tylną ścianę obozu, aby w ucieczce szukać ocalenia. Rajtarya siodłała co tchu konie, a starsi z rozpaczy i gniewu włosy rwali z głowy.

Trwała ta wrzawa dość długo, poczem dały się słyszeć liczne strzały za uciekającymi, wreszcie na chwilę ucichło wszystko.

Znać powstrzymano żołnierstwo od ucieczki, i ład zaprowadzono, wnet bowiem z tej bezkształtnej masy wyłaniać się poczęły nieprzeliczone, regularne rzędy i szeregi wojsk, jazda zaś cudzoziemska już także gotowcem stanęła do boju. Prawą rękę wzięli Szwedzi, na lewem skrzydle stanęły moskiewskie pułki.

W polskich szeregach cisza i spokój panowały, jakby się nie do bitwy, lecz do nabożeństwa gotowano.

Ksiądz Skorulski z krzyżem w ręku objeżdżając roty, żegnał je i błogosławił głosem donośnym: »Panie! prowadź nas w sprawiedliwości Swojej!« — Z przeciwnej strony ks. Trąpczyński, siwy już staruszek, drżącą ręką podnosił znak Odkupienia, wołając: »Krzyż, źródło życia i zbawienia niech was wiedzie!«.

Na dany znak rycerstwo odsłoniło głowy i rozległ się poważny hymn: »Bogarodzica, Dziewica! Bogiem sławiona Marya!« Wkoło słychać było szum płomieni, trzask spadających krokiew i pędzonych wichrem iskier, zdala dolatywał krzykliwy gwar tłumów z obozu, na tle zaś tych zmięszanych odgłosów biegła ku niebu pieśń z tysiąca piersi rycerskich dobyta.

Po skończonym śpiewie zapanowała w polskich szeregach uroczysta cisza, a z po za gęstych dymów wyłoniły się lazurowe kolumny nieprzyjacielskich szyków. Hetman stanąwszy przed szeregami, zdjął szyszak z głowy i w gorącej przemowie animował serca i umysły żołnierzy:

— Nie, kto dzieło pocznie — mówił on — lecz kto go dokona, zapłatę i nagrodę odnosi. Zastaliśmy tu nieprzyjaciół nieprzygotowanych zgoła na nasze przyjście, i oto gonią i rozbijają się po kąciech jak spłoszone ptaki. Fortuna sama ściele nam drogę do sławy i zwycięstwa. Idźmy przeto, dzieci moje, naprzód w imię Boże, pomni, że na męstwie naszem Ojczyzna osadziła wszystkie nadzieje, że na nas całość i bezpieczeństwo króla, Rzeczypospolitej i całego chrześcijańskiego świata!

Właśnie kończył te słowa, gdy na szyję karego rumaka hetmańskiego spuścił się z góry biały ptak i trzepocząc skrzydłami, dzióbkiem skubał brzeg bogato złotem naszywanej kulbaki. Na ten pomyślny znak okrzyk zdumienia wydarł się z ust rycerstwa, a tak się wszystko ochotnie rwało do boju, iż już na koniach dosiedzieć nie możono. Zapał ogarnął szeregi, odwaga i męstwo skrzyło w oczach rycerzy.

Płoty i zagrody spłonęły do tyla, iż można już było po zgliszczach obficie wodą zlanych pierwsze roty puścić do ataku. P. Żółkiewski skinął buławą i chorągwie Strusia, jak rozszalała burza, pierwsze rzuciły się do boju, za niemi zaś tuż z prawego skrzydła pobiegły doświadczone roty p. Zborowskiego.

Strzała z łuku puszczona nie kraje powietrza z taką szybkością, z jaką jazda husarska pędziła przez Kłuszyńskie pola. Chwilę słychać było tylko tętent kopyt końskich i świst pochylonych kopij, nagle rozległ się w powietrzu grzmot, kołat i trzask podobny do huku tysiąca gromów. Po pierwszych wystrzałach muszkietów zamigotały w słońcu zbroje i jakby kto gęsty bór rzędem ciął, waliły się i padały przednie szeregi moskiewskiej piechoty pod cięciami szabel Zborowskiego rycerzy.

Twardszy orzech do zgryzienia mieli husarze p. Strusia na lewem skrzydle. Padłszy na szwedzką rajtaryę, trafili z początku na tak silny opór, iż musieli się kilka razy poprawiać. Hetman widząc, jako się starosta chmielnicki chwiać poczyna, zwrócił się do posilecznych hufów lewego boku, gdzie już Ślizień i Giżycki, jakby się z powroza ugryść chcieli, z niecierpliwością oczekiwali skinienia wodza.

— Staroście chmielnickiemu w pomoc! — krzyknął Żółkiewski, a lśniące zbroje hetmańskiego pułku zamigotały w słońcu, kopie z proporcami pochyliły się naprzód i chorągiew pod wodzą p. Walentego rzuciła się z takim impetem w stronę wroga, że aż ziemia zadudniała pod kopytami końskiemi. Pędzili chwilę po zielonych błoniach, przodem zaś przed innymi, porwawszy szablę w małą dłoń, biegł żołnierz petyhorskiego znaku, Giżycki, z tak szalonym pośpiechem, jakby się obawiał, by go nie wyprzedzono w ataku. Ślizień i reszta rozpuścili konie a zrównawszy się z Giżyckim, przyskoczą z boku z krzykiem w pierwsze szeregi jazdy szwedzkiej, która pod parciem husarskich kopii rozstępuje się na dwoje i jak, gdy mały statek przywalony wśród burzy nawalnym morskim bałwanem w bezdennych pogrąży się falach, tak drobna garstka, hetmańskich żołnierzy tonie w nieprzeliczonej ciżbie nieprzyjacielskiej jazdy.

Wszczyna się bitwa straszna. Rżą konie, świszczą strzały, huk trąb chrapliwych, chrzęst pancerzów rozlega się wkoło, a nasi, gdzie się zwrócą, sieką na umor i rąbią Szwedów na drobne bigosy.

Z niezwykłym męstwem pracuje niestrudzony Ślizień, dzielnie mu sekunduje Giżycki, który choć siłą drugim nie sprosta, paruje cięcia wprawnie i naciera z niezwykłą odwagą.

Szwedzkie pułki z boku złamane, już się poprawić nie mogą, a starosta chmielnicki swoich do nowego ataku sprawiwszy, z czoła naciera tak potężnie, iż zmięszane tłumy, parte nawałą husaryi z dwóch stron, wstecz się cofają, a w końcu widząc, co się dzieje na prawem skrzydle, gdzie już piechota

moskiewska doszczętnie poszła w rozsypkę, co tchu czmychają do swego obozu.

Nasi rozpuściwszy rumaki, bieżą po nich i koląc ich grzbiety śmiertelnymi razami, zostawiają za sobą całe stosy trupów ludzi i koni. Z kraja tylko przy lesie stoi jeszcze do trzech tysięcy cudzoziemców, lecz ci nie mając już starszyzny, wysyłają posłów do hetmana z prośbą o rokowania.

Hetman właśnie mszy św. słuchał, takie bowiem było już zwycięstwo naszych, iż było za co dziękować Panu Bogu, gdy znać dano, że wysłańcy wojsk cudzoziemskich pragną wejść w układy z polskim wodzem. Kazał się im p. Żółkiewski do końca mszy wstrzymać, widząc zaś rzecz pełną trudności, nie łatwo bowiem było wyprzeć ich z pod lasu, zgodził się na to, że się zdali dobrowolnie, przyczem przyrzekł ich przy zdrowiu i majętnościach zachować, tudzież obiecał im wyjednać u króla wolne przejście do swej ojczyzny.

Tymczasem, gdy roty husarskie na karkach Szwedom i Moskwicinom jeżdżą, na pobojowisku wśród stosu trupów i powalonych zbroi p. Ślizień z konia zsiadłszy, klęczy na ziemi i flaszkę z winem przechyla do ust ranionego Giżyckiego.

— Słabo mi druhu — jęknął petyhorzec — weźcie mię stąd na wolniejsze miejsce, niech umrę w słońcu na darni zielonej, a nie na ziemi krwią wrogów przesiąkłej.

Czterej towarzysze przenieśli nieszczęśliwego żołnierza na łączkę tuż pod lasem, gdzie go złożono na poduszkach w hetmańskiej karocy.

Przywołany lekarz chciał ranę oczyścić i krew z postrzelonej piersi zatamować, lecz petyhorzec tknąć się nie dał i prosił o zasiłek na wieczną drogę. Kapelan, staruszek siwy, jak gołąb, wśród odgłosu dzwonka przystąpił do ranionego, aby spełnić posługę duchowną. Podczas spowiedzi i ostatnich namaszczeń husarze najbliżsi Giżyckiemu, a więc pp. Ślizień i Raróg klęcząc u nóg jego, gorące modły do nieba słali za duszę rycerzyka, co im tak bardzo przypadł do serca.

Wnet zjawił się hetman i łza błysła mu w oku.

— Żołnierzu! — rzekł — tyś nas pierwszy do zwycięstwa wiódł, Bóg ci nagrodzi wieczną chwałą w niebie przysługę wyświadczoną Ojczyźnie.

Giżycki uśmiechnął się łagodnie i skinął na Śliźnia. Porucznik stanął tuż przy powozie.

— Podaj mi dłoń, niech ją ostatni raz uścisnę — a potem dodał głosem słabym i konającym: Jam jest... Maruchna Boratyńska, wiedz, że cię miłuję.... lecz twoją być nie mogłam!

Rzekłszy to, skonała z słodkim uśmiechem na kształtnych ustach. Okrzyk zdumienia i rozpaczy wydarł się z piersi rycerzy. P. Ślizień rzucił się ku zwłokom jak szalony i białe dłonie zmarłej okrywał pocałunkami i łzami.

Tajemnicę, dla której polska dziewoja tak uparcie ukrywała się do ostaniego tchu życia w żołnierskiem przebraniu, pokryła mogiła na obcej ziemi.

TREŚĆ.

Strona

Gabor Batory, pretendent do korony polskiej 5
Pojedynek Tarły, szkic historyczno-obyczajowy z XVIII wieku . 33
Z dziejów Zamościa, przyczynek do ordynacyi Zamoyskiej z czasów saskich 63
Jak żydzi zrywali Sejmy, szkic historyczny z XVIII wieku . . . 103
Spór dwóch kościołów, szkic historyczny z XVII wieku 119
Doktorka medycyny i okulistka polska w XVIII wieku, szkic historyczny na podstawie nieznanego pamiętnika 141
Początek powstania Rakoczego 175
Na cześć Kościuszki w setną rocznicę przysięgi, (wiersz) . . . 193
Skon Jana III, (pieśń historyczna) 195
Ciekawy list do Zygmunta III 199
Pra-baby wielkich rodów 205
Smoleńskie wspominki, powieść historyczna z XVII wieku . . . 221

—x—

Sprostowanie:

Na stronie 236 wiersz 13 od dołu — zamiast »u Dniestru«, ma być *»u Dniepru«*.

6.7.Cy

DK 415 .G63
Szkice historyczne.
Stanford University Libraries
3 6105 041 451 472

DK
415
G63

Stanford University Libraries
Stanford, California
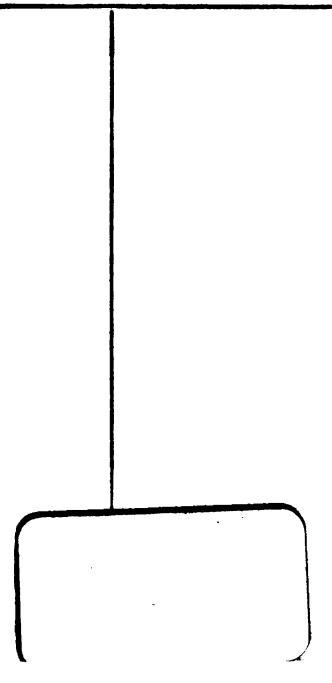
Return this book on or before date due.